



PRAWDZIWIE SKANDYNAWSKI CZARNY KRYMINAŁ.

„JYLLANDS-POSTEN”

MICHAEL KATZ  
KREFFELD



SEKTA

**RAVN** DETEKTYW RAVN – BYSTRY I NIEODGADNIONY  
JAK KRUK – NA TROPIE RELIGIJNEGO SZALEŃCA

MICHAEL KATZ  
KREFELD  
**SEKTA**

PRZEŁOŻYŁA  
ELŻBIETA FRĄCZAK-NOWOTNY

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Copyright © Michael Katz Krefeld 2015  
Published by agreement with Salomonsson Agency.  
© Copyright for the Polish translation by Elżbieta Frątczak-  
Nowotny  
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2016

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Harvey Macaulay / ©  
Imperiet.dk; opracowanie okładki na podstawie oryginału: Piotr  
Kołodziej

ILUSTRACJE: hxdbzxy / shutterstock.com; Krivosheev Vitaly /  
shutterstock.com; Kao / shutterstock.com

REDAKTOR PROWADZĄCY: Waldemar Popek

REDAKCJA: Anna Milewska

KOREKTA: Ewelina Korostyńska, Pracownia 12A

**Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.**

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

fax: (+48-12) 430 00 96 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-05912-8

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną  
prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym  
(watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do  
prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu  
niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody  
właściciela praw jest zabronione.

## **Spis treści**

Motto Dedykacja 1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 15. 16.  
17. 18. 19. 20. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. 31. 32. 33. 34.  
35. 36. 37. 38. 39. 40. 41. 42. 43. 44. 45. 46. 47. 48. 49. 50. 51. 52.  
53. 54. 55. 56. 57. 58. 59. 60. 61. 62. 63. 64. 65. 66. 67. 68. 69. 70.  
71. 72. 73. 74. 75. 76. 77.

Chociażbym chodził ciemną doliną,  
zła się nie ulękę,  
bo Ty jesteś ze mną.  
Twój kij i Twoja laska są tym,  
co mnie pociesza.

#### KSIĘGA PSALMÓW (23, 4)<sup>1</sup>

Wszystkie cytaty z Pisma Świętego zostały zaczerpnięte  
z Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

*Dla Lis,  
która jest światłem mojego życia,  
jego wiecznym płomieniem*

## 1.

Spojrzał na syna, który siedział przy stole w otwartej kuchni. Była połowa października, przez szerokie panoramiczne okna widać było kryjący się w mroku ogród, na tle wieczornego nieba rysowały się sylwetki niskich drzew owocowych. Chłopiec, który niedawno skończył sześć lat, ścisnął w dłoni widelec i próbował nadziać na niego leżące na talerzu frytki. W drugiej ręce trzymał niewielki samochodzik, z chłodnicy schodziła niebieska farba. W twarzy syna mężczyzna rozpoznał własne rysy: kształt nosa, opadające kąciki ust i blisko osadzone oczy, które sprawiały, że obaj zawsze wyglądali na zamyślonych. Pogładził synka po włosach, a on mu na to pozwolił. Okrągłe policzki i piegi odziedziczył po matce, która teraz stała przy kuchence, odwrócona do nich plecami, i cedzidłem wyjmowała frytki z garnka z fryturą. Położyła je na talerzach obok błyszczących od tłuszczu szyncli.

— Nałożyć ci groszku? — spytała, nie odwracając się.

— Poproszę, ale nie za dużo.

Mężczyzna wziął serwetkę i rozłożył ją na ciemnych spodniach. Po powrocie z pracy nie zdążył się przebrać, siedział przy stole w garniturze i jasnoniebieskiej koszuli. Zmienił jedynie buty na nieco zniszczone, ale wygodne kapcie z wielbłądziej wełny.

— A ty nie będziesz jadł groszku? — Uśmiechnął się do synka.

Chłopiec pokręcił energicznie głową.

— Ale przecież lubisz groszek?

Chłopiec skinął głową i otworzył buzię pełną jedzenia.

— Lubię, ale strasznie trudno go jeść...

— Nie mówi się z pełną buzią.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na żonę. Postawiła



przed nim talerz, swój trzymała w ręku. Usiadła i zaczęła polewać keczupem frytki i panierowane mięso. Worki pod oczyma i popękane wargi postarzały ją, wyglądała na więcej niż swoje trzydzieści dwa lata. Kiedy się poznali, oczarował go jej uśmiech, który ostatnio pojawiał się coraz rzadziej. Nie pracowała, zajmowała się domem. Mężczyzna nie potrafił powiedzieć, co powodowało jej zmęczenie. Nalał żonie szklankę soku z dzbanka, podziękowała skinieniem głowy.

Chłopiec odłożył widelec; bardziej interesował go samochód, który prowadził slalomem między wzorami na obrusie, coraz bardziej przyspieszając i wydając przy tym głośne dźwięki. Nagle ziewnął głośno, po czym, już spokojniej, poprowadził samochodzik wokół szklanki z sokiem.

— Nie wolno się bawić przy stole — zwróciła mu uwagę kobieta.

— Pozwól mu — powiedział mężczyzna. Zauważył jej zdziwienie, co było zrozumiałe, bo zwykle to on ustalał obowiązujące w domu zasady, również te, które dotyczyły zachowania przy stole. — Wypij sok — zwrócił się do synka. Chłopiec szybko opróżnił szklankę.

— Jak ci minął dzień? — spytała kobieta z pełnymi ustami.

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— Coś się wydarzyło?

— Nic szczególnego. Jak zwykle.

— W ogóle nic? — Nie poddawała się.

Odłożył sztućce, zdjął serwetę z kolan i wytarł kąciki ust.

— Nie zrozum mnie źle. To miło, że pytasz o moją pracę, ale gdybym zaczął opowiadać ci w szczegółach, czym się dzisiaj zajmowałem, zresztą nie tylko dzisiaj, niewiele byś z tego rozumiała. Dlatego, z całym szacunkiem, ta rozmowa wydaje mi się bez sensu.

Kobieta zamrugnęła, przełknęła nieco za duży kęs i wydała stłumiony dźwięk.

— Po prostu chciałam z tobą porozmawiać... Może być jakiś inny temat.

— Rozumiem. To znaczy rozumiem, że chcesz ze mną porozmawiać. Ale nie możemy po prostu cieszyć się ciszą?

Nie odpowiedziała, zaczęła jeść jeszcze szybciej, jakby chciała pozbyć się tego, co było na talerzu, i jak najszybciej skończyć obiad. Nie miał jej tego za złe. Podobnie jak tego, że jadła bardzo brzydko. Postanowił, że dzisiaj powstrzyma się od uwag. Wrócił do jedzenia, podniósł wzrok i spojrzał na ogród za dużymi panoramicznymi oknami. Przyglądał się drzewom owocowym, miał wrażenie, że patrzą na niego oskarżycielsko. Chociaż nie było wiatru, gałęzie się poruszały, jakby kręciły głową z dezaprobatą. Kiedy w końcu postanowił wstać i zaciągnąć zasłony, usłyszał ostry dźwięk: sztucce wypadły żonie z rąk i uderzyły o talerz. Spojrzał na nią. Siedziała i kołysała się na krześle; nagle podniosła rękę do głowy, odetchnęła ciężko. Przełknęła ślinę i sięgnęła po szklankę. Szklanka się przewróciła, jej zawartość się rozlała, na obrusie pojawiła się plama, ciemna jak jezioro.

— Przepraszam — wydukała.

Z trudem uniosła głowę i spojrzała na synka. Chłopiec pólleżał bezwładnie z głową na stole, nieruchomy, ściskając w rączce niebieski samochód.

Kobieta wydała nieartykułowany dźwięk i spojrzała na męża. Patrzył na nią, przeżuując powoli.

— Wszystko w porządku. Idź, połóż się spać.

Patrzyła na niego zdumiona z półotwartymi ustami. Spojrzała na jego szklankę z sokiem, była nieruszona.

— Co... Co ty zrobiłeś?

Zamachała ręką, próbując utrzymać równowagę, ale spadła z krzesła i teraz leżała bezwładnie na wyłożonej linoleum podłodze.

Mężczyzna wychylił się i jedząc, przyglądał się jej. Leżała z rękami wyciągniętymi do przodu, jakby płynęła czałkiem. Tyle że jego żona nigdy nie interesowała się sportem. Dorastała na wsi, wątpił, czy w ogóle umie pływać.

Skończył jeść i podszedł do okna. Chociaż nagie drzewa

zniknęły już w mroku, zaciągnął zasłony. Sprzątnął ze stołu, wyrzucił resztki jedzenia do śmieci. Kilka niezjedzonych groszków spadło z talerza i zaczęło się toczyć po podłodze. Schylił się, żeby je podnieść. Jego syn miał rację, z groszkiem trudno sobie poradzić. Chciałby, żeby dane im było spędzić więcej czasu razem, wtedy nauczyłby synka, jak należy miażdżyć groszek, żeby łatwiej go było jeść. Ale ich czas dobiegł końca. Włożył brudne naczynia do zmywarki i zwiększył gaz pod frytkownicą. Wrócił do stołu i wziął chłopca na ręce. Usłyszał, jak mały jęknął cicho, ale morfina zrobiła swoje. Wyniósł go z kuchni i ruszył przez długi salon do sypialni. Chwilę się zastanawiał, czy ma położyć synka w jego łóżku, ale doszedł do wniosku, że w takiej sytuacji powinni wszyscy spać razem. Położył więc chłopca w małżeńskim łóżu i wrócił do kuchni. Pachniało ostro fryturą, która zaczęła już lekko dymić. Chwilę później opary się zapaliły, buchnęły płomienie i zaczęły pełzać po ścianach. Z niejakim trudem podniósł żonę z podłogi. Była cięższa, niż się spodziewał. Płomienie sięgały już wiszących na ścianach szafek, ogień rozprzestrzeniał się błyskawicznie. Zaniósł żonę do sypialni i położył obok synka. Obojgu zdjął buty, ale ubranie zostawił. Złożył im dłonie na piersiach, jakby składał ich do trumny. Następnie usiadł na łóżku, zdjął kapcie i skarpety. Marynarkę rzucił na podłogę, po czym położył się obok synka i żony. Zamknął oczy i próbował odnaleźć spokój. Udało mu się to jedynie połowicznie. Zastanawiał się, czy nie wstać i nie napić się soku z morfiną, ale uznał, że to byłoby tchórzostwo. Zasłużył sobie, by poczuć strach przed płomieniami. By spłonąć żywcem w stanie pełnej świadomości. Po chwili dym, który wdzierał się do sypialni niczym szara zasłona, sprawił, że zaczął się krztusić. Słyszał płomienie, które z kuchni rozprzestrzeniały się po domu. Ogień z sykiem torował sobie drogę przez salon, pełził po parkiecie, karmił się podwieszonym sufitem. Prawdopodobnie pochłonął już obrazy na ścianach, w tym cennego Heerupa, a teraz z pewnością kierował się w stronę fortepianu firmy Hornung & Møller, który za chwilę zamieni się w zgliszcza. Słyszał

schrypnięty trzask płomieni, czuł ciepło przenikające przez cienkie ściany, wkrótce miały zniknąć w rozgrzanym do białości ogniu. Duszący dym piekł go w oczy, chociaż miał zamknięte powieki. Wdzierał mu się do gardła, dusił go. Żałował tylko jednego: że zostawił w pracy list pożegnalny. Wówczas był jednak przekonany, że postępuje słusznie. Gdy się podejmuje taką decyzję, powinno się tak postąpić. Taki jest obyczaj. Teraz też zadbał, żeby wszyscy leżeli na łóżku, porządnie, tak jak trzeba. Wszystko dawało się rozwiązać z zastosowaniem właściwej metody, nawet spożywanie groszku. Kto jak kto, ale on wiedział, że świat jest zbudowany na systemach.

2.

Gospodarz programu radiowego, który przedstawił się jako Teddy K., oświadczył, że Duński Instytut Meteorologii ostrzega, że dzisiejszy dzień może się okazać najcieplejszym w tym roku. Było dopiero wpół do jedenastej przed południem, ale Ravn tym razem był skłonny uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał w radiu, nawet jeśli łamiący się głos prowadzącego program nie wzbudzał w nim zaufania. Otworzył wszystkie okna w swoim starym audi, ale jego T-shirt i tak był wilgotny od potu. Kiedy prowadzący program zamilkł, ustąpiwszy miejsca reklamom, Ravn automatycznie ściszył dźwięk. Najchętniej w ogóle wyłączyłby radio, ale chociaż już dobry tydzień jeździł samochodem pożyczonym od swojego nowego zleceniodawcy, nadal nie był w stanie dojść, jak się wyłącza odbiornik.

Jechał dwa samochody za czarnym porsche cayenne, które w ślimaczym tempie pełzło w ulicznym ruchu. Jego kierowca też opuścił wszystkie szyby, z kabiny dochodził głośny hip-hop. Kiedy porsche z szerokimi felgami zjechało po chwili z Uplandsgade na parking przed marketem Super Best, Ravn włączył kierunkowskaz i pojechał za nim.

Duży plac przed marketem był niemal pusty, porsche skierowało się w stronę wejścia. Ravn zatrzymał audi kilka rzędów dalej, przodem do porsche. Rozejrzał się, szukając kamery. Pamiętał, że położył ją gdzieś w aucie, ale teraz nie mógł jej znaleźć.

— Przesuń się, Møffe — powiedział, szturchając angielskiego buldoga, który spał na miejscu pasażera. Pod

brzuchem psa dostrzegł kamerę, z niejakim trudem wsunął palce między fotel a brzuch psa i w końcu udało mu się odzyskać sprzęt.

Møffe warknął niezadowolony.

— Przystań marudzić, bo następnym razem zostawię cię w domu — ostrzegł go, po czym zdjął pokrowiec z kamery.

Rozłożył ekran i urządzenie włączyło się automatycznie; uniósł je, tak żeby obiektyw znalazł się tuż nad deską rozdzielczą. Kamera zasyczała cicho; skierował obiektyw na porsche, wcisnął przycisk i zaczął filmować. Z samochodu od strony pasażera wysiadł tęgi, łysy mężczyzna dobrze po czterdziestce. Ubrany był w jeansowe szorty i skórzaną kamizelkę z nadrukiem na plecach. Na szyi miał biały kołnierz ortopedyczny, który usztywniał mu głowę i kark. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wyskoczyła kobieta, potężnie zbudowana, z długimi platynowymi włosami i tatuażami na rękach — miała ich równie dużo jak mąż. W pierwszej chwili Ravn odniósł wrażenie, że kobieta ma tatuaż nawet na twarzy, ale po chwili zrozumiał, że to po prostu podbite oko. Mężczyzna zawołał do niej coś, czego Ravn nie usłyszał, ale za chwilę kobieta otworzyła tylne drzwi i wyciągnęła z samochodu chłopca. Wyglądał na jakieś dziesięć lat, posturę odziedziczył po rodzicach i był całkowicie pochłonięty tabletem. Ojciec wcisnął mu do ręki monetę i wskazał na rząd wózków sklepowych, stojących kawałek dalej pod wiatą. Chłopiec ruszył niechętnie w ich stronę, wziął jeden z nich, ale najwyraźniej poruszał się zbyt opieszale, bo matka przejęła wózek, rzucając mężowi kąśliwą uwagę. Ten jednak tylko wzruszył ramionami i pokazał na swój kołnierz. Ravn filmował rodzinę do chwili, kiedy wszyscy zniknęli za automatycznymi drzwiami marketu.

— Jest godzina... — zerknął szybko na zegar na desce rozdzielczej — dziesiąta trzydzieści osiem. Śledzony Carsten Nielsen wraz z rodziną udaje się do marketu Super Best na Amager. Nadal nie zaobserwowałem nic, co wskazywałoby, że Nielsen symuluje uraz.

Wyłączył kamerę i zaczął wysiadać z samochodu; Møffe

bacznie mu się przyglądał.

— Ty zostajesz. Ale może przyniosę ci coś dobrego.

Pies prychnął i położył łeb na siedzeniu.

Ravn ruszył do wejścia; kamerę ukrył pod bluzą z kapturem, którą miał przerzuconą przez rękę. Nie sądził, żeby Carsten był na tyle głupi, by w miejscu publicznym zrobić coś, co mogłoby stanowić dowód, że uraz kręgosłupa, który zgłosił firmie ubezpieczeniowej, był blefem, ale przecież nigdy nie wiadomo. Carsten próbował skłonić firmę do wypłacenia mu odszkodowania za uszczerbek na zdrowiu w wysokości dwudziestu pięciu procent sumy ubezpieczenia, co oznaczało, że spodziewał się wypłaty drobnych dwóch milionów koron. Polisę wykupił zaledwie trzy tygodnie przed swoim rzekomym wypadkiem samochodowym. Sprawca wypadku był jedynym świadkiem zdarzenia i — co warto podkreślić — okazał się nim jeden z kumpli Carstena z miejscowego klubu motocyklowego, który kilka lat wcześniej sam otrzymał podobne odszkodowanie. Ravn pracował nad sprawą od tygodnia. Wiedział, że jeśli dzisiaj nie uda mu się udowodnić, że facet symuluje, to za chwilę Carsten, nazywany przez swoich pobratymców Szczurem, zgarnie kupę szmalu.

Ravn wszedł przez szklane drzwi. W środku było niemal pusto, powitał go chłodny powiew powietrza. Wziął koszyk i na wszelki wypadek wrzucił do niego kilka rzeczy. Podszedł do długiej ludy chłodniczej, przy której stali Carsten i jego rodzina z wózkiem pełnym zakupów. Po chwili ruszyli dalej, a Ravn za nimi, oczywiście w pewnej odległości. Wózek, który zrobił się już dość ciężki, pchała kobieta. Carsten człapał za nią w klapkach. Widać było, że niemal gotuje się z gorąca, co chwila szarpał za kołnierz.

Za każdym razem, kiedy chciał zobaczyć coś z boku, musiał się odwrócić całym ciałem. Z daleka wyglądał jak robot, jakby tańczył breakdance. Kiedy rodzina dotarła do działu z napojami, Carsten szturchnął syna i poprosił, żeby przyniósł skrzynkę browaru.

— Sam sobie przynieś — odpowiedział chłopak, nie

podnosząc głowy znad tabletu.

Carsten wyrwał mu go z dłoni i pochylił się nad synem. Głowa mężczyzny była zaledwie kilka milimetrów od twarzy chłopca.

— Mam ci to zabrać? Mam ci wyrzucić to gówno?

— krzyczał, purpurowy na twarzy.

Chłopiec zerknął na tablet, który był teraz poza jego zasięgiem, odwrócił się i podszedł do stojących kawałek dalej skrzynek z piwem. Nieco opornie chwycił jedną z nich.

— Jest cholernie ciężka, tato!

— Nie tę, to ma być Elefanten, ze słoniem — zawołał Carsten i wskazał ręką na skrzynki stojące obok.

Chłopiec puścił skrzynkę, którą trzymał w ręku, i szurając nogami, podszedł do skrzynek z Elefanten. Razem z matką udało mu się zataszczyć skrzynkę piwa do wózka.

Ravn stał nieco z boku i obserwował, jak pchają wózek między półkami. Nie miał wątpliwości, że Carsten nie tylko nie jest orłem intelektu, ale nawet trudno byłoby mu konkurować inteligencją z rockersami, z którymi Ravn niekiedy miewał do czynienia. Wyglądało jednak na to, że zrobi wszystko, aby nie stracić odszkodowania. Ravn nie martwił się tym, że jeśli nie uda mu się zdobyć dowodu przeciwko Carstenowi, to jakiś bank będzie musiał sięgnąć głębiej do kieszeni, a on pewnie straci obiecaną premię. Bardziej denerwowało go, że Carstenowi mogłoby się upiec. Przede wszystkim dlatego, że miał wrodzoną niechęć do facetów w skórzanych kamizelkach z nadrukiem na plecach. Kiedy jeszcze był funkcjonariuszem jednostki specjalnej, często miewał do czynienia z takimi dupkami. Wielu z nich udało mu się wsadzić za kratki. Po swoim trupie pozwoli, żeby Carsten alias Szczur, alias Olewam-wszystkich-i-jak-będę-chciał-to-przyłożę-starej, zainkasował choćby złamaną koronę. W takim razie musiał jednak szybko wymyślić coś, co ostatecznie wyjaśni sprawę.

Odstawił wózek i szybkim krokiem ruszył w kierunku drzwi. Wszedł na parking, wyjął z kieszeni monetę i podszedł do wiaty,



gdzie w dwóch rzędach stało ze dwadzieścia wózków. Położył bluzę i kamerę na ziemi i zaczął się przeciskać między wózkami. Dotarł do pierwszego, wsunął monetę w szczelinę i uwolnił w ten sposób cały rząd. Oparł się nogą o tylną ścianę wiaty, szarpnął pierwszy wózek i po chwili cały rząd z piskiem i zgrzytaniem zaczął się toczyć w stronę parkingu. Naparł na bok kilku wózków, próbując skierować je w stronę stojącego przed wejściem porsche.

W tym momencie z marketu wyszedł Carsten z rodziną. Ponaglił żonę, która z trudem manewrowała ciężkim wózkiem. Ravn spojrział w stronę drzwi: jeszcze chwila, a Carsten wyjdzie zza rogu i zobaczy, co się stało. Resztkami sił pchnął wózki; udało mu się skierować je we właściwym kierunku, tak żeby zagradzały dojsście do porsche. Szybko sięgnął po bluzę i kamerę i ruszył w stronę swojego samochodu.

— Cześć, Møffe — pozdrowił psa i zajął miejsce za kierownicą.

Pies ziewnął i odwrócił się na bok w oczekiwaniu na pieszczoty, ale Ravn nie miał czasu. Słyszał przekleństwa miotane przez Carstena. Wbił się w fotel i włączył kamerę. Ustawił ostrość i zaczął filmować scenę.

Carsten krążył wokół samochodu jak wściekły byk, podczas gdy żona i syn przyglądali się wszystkiemu bezradnie. Wózki ciągnęły się od bagażnika porsche do wiaty. Jakby ktoś z personelu zaczął je ustawiać, a potem nagle porzucił. Uniemożliwiały otwarcie drzwi. Carsten nakazał więc żonie i synowi, by odepchnęli je od samochodu. Próbowali, ale nie mieli dość sił. Carsten rozejrzał się po parkingu, a kiedy upewnił się, że są sami, spróbował nieporadnie odepchnąć wózki jedną ręką. Bez skutku. Wózki nie drgnęły nawet o milimetr. Żona Carstena zerknęła na zegarek i zaczęła wznosić oczy do nieba, przez otwartą szybę Ravn słyszał, jak mówi coś o wizycie u manikiurzystki. Zaczęli się kłócić; nagle chłopiec upuścił tablet, który upadł na ziemię i się rozbił. Chłopiec zaczął głośno szlochać. Carsten, czerwony na twarzy z wściekłości, szarpnął za

kołnierz ortopedyczny, który wyraźnie go dusił.

— Niech was szlag! — zawołał i chwycił mocno za wózki.

Ravn filmował dalej, łaskocząc Møffego po brzuchu.

Pomyślał, że film zapewne nie dostanie Oscara, ale on jakąś sumkę powinien na nim zarobić.

### 3.

Film nakręcony przed południem przez Ravna na parkingu marketu leciał właśnie na ekranie monitora. Mimo że jakość nie była najlepsza — grube ziarno i lekko niebieski odcień ujęć — nie było problemu ze zidentyfikowaniem Carstena Nielsena. Kołnierzyk ortopedyczny zwisał mu luzem na szyi jak śliniak, kiedy szarpał puste wózki przed sklepem na parkingu.

— A więc mamy do czynienia z cudownym ozdrowieniem — stwierdził ironicznie adwokat Lohman. Złożył dłonie na okazałym brzuchu, wypełniającym do granic żółty sweter, który miał na sobie. Mężczyzna po siedemdziesiątce siedział za ciężkim biurkiem w gabinecie pożółkłym od nikotyny i przyglądał się nagraniu wideo.

— Uraz Carstena daje mu prawo do zerowego odszkodowania — odezwał się stojący obok niego Ravn. — Twój klient będzie zadowolony.

— Na pewno. Co za szczęście, że te wózki zagroziły mu drogę — powiedział adwokat, pokazując na ekran, na którym widać było, jak Carstenowi w końcu udaje się ruszyć wózki. Pchnął je w stronę samochodów stojących za wiatą, nie przejmując się tym, że teraz będą zagrażać drogę innym.

— Czasem ma się szczęście — odpowiedział Ravn. Uśmiechając się, potarł bandaż na lewym przedramieniu.

Lohman podniósł wzrok znad ekranu i spojrzał na niego.

— Co ci się stało w rękę?

— Drobiazg. Za bardzo wyciągnąłem ją za szybę.

— Za szybę?

Ravn skinął głową w stronę ekranu.

— Zaraz zobaczysz — powiedział. Okrążył stół i usiadł w wytartym skórzanym fotelu.

Lohman siedział przyklejony do ekranu i patrzył, jak Carsten krzyczy coś do żony i syna. Próbował włożyć ponownie kołnierz, ale był za bardzo zdenerwowany. W końcu podeszła do niego żona: niezadowolony pozwolił, żeby mu pomogła. Właśnie w tym momencie jego wzrok padł na stojące niedaleko audi, w którym siedział Ravn z kamerą w ręku.

— Szlag — warknął Ravn do mikrofonu.

Sądząc po rozedrganych ujęciach, które teraz nastąpiły, Ravn rzucił kamerę, która wylądowała na desce rozdzielczej. Na nagraniu widać, jak Carsten zbliża się do audi, gdzieś spoza kadru dochodził brzęk kluczy i przekleństwa miotane przez Ravna, który usilnie próbował włączyć silnik. Kiedy samochód w końcu ruszył, Carsten zdjął drewniak i cisnął nim w przednią szybę wozu. Rozprysła się na drobne kawałki. Ravn próbował wrzucić wsteczny, słychać było pisk skrzyni biegów.

— Mój samochód — jęknął Lohman, nadal ze wzrokiem utkwionym w ekran. — Co on sobie myśli?

— Gdybym wiedział, że tak celnie rzuca, zaparkowałbym dalej. Oczywiście zapłacę za tę szybę — wymamrotał Ravn.

— A co z twoją ręką? — zaniepokoił się Lohman.

— Oglądaj dalej — odpowiedział Ravn, wskazując na monitor.

Lohman ponownie wbił wzrok w ekran.

Ravnowi udało się wrzucić wsteczny, dodał gazu, postać Carstena zaczęła szybko maleć. Z daleka dochodził jego głos:

— Django! Wypuście Django, do cholery!

Chwilę potem zobaczyli, jak syn otwiera klapę bagażnika porsche, z którego wyskakuje biały pitbull. Carsten krzyknął coś do niego, wskazując ręką w stronę samochodu i Ravna. Pies ruszył galopem i za moment był już w połowie drogi do samochodu, który cały czas się cofał. Kamera przesuwiała się to w jedną, to w drugą stronę, na ekranie pojawił się Ravn, który teraz próbował wrzucić jedynkę. Oparł się o drzwi i wychylił przez okno, rozbita przednia szyba ograniczała mu widoczność. Nagle w oknie ukazał się łeb pitbulla. Otworzył pysk i wbił zęby w przedramię Ravna.

Ten krzyknął z bólu i próbował cofnąć rękę. Møffe na siedzeniu obok zaczął astmatycznie szczekać. Pitbull usłyszał go, puścił rękę Ravna i rzucił się w stronę buldoga, ale odpadł od okna. Ravn dodał gazu, kamera spadła z deski rozdzielczej i wylądowała na podłodze. Ekran zrobił się ciemny, słychać było tylko przekleństwa miotane przez Ravna. Lohman wyłączył komputer i oparł się wygodniej na krześle.

— Byłeś u lekarza? Powinieneś dostać zastrzyk przeciwko tężcowi.

— Nic mi nie będzie.

— Może wystąpimy o odszkodowanie? Filmowałeś w miejscu publicznym, to dozwolone.

Ravn pokręcił głową.

— Dajmy sobie spokój. Też nie byłbym zadowolony, gdybym odkrył, że ktoś mnie potajemnie śledzi. A już na pewno, gdybym wiedział, że oznacza to utratę kilku milionów koron.

— Zabawny jesteś — stwierdził Lohman. — Ale dobrze, że miałeś ze sobą Møffego, inaczej ten kundel pewnie by ci nie odpuścił.

Ravn spojrział na psa, który spał na grubym perskim dywanie.

— Mimo swojego wieku nadal ma w sobie coś z psa myśliwskiego — stwierdził. — Jak powiedziałem, zwrócę ci za szybę — dodał.

Lohman machnął ręką.

— Wliczę to w koszty. Biorąc pod uwagę sumę, jaką towarzystwo ubezpieczeniowe zaoszczędzi dzięki nam, nie powinien to być żaden problem. Sherry? — spytał. Wstał i podszedł do okrągłego mahoniowego stolika w rogu, na którym stała taca z trunkami.

— Nie, dziękuję.

Lohman nalał sobie kieliszek.

— Czasem można sobie pofolgować.

— Jak myślisz, kiedy mogę liczyć na wypłatę honorarium?

— Porozmawiaj z panną Malling — powiedział Lohman i wskazał głową na drzwi prowadzące do niewielkiego

sekretariatu. — Na pewno załatwi ci to od ręki — dodał.

Panna Malling była sekretarką Lohmana od samego początku, od momentu, kiedy otworzył kancelarię. Oboje byli samotni i trudno było powiedzieć, czy łączyły ich jedynie stosunki zawodowe, czy może coś więcej. Tak czy inaczej, zachowywali się jak stare małżeństwo.

— Dziękuję — powiedział Ravn. Zamierzał wstać, ale Lohman pokazał mu gestem, żeby został.

— Pali się? Jeszcze nie skończyliśmy.

Ravn westchnął ciężko. Teraz gdy Lohman nie występował już w sądzie, tylko brał wyłącznie sprawy, które mógł prowadzić z kancelarii, czuł większą potrzebę rozmowy i zagadywał każdego, kogo udało mu się dopaść. W czasie kilku letnich miesięcy, kiedy Ravn pracował dla niego nad wieloma drobnymi sprawami, Lohman wielokrotnie przedstawił mu cały swój repertuar sądowych anegdot.

— Kiedyś prowadziłem sprawę klienta, który twierdził, że w momencie napadu na bank był niepoczytalny... — zaczął.

— Problem w tym, że wcześniej obrabował dwadzieścia osiem innych banków — dokończył za niego Ravn.

— Opowiadałem ci już o nim? — zdziwił się Lohman. Wypił łyk sherry, wyraźnie zawiedziony brakiem zainteresowania ze strony Ravna. — Na czym skończyliśmy?

— Na moim honorarium — odpowiedział Ravn, uśmiechając się ugodowo. Właściwie, nie miał nic przeciwko starszemu panu, tylko nie bardzo czuł się na siłach dotrzymać mu dzisiaj towarzystwa. Poza tym chciał napić się piwa.

— Nie, honorarium już załatwiliśmy. Ale jest jeszcze coś. Nie sądzę, żeby wiązało się to z równie przykrymi zagrożeniami, jak poprzednia sprawa... — urwał, uśmiechając się i wskazując głową opatrunek na przedramieniu Ravna. Jakby chciał się upewnić, że zrozumiał jego aluzję. — Natomiast można dobrze zarobić. Za dwa tygodnie pracy, może trochę więcej.

— Dziękuję, ale nie jestem zainteresowany.

— Skąd wiesz, skoro nic ci jeszcze nie powiedziałem?

— Bo...

— Chodzi o dużą, poważną duńską firmę elektroniczną, w której zaobserwowano spore ubytki w magazynach. Nie mogę zdradzić ci jej nazwy, zanim nie przyjmiesz propozycji, ale brzmi trochę jak Beowulf, tyle że bez „wulf”. — Lohman uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo do Ravna.

— Lohman, nie jestem zainteresowany tego rodzaju zleceniami. Do tej pory je przyjmowałem, ale to nie jest to, co chcę robić.

— Z powodu tego drobnego urazu? — spytał Lohman, wskazując na rękę Ravna.

— Wierz mi, że doświadczyłem już gorszych rzeczy.

— Więc czego się boisz? — spytał Lohman. Sądził pewnie, że tym pytaniem sprowokuje Ravna, ale ten tylko się uśmiechnął.

— Nie boję się. Ale to nie jest zadanie dla mnie.

— Nie różni się chyba zbyt od tego, czym się zajmowałeś, kiedy pracowałeś w policji, poza tym, że w tym przypadku możesz liczyć na godziwe wynagrodzenie.

— Owszem, różni się. Dochodzenie to jedno, a zagładanie ludziom pod kołdrę to całkiem inna sprawa. Po prostu mam już dosyć.

— Ale jesteś w tym świetny. Lepszy niż wszyscy moi wcześniejsi śledczy. Kiedy Johnson mi cię polecił, wahałem się. Mam nadzieję, że nie poczułeś się urażony, że ci to mówię?

— Nic a nic. Prawdę mówiąc, sam też nie zatrudniłbym kogoś, kogo polecił mi Johnson. A już na pewno nie siebie.

Lohman uniósł szklanekę i skinął Ravnowi głową.

— Cokolwiek zamierzasz powiedzieć, moja odpowiedź brzmi: nie — powiedział Ravn i wstał. Møffe poszedł za jego przykładem.

— Zastanów się jeszcze. Wy, młodzi, jesteście tacy niecierpliwi.

— Aż taki młody nie jestem, a poza tym już się zastanowiłem. Wszystkiego dobrego, Lohman — powiedział Ravn i ruszył do drzwi.

— No to powiem ci, kim jest klient. Żebyś wiedział, z czego rezygnujesz. — Lohman wstrzymał oddech, obracając w ręce kieliszek sherry. — Odrzucasz propozycję B & O.

— Domyśliłem się, ale jestem pewien, że poradzą sobie beze mnie.

Pożegnał się i wyszedł.



#### 4.

Przez gwar rozmów w Wydrze Morskiej przebijał się schrypnięty głos Joego Cockera. Z szafy grającej, starego wurlitzera, leciało *Unchain My Heart*. Wokół baru stał wianuszek młodych ludzi, podczas gdy starsi bywalcy siedzieli przy stolikach i popijali piwo; większość paliła, dym unosił się w powietrzu niczym niebieskawa tytoniowa mgła.

Ravn zjawił się dość wcześnie i udało mu się znaleźć wolne miejsce na końcu baru. Znaczyło to, niestety, że zdążył wypić nie tylko więcej niż pozostali goście, ale też więcej, niż pierwotnie zamierzał. Prawdę mówiąc, był nieźle wstawiony.

Spojrzał za bar i zauważył, że dwaj młodzi barmani, których Johnson ostatnio zatrudnił, z trudem nadążają z zamówieniami.

— Bary w mieście zastrajkowały, że wszyscy dzisiaj są tutaj? — zażartował, patrząc na Johnsona.

Johnson, zajęty wycieraniem szklanek, zerknął w jego stronę.

— Bardzo zabawne, Kruk<sup>1</sup>. Nie wiesz, że jesteśmy brunatnym złotem? Nie czytasz lokalnego szmatławca?

— Odłożył ścierkę i wielkimi palcami chwycił delikatną filiżankę do kawy.

Ravn pokręcił głową.

— Møffe natychmiast rzuca się na niego i szarpie na kawałki.

Johnson opróżnił filiżankę i dolał kawy z dzbanka, który stał za jego plecami.

— Mieli ostatnio duży artykuł o Christianshavn i miejscowych knajpach. Takie miejsca jak nasze znów stały się modne.

— Wydra Morska nigdy nie była ani szczególnie klimatyczna, ani modna.

Johnson zmarszczył brwi.

— Gdybym to ja pił tu na kredyt, dobierałbym żarty nieco uważniej.

Ravn dopił piwo i postawił pustą butelkę na blacie.

— Jeszcze jedno, poproszę.

Johnson sięgnął do skrzynki po kolejną butelkę, otworzył ją.

— Lohman mówił mi, że rzuciłeś robotę.

— Plotki szybko się rozchodzą.

— Powiedział mi to w zaufaniu, kiedy przyszedł rozegrać z Victorią partyjkę karambolu.

— Powinien skupić się na grze, zamiast gardłować

— mruknął Ravn i popił piwa z butelki. — Poza tym nigdy nie byłem u niego zatrudniony. Zlecił mi kilka spraw, rozwiązałem je i to wszystko.

— Tak czy inaczej, nie porzuca się człowieka w ten sposób.

— Twierdzi, że go porzuciłem? — spytał Ravn i rozłożył ręce. — Zaoszczędziłem jego klientowi kilka milionów koron, narażając życie. — Wskazał głową bandaż na rękę.

— Nie zrozum mnie źle. Lohman jest bardzo zadowolony — powiedział Johnson, pochylając nad blatem swój potężny tors. — Zresztą ty też zrobiłeś na tym niezły interes. Dobrze się spisałeś.

Ravn wzruszył ramionami.

— Zajęcie na wakacje, a wakacje niedługo się kończą.

— Masz coś innego na oku?

Ravn pokręcił głową.

— No właśnie. Powinieneś był tam zostać, nauczyłbyś się czegoś.

— To nie są zlecenia, które wymagają wiedzy. Małpa z kamerą też by sobie poradziła.

Johnson wzruszył ramionami.

— Nie wydaje mi się, żebyś cierpiał na nadmiar propozycji.

— Radzę sobie.

Ravn nie potrafił powiedzieć, czy Johnson martwi się o niego, czy o Lohmana. A może w grę wchodziła duma? Przecież to on polecił go adwokatowi. Ravn nie wiedział, co łączy tych

dwóch starych zgredów, poza tym, że Lohman odwiedzał Wydrę raz w tygodniu, a kiedyś, wieki temu, pomógł Johnsonowi przejąć lokal. Lohman wsparł go wtedy finansowo i od strony prawnej. Miał jakiś skromny udział w barze, a starzy mieszkańcy Christianshavn traktowali jego i Johnsona jak braci.

W tym momencie młoda dziewczyna dopchała się do baru i stanęła tuż obok Ravna. Posłała szeroki uśmiech Johnsonowi, próbując zwrócić na siebie uwagę, po czym zamówiła piwo. Wysunęła dolną wargę, dmuchnęła na grzywkę, która zatrzepotała. Ravn starał się nie patrzeć na jej piersi, które sterczały pod białym topem, ale dziewczyna przyłapała go, zanim zdążył odwrócić wzrok.

— Camilla — przedstawiła się i wyciągnęła do niego rękę.

Wziął jej dłoń i nagle pomyślał, że dziewczyna jest bardzo młoda.

— Zagrasz w meyera?

— W meyera? Nie, dzięki, Carina. Jestem za bardzo pijany.

— Camilla — poprawiła go i poklepała po ramieniu.

— Przepraszam, chociaż właściwie nie ma dużej różnicy.

— Boisz się przegrać? — spytała zalotnie. Zapłaciła za piwa, które Johnson postawił na blacie.

— Nie, boję się zbłąźnić.

Uśmiechnęła się i wzięła w dłonie pięć butelek.

— Dołącz do nas, jeśli zmienisz zdanie — rzuciła i zniknęła w morzu ludzi, by po chwili pojawić się obok szafy grającej.

— Jak już wspominałem, antyki są teraz w cenie. Nawet ty masz chyba szansę — powiedział Johnson. — Miła dziewczyna.

— Chciałeś powiedzieć: młoda. Próbujesz załatwić mi towarzystwo?

— Skądże, musisz radzić sobie sam. — Johnson sięgnął po kolejną szklankę i zaczął ją pucować, ignorując stojących przed nim spragnionych gości, którzy wszelkimi sposobami starali się zwrócić na siebie jego uwagę. — A tak przy okazji, znasz może Roberta?

Ravn pokręcił głową.

— Imię nic mi nie mówi.

— Zgląda tu od czasu do czasu. Robert. Były bokser, trenował w AIK. Wiele lat temu z nim walczyłem. Ma ciężką rękę. A w każdym razie miał.

— Czyli wrak człowieka. Co z nim?

— Pracuje jako ochroniarz. Ma firmę, zatrudnia parę osób. Na pewno przydałby mu się były gliniarz.

Ravn odstawił butelkę na blat i spojrzał na Johnsona.

— Ochroniarz? Chciałbyś, żebym krążył po galerii na Amager w krawacie i z jakimś durnym logo na rękawie koszuli?

— A co w tym złego? W firmie Roberta pracuje się też na nocną zmianę. To mogłoby być coś dla ciebie, miałbyś mniej okazji, żeby kogoś obrazić.

Ravn spuścił wzrok i pokręcił głową.

— Zawrzyjmy umowę, dobrze? Od tej chwili nie musisz szukać mi pracy. Poradzę sobie bez ciebie.

Sięgnął do kieszeni, wyjął banknot pięćsetkoronowy i położył go na blacie.

— Możesz rozliczyć się jutro.

— Wolę teraz.

Johnson wzruszył ramionami i wziął banknot. Po chwili wrócił z resztą.

— Wracaj prosto do domu.

— Zobaczymy.

Z duńskiego: „ravn” (przyp. red.). [wrót]

## 5.

Ravn szedł przez plac Ratuszowy, kierując się w stronę Vesterbro. Ciągnął za sobą Møffego. Choć było już po północy, w dodatku w środku tygodnia, jasna letnia noc sprawiła, że na ulicach kłębił się tłum ludzi, którzy, podobnie jak on, nie chcieli, by dzień już się skończył. Minął strumień turystów wylewających się z głównej bramy Tivoli. Idąc z Christianshavn, oglądał po drodze pokaz sztucznych ogni, które rozświetlały nocne niebo nad starym parkiem rozrywki feerią kolorowych świateł. Spacer dobrze mu zrobił. Nie był już pijany, to znaczy pewnie był, ale nie na tyle, żeby mu to przeszkadzało. Próbował wmówić sobie, że po prostu wybrał się na spacer przed snem. W głębi duszy wiedział jednak doskonale, dokąd zaprowadzi go nie tyle rozsądek, ile alkohol. Zmierzał do swojego dawnego miejsca pracy, do komendy na Vesterbro, Station City, która niczym forteca trwała na posterunku pośrodku terytorium wroga. Wspominał lata, kiedy był zastępcą dowódcy jednostki specjalnej i znał na pamięć wszystkie boczne uliczki w okolicy, podwórza i piwnice, każdy burdel, każdą melinę. Był po imieniu z dilerami i prostytutkami, przynajmniej z tymi, którym udało się utrzymać przy życiu na tyle długo, że zapamiętał ich twarze. Nie ciągnęła go tam tęsknota, ciągnęło go coś znacznie groźniejszego, coś, co raniło jego duszę. Stara sprawa — sprawa Evy. Wcześniej czy później zawsze się pojawiała, a już na pewno wtedy, kiedy za dużo wypił. Niewyjaśniona sprawa, która nie dawała mu spokoju.

Stał w ciemnej bramie razem z psem, który, podobnie jak on, ukrył się między cieniami z dala od obnażającego światła ulicznych latarni. Colbjørnsensgade była niemal pusta. Stali tu już dobre pół godziny, a minęło ich jedynie kilka afrykańskich

prostytutek z klientami. Jedna zdecydowanie miała powodzenie, prowadziła już kolejnego klienta. Ravn spojrział na opuszczony salon fryzjerski po drugiej stronie ulicy. Za brudnymi szybami i pożółkłymi firankami nadal paliło się światło, mieszając się z poświatą z ekranu telewizora. Dawno już nikt się tam nie strzygł ani nie czesał. Od ponad dziesięciu lat lokal formalnie należał do stowarzyszenia etnicznego. Funkcjonował jako miejsce spotkań obywateli byłych republik radzieckich. Powstał, by ludzie mogli się spotykać i kultywować tradycje, dziedzictwo kulturowe. Klub figurował w budżecie gminy, co oznaczało, że dostawał dotację do czynszu, skromną, a jednak. W rzeczywistości lokal od pierwszego dnia istnienia był nielegalnym klubem rzeczonoj mniejszości narodowej i nie tylko. Niespełna dziesięć lat wcześniej stery przejął pewien gangster, Andrei Kaminski. Rozruszał miejsce i przyciągnął międzynarodowych graczy. Wielu z nich to byli ludzie niebezpieczni, z podejrzanymi pieniędzmi, które chętnie wprowadzali w obieg w klubie Kaminskiego. Przede wszystkim dlatego, że Kaminski wiedział, jak postępować z przegrywającymi. W jego klubie nie lała się krew, lał się tylko słynny czerwony barszcz. Podawał go przegranym, którzy jeden po drugim odpadali z organizowanych przez niego turniejów. A za wszystko pobierał opłaty w wysokości dwóch procent od puli.

Drzwi po drugiej stronie ulicy otworzyły się i po chwili wyszło dwóch młodych mężczyzn o słowiańskiej urodzie. Nad nimi unosiła się chmura dymu papierosowego; mówili po rosyjsku. Doświadczenie Ravna podpowiadało mu, że to raczej płotki, nie grube ryby. Zwykle im facet był głośniejszy, im bardziej się puszył, tym niżej stał w hierarchii. Jeśli chodziło o gangi imigrantów, rockersów czy mafię ze Wschodu, Ravn rzadko się mylił. Wiedział, że trzeba uważać przede wszystkim na tych spokojnych i cichych.

Mężczyźni nie zamknęli za sobą drzwi i chodnik oświetlił strumień światła. Ravn nie zdołał dojrzeć, co tam się działo ani ilu ludzi było w środku. Nie widział też, czy był wśród nich Kaminski. Otwarte drzwi przyciągały go jak magnes. Sytuacja

przypomniała mu czasy służby w jednostce specjalnej, kiedy po całych dniach śledzenia podejrzanych w końcu padał rozkaz przypuszczenia szturm. Był to stan wyjątkowego oszołomienia. Po wielu dniach napięcia następowało odprężenie. Psychiczne i fizyczne. Poczucie wspólnoty było niesamowite. Zjednoczeni w swojej sile, otwierali kopniakiem drzwi i kładli bandytów na ziemię, zanim ci w ogóle zorientowali się, o co chodzi, zanim zdążyli zniszczyć towar. Czuli się jak królowie ulicy, kiedy ci wszyscy wytatuowani chłopcy leżeli twarzami do gleby, skuci kajdankami, a oni znajdowali kolejne kilogramy prochów. Im więcej kilogramów, tym więcej lat za kratkami. Tak właśnie miał ochotę potraktować Kaminskiego, chociażby dlatego, że jeśli ktoś wiedział coś o tamtej starej sprawie, z pewnością był to Kaminski.

Alkohol we krwi Ravn pchał go w kierunku otwartych drzwi, wyszedł z ciemności. Ale zdążył dotrzeć tylko do krawędzi chodnika, kiedy czyjaś ręka chwyciła go, wciągnęła z powrotem do bramy i postawiła pod ścianą. Smycz Møffego się naprężyła, pies zawarczał groźnie.

— Uspokój kundla, Kruk, albo coś mu się stanie.

Ravn szarpnął za smycz, przyciągnął psa do siebie. Uciszył go, co Møffe skwitował głuchym warknięciem.

— Co ty tu robisz, do cholery? — spytał Dennis Melby i posłał mu wściekłe spojrzenie.

— Wybrałem się na wieczorny spacer, a ty?

Melby pokręcił głową.

— Mieszasz się do pracy policji, a to jest karalne.

— To droga publiczna — odciął się Ravn, mierząc go wzrokiem. Dennis wydał mu się potężniejszy niż kiedykolwiek, przypominał nadmuchaną ropuchę. Ravn nigdy go nie lubił.

— Widzę, że nadal łykasz te swoje witaminki.

— A tobie co do tego?

— Dilerzy przy kościele mają duży wybór.

Melby chwycił go ręką za szyję i mocno ścisnął.

— Jesteś zerem, Ravn. Zawsze byłeś, nawet kiedy pracowałeś w jednostce specjalnej.

— Puść mnie, zanim to się źle skończy... dla ciebie.

Melby uśmiechnął się szeroko.

— Spadaj stąd. Trzymaj się swojego gównianego Christianshavn, razem z innymi niedołączonymi.

Ravn wyswobodził rękę z uścisku i złapał go za jaja.

— Powiedziałem, żebyś mnie puścił.

Na twarzy Melby'ego pojawił się grymas bólu, ale nie poluzował chwytu. Dotknął kciukiem grdyki Ravna. Ravnowi zrobiło się czarno przed oczami.

— Zaraz poszczuję cię psem, chętnie posmakuje twoich klejnotów.

Melby spojrział na psa, który szarpał się na smyczy.

— Przestańcie! — rozległo się z drugiej strony bramy.

Odwrócili się w kierunku idącej w ich stronę postaci.

— Przestańcie, do cholery! — powiedział Mikkel w najczystszej północnojutlandzkiej dialekcie.

Obaj poluzowali chwyt, Ravn z trudem łapał powietrze.

— Wyglądasz gównianie — odezwał się Ravn zduszonym głosem do swojego byłego partnera z patrolu.

Cienie pod oczami Mikkela świadczyły o zbyt wielu nieprzespanych nocach.

— Co tu się, do diabła, dzieje? Chcecie rozwalić operację, którą przygotowujemy od roku?

Dennis poprawił spodnie.

— Poprosiłem cywila, żeby poszedł dalej. Ale się uparł.

— Zamknij się, Dennis. Wracaj do samochodu — nakazał mu Mikkel.

Dennis spojrział na Ravna.

— Jeszcze się zobaczymy, łachudro — rzucił i ruszył przed siebie.

Ravn patrzył za nim, kiedy szedł Colbjørnsensgade.

— Świruje po tych sterydach.

— A ty, jak zwykle, w formie?

Ravn wzruszył ramionami.

— Robię swoje. Czego chcesz?



— To raczej ja powinienem spytać, co tu robisz.

— Jak już mówiłem tej sterydowej bombie, wybrałem się na wieczorny spacer.

— Stoisz tu już ponad godzinę.

— Pół godziny. Musiałem chwilę odpocząć.

— Jesteśmy blisko zatrzymania Kaminskiego.

— Miałeś mnie informować, Mikkel. Zapomniałeś o tym?

Mikkel zasłonił dłonią zwisający mu z prawego ucha mikrofon, przez który łączył się z centralą.

— Uspokój się — powiedział, jeszcze bardziej ścisząc głos.

— Podśłuch, który ostatnio założyliśmy Kaminskiemu, potwierdził to, co wcześniej podejrzewaliśmy, a mianowicie, że nie tylko uprawia hazard, ale jest też zaangażowany w handel narkotykami, handel ludźmi i paserstwo, i to na milionowe sumy.

— To mnie nie interesuje. Obiecałeś, że jeśli pojawią się informacje, które mogą być istotne dla sprawy Evy, dowiem się o tym pierwszy.

Mikkel odwrócił wzrok.

— I to się nie zmieniło. Tyle że ciągle nic nie mamy.

Z całym szacunkiem, twoja sprawa w porównaniu z tym, w co zamieszany jest Kaminski, traci nieco na znaczeniu. Prawdę mówiąc, nadal nie wiemy, czy w ogóle miał z nią cokolwiek wspólnego.

— Proponuję, żebyście spytali go o to przy najbliższej okazji... — rzucił Ravn.

Chciał wyminąć Mikkela, ale ten zatrzymał go lekkim kuksańcem w pierś.

— Odpuść, Ravn. Jesteś pijany. Obiecałem, że ci pomogę, i nie wycofuję się z tego. Przecież wiesz.

Ravn spuścił wzrok. Miał wrażenie, że nagle uszła z niego cała energia, czuł zbliżającego się kaca.

— Wszystko w porządku? Potrzebujesz pieniędzy? — spytał Mikkel i zaczął szukać po kieszeniach.

— Oszczędź sobie — warknął Ravn. — Przyciśnij Kaminskiego i wyciągnij z niego, co trzeba. Jesteś mi to winien

— dodał, wskazując na niego palcem.

Mikkel skinął głową.

— Będziesz pierwszy, który się o tym dowie. O ile, oczywiście, coś nam wyjawisz.

Ravn pociągnął za smycz, Møffe się podniósł — pora wracać do domu.

— Kruk!

Ravn się odwrócił.

— Jeśli chcesz posłuchać mojej rady, to rusz się stąd.

— Nie prosiłem cię o radę.

— Mimo wszystko...

— Wiesz, jaki dzisiaj jest dzień?

Mikkel pokręcił głową.

— Trzy lata temu zginęła Eva.

## 6.

*Cokolwiek zamierzasz, nie wchodź do salonu...*

Eva wyjęła klucze i otworzyła zamek. Rozmawiała przez komórkę, którą przyciskała ramieniem do ucha; pchnęła drzwi łokciem. Weszła do środka i obwieszona bagażami — w jednej ręce trzymała teczkę i płaszcz, w drugiej torbę z zakupami i bukiet tulipanów — ruszyła korytarzem do kuchni.

Postawiła zakupy na stole, zakończyła rozmowę i odłożyła komórkę. Wróciła na korytarz i zamknęła drzwi wejściowe.

*Cokolwiek zamierzasz, nie wchodź do salonu...*

Przejrzała się w dużym lustrze. Miała spocone czoło, ciemne plamy pod pachami na białej koszuli świadczyły o stresującym dniu. Odpięła kilka guzików i wyciągnęła bluzkę ze spódnicy. Rzuciła na podłogę markowe botki, wysokie do połowy łydki, i na bosaka ruszyła do kuchni. Zaczęła rozpakowywać zakupy. Kiedy skończyła ustawiać rzeczy, nalała sobie kieliszek rosé i szybko przejrzała pocztę. Poza rachunkami było też zaproszenie na chrzciny dziecka jej koleżanki, Lillian. Uśmiechnęła się na widok maleństwa na zdjęciu. Sięgnęła po magnes na drzwiach lodówki i powiesiła zaproszenie między menu z Era Ora, pamiątką po jej urodzinowej kolacji, a zdjęciem jej i Ravna na pokładzie „Bianki”.

*Cokolwiek zamierzasz, nie wchodź do salonu...*

Zabrała płaszcz z kuchennego stołu, weszła do sypialni i powiesiła go w szafie. Zaczęła słać łóżko. Powąchała niebieski T-shirt Ravna, w którym on, a czasem i ona, sypiali. Złożyła go i położyła na kołdrze. Ziewnęła i wróciła do kuchni po kieliszek. Wypiła kilka łyków i poprawiła tulipany, które już wcześniej

wstawiła do wazonu. Jeden z nich zdążył zwiędnąć, wyjęła go i wyrzuciła do kosza pod zlewem.

*Cokolwiek zamierzasz, nie wchodź do salonu...*

Wzięła wazon i wyszła do przedpokoju. W tym momencie w kuchni odezwała się jej komórka. Wróciła i zobaczyła wiadomość od Ravna.

*Pracuję. Postaram się wrócić na czas. Jeśli nie, zacznij jeść beze mnie!*

Przesłała mu emotikona, odłożyła telefon i ruszyła w stronę salonu.

*Cokolwiek zamierzasz, nie wchodź do salonu... Cokolwiek zamierzasz, nie wchodź do salonu...*

*Cokolwiek zamierzasz, nie wchodź do salonu... Cokolwiek zamierzasz, nie wchodź do salonu...*

Weszła do salonu, słońce zaglądało przez okno, było gorąco. Minęła szklany stolik obok kanapy, postawiła wazon z kwiatami na parapecie, tuż obok niewielkich świeczników. Przesunęła je nieco, aż w końcu zadowolona spojrzała na swoje dzieło. Otworzyła okno, umocowała skrzydło haczykiem i poczuła powiew wiatru. Rozkoszowała się widokiem na wały, patrzyła, jak drzewa uginają się łagodnie nad powierzchnią wody pobliskiego stawu Magasindammen, w którym odbijały się promienie słońca. Zamknęła oczy, odetchnęła głęboko. Usłyszała trzeszczenie podłogi, otworzyła oczy i odwróciła głowę.

*Cokolwiek zamierzasz...*

Świecznik trafił w jej czaszkę z wielką siłą, słyhać było, jak pękają kości. Nogi Evy się rozjechały, upadła na stolik, szkło pękło pod jej ciężarem. Jej bezwładne ciało zawisło na błyszczącej ramie stolika. Promienie słońca odbijały się od odłamków szkła, drżąc i migocząc. Z otwartej rany z tyłu głowy leciała krew,

tworząc niewielkie jezioro na surowych deskach podłogi. Eva patrzyła prosto w sufit, palce lewej dłoni drżały lekko, jakby grała na niewidzialnym fortepianie. W kącikach ust pojawiły się bąbelki powietrza, westchnęła i zastygła w bezruchu.

Człowiek w czapce bejsbolowej rzucił świecznik na podłogę tuż obok Ewy. Schylił się, przyłożył dwa palce w obcisłej gumowej rękawiczce do jej szyi i sprawdził tętno. Kiedy go nie wyczuł, ściągnął jej z ręki roleks z łańcuszkiem i schował do kieszeni. Podniósł się, spokojnym krokiem ruszył do kuchni, sięgnął po leżącą na stole teczkę, otworzył ją. Wyjął z niej laptopa i portfel i włożył do pustej torby na zakupy, którą Eva zostawiła na stole. Odwrócił się i skierował do drzwi. Zatrzymał się na moment przy lustrze w korytarzu.

*Pokaż mi swoją twarz... na chwilę... chociażby na sekundę... pokaż mi ją... pokaż mi ją...*

Mężczyzna naciągnął czapkę na czoło i zniknął za drzwiami.

— Pokaż, kim jesteś! — krzyknął Ravn i się obudził. Usiadł na łóżku. Minęła chwila, zanim dotarło do niego, że jest na pokładzie „Bianki”.

— Wszystko w porządku, Ravn? — usłyszał głos Eduarda, sąsiada z kecza cumującego obok „Bianki”.

Spojrzał przez otwarty luk nad łóżkiem.

— Tak, tak — zapewnił przyjaciela, patrząc na rozgwieżdżone niebo w górze. — Możesz spokojnie spać dalej. Eduardo życzył mu dobrej nocy.

Ravn spojrzał na zegar w komórce; było dopiero wpół do piątej. Spał godzinę, góra dwie, ale wiedział, że już nie zaśnie. Wstał, wziął kołdrę i przeszedł przez kajutę, w której spał Møffe. Otworzył drzwi na tylny pokład, przyciągnął jedno z białych plastikowych krzeseł do relingu i usiadł na nim. Wody kanału były pogrążone w ciemnościach. Przez most przejeżdżał samochód, kierował się w stronę placu Christianshavns Torv, poza

tym było cicho. O tej porze wszystkie lokale były już zamknięte, a miasto jeszcze się nie obudziło. Łódź kołysała się lekko na wodzie. Wrócił myślami do snu, który ciągle się powtarzał. Zawsze próbował w nim przestrzec Evę przed tym, co okazało się nieuniknione. Z czasem uzupełniał go o szczegóły, które wyszły na jaw w śledztwie, a dotyczyły momentu, kiedy Eva weszła do mieszkania, i rzeczy, które sprawca zabrał ze sobą. Położenie ciała i uraz, jakiego doznała, zostały opisane w protokole. Osobiście to poświadczył, bo to on, wróciwszy z psem do domu, znalazł ją martwą na podłodze.

Zdarzało się, że we śnie przez ułamek sekundy widział twarz zabójcy, ale zawsze okazywało się, że jest to jego własna twarz. Wiedział, że wynika to z poczucia winy, nie trzeba było być psychologiem, żeby to zrozumieć. Czuł się winien, że nie zapobiegł katastrofie, że nie potrafił znaleźć zabójcy. Wyglądało na to, że Eva, wchodząc do mieszkania, zaskoczyła włamywacza. Złodziej był prawdopodobnie powiązany z jednym z gangów, które w tym czasie grasowały w okolicy, i zapewne dawno już opuścił Danię. Na podstawie skromnych wyników dochodzenia on i Mikkel wysnuli wniosek, że największą wiedzę o członkach gangów miał Kaminski. Siedząc na pokładzie i przyglądając się spokojnej wodzie, Ravn nagle zrozumiał, jak wątle były ich przesłanki. Cały czas się łudził, że uda mu się rozwiązać sprawę. Było to tak żałosne, że chciało mu się płakać. I zaraz zorientował się, że szlocha.

## 7.

Słońce zajęło miejsce za cmentarzem przy kościele Zbawiciela, powietrze za czerwonymi murami było nieruchome, żwirowe ścieżki falowały w upale. Z oddali dochodził monotony szum ulicznego ruchu z Amagerbrogade, ulicy biegnącej równoległe do południowego muru cmentarza. Cmentarz należał do miejscowego kościoła na Christianshavn i był tak zwanym cmentarzem dodatkowym, założonym podczas epidemii cholery. Eva wiedziała wszystko o historii dzielnicy, w której mieszkali, i często opowiadała mu o niej, kiedy razem spacerowali po okolicy. Przytakiwał, zbyt zajęty pracą, żeby naprawdę słuchać, co do niego mówi.

Schylił się nad grobem z czarnego kamienia, usunął zwiędnięte kwiaty i resztki zniczy, które postawił, kiedy był tu ostatnim razem. Przypomniawszy sobie, że było to gdzieś w okolicach Bożego Narodzenia, i poczuł wyrzuty sumienia. Przychodziłby częściej, ale nienawidził cmentarzy. Były zaprzeczeniem wszystkiego, co kojarzyło mu się z Evą. Przypominały mu o tym, jak niesprawiedliwe było to, co się wydarzyło. Zamiast leżeć tutaj, powinna teraz spacerować z nim po Amagerbrogade, być częścią jego życia.

— Wiesz, że ten cmentarz powstał w związku z epidemią cholery? — spytała Victoria.

Stała pochylona nad nim, jej nieokiełznane siwe włosy sterczały, naelektryzowane, na tle błękitnego nieba.

— Tak — mruknął Ravn i włożył do foliowej torby zwiędnięte kwiaty i wypalone znicze.

Victoria wydmuchwała chmurę dymu.

— W tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku zabroniono grzebać ludzi w granicach miasta. Na szczęście.

— Dlaczego?

— Bo inaczej mój antykwariat nie leżałby dzisiaj obok kościoła.

Ravn pokiwał głową. Antykwariat Victorii leżał o krok od kościoła Zbawiciela, w którym w swoim czasie odbyła się ceremonia pogrzebowa Evy.

Spojrzał na Victorię. Ubrana w nieskazitelny tweedowy kostium i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, przypominała potomkinię arystokratycznego rodu.

— Nie jest ci gorąco w tym ubraniu?

— Dla niechlujstwa nie ma żadnego usprawiedliwienia.

— Jesteś jedyna w swoim rodzaju.

— Mam nadzieję. Nie lubię kopii. Dlatego uwielbiałam towarzystwo Evy.

Ravn wstał i wytarł zakurzone dłonie w jeansy.

— Dziękuję, że przyszedłeś tu ze mną. Nie musiałeś.

— Drobiazg. Chociaż przyznaję, że zawsze, kiedy tu jestem, ciarki przechodzą mi po plecach. Powinieneś był rozsypać jej prochy w morzu.

— To dozwolone?

Victoria wzruszyła ramionami.

— Tak czy inaczej, powinieneś był to zrobić.

Patrzyli na grób w milczeniu. Ravn nie był zadowolony z kupionych przez siebie bratków. Natomiast bukiet Victorii był prosty i estetyczny. Podobał mu się, Evie na pewno też by się spodobał.

— Do diabła, tylu rzeczy nie zdążyliśmy zrobić

— wymamrotał.

— Nie dosyć już tego samobiczowania?

Tym razem to Ravn wzruszył ramionami.

— Powiniennem to przewidzieć.

— Powinieneś iść dalej. Eva też byłaby tego zdania.

— Zabiorę stąd te gówniane kwiaty, wyglądają okropnie

— powiedział, wskazując na bratki.

— Cóż, to chyba rzeczywiście nie był najlepszy wybór



— odpowiedziała Victoria i pokiwała głową.

Ravn schylił się i zabrał z grobu doniczkę.

— Mówię serio. I nie chodzi tylko o poczucie winy.

Powinienem być to przewidzieć. Całe życie pracowałem w policji. Widziałem z bliska, jak straszne rzeczy ludzie są w stanie sobie robić. Widziałem przemoc, rozmawiałem z ofiarami, patrzyłem w oczy zabójcom, znam statystyki. Wszystko to wiedziałem. Więc dlaczego nie dopilnowałem, żebyśmy zainstalowali alarm? Dlaczego pozwalałem, żeby Eva tak często była sama w domu? Dlaczego nie zainteresowałem się gangiem, który od jakiegoś czasu grasował w okolicy? Na pewno zrobili rekonesans. Powinienem być rozpoznać sygnały... Okazało się, że jestem całkowicie nieprzygotowany.

— To brzmi tak, jakbyś miał wyrzuty sumienia.

— Nie tylko. — Ravn poczuł, że ma sucho w gardle, przełknął ślinę. — Powinienem wyczuć, że zbliża się coś złego. Uprzedzić to. Domyślić się, przeciwko czemu lub komu zostanie skierowane. Dlaczego byłem ślepy? — Spojrzał Victorii w oczy. — Diabeł pozostaje niewidoczny, na tym to polega.

Victoria rozejrzała się, nieco skrępowana.

— To nie jest najlepsze miejsce do poruszania tego tematu.

— To była przenośnia.

— Być może, ale może byśmy już stąd poszli?

Ruszyli wąską ścieżką między grobami. Tuż przed bramą wychodzącą na Amagerbrogade pracownik grabił żwirową ścieżkę; wokół unosiła się chmura pyłu. Victoria zapaliła papierosa i kątem ust wydmuchała dym.

— Wiesz, że w każdą środę gram z Lohmanem w karambol?

— Chcesz mi powiedzieć, że jestem głupi, bo przestałem dla niego pracować?

Victoria wzruszyła ramionami.

— Johnson już mi to mówił, więc możesz sobie darować.

— Ale przecież jesteś dobry...

— Tak, jestem świetny w zaglądaniu ludziom pod kołdrę, ale

mam już dosyć węszenia, żeby jakaś firma ubezpieczeniowa mogła zaoszczędzić kilka milionów albo jakiś nieszczęśnik zyskał pewność, że żona go zdradziła. Już wolę sprzątać kible.

— Nikt już nie sprząta kibli — rzuciła Victoria ironicznie.

— Dobrze cię rozumiem, ale przecież to nie musi tak wyglądać.

— Tego typu sprawy proponował mi Lohman.

— Zapomnij o Lohmanie. Dlaczego nie założysz własnej działalności?

— Własnej działalności? — Ravn zatrzymał się i spojrzał na Victorię. — A niby co miałbym robić? Założyć antykwariat, tak jak ty? Czy może knajpę, jak Johnson?

Victoria się roześmiała.

— Nie masz wystarczających kompetencji społecznych. Odstraszałbyś klientów. Ale mógłbyś prowadzić śledztwa.

— Chcesz powiedzieć, że... — urwał, jakby bał się wypowiedzieć to słowo. — Że powinienem zostać prywatnym detektywem? — dokończył po chwili.

— Tak.

— A niby jak miałbym to zrobić?

— Tak samo, jak otwiera się każdy biznes. Musisz znaleźć nazwę, dostaniesz NIP, zarejestrujesz się w urzędzie skarbowym, wynajmiesz lokal i zaczniesz szukać klientów.

— Jak?

— Nie wiem, to nie moja branża. Zainteresuj się, jak inni to robią, daj ogłoszenie w Internecie albo w miejscowej gazecie. Kiedy odeszłam ze szkoły i założyłam antykwariat, też nie miałam pojęcia, jak to się robi, ale szybko się nauczyłam.

Ravn się uśmiechnął.

— To nie jest głupi pomysł, ale... — urwał i wzruszył ramionami.

— W każdym razie zastanów się nad tym. Pomogę ci załatwić wszystkie formalności.

Kiedy mijali pracownika cmentarza, Ravn zostawił na jego wózku torbę z doniczką bratków.

## 8.

Po południu Ravn zszedł pod pokład, gdzie był zamontowany silnik „Bianki”. Pot lał się z niego strumieniami; otarł czoło ramieniem, które — tak jak całe jego ciało — było pobrudzone olejem, wyciekającym ze starego silnika. Ostatnie kilka godzin czyścił system chłodzenia, począwszy od pomp, a skończywszy na wymienniku ciepła, pełnym niedopałków i alg. Zużył do tego sześć litrów benzyny, ale udało mu się w końcu oczyścić i wymiennik, i kolektor. Od oparów benzyny rozboleła go głowa. Odwodnienie i upał, jaki panował w ciasnym pomieszczeniu, też zrobiły swoje. Miał jednak nadzieję, że jego wysiłek nie pójdzie na marne i silnik w końcu przestanie się przegrzewać. Przykręcił ostatnią śrubę, wystawił głowę przez luk i zaczął się rozglądać za Eduardem. Zobaczył, że stoi przy relingu, ubrany tylko w szorty, i próbuje czarować młode dziewczyny, które opalały się na nabrzeżu, popijając rosę. Ciemna karnacja przyjaciela i jego hiszpański akcent najwyraźniej odniosły pożądany skutek. Dziewczęta śmiały się głośno.

— Możesz się na chwilę oderwać? — zawołał Ravn.

Eduardo niechętnie odwrócił się w jego stronę.

— Zejdź tu na chwilę i spróbuj włączyć silnik — powiedział Ravn, wskazując głową w stronę kajuty i pulpitu sterowania.

— Teraz?

— Nie, zimą.

Eduardo spojrział poirytowany na Ravna. Zamiast podejść do drzwi na tylnym pokładzie i wejść do kajuty, sięgnął ręką przez otwarte okno i dotknął panelu sterowania.

— Gotów? — zawołał.

— Dawaj!

Eduardo przekręcił kluczyk, silnik wydał kilka żalosnych

jęków, ale nie zaskoczył.

— Trzeba go rozgrzać.

Ravn zaczął tłumaczyć Eduardowi, że musi lekko przekręcić kluczyk i poczekać chwilę, po czym wykonać pełen obrót.

Eduardo, który najwyraźniej chciał jak najszybciej wrócić do dziewcząt, odczekał kilka sekund i ponownie spróbował. Kiedy silnik znów nie zaskoczył, cofnął rękę.

— Przykro mi, Ravn.

— Powiedziałem: dwadzieścia sekund.

— Nie, nic nie mówiłeś o czasie.

— Spróbuj jeszcze raz.

Eduardo wziął głęboki wdech, ponownie wsunął rękę przez okno do kajuty i przekręcił kluczyk. Demonstracyjnie spojrzął na zegarek i zaczął odliczać sekundy.

W tym momencie w kieszeni Ravna odezwała się komórka. Szybko wytarł dłonie w ścierkę i wyłowił z kieszeni aparat.

— Ravn. Dobrze, że cię złapałem — usłyszał głos Lohmana po drugiej stronie.

— Nie mam czasu.

— Uprzejmy jak zwykle — odpowiedział Lohman ironicznie. — Jestem pewien, że nadstawisz uszu, kiedy się dowiesz, co dla ciebie mam.

— Jeśli to ta sprawa związana z B & O, to odpowiedź nadal brzmi: nie. Życzę ci miłego dnia.

— Nie chodzi o B & O. To coś znacznie bardziej interesującego. Ciekawe zlecenie od dużej, poważnej firmy.

— Miło, że o mnie pomyślałeś, ale nie interesuje mnie ten rodzaj pracy...

— Zaczekaj, aż dowiesz się czegoś więcej. Zorganizuję spotkanie, na którym...

W tym momencie włączył się silnik, Eduardo podniósł do góry kciuk. Ravn schylił się i pociągnął za kabelek, wprawiając silnik w ruch, próbował ustabilizować jego pracę. Po chwili dał się słyszeć jednostajny szum. Ravn upewnił się, że pompa słonej wody filtruje wodę, tak jak powinna, i wyszedł spod pokładu.

Usiadł na krawędzi otwartego luku i położył bose stopy na bloku silnika, wibrującego w takt powolnych obrotów.

— Lohman — powiedział do słuchawki. Ale Lohman najwyraźniej miał już dosyć czekania i się rozłączył.

— Nareszcie zaskoczył — usłyszał za sobą głos Eduarda. Uniósł głowę i spojrzał na niego.

— Przecież mówiłem. A co się stało z twoimi przyjaciółkami?

— Znalazły sobie inne towarzystwo. — Wskazał głową na dwie dziewczyny siedzące obok dwóch młodych chłopaków.

— *Dios mío*, nie pojmuję, co one widzą w tych żółtodziobach.

— Nigdy z tego nie wyrośniesz?

— Chyba nie rozumiem pytania.

Ravn pokręcił głową. Nagle silnik zaczął tracić moc i po chwili zgasł z jękiem.

— Szlag — warknął Ravn i rzucił ścierkę, w którą przed chwilą wytarł ręce. — Co za gówno.

— Może poproś jakiegoś fachowca, żeby rzucił na niego okiem?

— Już to zrobiłem. Podobno nie oplaca się go naprawiać. Zaproponował, żebym go wymienił.

— To chyba dobry pomysł. Kiedy ostatnio pływałeś „Biancą”? — Ravn milczał, chociaż dobrze znał odpowiedź. Miesiąc przed śmiercią Ewy. — Mechanik ma rację. Ten silnik kiepsko wygląda — ciągnął Eduardo.

— Pewnie tak, ale nie mam forsy. Nie wiem nawet, czy będzie mnie stać, żeby trzymać tu „Biancę”.

— Zalegasz z opłatą za miejsce? — spytał Eduardo poważnie.

Ravn wstał.

— Miałem pilniejsze wydatki.

— Ravn, *mi amigo*. To nie są żarty. Jeśli nie zapłacisz, wyrzucą cię. Kurt to zły człowiek.

Ravn uśmiechnął się. Wiele można było powiedzieć o zarządcy mariny, ale złym człowiekiem na pewno nie był. Może

niecو zgorzkniałym, po tym jak stracił pracę, gdy zamykano stocznię, słynne B & W. Było to już wiele lat temu, ale on nadal cierpiał z tego powodu i odreagowywał między innymi na właścicielach łodzi, którzy nie płacili na czas, czy na innych łamiących ustalone zasady korzystania z mariny.

— W każdym razie Kurt będzie miał problem z usunięciem „Bianki” w tym stanie.

— Pożyczyć ci?

— Wolałbym umrzeć.

Było dobrze po północy. Ravn, nieźle wstawiony, siedział na krześle przy drzwiach do Wydry Morskiej i głaskał Møffego, który spał przed nim na chodniku. Radosny nastrój panował nie tylko wewnątrz lokalu, ale też na ulicy dochodzącej do kanału. Goście siedzieli na nabrzeżu i popijali piwo. Muzyka, która wydobywała się przez otwarte drzwi, wskazywała, że szafa grająca została opanowana przez żeńską część klienteli. W kółko puszczano popularne kawałki Barry’ego White’a i kilka innych hitów. Niektórzy wtórowali wykonawcom, brzmiało to nieszczerólnie, ale swojsko i dawało poczucie bezpieczeństwa. W drzwiach stanął Eduardo, w obydwu dłoniach trzy niewielkie szklaneczki. Usiadł na krześle obok Ravna i podał mu wszystkie.

— Co świętujemy? — spytał Ravn.

— Czcimy pamięć zmarłych. Hiszpańska tradycja. Czcimy tych, których kochamy. Wznosząc toast albo klaszcząc w dłonie. Dzisiaj pijemy.

— Pamiętałeś?

— Jasne. Eva była wyjątkowa.

Ravn pokiwał głową i powąchał zawartość. Liche brandy, do którego zakupu Eduardo ostatnio namówił Johnsona. Ale sam pomysł, a także zawartość alkoholu w trunku były bez zastrzeżeń.

— A więc salut, jak to się mówi.

— *Salud*.

## 9.

Ravn przeciągnął się, siedząc w białym plastikowym krześle na tylnym pokładzie „Bianki”, i otworzył oczy. Poranne światło było nieludzko ostre; sięgnął do kieszeni na piersiach w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. Miał wrażenie, że promienie słońca parzą mu gałki oczne, przechodzą przez nie, docierają do płatów mózgowych i niszczą resztki tego, co kiedyś było jego umysłem. Nie pamiętał, jak on i Møffe dotarli do domu ani kiedy to się stało, ani w ogóle co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Chociaż nie, pamiętał, że razem z Eduardem wzniesli toast za pamięć Evy. W stanie, w jakim teraz się znajdował, sam był bardziej martwy niż żywy. Chciał zwilżyć popękane usta, zaczął się rozglądać za czymś do picia, ale wokół wały się jedynie puste butelki po piwie, a na pokładzie stała pusta filiżanka po kawie. Nie miał siły wstać i pójść do kajuty po wodę. Miał ochotę się położyć i spać tak długo, aż minie mu kac. W tym momencie zobaczył płynącą kanałem łódź z turystami. Kamery szumiały, turyści robili zdjęcia, przewodnik jak zwykle opowiadał o *the old shipyard that used to be here but now has been converted into expensive penthouses...* Odwrócił się na krześle i wtedy zauważył nieruchomą postać na nabrzeżu. Kobietę. Stała i patrzyła na niego.

— Dzień dobry — odezwała się.

Miała trzydzieści kilka lat, ubrana była w spodnie i cienką kurtkę z miękkiego materiału, pod spodem miała T-shirt. Ściągnięte mocno do tyłu włosy dodatkowo wyostrzały jej rysy. Ravn zwrócił uwagę na jej wygodne buty. Gdyby była nieco wyższa, pomyślałby, że pewnie jest z PET, Policyjnej Służby Wywiadowczej. Ale w zasadzie mogła pracować dla kogokolwiek, z daleka czuć było od niej glinę.

— Cześć — wymamrotał.

— Nieźle wczoraj zabalowałaś. Nie ma nic gorszego, jak obudzić się z kacem w gorący letni ranek. Chyba powinieneś się odwrócić, z jednej strony zdążyłaś się już poparzyć — powiedziała, wskazując na lewą połowę jego twarzy.

Nie potrafił powiedzieć, czy sobie z niego żartuje, czy mówi poważnie, i chociaż dopiero przed chwilą ją zauważył, już go irytowała.

— Mogę ci w czymś pomóc...? — spytał.

Bez ostrzeżenia rzuciła mu plastikową butelkę z wodą. Chwycił ją, zanim trafiła go w głowę. Pomyślał, że jest silna. Może grała w piłkę ręczną?

— Dzięki — wymamrotał i odkręcił nakrętkę.

— Ładna łódź, czy może raczej: ciekawa. Grand Banks? Pokiwał głową.

— Klasyk. Ale powinieneś zadbać o ten teakowy pokład. Jakoś się nazywa? Ta łódź. — Wychyliła się i spojrzała na tabliczkę z nazwą łodzi, znajdującą się na burcie. — „Biiianca” — powiedziała z lekkim zaśpiewem. — Jasne, jakoś musi się nazywać.

Ravn wypił wodę, zakręcił nakrętkę i odstawił butelkę na podłogę.

— A ty jak się nazywasz?

Nie odpowiedziała, spojrzała na Møffego.

— Angielski buldog? Jak się wabi? Gryzie?

— Tylko obcych. Jeśli nie masz do mnie żadnej sprawy, to dzięki za wodę.

Uniósł butelkę i odwrócił się do niej plecami. Miał nadzieję, że kobieta sobie pójdzie. Niestety, nie miał szczęścia.

— Nigdy dotąd nie spotkałam prywatnego detektywa. Zresztą mężczyzny, który mieszkałby na łodzi, też nie. Nie bardzo wiem, co o tym sądzić. To z ciekawości czy z desperacji, Ravn?

Odwrócił się i zdjął okulary przeciwsłoneczne. Zobaczył, że nie ruszyła się z miejsca, nadal stała i mu się przyglądała. Pomyślał, że jeśli nawet teraz nie jest gliną, to kiedyś na pewno



była. Był o tym przekonany.

— Jestem pewien, że nie przyszłaś tu pogadać ze mną o łodzi ani o moim psie, więc może powiesz mi w końcu, o co chodzi?

Podniosła się i zeskoczyła z nabrzeża na pokład. Møffe wstał i zaczął szczekać, ale ona śmiało ruszyła w ich stronę.

— No już dobrze, dobrze, łasuchu. — Wyjęła z kieszeni psi przysmak i dała mu. — W porządku?

Møffe zaczął mlaskać, zadowolony. Ravn spojrzał na niego zdziwiony, po chwili podniósł wzrok na kobietę.

— Jesteś dobrze przygotowana.

Uśmiechnęła się i podała mu rękę.

— Katrine — przedstawiła się. Mocny uścisk dłoni nie zaskoczył go. — Pracuję dla Mesmer Resources. — Wyjęła wizytówkę i podała mu, ale Ravn jej nie wziął.

— Lohman cię na mnie nasłał? Przykro mi, ale już dla niego nie pracuję, poza tym nie jestem prywatnym detektywem.

— Lohman uprzedził mnie, że tkwisz w zawieszaniu.

— Rozejrzała się po łodzi, zajrzała do kajuty, w której jak zwykle panował bałagan. — Rozumiem, co miał na myśli.

— Świetnie. Pewnie gdzieś się spieszysz... Katrine

— powiedział i włożył okulary przeciwsłoneczne.

— Lohman bardzo cię chwalił. Twierdził, że jesteś naprawdę dobry.

Powiedziała to tak, jakby mówiła do dziecka albo do psa, ale Ravn nie dał się sprowokować.

— Mój szef, Ferdinand Mesmer, chciałby umówić się z tobą na spotkanie. — Rzuciła mu wizytówkę. Zerknął na nią; była profesjonalnie wykonana, bez żadnych ozdóbek, tylko niebieskie logo na górze. — Sprawa jest poważna, dlatego zależy mi na rozmowie w cztery oczy.

— Nadal nie jestem zainteresowany.

— Dobrze płaci.

— Lohman też dobrze płacił i też mu odmówiłem. Przekaż szefowi, że nie mam ochoty włączyć ludziom z buciarami w życie.

Chciał oddać wizytówkę, ale nie wzięła jej.

— Znam stawki Lohmana i zapewniam cię, że nasze to inna półka. A także, że nie chodzi o włożenie z buciorami w cudze życie. To duża, poważna sprawa.

— Czego dotyczy?

— Spotkaj się z Mesmerem, we wszystko cię wprowadzi.

— Więc jesteś tylko posłańcem. Czy... kurierem. Tak się mówi?

Zauważył, że trafił w jej czuły punkt, i od razu poczuł się lepiej, jakby kac nagle nieco złagodniał.

— Jutro o dziesiątej? Czy może to dla ciebie za wcześnie? Adres jest na wizytówce.

Od strony nabrzeża dobiegł stukot drewniaków, ktoś szybkim krokiem zbliżał się do „Bianki”. Ravn znał ten dźwięk i tak jak się spodziewał, po chwili na nabrzeżu pojawił się Kurt. Mimo upału miał na sobie wiatrówkę z logo dawnej stoczni, Burmeister & Wain.

— Cześć — rzucił Ravn, nawet nie patrząc w jego stronę.

— Dobrze, dobrze — warknął Kurt, zawiedziony, że Ravn nie jest sam. — Możemy później pogadać?

Ravn nie odpowiedział, rozłożył ręce, co miało znaczyć, że pewnie mogą. Kurt odwrócił się bez słowa i zniknął równie szybko, jak się pojawił. Ravn odetchnął głęboko.

— Mówiłaś, że jak twój szef się nazywa? Frederik?

— Ferdinand... Mesmer.

— Dobrze, powiedz mu, że się z nim spotkam, ale na razie nie mogę mu nic obiecać.

— Świetnie.

— I chcę za to cztery tysiące osiemset sześćdziesiąt koron. Katrine uniosła brwi.

— Za spotkanie? Bierzesz pieniądze za to, że umawiasz się na rozmowę o pracę?

— Nazwij to, jak chcesz. Poza tym możesz zaokrąglić do pięciu tysięcy.

Katrine pokręciła głową. Już miała sięgnąć po wizytówkę, która nadal sterczała mu w ręce, ale w ostatniej chwili się

rozmyśliła.

— Mogę liczyć, że jutro się pojawisz?

— Oczywiście, jestem zawodowcem.

Nie skomentowała tego, wyjęła plik banknotów i zaczęła je przeliczać. Podobało mu się to: najpierw woda, potem psie smakołyki, a teraz plik banknotów. Pomyślał, że na pewno ma przy sobie broń, może pałkę albo kastet, coś w tym rodzaju. Zaczął się zastanawiać, jaką propozycję ma dla niego ten... Ferdinand Mesmer, skoro zatrudnia kogoś takiego jak Katrine. Tak czy inaczej, zdobył pieniądze dla Kurta, więc „Bianca” na razie będzie mogła spokojnie cumować w marinie.

## 10.

Siedziba Mesmer Resources mieściła się na końcu Nicolai Eigtveds Gade. Zajmowała ostatni budynek słynnego kompleksu biurowego projektu Henninga Larsena, ciągnącego się aż do mostu Knippelsbro. Kompleks składał się z sześciu głównych budynków ze szkła i ciemnej stali. Poza siedzibą firmy Mesmera miały tu biura firmy z branży morskiej i finansów, także te działające offshore. Czarne ściany szczytowe powodowały, że budynki sprawiały wrażenie ciemnych monolitów, które odbijały się w portowym basenie. Projekt otrzymał liczne nagrody, ale Ravn nie przepadał za ponurymi budynkami. Na szczęście nie zasłaniały widoku na pozostałą część Christianshavn.

Wszedł do holu przez obrotowe drzwi i podszedł do recepcji. Młoda kobieta z czerwonymi wargami, dokładnie w kolorze paznokci, posłała mu przelotne spojrzenie.

— Mogę w czymś pomóc? — spytała odruchowo.

Powiodła wzrokiem po jego T-shircie, znoszonych spodniach i wydeptanych conversach, w końcu spojrzała na Møffego, który stał z wywieszonym językiem i ziajał.

— Nie możesz wziąć go ze sobą — powiedziała i wskazała długopisem na psa.

— Jestem umówiony z Ferdinandem Mesmerem.

— Ach tak — mruknęła, nawet nie sprawdzając w księdze gości. — Tak czy inaczej, pies nie może wejść do środka. Na zewnątrz jest specjalny haczyk, do którego możesz przywiązać smycz.

Spojrzał na plakietkę z jej imieniem.

— Sabina — zaczął. — Bądź tak uprzejma i przekaz panu Mesmerowi, że tu byłem. Nazywam się Thomas Ravnsholdt. Życzę miłego dnia.

Odwrócił się, nie dając jej czasu na reakcję, i ruszył w kierunku drzwi. Nagle usłyszał, że ktoś woła go po imieniu. Zatrzymał się i zobaczył biegnącą w jego stronę Katrine. Uśmiechnęła się do niego chłodno.

— Dobrze, że jesteś. Dokąd się wybierasz?

— Nie chciała nas wpuścić — powiedział, wskazując głową na recepcjonistkę.

— Naprawdę?

Podeszła razem z nim do recepcji.

— Proszę wpisać na listę gości: Ravn... z psem.

Nieco speszona recepcjonistka podała mu listę gości i wskazała pole, które musiał wypełnić: podać imię i nazwisko, podpisać się i zanotować godzinę przybycia.

— Musisz jeszcze podpisać to — powiedziała Katrine. Wyjęła z kieszeni kartkę, rozłożyła ją na blacie i przesunęła w jego kierunku.

— Co to takiego?

— Zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Musisz podpisać, że wszystko, co usłyszysz na spotkaniu z Ferdinandem Mesmerem, zachowasz wyłącznie dla siebie. To formalność.

— Nie byłoby prościej, gdyby Mesmer ograniczył się do spraw, które zniosłyby światło dzienne?

Katrine już miała coś odpowiedzieć, ale najwyraźniej postanowiła tego nie robić. Ravn podpisał umowę.

Podążyli z Møffem za Katrine, poprowadziła ich przez duży hol do wind po drugiej stronie. Było nieznośnie gorąco, drzwi do pokoiów zebrań, które mijali, były szeroko otwarte. W środku siedzieli ludzie w koszulach i pocili się, próbując skupić się na czymś, co chyba było jakimś wykładem. Ostatni raz siedział w ławce w szkole policyjnej; na samo wspomnienie dostawał drgawek.

— Czym tak naprawdę się zajmujecie?

Weszli do windy, Katrine przeciągnęła przepustkę przez szparę czytnika i wcisnęła ostatni guzik: najwyższe piętro.

— Nauczaniem.

— Czego?

— Strategii zarządzania. Nasza firma należy do najlepszych w branży.

— Czyli dobry interes?

— W zeszłym roku mieliśmy osiemset milionów obrotu.

Winda ruszyła i po chwili byli już na trzecim piętrze. Ravn nie miał dość wyobraźni, żeby nawet próbować zgadnąć, na czym miałyby polegać jego zadanie.

## 11.

Katrine odprowadziła go do gabinetu Ferdinanda Mesmera. Drzwi były otwarte; poprosiła, żeby wszedł i zaczekał na Mesmera, który właśnie wchodził po schodach. Ravn został sam i zaczął się rozglądać po pokoju. Gabinet był urządony w chłodnym, eleganckim stylu, podobnie jak inne pomieszczenia firmy. Tu i ówdzie stały drogie designerskie meble, żeby nikt nie miał wątpliwości co do pozycji firmy. Gabinet był pozbawiony prywatnych drobiazgów, wyjątek stanowił duży obraz, wiszący na jednej ze ścian. Ravn rozpoznał ponury motyw: zdeformowane ciała, wokół których rozrzucone były jaskrawożółte cytryny, chociaż nie mógł sobie przypomnieć nazwiska artysty. Nie był też w stanie odczytać podpisu na obrazie. Eva lubiła tego typu dzieła. Kiedyś zaciągnęła go do muzeum, do Louisiany, na wystawę nowoczesnego malarstwa. Obraz na ścianie na pewno był wart kilka milionów. Ravn odwrócił się i podszedł do dużego, panoramicznego okna, wychodzącego na obszerny hol w dole. Ludzie zaczęli właśnie wychodzić z pokoiów zebrań i gromadzili się wokół wysokich stolików z wodą i kawą. Miał wrażenie, że patrzy na migoczące morze niebieskich i białych koszul, które zachodzą na siebie i zlewają się ze sobą.

— Ten widok też zawsze mnie fascynuje — usłyszał nagle za plecami. — Tyle energii, tyle żądzy wiedzy zebranej w jednym miejscu. Niemal widać, jak tam się iskrzy.

Ravn odwrócił się powoli i spojrzał na Ferdinanda Mesmera. Był dość potężnej postury i niemal o głowę wyższy od niego. Miał przyprószoną siwizną brodę; złocista cera dodawała mu witalności, chociaż zbliżał się już do siedemdziesiątki. Otarł serwetką spocone czoło. Miał na sobie białą koszulę i ciemny garnitur i widać było, że jest mu gorąco.

— Piekielny dzień, klimatyzacja nie wytrzymuje  
— powiedział z uśmiechem. — Mamy tu sto pięćdziesięcioro kursantów z Novo Nordisk i Danske Bank. Zostało im jeszcze sześć godzin zajęć, a już wszyscy są mokrzy, biedacy. Usiądzie pan?

Wskazał Ravnowi miejsce na kanapie, sam usiadł naprzeciwko niego w fotelu. Przyglądał mu się uważnie.

— Jestem wdzięczny, że zgodził się pan przyjść. Mój przyjaciel, Lohman, opowiadał mi o panu same dobre rzeczy. Wspomniał o pańskich różnorodnych talentach.

Ravn odwrócił głowę.

— O ile dobrze zrozumiałem Katrine, zajmujecie się zarządzaniem... — powiedział, próbując odwrócić uwagę od swojej osoby.

— Jesteśmy największą firmą tego typu w całej Skandynawii. Rocznie kształcimy około dziesięciu tysięcy szefów i współpracowników naukowych.

— Imponu...

— Mamy największe kompetencje — przerwał mu Mesmer. — A także świetne wyniki w badaniach satysfakcji i lojalności. Posługujemy się wyjątkowym systemem narzędzi, nie tylko lepiej ocenianych, ale też lepiej skonfigurowanych niż te, które posiadają nie tylko JTI i Belbin, ale również Myers-Briggs i DISC.

— Rozumiem — powiedział Ravn, który nie miał pojęcia, o czym mówi Mesmer. — Ale czego oczekujecie ode mnie? Na czym miałyby polegać moje zadanie?

Mesmer się uśmiechnął.

— Widzę, że od razu przechodzi pan do rzeczy. To mi się podoba. Podejrzewam, że jest pan typem GC, czyli Gamma-Centurion.

— Na to pytanie nie odpowiem, bo nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Nie powinienem tego robić. Przecież ledwie się poznaliśmy, ale nie będę ukrywać, że mam nosa do ludzi.



— Zmrużył oczy. — Chyba się nie pomyłę, jeśli powiem, że jest pan typem obserwatora: metodyczny, praktycznie zorientowany, o dużym poczuciu sprawiedliwości, zdolny do działania, gotów stanąć w szranki niemal z każdym.

— Rzeczywiście, nie myli się pan, ale podejrzewam, że ten opis pasowałby do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent śledczych.

— Jednocześnie jest pan też sceptykiem — dodał Mesmer i otarł czoło. — Robił pan kiedyś test osobowościowy?

Ostatnią osobą, która wiele lat temu zadała Ravnowi takie pytanie, był pewien scjentolog, którego spotkał na Vesterbro Torv. Odmówił mu, pokazując policyjną legitymację.

— Nie — powiedział głośno.

— Ćwiczenie samowiedzy to jeden z naszych priorytetów. Korzystamy z pomocy najlepszych psychologów w dziedzinie zarządzania i sportu.

— Ach, tak.

Ravn przeszedł badania psychologiczne niedługo po śmierci Evy. Skierowano go na nie po tym, jak Mikkel z trudem zdołał go powstrzymać, kiedy wściekł się podczas zatrzymania kilku złodziei związanych z gangami z Europy Wschodniej. Sesja z policyjnym psychologiem niewiele mu pomogła.

— Nie zamierzam poddawać się teraz testom, jeśli to miał pan na myśli.

— Ależ nie, po prostu rozmawiamy. Lohman wspominał, że pracował pan w policji, w jednostce specjalnej.

— Sześć lat spędziłem w komendzie głównej, Station City. Brałem udział w wielu akcjach, skierowanych przede wszystkim przeciwko rockersom i narkomanom.

— Brzmi interesująco. I niebezpiecznie.

— Niekiedy tak bywało.

— Ale skończył pan z tym. Dlaczego? Miał pan dosyć, jeśli można spytać?

— Zdecydowały względy osobiste — powiedział Ravn i poprawił się na kanapie. — Mesmer, proszę mi powiedzieć, do

czego pan mnie potrzebuje.

— Za moment. Zaraz do tego dojdę. W końcu sporo zapłaciłem za pański czas. — Uśmiechnął się. — Jakie jest pańskie zdanie o mojej branży? — Mesmer rozłożył ręce, jakby chciał objąć cały gabinet.

— Nie znam jej, więc nie mogę mieć żadnego zdania.

— Ale pracował pan w policji. Na pewno miał pan do czynienia z różnymi programami mającymi na celu poprawę efektywności.

Ravn wzruszył ramionami.

— Nie pamiętam. Z wyjątkiem reformy policji, która sprawiła, że połowa załogi przeżywała permanentny stres, a druga nie miała pojęcia, co się dzieje.

Mesmer pokiwał głową z zadowoleniem.

— Cóż, sektor publiczny nadal pozostaje w tyle. Ale wróć do mojego pytania: Jakie jest pańskie pierwsze wrażenie, jak się prezentuje nasza firma?

— Jakie znaczenie ma moje zdanie? Nie jestem waszą grupą docelową.

— Chciałbym usłyszeć pana opinię. Właśnie dlatego, że nie jest pan naszą grupą docelową, może pan spojrzeć na to nieco z boku. Proszę mi powiedzieć, szczerze. Nie obrażę się.

— No więc dobrze. Mam wrażenie, że wkłada pan dużo pracy w to, żeby firma prezentowała się elegancko. Poczynając od adresu, a kończąc na dizajnerskich meblach i drogich dziełach sztuki na ścianach. Wszystko to jest pewną ramą dla waszych kursantów. Karmicie ich frazesami, które po powrocie do swoich firm będą serwować swoim pracownikom. Żeby pracowali jeszcze ciężiej, chociażby po to, by móc zapłacić słony rachunek, który zapewne im prześlecie.

Mesmer roześmiał się głośno.

— Mam nadzieję, że jednak udaje nam się osiągnąć nieco więcej. Ale przyznaję, że analiza jest słuszna. Wie pan, na jakiej podstawie sam oceniam jakąś firmę?

— Stawiając mnóstwo pytań i wysyłając ludzi na kursy.

- Poddając ich testowi pod nazwą KAWA.
- Kolejny zabawny skrót?
- Nie, to nie jest skrót, tylko mój sposób oceniania firmy.

Kawa jest znakomitym wskaźnikiem inteligencji społecznej i naszej skłonności do kontaktów, szczególnie w kraju, w którym rocznie wypija się jej ponad siedem miliardów filiżanek. Test jest prosty. Podczas pierwszego spotkania w firmie proszę o kawę. Ponieważ osiemdziesiąt pięć procent ludzi w Danii pije kawę, nie powinno to być dla nikogo zaskoczeniem, a jednak w bardzo wielu firmach takie życzenie budzi popłoch. Wszystkie kwestie ustępują miejsca pytaniu: kto przyniesie kawę? Albo kto ją zaparzy, jeśli nie jest gotowa. Wszystko to dużo mówi o hierarchii w firmie, o tym, czy takowa w ogóle istnieje. Zwracam też uwagę na inne szczegóły, między innymi na to, jak zachowuje się osoba, która mi ją przynosi. Zdarza się, że moja prośba zostaje przekazana dalej i po chwili zjawia się kilka osób z kawą.

Odnotowuję też, ile czasu zabiera im ta czynność. Takie drobiazgi wiele mówią o skuteczności firmy. Nawet jakość podanej kawy jest ważna. Jeśli dostaję kwaśną resztkę z ekspresu, oznacza to brak szacunku dla klienta, co może się przekładać na brak troski w codziennej pracy. Duże firmy z branży medycznej i IT mają zwykle przygotowane termosy z kawą, z czego można wnioskować, że ważniejsza jest dla nich ilość niż jakość.

Kancelarie adwokackie i biura rozrachunkowe mają na ogół ekspresy, skuteczne, ale mało kreatywne. Firmy marketingowe i biura architektoniczne korzystają z kapsułek. Architekci zawsze przepraszają za bez troskę wobec środowiska. Nasuwa się pytanie, dlaczego w takim razie nie przestaną używać tych aluminiowych kapsułek — powiedział Mesmer i uśmiechnął się rozbawiony.

— Ciekawe — odparł Ravn. Odwzajemnił uśmiech i wskazał na stół. — Nadal jednak nie zaproponował mi pan filiżanki kawy.

— Nie wygląda pan na kawiarza. W każdym razie nie na kogoś, kto pije kawę w pracy. — Mężczyzna zmrużył oczy.

— Rano wypija pan zapewne filiżankę neski. Dwie łyżeczki, dużo cukru, no i pewnie rozkoszuje się pan nią na tylnym pokładzie

„Bianki” w towarzystwie Møffego. — Mesmer spojrzał na psa, który leżał u stóp Ravna. — Mam rację?

Ravn przestał się uśmiechać.

— Jakie ma pan dla mnie zadanie? Ktoś ukradł coś z firmowego magazynu?

Ferdinand Mesmer rzucił w połowie rozmokłą serwetkę na stół i spojrzał na niego poważnie.

— Chcę, żeby odszukał pan mojego syna.

— Pańskiego syna?

Mesmer skinął głową.

— Kiedy zniknął?

Mężczyzna rozejrzał się, chociaż byli sami w pokoju, i zniżył głos.

— Jakiś czas temu.

— Policja jest włączona w sprawę?

— Nie, absolutnie nie. Nie ma mowy o przestępstwie. Po prostu chcę go odnaleźć.

— Ile ma lat?

— Czterdzieści siedem, może czterdzieści osiem.

— Podejrzewa pan, że może być w niebezpieczeństwie?

— Nie mam powodów, żeby tak sądzić, więc raczej tego nie podejrzewam. W każdym razie mam nadzieję, że tak nie jest.

— Kiedy widział go pan po raz ostatni?

— Pewnie z dziesięć lat temu. Pokłóciliśmy się, a potem...

No, cóż, potem już ze sobą nie rozmawialiśmy. — Ferdinand Mesmer spuścił wzrok.

— Przykro mi, ale nie jestem w stanie panu pomóc. Nie podejmuję się takich spraw.

Mężczyzna spojrzał na niego zdziwiony.

— Ale jest pan prywatnym detektywem?

— Nie do końca. Nie wiem, co Lohman panu powiedział czy jakie wrażenie pan odniósł, ale...

— A jednak znalazł pan tę dziewczynę, tę prostytutkę, która została uprowadzona. A niedawno pomógł pan niemieckiej policji rozwiązać sprawę zaginionego księgarza.

— Księgowego, ale poza tym jest pan dobrze zorientowany.

— Moi ludzie znają się na swojej robocie. Dlaczego więc nie może pan podjąć się tej sprawy? Zapewniam, że honorarium będzie zadowalające, no i zyska pan moją wdzięczność.

— Chodzi o to, że pański syn najprawdopodobniej nie jest w niebezpieczeństwie. Na pewno uda się panu znaleźć kogoś bardziej doświadczonego. Może wręcz kogoś z pańskiej organizacji.

Ferdinand Mesmer pokręcił głową, wyglądał na urażonego.

— Chce pan powiedzieć, że sprawa jest dla pana zbyt banalna, tak?

Ravn wzruszył ramionami.

— To po prostu nie moja dziedzina.

— Miałem wrażenie, że kto jak kto, ale właśnie pan rozumie, jakie to przekleństwo żyć w niepewności. Jak to człowieka zżera, kiedy nie można uzyskać odpowiedzi na nękające nas pytania. Szczególnie jeśli dotyczą naszych bliskich.

Ravn uświadomił sobie, jak dokładnie Mesmer przygotował się do spotkania. Wstał z krzesła.

— To było ciekawe spotkanie. Mam nadzieję, że odnajdzie pan syna.

Mesmer również wstał.

— Proszę, żeby pan jeszcze raz wszystko rozważył. Ta sprawa ma dla mnie ogromne znaczenie, a dobrze mieć we mnie przyjaciela.

Ravn uściskał mu dłoń; wyczuł pod palcami napięte żyły i nierówną skórę. Nie mógł się powstrzymać i zerknął na dłoń mężczyzny. Widniały na niej stare ślady po poparzeniu. Bardzo silnym, bo skóra najwyraźniej się stopiła, tworząc potężne blizny, do tego stopnia, że palce, z wyjątkiem kciuka, były w pewnych miejscach zrośnięte. Ravn potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo Mesmer musiał cierpieć.

## 12.

Po spotkaniu z Ferdinandem Mesmerem Ravn wyszedł z budynku i szybkim krokiem udał się w kierunku Torvegade. Chociaż było już południe, najgorętsza pora dnia, poczuł ulgę, gdy opuścił biurowy tygiel. Nie zazdrościł kursantom, którzy — przykuci do krzeseł — mieli spędzić tam cały dzień. Rozmowa z Mesmerem nie dawała mu spokoju, jakby starszy pan wszedł mu pod skórę i zajrzał w duszę. Chociaż Ravn niewiele mówił, miał wrażenie, że Mesmer w pewien sposób go obnażył. I coś mu zabrał. Podobne uczucie miał po spotkaniu z policyjnym psychologiem, po zabójstwie Ewy. Nadal pamiętał ciasny pokój, intymne pytania i smutek. Był wówczas bardzo czujny, skupiony na tym, żeby dopuszczono go do służby. Osiągnął cel. To, że dziesięć dni później się załamał i musiał iść na zwolnienie, to już inna sprawa.

Szedł ulicą i rozmyślał. Uzmysłował sobie, że coraz bardziej intrygowały go stosunki między Ferdinandem Mesmerem a jego synem. Zastanawiał się, co było powodem ich zerwania. Nie żałował, że nie podjął się zadania, ale wyrzucał sobie, że nie wypytał dokładniej starszego pana. Nagle z kieszeni dobiegło go mruczenie komórki.

— Wiesz już? — Usłyszał zdyszany głos Eduarda po drugiej stronie.

— Niby co mam wiedzieć?

— Wszystkie media o tym trąbią...

— O czym? — Ravn zatrzymał się, pociągnął za smycz i Møffe usiadł.

— Strzelanina w centrum Kopenhagi. Policja zrobiła nalot na spelunę tych Rosjan.

— Nalot na klub Kaminskiego? Kiedy?

— Dzisiaj rano. Doszło do wymiany ognia między policją a jego ludźmi. Telewizja podała, że strzały oddano też na Istedgade.

— Są zabici?

— Podano tylko, że jest ośmiu, może dziesięciu rannych.

— Jesteś w domu czy w redakcji?

— W domu.

Pięć minut później Ravn wpadł zdyszany na kecz Eduarda z psem na rękę. Przez otwarte drzwi dochodziły głosy z telewizora. Zostawił psa na pokładzie, a sam zszedł wąskimi schodkami do kajuty, w której siedział Eduardo i wpatrywał się w niewielki ekran. Przy kuchence stała jasnowłosa dziewczyna, której Ravn nigdy wcześniej nie widział.

— Napij się herbaty? — spytała.

Pokręcił głową i ruszył w stronę siedzącego na kanapie Eduarda.

— Mówili coś więcej? Kto został ranny?

Przesunął stos książek i usiadł obok przyjaciela.

— Są ranni, ale jest też podobno co najmniej trzech zabitych, w tym jeden policjant — powiedział Eduardo, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Szlag.

Ravn wpatrywał się w ekran telewizora, w którym akurat nadawano na żywo z Colbjørnsensgade. Policja ustawiła wygradzenia, policjanci stali w rynsztunku bojowym, z karabinami maszynowymi przewieszonymi przez ramiona. W tle widać było klub, szyby w oknach były potłuczone, drzwi wyważone.

— Kontaktowałeś się z redakcją? — spytał Ravn.

Eduardo pokiwał głową.

— Tak, ale nie wiedzą nic więcej. Tylko to, co podały wiadomości na dwójce.

Ravn sięgnął po komórkę i wcisnął numer Mikkela. Natychmiast włączyła się poczta głosowa. Nie zostawił wiadomości, tylko wybrał jego numer domowy. Po chwili

odebrała jedna z bliźniaczek.

— Przepraszam, pomyliłem się — powiedział i szybko się rozłączył.

— Zaczynają wygarniać ludzi. — Eduardo wskazał na ekran, kamera skierowana była na drzwi klubu. Reporter komentował na bieżąco. Na ekranie pojawiło się dwóch ratowników, którzy nieśli nosze. Przez moment widać było leżącego na nich mężczyznę w dużym białym kołnierzu wokół szyi.

Ravn wstał.

— To Mikkel, do licha!

— Jesteś pewien?

— Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Nie widziałeś go? Eduardo pokręcił głową.

— Niewiele było widać.

Na ekranie znów pokazali się ratownicy z noszami. Tym razem leżał na nich policjant w pełnym rynsztunku bojowym.

— Popilnujesz Møffego?

— Jasne. Dokąd się wybierasz?

— Do Szpitala Krajowego. Jestem pewien, że właśnie tam ich zabrali.

— Pojadę z tobą.

— Nie powinienes o tym napisać?

— Spokojnie, *amigo*. Zajmuję się gospodarką. Ciągłe o tym zapominasz. Dlaczego?

— Bo pracujesz w redakcji „Information”. Więc mogę zostawić ci Møffego? — Spojrzał na psa, który zszedł na dół i teraz leżał na grzbiecie z łapami w górze i pozwalał się pieścić dziewczynie.

— Jasne. *Mi casa es Møffes casa* — powiedział Eduardo i szybko włożył T-shirt.



## 13.

Ravn i Eduardo wysiedli z taksówki przed Szpitalem Krajowym, minęli wozy transmisyjne z antenami satelitarnymi na dachach, zaparkowane obok głównego wejścia, i ruszyli w kierunku grupy dziennikarzy, powstrzymywanych przez umundurowanych policjantów. Eduardo przywitał się z kolegami, spytał, czy są jakieś nowe wiadomości. Wszyscy pokręcili przecząco głowami. Albo rzeczywiście nie było żadnych nowych informacji, albo koledzy nie zamierzali się nimi z nikim dzielić.

Stali chwilę, Ravn po raz kolejny próbował połączyć się z komórką Mikkela, ale podobnie jak poprzednim razem natychmiast włączała się poczta głosowa.

— Nie ma sensu tu wystawać — stwierdził i wyciągnął Eduarda z tłumu.

— Co proponujesz?

— Może uda nam się wejść przez oddział ratunkowy — powiedział cicho.

Ruszyli przez parking, skręcili za budynkiem szpitala i skierowali się w stronę Juliane Maries Vej. Po chwili Ravn zatrzymał się przy ogrodzeniu, skąd było widać wejście na oddział ratunkowy. Na podjeździe stało kilka karetek z uniesionymi tylnymi drzwiami, tuż za nimi stały radiowozy i kilka policyjnych motorów.

— Znasz któregoś z nich? — spytał Eduardo, wskazując głową na umundurowanych policjantów, kręcących się na podjeździe.

— Wątpię, a nawet jeślibym znał, to i tak nikt by nas tam nie wpuścił.

— Ale mógłbyś spytać ich o Mikkela.

Ravn pokręcił głową.

— Niewiele by nam to dało — powiedział i spojrzał w stronę wejścia, które znajdowało się naprzeciwko miejsca, gdzie w tej chwili stali. — Może lepiej będzie, jeśli się rozdzielimy? Stań przy głównym wejściu i zadzwoń do mnie, jeśli coś się zacznie dziać.

Eduardo skinął głową.

— A ty?

— Spróbuję dotrzeć na oddział ratunkowy.

Ravn szedł korytarzem przez oddział onkologii; minął starszego mężczyznę na wózku, który spojrzał na niego pustym wzrokiem. Kiedy dotarł do wyjścia, drzwi otworzyły się automatycznie i ukazały się w nich dwie pielęgniarki. Powiedział: „dzień dobry”, pielęgniarki uśmiechnęły się i poszły dalej. Ravn nie znosił szpitali, a najbardziej nie lubił dojmującego chemicznego zapachu, który był wszędzie.

Na korytarzu panował duży ruch, personel mieszał się z odwiedzającymi, jak na lotnisku.

Ravn przyglądał się drogowskazom zawieszonym pod sufitem i po chwili dotarł do wind. Był niemal pewien, że policja zostawiła przed salą kilku funkcjonariuszy, i zaczął się zastanawiać, czy uda mu się gdzieś znaleźć fartuch lekarski, szybko jednak uznał, że to mało prawdopodobne. Nagle przed drzwiami do męskiej toalety zauważył kobietę o azjatyckich rysach stojącą przy wózku ze środkami czystości. Sięgała po foliowy worek na śmieci. Miała na sobie spodnie i T-shirt, fartuch położyła na wózku. Kiedy zniknęła w toalecie, podszedł do wózka, pchnął go w stronę wind i szybko włożył na siebie biały fartuch należący do kobiety. Znalazł w kieszeni niebieską siatkę na włosy i włożył ją na głowę. Zjeżdżając windą na oddział ratunkowy, zerknął na swoje odbicie w lustrze. Abstrahując od identyfikatora ze zdjęciem kobiety, jego przebranie było niemal doskonałe. Szybko odwrócił identyfikator. Kiedy drzwi windy się otworzyły, pchnął wózek i wyszedł na korytarz. Nieco dalej, przy drzwiach na oddział, stało dwóch policjantów w pełnym

rynsztunku bojowym. Byli odwrócenii do niego plecami i rozmawiali. Doskonale wiedział, że jeśli jego akcja ma się udać, musi działać szybko. W tym momencie drzwi się otworzyły i zobaczył salowego pchającego przed sobą łóżko. Podszedł bliżej. Kiedy salowy pokazywał policjantom identyfikator, Ravn prześlizgnął się obok niego i szybko zamachał policjantom swoim identyfikatorem.

— Możecie się trochę przesunąć? — Uśmiechnął się.

— Mamy tu urwanie głowy. Dzięki.

Policjanci nie odpowiedzieli, ale cofnęli się pod ścianę, przepuszczając ich obu.

Ravn pchał wózek szpitalnym korytarzem. Wszędzie panował chaos, ratownicy i lekarze biegali między izbą przyjęć, gdzie zwożono kolejne ofiary strzelaniny, a salami chorych, i szukali wolnych łóżek. Wszędzie była krew: na podłodze, na ścianach, nawet na suficie odznaczały się czerwone krople. Z za zamkniętych drzwi dochodziły jęki pacjentów, wszędzie byli policjanci i lekarze. Chciał jak najszybciej odszukać Mikkela; ruszył przed siebie korytarzem, minął kilku mężczyzn — sądząc po wyglądzie, pochodzących z Europy Wschodniej — którzy leżeli przykuci kajdankami do łóżek. Dotarł do końca korytarza; zauważył uchylone drzwi w jednej z sal. Zajrzał do środka, leżał tam mężczyzna z podłączoną kroplówką. Wszedł do sali i omijając kałużę krwi na podłodze, podszedł do łóżka, na którym leżał Mikkel z opatrunkiem na piersi i na ramieniu. Był blady jak kreda.

— Mikkel?

Mikkel otworzył oczy i odwrócił głowę w stronę Ravna. Wzrok miał zamglony od morfiny, uśmiechnął się błogo.

— Za kogo się przebrałeś? — wymamrotał.

— A ty? — odpowiedział Ravn i zdjął z głowy niebieską siatkę. — Wszystko w porządku? — spytał, zerkając to na Mikkela, to na kałużę krwi na podłodze.

— To nie moja — powiedział Mikkel — tylko bandyty, który leżał tu przede mną. Chyba zmarł.

— Gdzie cię trafili?

— W lewy bok, tuż pod obojczykiem, dwa strzały, trzy centymetry od serca. Lekarz twierdzi, że to mój szczęśliwy dzień, chociaż wcale się tak nie czuję. Boli jak diabli.

— A co z Dorthe? Już wie?

— Właśnie tu jedzie. Miała najpierw podrzucić dziewczynki sąsiadce.

Ravn pokiwał głową.

— Mogę ci jakoś pomóc?

— Podaj mi wodę.

Ravn wziął butelkę ze słomką, która stała na stoliku obok, podał mu ją i włożył mu słomkę do ust.

— Co się stało, do diabła?

Mikkel wypił łyk wody i odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

— Stawili opór.

— Domyśliłem się. Mielście za mało ludzi?

Mikkel pokręcił głową.

— Było wojsko, jednostka szturmowa i my. Na początku wszystko szło zgodnie z planem. Bandyty położyli się grzecznie na podłodze, aż nagle... — Mikkel pokazał ręką, że chce się napić wody.

— Aż co?

Mikkel wypił kilka łyków i mówił dalej.

— Weszliśmy do ostatniego pomieszczenia, gdzie byli Kaminski i jeszcze kilku graczy, tych ważnych. Grali całą noc. Kaminski stał i mieszał w garnku... Zawołaliśmy, żeby położył się na podłodze razem z innymi. A on dalej stał i mieszał w tym garnku. René, jeden z naszych nowych ludzi, podszedł do niego.

— To wbrew procedurom.

— Tak, ale jak ci mówiłem, René był nowy i strasznie napalony. Zaczął się z nim szarpać. — Mikkel zaczerpnął powietrza. — Kaminski okazał się bardzo szybki. Zanim zdążyliśmy zareagować, wyrwał chłopakowi broń z ręki i strzelił do niego. Zlikwidował go jednym strzałem, celował tuż pod

brodę. Zamarliśmy, wszyscy. Pewnie o to mu chodziło, bo po chwili rozpętało się piekło. Do pokoju wpadli kolejni mężczyźni, ci, którzy już leżeli na podłodze, wstali i zaczęli nas atakować. Jak w westernie. Prawdziwa jatka. Ludzie padali jak muchy. I nasi, i oni. Wszędzie były kawałki ludzkich członków... — Mikkel urwał i zamknął oczy.

Ravn ścisnął mu dłoń. Chciał spytać, czy Kaminski przeżył, ale nie był w stanie. Widział, że Mikkel płacze. Nagle z korytarza doszły ich krzyki i hałas. Jakiś policjant wzywał pomocy. Ravn się odwrócił i przez otwarte drzwi zobaczył policjantów biegnących korytarzem. Krzyki funkcjonariuszy mieszały się z rosyjskimi przekleństwami. Podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Na końcu korytarza trzech funkcjonariuszy leżało na mężczyźnie, który był cały we krwi. Ubranie miał w strzępach, z całych sił próbował się wyswobodzić. Włosy i broda były zakrwawione, na twarzy malowało się szaleństwo. Policjanci próbowali wykręcić mu ręce i skuć je kajdankami na plecach, ale mężczyzna był bardzo silny. Nadbiegł lekarz ze strzykawką, wbił igłę w pośladek mężczyzny. Skutek był natychmiastowy, funkcjonariusze mogli już spokojnie założyć mu kajdanki. Głowa mężczyzny opadła, z kącików ust poleciała krew wymieszana ze śliną. Mimo zniekształconych rysów twarzy Ravn rozpoznał mężczyznę. To był Kaminski.

## 14.

Był wczesny wieczór, przed Wydrą Morską siedziało kilkoro gości, ciesząc się resztkami słońca, które właśnie zachodziło nad kanałem. Przy barze w niemal pustym lokalu stał Ravn razem z Victorią i Eduardem. Eduardo pochylił się nad blatem i włączył wiatrak, który zaczął powoli mleć powietrze.

— Łapy z daleka. Ma służyć personelowi — odezwał się czujnie Johnson ze swojego miejsca za barem i skierował wiatrak na siebie.

— Jest upiornie gorąco — jęknął Eduardo.

— Myślałem, że wy, południowcy, lubicie, kiedy jest ciepło?

— Gdyby tak było, zostałbym w Maladze — burknął Eduardo i wrócił na wysoki stołek barowy. Spojrzał na Ravna.  
— Mikkel się wylize, prawda?

Ravn skinął głową.

— Sądzę, że tak, chociaż minie trochę czasu, zanim wróci do pracy.

— Miał chłopak szczęście. Jeden funkcjonariusz zginął, a dwaj są ciężko ranni.

Ravn znów skinął głową.

— A co ze sprawą Kaminskiego, którą zajmował się Mikkel?

— Podejrzewam, że inni stoją już w kolejce, żeby ją przejąć. Wszystkie działy chcą uszczknąć kawałek tortu — powiedział Ravn, popijając piwo.

— W telewizji podali, że w budynku znaleziono sto kilogramów haszyszu i trzy kilogramy kokainy, a w przybudówce od podwórza towary z kradzieży — dodał Johnson.

— Myślisz, że coś powie? — dopytywała się Victoria.

— Wątpię, chociażby dlatego, że nie ma nic do ugrania.

— Nie będzie chciał dobić targu?

Ravn pokręcił głową.

— Po pierwsze, wszystko wskazuje, że to on za tym stoi. Po drugie, nikt z prokuratury nie będzie chciał się dogadywać z zabójcą policjanta. Takich rzeczy się nie robi.

Eduardo wziął piwo i wstał.

— Tu jest za gorąco — powiedział. Pomachał demonstracyjnie dłonią, podszedł do drzwi i zatrzymał się na progu.

Victoria skończyła robić skręta i spojrzała na Ravn.

— Rozegramy partyjkę?

Pokręcił przecząco głową.

— Dam ci fory. Dziesięć punktów.

— Nie jestem w nastroju.

Zamówił kolejkę — piwo dla siebie, sherry dla Victorii.

Victoria zapaliła papierosa i wydmuchała dym, który natychmiast utworzył wielką chmurę.

— On zniknie już na zawsze. To musi ci wystarczyć.

Ravn zagryzł wargi.

— To nie on zabił Evę. A ten, kto to zrobił, nadal jest na wolności.

— Sam mówiłeś, że wszystko zaczyna się i kończy na Kaminskim. To on za tym stoi. Nie tworzysz teraz własnej wersji sprawiedliwości?

— Może — Ravn westchnął ciężko. — W każdym razie Kaminski jest już poza naszym zasięgiem.

— A co z tą propozycją pracy? — spytał Johnson, chyba przede wszystkim po to, żeby zmienić temat. — Eduardo mówił, że byłeś na jakimś spotkaniu.

Ravn pokiwał głową i spojrzał na Møffego. Pies spał na podłodze tuż obok wysokiego stołka barowego.

— Co będziesz robić? — dopytywał się Johnson.

— Nie mogę ci powiedzieć. Jeszcze przed spotkaniem poprosili, żebym podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy — powiedział Ravn z uśmiechem.

— Brzmi poważnie — stwierdził Eduardo.

— Bardzo eleganckie miejsce. Robią kokosy na kursach dla ludzi biznesu. Skuteczność i takie tam.

— Na litość boską — westchnął Johnson. — Mam nadzieję, że przynajmniej zgarniesz kupę szmalu.

— Owszem, zgarnąłbym, gdybym zgodził się przyjąć ich ofertę. Ale nie zrobiłem tego.

— Co takiego?

Johnson posłał mu boksterskie spojrzenie, którym przed laty rozkładał na łopatki każdego przeciwnika.

— To znaczy, powiedziałem, że jeszcze się zastanowię — próbował ratować się Ravn.

— Gdyby kazali ci kogoś zabić, tobym rozumiał, ale w tej sytuacji muszę powiedzieć, że cię nie rozumiem. Wszystkim wisisz kasę, a jesteś goły.

— Aż tak źle nie jest — roześmiał się Ravn.

Johnson zerknął do zeszytu.

— Dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt koron tylko za bieżący miesiąc, i to bez dzisiejszego wieczoru. Zapłaciłeś za miejsce w marinie?

— Oczywiście — odpowiedział Ravn, udając obrażonego. — Poza tym powiedziałem, że się zastanowię.

Victoria dopiła sherry.

— Chyba już pójdę. Jutro czeka mnie praca.

Dobrotliwie poklepała Ravna po ramieniu i pożegnała się ze wszystkimi.

— Powinieneś się uczyć — mruknął Johnson.

Ravn nie odpowiedział, rozejrzał się po barze. Nie licząc gościa, który spał przy stoliku w głębi lokalu, nie było już nikogo, zostali tylko on i Johnson. Johnson sięgnął po filiżankę; pił kawę, przeglądając dzisiejszą gazetę.

— Chyba nigdy nie postawiłeś mi filiżanki kawy — odezwał się Ravn.

— Że co? — Johnson podniósł głowę znad gazety, nadal trzymając w ręku filiżankę.

— Mogę prosić filiżankę kawy?



— Coś nie tak z moim piwem? — spytał Johnson, wskazując na butelkę stojącą na blacie.

— Nie, ale mam ochotę na kawę.

— Nigdy nie pijesz kawy.

— Gusta się zmieniają, jak to się mówi.

— Nie wierzę — powiedział Johnson i odstawił filiżankę.

— Jeśli chcesz kawę, to idź do kuchni i sobie zrób.

I jak to się ma do testu Mesmera? — zastanawiał się Ravn.

## 15.

Za kwadrans dziewiąta kolejna grupa kursantów piła poranną kawę w holu Mesmer Resources przed rozpoczęciem pierwszej sesji tego dnia. Zajęcia miał prowadzić Mesmer. Ze swojego gabinetu śledził ruch na dole w holu, po chwili odwrócił głowę i spojrzał na Ravn, który siedział na krześle przed biurkiem.

— Proponuję pięćdziesiąt tysięcy koron zaliczki za informację o miejscu pobytu mojego syna.

Ravn nie odpowiedział, patrzył w milczeniu, jak Mesmer zajmuje miejsce za biurkiem.

— W zamian oczekuję szybkich rezultatów — ciągnął Mesmer, bębniąc w blat biurka palcami zdrowej ręki. Prawa, ze śladami poparzenia, leżała obok jakby martwa. — Powiedzmy, w ciągu tygodnia?

Ravn skinął głową, starając się nie okazać zaskoczenia. Przed spotkaniem zastanawiał się, jaką może podać stawkę godzinową, przyjmując za punkt wyjścia to, co zarabiał u Lohmana. Pięćdziesiąt tysięcy za tydzień pracy przeszło jego oczekiwania.

— Postaram się załatwić to najszybciej, jak będę mógł, ale oczywiście nie mogę niczego obiecać.

Znalazł w kieszeni notes i firmowy długopis Mesmera. Zatrzymał go po ostatniej wizycie, kiedy poproszono go o podpisanie zobowiązania do zachowania tajemnicy. Notes zaś wziął ze sobą przede wszystkim po to, żeby nie mieć pustych rąk. Zaczął przerzucać strony i zdał sobie sprawę, że ostatnim razem używał go, kiedy kupował części zapasowe w serwisie jachtowym i postanowił wszystko dokładnie wynotować. Zapisał więc numery filtrów olejowych, które powinien kupić, i jak się zorientował, rozmiar kapoka dla Møffego. Przerzucił jeszcze kilka kartek, aż w końcu znalazł pustą.

— Pański syn. Jakob. Potrzebuję bliższych danych. Im więcej, tym lepiej.

Mesmer nie odpowiedział, wpatrywał się w Ravna i czekał.

— Mówił pan, że syn ma czterdzieści parę lat. Może pan podać dokładną datę urodzenia i PESEL?

Mesmer nadal nie odpowiadał, dalej wpatrywał się w Ravna.

— I jeszcze ostatni adres syna, wystarczy nazwa dzielnicy czy części miasta. — Uśmiechnął się do Mesmera, który jednak nie odwzajemnił uśmiechu. — Pomocne byłoby też zdjęcie, jeśli oczywiście pan je ma.

Mesmer spojrział na zegarek.

— Chciałbym też dowiedzieć się czegoś o waszej rodzinie. Może udałoby się sporządzić listę osób, z którymi się kontaktował? Mam na myśli kolegów, przyjaciół, nawet takich sprzed lat...

— Jest pan wierzący? — przerwał mu Mesmer.

— Czy jestem wierzący? Nie, raczej nie. Dlaczego pan pyta?

— Ja też nie jestem. Zawsze traktowałem ludzi wierzących sceptycznie. Uważałem, że coś sobie rekompensują, przede wszystkim brak wiary w siebie.

— Być może — odpowiedział Ravn dyplomatycznie.

— A wracając do...

— Jakob był... jest... człowiekiem bardzo religijnym. Określiłbym go jako chrześcijańskiego fundamentalistę. Między innymi dlatego nasze kontakty się urwały. Nie dlatego, że nie szanowałem jego wiary. Uznałem, że to jego sprawa. To on odwrócił się do nas plecami, do mnie, do swojej rodziny.

— To było dziesięć lat temu?

— Wtedy doszło do zerwania, ale już wcześniej nasze kontakty nie były dobre — powiedział Mesmer. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem. — Jakob miał trudny charakter. Był introwertykiem, zdarzały mu się okresy depresji. Jego matka i ja staraliśmy się mu pomagać, również kiedy już był dorosły. Nie ułatwiał sobie życia, zawsze pozostawał jakby nieco na zewnątrz wszystkiego.

— A więc zawsze był osobą wierzącą?

Mesmer spojrział na Ravn; widać było, że rozmowa jest dla niego przykra.

— Nie — powiedział. — Spotkał Jezusa dopiero po załamaniu. Wstąpił do ruchu zielonoświątkowców i podążył za jakimś kaznodzieją. Początkowo uznaliśmy to za żart, rodzaj spóźnionego młodzieńczego buntu. Obwinałem się o to.

— Mesmer wskazał poparzoną ręką na swoją pierś. — Staraliśmy się mu pomóc najlepiej, jak potrafiliśmy.

— W jaki sposób?

— Namawialiśmy go, żeby się przed nami otworzył, jak to zwykle robią rodzice. Apelowaliśmy do jego rozsądku, tłumaczyliśmy mu różne rzeczy. Mówiliśmy też, jak bardzo nas ranił swoim zachowaniem.

— Wtedy był już dorosły, prawda?

— Tak, i co z tego? Odpowiedzialność rodziców nigdy się nie kończy.

Ravn uśmiechnął się współczująco.

— Oczywiście.

— Niestety, Jakob w końcu zerwał z nami wszelkie kontakty. Stwierdził, że w jego życiu jest miejsce tylko dla Boga i że musi iść za swoim powołaniem. Moja żona, a jego matka, nigdy już go nie zobaczyła. Wkrótce potem pokonał ją rak.

— Przykro mi — powiedział Ravn. — Czy Jakob nadal jest członkiem społeczności, o której pan wcześniej wspominał?

Mesmer pokręcił głową.

— Nie. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się nieco okrężną drogą, że zerwał z kaznodzieją i sam zaczął głosić Ewangelię. I to podobno z powodzeniem, najwyraźniej udało mu się trafić do tych wszystkich durniów.

— Jest związany z jakimś konkretnym miejscem?

Mesmer spojrział na Katrine, która przed chwilą usiadła na kanapie za Ravnem. Teraz wstała, by zaraz pojawić się obok niego, trzymając w ręku pożółkłą papierową teczkę. Podała mu ją razem z płytą CD, która była przymocowana gumką do teczki.

— Co to jest? — spytał Ravn.

— Raport sporządzony przez poprzedniego śledczego.

Ravn spojrział na Mesmera zdziwiony.

— To znaczy, że ktoś już się tą sprawą zajmował?

Mesmer zerknął na zegarek i wstał z krzesła.

— Nie. To raport sprzed kilku lat i ma związek z inną sprawą.

— Która dotyczyła pańskiego syna?

Ferdinand Mesmer zapiął ciemną marynarkę i pogładził brodę.

— Dotyczyła Wybrańców Boga, sekty, którą prowadzi mój syn.

Nazwa sekty wydała się Ravnowi znajoma.

— Prasa rzuciła się wówczas na ich metody. Oskarżała ich o wszystko, od prania mózgu po nadużycia finansowe.

— Chyba coś o tym czytałem.

— Wszyscy czytali, ale nie dlatego że interesowali się bogobożnością mojego syna. Z tego powodu wszcząłem prywatne dochodzenie. Żeby sprawdzić, o co tak naprawdę chodzi. Co było nie tak.

— Ze względu na syna?

— Ze względu na całą rodzinę.

— Było coś w tych plotkach?

— Dzisiaj to już bez znaczenia. Chciałbym, żeby dowiedział się pan, gdzie Jakob teraz przebywa. Oczywiście dyskretnie. Tak żeby nikt, nawet on sam, niczego nie zauważył. W końcu mało kto lubi być śledzony.

Ravn pokiwał głową.

— A teraz proszę mi wybaczyć, ale kursanci czekają. Wszelkie informacje o moim synu i jego kontaktach znajdzie pan w tej teczce. Kwestiami praktycznymi, pańskim honorarium i wszystkimi innymi sprawami zajmie się Katrine.

Mesmer skinął głową i wyszedł z gabinetu, zanim Ravn w ogóle zdążył zareagować.

Katrine usiadła na krawędzi biurka i położyła ręce na

kolanach.

— Masz jakieś konto, na które mogę przelać ci pieniądze?

— Konto? — Ravn poklepał się po kieszeniach, po czym przypomniał sobie, że portfel z kartą zostawił na pokładzie „Bianki”. — Możemy załatwić to później?

— Jasne. W końcu to twoje pieniądze.

Ravn spojrział na papierową teczkę.

— Czegoś w tym wszystkim nie rozumiem — powiedział.

— Tak?

— Jeśli ktoś już prowadził dochodzenie w tej sprawie, to dlaczego nie skontaktujecie się ponownie z tą osobą? Może ma jakiś pomysł, gdzie Jakob może teraz przebywać?

Katrine rozłożyła ręce.

— Zdaje się, że Ferdinand Mesmer nie był zachwycony pracą tego człowieka i dlatego nie zamierza się do niego teraz zwracać.

Na szczęście dla ciebie, prawda?

Ravn spojrział na nią.

— Mógł poprosić o to ciebie.

— To ty jesteś prywatnym detektywem, nie ja

— odpowiedziała z przebiegłym uśmiechem. — Pytanie, czy okażesz się dość sprytny. Bardzo jesteśmy tego ciekawi

— powiedziała. Zsunęła się z krawędzi biurka, dając mu do zrozumienia, że spotkanie się skończyło.

Zjechali razem windą do holu. Przechodząc obok otwartych drzwi do sali konferencyjnej, Ravn zdołał zobaczyć Mesmera stojącego na podium i przemawiającego do słuchaczy. Był bez marynarki, mówił energicznie, wznosząc ręce ku niebu.

## 16.

Ravn siedział na tylnym pokładzie „Bianki” ubrany tylko w szorty. Wykorzystywał niewielki cień, który dawała kajuta, ale i tak rozpływał się w upale. Zastanawiał się, czy nie ochłodzić się w wodach kanału. W końcu jednak nie zrobił tego, sięgnął natomiast po raport, który przekazał mu Mesmer. Zdjął gumkę opasującą papierową teczkę i spojrzał na numer sprawy, zapisany na pierwszej stronie. Pod spodem widniała nazwa biura: BC Consulting v/Benjamin Clausen, z adresem gdzieś na Amager. Otworzył teczkę i szybko przerzucił luźne kartki; na samym spodzie znajdowało się kilka czarno-białych zdjęć i zmięta broszura. „JEZUS CIĘ KOCHA” — napisane było wersalikami na stronie tytułowej, obok widniał krzyż z cierniowym wieńcem. Odłożył zdjęcia i broszurę i zaczął czytać raport. Nie różnił się szczególnie od tych, które sam sporządzał, kiedy jeszcze pracował w policji. Nienawidził tego i zwykle przerzucał tę część obowiązków na Mikkela.

W przeciwieństwie do Ravna i jego kolegów, Benjamin poświęcił raportowi dużo uwagi, starannie dobierał słowa, dbał o właściwą formę dokumentu. To jednak znaczyło, że nawet prostym czynnościom, takim jak obserwacja dwóch kobiet, które rozdawały broszurki na Christianshavns Torv, poświęcał niewspółmiernie dużo czasu. Opisywał, jak kobiety były ubrane, podawał, ile broszurek rozdały, kiedy robiły przerwy, podawał nawet dokładne rysopisy osób, które brały broszurki. Najwyraźniej nie przejmował się najważniejszą zasadą obowiązującą przy sporządzaniu raportów, a mianowicie tym, że raport powinien być krótki i zwięzły.

Ravn wziął do ręki kolejną kartkę, tym razem z notatkami z drugiego dnia śledztwa. Benjamin nawiązał kontakt z kobietami

na placu i wziął od nich broszurę wydaną przez Wybrańców Boga. Kobiety, Amalie i Lise, opisał jako „miłe, zadbane i ładnie się wysławiające”, aczkolwiek dodał, że słyhać było, że nie pochodzą z Kopenhagi. Nie podał jednak skąd.

Ravn przeleciał wzrokiem kolejny fragment tekstu. Zatrzymał się dopiero na ostatnim akapicie, w którym Benjamin pisał, że następnego dnia został zaproszony na spotkanie biblijne, jak to określił. Kolejne dwie strony poświęcone były spotkaniu. Opisywał jego uczestników, których określił jako „zwykłych ludzi, pochodzących ze wszystkich warstw społecznych”. Opis zajął mu całą stronę. „Odnoszę wrażenie, że zajmują się przede wszystkim diabłem i jego działaniami, zastanawiając się, jak modłami zabezpieczyć się przeciwko nim. Wielokrotnie powtarzano, że wszyscy jesteśmy grzesznikami, ale Bóg wybacza”.

Najwyraźniej Jakob Mesmer nie był obecny na spotkaniu. Benjamin pisał, że wypytywał o niego Lise, jedną z młodych kobiet z Christianshavns Torv. Powiedziała mu, że Mistrz niestety nie mógł przyjść, ale na pewno będzie obecny na kolejnym spotkaniu. Zaprosiła go na nie, prosząc jednocześnie o wpłatę na rzecz ruchu. Benjamin zanotował na marginesie wydatek, dwieście koron, do zwrotu przez zleceniodawcę.

Jak wynikało z następnych stron, Benjamin wybrał się na kolejne spotkanie, które okazało się prawdziwym maratonem, przeciągnęło się bowiem do późna w nocy. Sala była pełna, wśród uczestników pojawiło się sporo znanych osób, celebrytów. Ich nazwiska, między innymi byłej gwiazdy piłki nożnej i gospodarza popularnego programu telewizyjnego, nic Ravnowi nie mówiły. W ostatnim rozdziale raportu Benjamin pisał, że kiedy Jakob nadal się nie zjawiał, spytał o niego Lise. Inni członkowie wspólnoty zainteresowali się, dlaczego tak bardzo zależy mu na spotkaniu z nim. On jednak „zachował spokój i wytłumaczył rzeczowo”, że jego wielkim życzeniem jest „usłyszeć, jak Jakob Mesmer przemawia”, co uczestnicy spotkania przyjęli ze zrozumieniem. Wytłumaczyli mu, że Jakob Mesmer jest zajęty



pracą misyjną, ale wkrótce wróci. Benjamin dodał, że na zebraniu panował lekko „paranoidalny” nastrój, co prawdopodobnie wynikało z tego, że zarówno wspólnota, jak i Jakob Mesmer osobiście nie mieli ostatnio dobrej prasy. Ravn sięgnął po ostatnią kartkę raportu, która zawierała wnioski płynące z dochodzenia.

## WNIOSKI

Ruch Wybrańców Boga istnieje od 2001 roku. Jego założycielem i przywódcą jest pastor Jakob Mesmer. Ma licencjat z teologii i pracy misyjnej, który uzyskał w Duńskim Instytucie Biblijnym, oraz tytuł doktora honorowego nadany mu przez River Bible Institute. Wybrańcy Boga to organizacja na wskroś misyjna, której celem jest głoszenie Ewangelii. Wywodzi się z ruchu zielonoświątkowców, teologicznie mocno zakorzonego w klasycznej wierze. Uważa się za nowoczesny i wolnomyślny Kościół. Głosi Słowo Boże oraz pomaga najsłabszym i najbardziej zagrożonym członkom społeczeństwa.

Podczas dochodzenia nie znalazłem dowodów na zarzuty stawiane ostatnio przez prasę, które miał sprawdzić BC Consulting, w tym zarzut prania mózgu, szantażu i upokarzania członków ruchu. Wydaje się, że wszystkie działania podejmowane są przez nich dobrowolnie. Jeśli chodzi o zarzut unikania płacenia podatków, nie miałem możliwości zapoznać się z rachunkowością ruchu, ale wszelkie dotacje, w tym także moje, były fakturowane, więc należy przypuszczać, że także księgowane. Mimo ponawianych prób nie udało mi się spotkać Jakoba Mesmera osobiście. Jednak zarówno wypowiedzi jego najbliższych współpracowników, jak i jego działania na rzecz wspólnoty wydają się świadczyć, że zarzuty dotyczące nadużywania władzy i stosowania przemocy są niesłuszne. Dlatego BC Consulting stwierdza w konkluzji, że wspólnota Wybrańcy Boga angażuje się społecznie, bazując na zdrowych wartościach chrześcijańskich.

Benjamin Clausen, starszy śledczy, BC Consulting

— Co za bzdury — powiedział do siebie Ravn i zamknął teczkę z dokumentami.

Kanałem płynęła motorówka, z głośników leciała głośna

muzyka. Trzech napakowanych facetów w jednakowych okularach przeciwsłonecznych, z puszkami piwa w rękach kiwało głowami w takt muzyki. Minęli „Biancę”, kierując się do ujścia portu.

Ravn był zaskoczony żalonym poziomem raportu. Nie dziwił się już, dlaczego Mesmer postanowił zrezygnować z usług biura. Gdyby Benjamin Clausen pracował nie jako detektyw, tylko jako lekarz, można by było oskarżyć go o szarlataństwo. To amator, który najwyraźniej nie miał pojęcia, co robi. Jego wnioski były bezpodstawne, wzięte z powietrza. Ravn zastanawiał się, jak Ferdinand Mesmer na niego trafił. Pomyślał, że pewnie przez Lohmana. Jeśli taki był poziom prywatnych detektywów, to nic dziwnego, że Lohman robił wszystko, żeby go zatrzymać.

Wziął broszurę i plik czarno-białych zdjęć. Niektóre były zrobione na Christianshavns Torv. Widać było na nich dwie młode kobiety, które rozdawały broszury.

— Zadbane i ładnie się wysławiające — wymamrotał pod nosem.

Pozostałe zdjęcia zrobiono na zebraniu ruchu, jedna z dziewcząt pojawiała się na nich kilkakrotnie. Ravn odłożył zdjęcia i zaczął przeglądać broszurę. Zauważył, że Benjamin wykorzystał w raporcie wstęp, w którym wychwalano ruch i misję jego założyciela. Po prostu go przepisał. Ravn położył broszurę na płycie CD. Nie miał pojęcia, co mogła zawierać. Pewnie więcej zdjęć, może jakieś nagrania z nabożeństw, w których Benjamin uczestniczył. Będzie musiał ją przejrzeć, ale ponieważ nie miał już komputera, był zmuszony poczekać do powrotu Eduarda.

Wstał z krzesła, podszedł do relingu i spojrzał na wodę. Raport Benjaminą był bardzo szczegółowy, ale jego autor zapomniał o tym, co najważniejsze: nie podał żadnych danych kontaktowych, nawet adresu ani numeru telefonu do wspólnoty. Ravn pomyślał, że będzie musiał skontaktować się z Benjaminem i wypytać go o dochodzenie.

## 17.

Ravn wszedł do kajuty, gdzie na stole kuchennym leżał jego iPhone podłączony do ładowarki, która z kolei była podłączona do jedyne go kontaktu na pokładzie. Wziął z lodówki butelkę wody i wrócił na tylny pokład. Møffe spojrział na niego, język zwisający z pyska wskazywał, jak bardzo cierpi z powodu upału. Ravn zerknął na numer telefonu zapisany na teczce z raportem i postanowił zadzwonić do jego autora. Automatyczna sekretarka poinformowała go, że numer nie istnieje. Zadzwonił do biura numerów, podał nazwę firmy i pełne dane Benjamin a: imię, nazwisko i adres, ale nic więcej się nie dowiedział. Biorąc pod uwagę amatorski charakter raportu, nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że Benjamin był zmuszony przekręcić klucz w zamku i zamknąć firmę. Mimo to postanowił wyszukać w iPhonie stronę BC Consulting. Nadaremnie. Wpisał w Google: „Wybrańcy Boga”, otrzymał wiele wyników, ale żadnych informacji, które wskazywałyby na miejsce pobytu Jakoba Mesmera. Było natomiast dużo artykułów o samej organizacji. Musiał przyznać, że lepiej szło mu szukanie ludzi w rzeczywistym świecie niż w sieci. Jego talenty cyfrowe były dość ograniczone. Kiedyś próbował zamówić do domu coś do jedzenia dla siebie i Evy, ale po godzinie bezskutecznych prób postanowili pójść do Café Wilder, gdzie w końcu zjedli spóźnioną lekką kolację.

Ravn domyślał się, że to pewnie Lohman był pośrednikiem między Ferdinandem Mesmerem a Benjaminem. Znalazł numer Lohmana i zadzwonił do niego do biura. Po chwili usłyszał w słuchawce głos panny Malling. Wydawała się poirytowana, jak zwykle.

— Nie, pan adwokat jest na spotkaniu.

— Możesz poprosić, żeby zadzwonił do mnie, jak skończy?

— Przykro mi, ale spotkanie odbywa się poza biurem, więc mogę przekazać mu wiadomość najwcześniej jutro. Może pan powtórzyć nazwisko?

Ravn westchnął głęboko.

— Ravn — powiedział, a kiedy nie było reakcji, dodał:

— Thomas Ravnsholdt, jeszcze tydzień temu pracowałem dla was.

— Ach, to pan — powiedziała kobieta, wyraźnie zniesmaczona.

— Sam go znajdę — rzucił Ravn i się rozłączył.

Wiedział, że spotkanie poza biurem oznaczało, że Lohman jest w Wydrze Morskiej. Była środa, a w środę, nieważne, czy był upał, czy nie, pan adwokat i pani antykwariuszka rozgrywali partyjkę karambola.

— Chodź, Møffe — powiedział, klepiąc się po udzie. Pies przeciągnął się leniwie i podszedł do niego. Ravn sięgnął po T-shirt, który wisiał na oparciu krzesła, i naciągnął go na siebie.

Nad stołem bilardowym w Wydrze Morskiej unosiła się chmura papierosowego dymu. Tworzyły ją opary ze skręta Victorii i cygaretek Lohmana. Było zadziwiające, że mogli grać przy tak ograniczonej widoczności. Victoria pozdrowiła Ravna skinieniem głowy; była zajęta kredowaniem kija. Spojrzała na stół i skupiła się na bilach, próbowała obliczyć najlepszy kąt do uderzenia i przewidzieć najlepszą kombinację.

Ravn podszedł bliżej i usiadł obok Lohmana, który trzymał przed sobą kij. Podobnie jak Victoria sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego grą.

— Lohman...

Starszy pan położył palec na ustach i uciszył Ravna.

— Nie teraz, człowieku...

Victoria pochyliła się nad stołem i pchnęła. Bila wykonała łuk, dotknęła krawędzi, potoczyła się dalej do drugiej, następnie odbiła się od trzeciej, potoczyła w stronę środkowej bili i dotknęła jej.

— Brawo — krzyknął Lohman.

Victoria pokiwała głową, okrążyła stół i zaczęła się przygotowywać do kolejnego pchnięcia.

— Lohman, ja tylko... — spróbował ponownie Ravn.

Lohman odwrócił się i spojrzał na niego z irytacją.

— Jesteśmy w trakcie gry. Chyba widzisz? — powiedział i machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że ma się oddalić.

Ravn usiadł na krześle i skrzyżował ręce na piersiach. Dobrą godzinę obserwował, jak Victoria na zmianę z Lohmanem podchodzili do stołu i rozgrywali kolejne serie. Ostateczny ruch miał wykonać Lohman. Ze skupionym wzrokiem i cygaretką zwisającą z kącika ust uderzył w bilę. Odbiła się elegancko od krawędzi i potoczyła w stronę środkowej bili, mijając ją dosłownie o milimetry.

— Niech to szlag! — wybuchnął Lohman, popiół z cygaretki posypał się na koszulę.

Victoria podała mu rękę z uśmiechem. Starła się tego nie okazywać, ale Ravn widział, że w duchu cieszy się z wygranej. Lohman sięgnął do tylnej kieszeni po wytarty portfel i wyjął z niego kilka stukoronowych banknotów.

— Rujnujesz mnie, wiesz o tym?

— Czyżby? — Victoria wzięła banknoty i schowała do kieszeni tweedowej marynarki.

— To też jego wina — powiedział Lohman i wskazał oskarżycielsko palcem na Ravna. — Co to za ważna sprawa, że pozwoliłeś sobie zakłócić mi grę?

— Benjamin Clausen — powiedział Ravn z przeproszającym uśmiechem.

Lohman odstawił kij do stojaka i podszedł do niego.

— Benjamin Clausen? — warknął i zapalił cygaretkę, która zdążyła już zgasnąć. — Chyba nigdy o nim nie słyszałem. To jeden z moich klientów?

— Nie, to prywatny detektyw. Podejrzewam, że już były. Jego numer telefonu jest nieaktualny.

Lohman wydmuchał dym.

— A, ten. Od kilku lat już nie pracuje.

— Kiedyś pracował dla Ferdinanda Mesmera, więc pomyślałem, że może...

— Nie było z niego wiele pożytku. Był sympatyczny, ale...

— Lohman pokręcił głową. — Podejrzewam, że wolałby służyć w policji.

— Wiesz, jak mogę się z nim skontaktować?

— Nie mam pojęcia. Od lat go nie widziałem. Korzystałem z jego usług tylko raz.

— Ale poleciałeś go Mesmerowi?

Lohman opróżnił kieliszek i pokiwał głową.

— Tak... Chociaż nie, o ile dobrze pamiętam, było na odwrót. To Mesmer go znalazł. Potem ja też raz mu coś zleciłem, ale to nie był dobry wybór. Benjamin Clausen — powtórzył zamyślony. — Trochę dziwak, bardzo wrażliwy.

— Masz jakieś jego dane?

— Niewykluczone, że mam jakąś starą fakturę, ale jeśli mówisz, że firma nie istnieje, to niewiele ci da.

Było już po północy, kiedy Ravn wrócił na „Biancę”. Można by pomyśleć, że krzesła w Wydrze miały jakąś dziwną moc przyciągania. Tego dnia Ravn też nie mógł się od nich odkleić, chociaż wieczór był dla niego nudny. Czekał na Eduarda, żeby poprosić go o przejrzenie płyty, ale przyjaciel się nie zjawił. Teraz, słysząc dochodzące z kajuty radosne pokrzykiwania, zrozumiał, co przeszkodziło mu stawić się w Wydrze. Ravn wziął psa na ręce i przeniósł na swoją łódź. Postawił go na pokładzie. Wiedział, że nie zaśnie, dopóki Eduardo i jego panna nie skończą, więc usiadł w białym plastikowym fotelu na tylnym pokładzie i zaczął się przyglądać ciemnej wodzie w kanale. Cały wieczór myślał o żalonym raporcie Benjamina, który nie zawierał żadnych wskazówek co do miejsca pobytu Jakoba Mesmera. Oczywiście mógł jutro udać się na Christianshavns Torv i sprawdzić, czy nie ma tam jakichś wyznawców ruchu, próbujących werbować ludzi. Ale przecież raport powstał ponad trzy lata temu. Ravn w tym czasie wielokrotnie przechodził przez

plac i nikt nigdy go nie zaczepił. Sięgnął ponownie po wydruk i zaczął go kartkować. Jedyna informacja, którą mógł wykorzystać, dotyczyła Duńskiego Instytutu Biblijnego, gdzie, zgodnie z raportem, Jakob miał studiować. Było to, co prawda, wiele lat temu, ale niewykluczone, że w dokumentach zachował się jakiś stary adres, który mógł poprowadzić go dalej. Wygooglował Instytut w iPhone: znajdował się przy Leifsgade, kawałek spacerem od „Bianki”. Postanowił, że zaryzykuje i następnego dnia się tam wybierze.

Na łodzi obok akt miłosny osiągnął właśnie punkt szczytowy, co usłyszała zapewne połowa mieszkańców Christianshavn.

## 18.

Winda nie działała, więc Ravn musiał iść schodami na szóste piętro, gdzie miał siedzibę Duński Instytut Biblijny, jedyny najemca w tej opuszczonej kamienicy. Ravn, lekko zdyszany, dotarł na najwyższe piętro budynku i wszedł do jasnego holu. W recepcji siedziała starsza pani. Zmrużyła oczy za grubymi szklami i pozdrowiła go cichym głosem. Ravn skinął głową i zerknął w stronę ogromnego słonecznego tarasu, na którym przy długich stołach siedzieli studenci i jedli śniadanie.

— Macie tu piękny widok.

— Dziękuję. W czym mogę panu pomóc?

— Nazywam się Thomas Ravnsoldt i chciałem zasięgnąć informacji o waszym byłym uczniu, Jakobie Mesmerze. Próbuję znaleźć jego adres albo numer telefonu.

— Jest naszym studentem? — spytała kobieta, patrząc na niego pustym wzrokiem.

— Nie, jest waszym byłym studentem. I to sprzed wielu lat.

— Tego rodzaju informacje są poufne.

Ravn pochylił się nad blatem recepcji.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, dlatego przyszedłem osobiście. Prawdę mówiąc, pomagam jego ojcu go odnaleźć. Tak się stało, że stracili ze sobą kontakt.

— A więc jest to zapytanie skierowane przez rodzinę — powiedziała kobieta zamyślona.

Ravn skinął głową, starając się przybrać pobożną minę na tyle, na ile to było możliwe.

— Tak. W pewnym sensie jest to powtórzenie historii o synu marnotrawnym.

Nie do końca pamiętał przypowieść, poza tym że chyba chodziło w niej o ojca, który wybaczają synowi.



Kobieta dotknęła ręką niewielkiego złotego krzyżyka, który miała na szyi.

— Muszę... To znaczy, powinien pan porozmawiać z naszym rektorem — stwierdziła.

Wstała i zniknęła na tarasie. Po chwili wróciła w towarzystwie opalonego mężczyzny w średnim wieku.

— Poul — przedstawił się i podał Ravnowi rękę.

— Przepraszam, że przeszkadzam w śniadaniu — zaczął Ravn.

Mężczyzna przypominał mu jego nauczyciela robót ręcznych sprzed lat.

— Ależ nie szkodzi — uśmiechnął się. — Jeśli dobrze zrozumiałem Karen, chodzi o jednego z naszych byłych uczniów?

Ravn skinął głową i powtórzył to, co wcześniej mówił Karen, bo najwyraźniej tak miała na imię recepcjonistka. Opuścił jedynie wzmiankę o synu marnotrawnym.

— Oczywiście spróbuję panu pomóc — powiedział Poul, podchodząc do recepcji. — Zaraz sprawdzę, czy mamy jakieś informacje. — Usiadł przed komputerem i zalogował się. — Jak się nazywa ten nasz były student?

— Jakob... Mesmer.

— Ach, to o niego chodzi. Pamiętam go.

Ravn był pod wrażeniem, że mężczyzna po tylu latach jest w stanie przypomnieć sobie imię i nazwisko byłego studenta. Tym bardziej że było ich zapewne wielu.

Poul szybko przeszukał kartotekę.

— Niestety, to było bardzo dawno temu.

— Instytut nie ma archiwum papierowego, w którym można by to sprawdzić?

Poul pokręcił głową.

— Pozbyliśmy się go, kiedy przenieśliśmy się tu kilka lat temu. — Mężczyzna wstał z krzesła i podszedł do Ravn.

— Kiedy prasa zaczęła się o nim rozpisywać, odbieraliśmy wiele telefonów od dziennikarzy brukowców.

— Co chcieli o nim wiedzieć?

— Pytali, jakim był studentem. Czy był zamieszany w jakieś skandale w szkole. — Mężczyzna uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Dlatego go pan zapamiętał? Z powodu tego rozgłosu?

— Na pewno tak, chociaż Jakob był dobrym studentem, bardzo zaangażowanym w studia. To, co później o nim pisano, nie ma dla mnie znaczenia.

— Wie pan, czy któryś z nauczycieli miał z nim później kontakt? A może któryś z byłych studentów? — spytał Ravn i skinął głową w stronę tarasu.

— Nie, z tamtych czasów zostałem tylko ja.

— I nie sądzi pan, że któryś z jego dawnych kolegów może wiedzieć coś więcej?

— Niestety — odpowiedział Poul, chyba szczerze. — Jakob nigdy nie miał wielu przyjaciół. Proszę nie zrozumieć mnie źle, nie chodzi o to, że nie był lubiany. Angażował się w wiele spraw, był świetnym organizatorem, przygotowywał zbiórki pieniędzy, wycieczki, spotkania biblijne. Natomiast stosunki towarzyskie go nie obchodziły. Może dlatego, że był starszy od większości kolegów.

— Wie pan coś o wspólnocie, do której dołączył już po studiach?

— Chodziło, zdaje się, o jakiegoś kaznodzieję wywodzącego się z ruchu zielonoświątkowców. Mam wrażenie, że dość wcześnie doszedł do tego, że będzie lepiej służyć Bogu, jeśli założy własną wspólnotę. A w każdym razie będzie lepiej służyć sobie. — Poul się uśmiechnął.

— W jaki sposób? — spytał Ravn i odwzajemnił uśmiech.

— O nikim nie powinno się mówić źle, ale nie sądzę, bym dawał fałszywe świadectwo, jeśli powiem, że Jakob bardzo pragnął być liderem, bardziej niż kimkolwiek innym. Niestety, także bardziej, niż służyć Bogu. Gubiła go *superbia*.

— *Su...* Co to takiego?

— *Superbia*, czyli pycha, pierwszy z siedmiu grzechów głównych. Wielokrotnie prosiłem, żeby nad tym pracował. Ale poza tym był w porządku. Proszę go ode mnie pozdrowić, jeśli

uda się panu go odnaleźć.

— Oczywiście. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas  
— powiedział Ravn i podał mężczyźnie dłoń.

Ruszył do drzwi, kiedy nagle usłyszał głos Poula. Zatrzymał się i odwrócił.

— Nie wiem, czy ta informacja do czegoś się panu przyda, ale pamiętam, że kilka lat po tym, jak już skończył naukę, przesłał mi zaproszenie na wieczór biblijny, który organizował. Gdzieś tutaj, na Amager...

— W siedzibie Wybrańców Boga?

— Wybrańcy Boga. Tak. Tak właśnie nazwał swoją wspólnotę — powiedział Poul z uśmiechem. — Ale to chyba nie była ich siedziba. Wieczór odbywał się w jednym z okolicznych kościołów. Niestety, nie mogłem pójść, i nie pamiętam już, gdzie to dokładnie było.

## 19.

Ravn wrócił na „Biancę” i od razu zobaczył Eduarda, który siedział przed laptopem w kokpicie swojego kecza. Miał na sobie tylko szorty. Ravn podszedł bliżej i stanął naprzeciwko niego, zasłaniając mu światło. Przyjaciel podniósł głowę, ale jego palce nadal tańczyły po klawiaturze.

— Co się stało, *amigo*? — spytał i wrócił do monitora.

— Długa noc?

Eduardo wzruszył ramionami.

— One mnie zabijają, te *las señoritas*. Nie dają mi pracować. Ten artykuł miałem skończyć już dwa dni temu.

— Biedaku — odezwał się Ravn z ironią w głosie. — Mam do ciebie sprawę.

— Nie teraz, proszę. Zdajesz sobie sprawę z tego, jaki ciężar spoczywa na moich barkach?

— Tak ci ciężko?

— Nawet nie masz pojęcia jak. Wiesz, jak trudno uprawiać zawód dziennikarza w dzisiejszych czasach? Pod jaką presją pracujemy? Jak musimy walczyć o wolność słowa każdego dnia?

— Nie. O czym teraz piszesz?

— O tym, jak komunikacja w Kopenhadze została przez radnych zwękslowana na prawo.

— W Kopenhadze zawsze mieliśmy ruch prawostronny.

— Mówię oczywiście o polityce.

Ravn uniósł zaciśniętą pięść w rewolucyjnym pozdrowieniu.

— OK, *Che*. Zajrzyj do mnie, jak skończysz, i weź go ze sobą — powiedział, wskazując na laptopa. — Czyta płyty CD?

— Na razie, Ravn.

Półtorej godziny później, w samo południe, kiedy słońce było

w zenicie, Eduardo zapukał w otwarte drzwi kajuty Ravn. Ravn, który właśnie przygotowywał drugie śniadanie dla siebie i Møffego, zaprosił go do środka, do cienia.

— Pamiętałeś o komputerze?

Eduardo pokiwał głową i postawił laptopa na wysokim stoliku obok kanapy.

— O co chodzi z tą płytą?

Ravn zaczął wkładać do miski Møffego kanapki z pasztetem, pokrojone w centymetrowe kwadraciki. Było to jedyne, co Møffe jadał. Następnie wziął talerz i płytę CD i usiadł na kanapie obok Eduarda.

Eduardo wyjął płytę z poplamionej przezroczystej folii i zaczął obracać ją w ręce.

— Co to takiego? Jakaś muzyka?

— Jeśli tak, to pewnie psalmy. Była dołączona do raportu, który dostałem od Mesmera.

— Jak ci idzie? Robisz postępy?

— Nadal brakuje mi przełomu, że tak to określe.

Eduardo włożył płytkę i laptop zaczął szumieć. Na ekranie pokazały się pliki tekstowe i zdjęciowe.

— Dlaczego nie przegrali ich na pendrive'a? — Eduardo pokręcił głową. — To byłoby praktyczniejsze.

Ravn wzruszył ramionami.

— Możesz któryś otworzyć i sprawdzić, co w nich jest?

Eduardo kliknął pierwszą ikonkę, plik się otworzył.

— Coś takiego — jęknął, przeglądając długi tekst. Pierwszy plik miał ponad pięćdziesiąt stron, a na płytce było jeszcze co najmniej dziesięć innych. — To chyba jakaś powieść. Ciekawe, czy pozostałe wyglądają tak samo?

Otworzył kilka następnych plików, z których każdy miał co najmniej tyle samo stron co pierwszy.

Ravn westchnął, przyciągnął laptop do siebie i spojrzał na ekran.

— Nie mam czasu brnąć przez to wszystko.

Eduardo się roześmiał, a Ravn zaczął czytać tekst

z pierwszego pliku.

— To rodzaj dziennika — stwierdził zdziwiony. — Napisany przez Benjamina Clausena, detektywa, który zajmował się zniknięciem Jakoba.

— Jak trafił w ręce Ferdinanda?

— Nie mam pojęcia.

— A ty skąd go masz? Coś z niego wynika?

— Daj mi chwilę — wymamrotał Ravn pochłonięty lekturą. Przebrnął przez pierwszą stronę, oparł się o kanapę i spojrzał na Eduarda. — To wszystko jest bardzo tajemnicze. Miesiąc po tym, jak Benjamin skończył śledzić Wybrańców Boga, Ferdinand Mesmer wynajął go ponownie.

— Dlaczego tak cię to dziwi?

— Bo jego dochodzenie to straszna amatorszczyzna. Mimo to po miesiącu Ferdinand Mesmer powierza mu kolejne zadanie. Tym razem jednak ma występować pod przykryciem. Jak wynika z lektury pierwszej strony, Benjamin miał wstąpić do wspólnoty i na bieżąco spisywać swoje wrażenia, by następnie przesłać je Ferdinandowi. — Ravn zerknął na ekran. — Posłuchaj, co pisze: „Umówiłem się z klientem, że BC Consulting nie będzie wyciągać wniosków, a jedynie zbierać obserwacje i przekazywać je klientowi. Czas wykonywania zadania określono na trzy miesiące od dzisiaj”. Pisze też, że jeśli spotka Jakoba Mesmera, ma dokładnie opisać jego stan fizyczny i psychiczny.

Eduardo pokręcił głową.

— Facet ma obsesję. Mam na myśli Ferdinanda. Zatrudnienie Benjamina na trzy miesiące musiało go kosztować majątek.

— Przypuszczam, że tak, skoro mnie płaci pięćdziesiąt tysięcy za tydzień pracy. Ciekawe, ile kosztowały go te trzy miesiące?

— Pięćdziesiąt tysięcy...? — Eduardo był pod wrażeniem.

— Moje gratulacje.

— No cóż.

— Nie jesteś zadowolony?

Ravn wzruszył ramionami.

— Zastanawiam się, jaki był prawdziwy motyw Ferdinanda. To znaczy wtedy, przed laty. Czy rzeczywiście martwił się o syna, czy też powodem były plotki, od których huczały media.

— Podejrzewasz, że czegoś szukał? Że dlatego kazał Benjaminowi działać pod przykryciem?

Ravn pokręcił głową.

— Możliwe, ale to znaczy, że muszę to wszystko przejrzeć — westchnął i wskazał na pliki na ekranie laptopa. — Poza tym zastanawiam się, do czego zamierzał tego użyć.

— To może rzucić też nieco światła na twoje zadanie... — zaczął Eduardo zamyślony.

— Co masz na myśli?

— Dlaczego trzy lata później zatrudnia ciebie, żebyś znalazł jego syna? Może coś się za tym kryje?

Ravn pokiwał głową. Też się nad tym zastanawiał, chociaż Mesmer podczas ich pierwszego spotkania wydawał się szczery. Cierpiał z powodu braku kontaktu z synem. To było widać. Z drugiej strony Ravn dobrze wiedział, że żal potrafi przybierać różne formy: niekiedy zamienia się w obsesję, czasem w nienawiść, a czasem nawet w chęć zemsty.

## 20.

Eduardo wydrukował Ravnowi dwa pierwsze pliki. Prawie sto pięćdziesiąt stron, więcej nie dał rady, ponieważ w drukarce skończył się toner. Resztę obiecał wydrukować po dotarciu do redakcji. Znacznie prościej byłoby, gdyby Ravn miał własny komputer, ale zaletą posiadania wydruków było to, że mógł podkreślać ważniejsze fragmenty. Były to głównie informacje o osobach, które spotykał Benjamin, a które utrzymywały kontakt z Jakobem.

Pomysł, żeby Benjamin stał się członkiem wspólnoty i notował swoje obserwacje, był dobry. W ten sposób mógł szybko wyrobić sobie zdanie o charakterze wspólnoty stworzonej przez Jakoba Mesmera. Ravn szybko się zorientował, że była to organizacja szalenie hierarchiczna. Obowiązywała w niej surowa dyscyplina, a wyżej od nauczycieli stał jedynie Bóg. Aspiranci, jak nazywano świeżo przyjętych członków, znali swoje miejsce w szeregu. Benjamin rozpoczął kurs zwany studium Świętego Ducha. Zapłacił piętnaście tysięcy koron za pierwsze pięć tygodni, z możliwością przedłużenia nauki o kolejny etap kursu. Oczywiście pod warunkiem, że zda egzamin. Ale, jak pisał w dzienniku, jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby któryś z kursantów nie zdał. Żaden nauczyciel nigdy nie określił jednak, jaki jest cel szkolenia, poza tym, że kurs dawał prawo do głoszenia Ewangelii. Benjaminowi i pozostałym kursantom powiedziano, że wielu aspirantów zostawało, żeby prowadzić seminaria w innych ośrodkach Wybrańców Boga, lub wyjeżdżało w świat na misje, tak jak ich przywódca, Jakob Mesmer.

Zajęcia odbywały się codziennie. Kursanci studiowali teksty biblijne, nauczyciele wyjaśniali im przypowieści zawarte w ewangeliach. Benjamin pisał w dzienniku, że nauka



przypominała przygotowania do konfirmacji, tyle że uczestnicy byli bardziej zdyscyplinowani niż jego dawni koledzy z klasy. Co jakiś czas zastanawiał się, co powie, jeśli ktoś spyta go o jego przeszłość. Na szczęście nigdy do tego nie doszło, ponieważ Wybrańcy Boga robili wszystko, żeby aspiranci zapomnieli o dawnym życiu. Uznano, że przeszłość nie ma znaczenia w dalszej drodze ku Bogu. Tak więc im mniej rozmawiano o przeszłości, im rzadziej kontaktowano się z rodziną i przyjaciółmi, tym lepiej. Podczas kursu wręcz zachęcano do kontaktów w ramach wspólnoty, co miało pomóc w skupieniu się na przyjęciu łaski i mądrości bożej.

Po pierwszym tygodniu każdemu z kursantów przydzielono mentora. Mentorką Benjamina została Lise. Z raportu wynikało, że Benjamin był nią szczególnie zainteresowany. Kiedy wspominał o niej w dzienniku, jego język stawał się nieco bardziej poetycki.

Poza nauką młodzi ludzie uczestniczyli też w pracach społecznych: gotowali dla ludzi z marginesu, każdy mógł przyjść i zjeść darmową kolację, zwykle przy akompaniamencie psalmu lub kilku słów z Biblii, zazwyczaj dotyczących wstrzeźliwości. Niestety, Benjamin nigdzie nie wspominał, gdzie to wszystko się odbywało.

Aspiranci pracowali też fizycznie: sprząтали i robili zakupy nauczycielom, umożliwiając im w ten sposób poświęcenie się studiom i głoszeniu Słowa Bożego. „Wszyscy tu pracujemy dla Pana, niektórzy ciężiej niż inni”, pisał Benjamin po tym, jak niemal cały dzień sprzątał piwnicę u jednego z członków kierownictwa.

Chociaż Ravn czytał notatki Benjamina z przymrużeniem oka, to podziwiał go za to, że się nie poddał. Szczególnie po incydencie, do którego doszło, kiedy razem z Lise rozdawali broszurki na Christianshavns Torv, próbując werbować nowych członków. Nie było to budujące doświadczenie. Zainteresowanie broszurami było niewielkie, jeśli w ogóle ktoś do nich podchodził, byli to na ogół miejscowi pijaczkowie. Ośmieleni alkoholem,

zaczepiali ich, krzyczeli, a kiedyś jeden z nich rzucił w Benjamina butelką po piwie i trafił go w plecy. Benjamin i Lise szybko stamtąd uciekli. Wieczorem Lise poprosiła wszystkich, żeby modlili się za pijaków z Christianshavns Torv. Postanowiono na razie dać sobie spokój z pracą misyjną na tym terenie i skupić się na innych obszarach. Benjaminowi i Lise przypadła dzielnica ambasad na Østerbro. Lise wiązała z nią duże nadzieje, które jednak okazały się płonne. Mieszkańcy Østerbro nie uciekali się, co prawda, do przemocy fizycznej, jak pijacy na Christianshavns Torv, ale ich komentarze słowne bolały nawet bardziej. Gospodynie domowe, studenci i emeryci nie kryli swoich poglądów i jasno mówili, co sądzą o Bogu i pracy misyjnej. Benjamin pisał, że tylko w kilku miejscach udało im się zostawić broszurki.

Ravn miał wrażenie, że Benjamin autentycznie martwił się o Lise, która mimo silnej wiary była osobą wrażliwą i bardzo przeżywała nieprzyjemności, jakie ich spotykały. Wiedział z doświadczenia, że należy uważać, by detektyw i osoba, którą śledzi, nie zbliżyli się do siebie za bardzo. Wówczas pojawiają się bowiem wątpliwości, po której stronie się stoi. A jeśli raz straciło się perspektywę, to potem miało się już przechlapane. Dlatego należało zapomnieć o uczuciach i skupić się na zleconym zadaniu, bez względu na to, czy dotyczyło ono rockersów, czy nawróconych chrześcijan.

Ravn nie potrafił powiedzieć, jak długo czytał, ale nagle zauważył, że zrobiło się ciemno. Od długiego siedzenia bolało go całe ciało. Słyszał ciche chlupotanie fal uderzających o burzę, poza tym panowała cisza. Lektura raportu pochłonęła go niczym dobra powieść. I podobnie jak w wypadku powieści, zaczynał darzyć głównego bohatera coraz większą sympatią. Szybko przejrzał następne strony, ciekaw, czy pojawi się gdzieś imię i nazwisko Jakoba Mesmera, ale nie zauważył, żeby Benjamin w ogóle o nim wspominał. Już miał odłożyć raport i iść spać, kiedy nagle natrafił na rozdział, który przykuł jego uwagę. Benjamin pisał, że

następnego dnia po zajęciach razem z kilkoma innymi kursantami ma odebrać jakieś kartony z kościoła, z Mariakirken. Kartony miały zawierać artykuły biurowe, książki i drobne sprzęty kuchenne z czasów, kiedy Wybrańcy Boga wynajmowali w kościele salę na zebrania. Jeszcze przed przeprowadzką do własnej siedziby. Benjamin opisywał, jak śpiewając psalmy, targali ciężkie kartony na Belgiensgade. Jeśli Ravn dobrze pamiętał, ulica ta leżała tuż obok Amager Center, zaledwie kilka kilometrów od Christianshavn. Nareszcie miał jakiś trop. Pomyślał, że być może będzie mógł darować sobie dalszą lekturę raportu.

## 21.

Na Amager, na obszarze, na którym ulice miały nazwy geograficzne, Belgiensgade, czyli ulica Belgijska, należała do najmniejszych. Prowadziła od Amagerbrogade jakieś czterysta, pięćset metrów dalej do kamienic przy Reberbanegade, na której znajdowało się parę warsztatów rzemieślniczych i kilka odnowionych starych kamienic. Ravn szedł ulicą razem z Møffem, który szarpał smycz i chciał wachać wszystko po drodze. Początkowo próbował poskromić jego zapędy, ale w końcu się poddał, spuścił psa ze smyczy i pozwolił mu iść przodem. Benjamin nie podał w raporcie numeru domu, ale Ravn domyślał się, czego ma szukać. Zapewne był to położony w pewnym oddaleniu od ulicy budynek, w którym mogłoby mieszkać trzydzieści, może nawet czterdzieści osób. Na pewno więc nie był to parterowy dom, pomyślał i skupił się na obszernych willach po drugiej stronie ulicy. Mijając je, sprawdzał tabliczki na furtkach, ale nie natknął się na nic, co mogłoby wskazywać, że dom należy do Wybrańców Boga. Dotarł do niewielkich warsztatów i skręcił w stronę jednego z nich, żeby sprawdzić, czy gdzieś za nim nie kryje się jakiś inny budynek albo duży garaż. Wrócił na ulicę; Møffe podbiegł do niego, merdając ogonem. Zaczął się zastanawiać, czy Belgiensgade nie była jedynie punktem orientacyjnym, może siedziba wspólnoty mieściła się gdzieś w pobliżu. Nie wiedział, czy ma dalej szukać przy sąsiednich ulicach, czy wrócić do domu i poczekać na powrót Eduarda z wydrukowanym dalszym ciągiem raportu. Być może znajdzie w nim jakieś dodatkowe wskazówki.

Zawrócił i zaczął iść z powrotem, kiedy nagle znów się zatrzymał. Spojrzał na wysoki płot, pomalowany na zielono i cały pokryty graffiti. Zza niego wystawał żywopłot, który skutecznie

zasłaniał widok. Kiedy szedł tędy za pierwszym razem, uznał, że płot należy do sąsiedniego budynku, teraz jednak widział wyraźnie, że ogrodzenie dzieli działkę na dwie części. Stał na palcach i próbował zajrzeć do środka. Między gęstymi krzakami i powalonymi drzewami dojrzał ruiny starego budynku z czerwonej cegły.

— Zostań tutaj! — nakazał Møffemu.

Pies spojrzał na niego obrażony, ale usiadł na chodniku.

Ravn wszedł na sąsiednią działkę i zaczął szukać miejsca, w którym krzaki byłyby na tyle rzadkie, żeby mógł przejść na drugą stronę. Zaczął rozglądać się po zarośniętej działce. Dostrzegł wąski przesmyk między krzakami głogu a jednym z powalonych drzew. Po chwili stał już przed niszczącym budynkiem, z którego pozostał jedynie komin i kawałek ściany szczytowej. Reszta była w gruzach. Wszędzie leżały stosy cegieł, trudno było się domyślić, jak wyglądał pierwotny rozkład domu. Ravn wszedł na stos cegieł i zaczął powoli iść dalej. Zwęglone belki dachowe świadczyły o pożarze, który strawił budynek. Wśród gruzów wały się kartony po pizzy i puste butelki, zostawione pewnie przez okoliczną młodzież i bezdomnych. Ravn schylił się i zaczął przerzucać połamane kawałki cegieł, ale nie znalazł nic, co mogłoby naprowadzić go na trop dawnych mieszkańców domu. Zawrócił i po chwili znów był w ogrodzie przy ulicy. Otarł pot z czoła. Nagle jego uwagę zwróciło coś między gałęziami powalonego drzewa. Podeszedł bliżej i włożył rękę między cierniste krzaki, dwoma palcami sięgnął po kawałek papieru i pociągnął. Ciernie poraniły mu rękę, która zaczęła krwawić. Starł krew T-shirtem. Następnie rozwinął kartkę i chociaż była zniszczona przez wiatr i deszcz, dało się odczytać wyblakłe czerwone litery: „Wybrańcy Bo...”. Reszty się domyślił. To tu mieli siedzibę do czasu pożaru.

Przeszedł przez ogrodzenie i znów znalazł się na ulicy. Rozejrzał się za psem; zobaczył go przy pobliskiej kamienicy. Łapy miał oparte o ścianę, w otwartym oknie na parterze stała

starsza pani i karmiła go ciasteczkami. Ravn podszedł bliżej i przywitał się z kobietą.

— To pański pies? — spytała głosem schrypniętym od papierosów.

— Mój — potwierdził Ravn. — Wabi się Møffe.

— Lubi ciasteczka waniliowe, ale też zawsze kupuję te dobre, w Aldi.

— Rzeczywiście muszą być niezłe, bo Møffe jest bardzo wybredny. Ale miłe towarzystwo dobrze działa na trawienie.

Starsza pani, zadowolona z komplementu, rzuciła psu kolejne ciasteczko.

— No, łakomczuchu, więcej już nie dostaniesz. Inaczej zrobisz się równie gruby jak ja. — Kobieta otrzepała dłonie z okruszków i nagle zobaczyła podrapaną rękę Ravna. — Coś się panu stało?

— Nie, podrapałem się o gałęzie — powiedział, wskazując na ogrodzenie.

— Jest pan jednym z nich? — spytała, a na jej czole pojawiła się zmarszczka.

— To znaczy?

— No, jednym z tej sekty.

— Nie, byłem po prostu ciekaw. Wie pani, co tu się wydarzyło?

— Wszystko spłonęło, już wiele lat temu.

— Brzmi dość dramatycznie.

— Bo też to była prawdziwa tragedia. Przyjechały karetki, straż pożarna, policja. Wszyscy się baliśmy, że ogień się rozprzestrzeni, ale na szczęście udało się go opanować.

— To faktycznie szczęście. Ktoś ucierpiał?

Kobieta skinęła głową, sięgnęła po cygaretkę, leżącą w popielniczce na parapecie, i zapaliła ją.

— Wyciągali ludzi z płonącego budynku, podobno ktoś zginął. Pisano o tym w „Amager Bladet” — powiedziała, unosząc poczerwione brwi.

— Wiadomo, co spowodowało pożar?

— Różnie mówiono. Niektórzy twierdzili, że to było podpalenie.

— Kto mógł to zrobić?

— Nie mam pojęcia. Może ktoś, kto miał ich dosyć? Tam zawsze dużo się działo. Albo śpiewali, albo ktoś z tej hołoty, którą dokarmiali, wszczywał kłótnię. Czasem robiono im na złość. Ludzie są straszni.

— Była pani tam kiedyś?

— Nie — powiedziała starsza pani i wydmuchała dym.

— Mam inne zajęcia.

— Wie pani, co się stało z tymi, którzy przeżyli? Dokąd się przenieśli?

— Nie, ale powinni byli wrócić i sprzątnąć po sobie ten bałagan. Do czego to podobne?!

Ravn pożegnał się ze starszą panią i ruszył Amagerbrogade. Po drodze wysłał SMS-a do Eduarda, żeby się dowiedzieć, o której może się go spodziewać. Chodziło mu oczywiście o wydrukowane pliki. Miał nadzieję, że będzie w nich coś o pożarze, chociaż niewykluczone, że do pożaru doszło już po tym, jak Benjamin zakończył swoją misję. Tak czy inaczej, Ravn zamierzał się dowiedzieć, kto wtedy zginął, by móc wykluczyć, że był to Jakob. Po chwili Eduardo odpowiedział mu, że będzie w domu dopiero wieczorem, ale pamięta o wydrukach.

Ravn szedł dalej ulicą, na której ruch w południowym żarze wystawiał na próbę cierpliwość kierowców. Wrócił pamięcią do pożaru. Musiało to być dość spektakularne wydarzenie. Niewykluczone, że dziennikarz, który o tym pisał, mógł coś zapamiętać. Sprawdził w Internecie numer telefonu do redakcji lokalnej gazety, „Amager Bladet”. Wybrał go i po chwili usłyszał w komórce głos recepcjonistki; szybko wytłumaczył jej, o co mu chodzi.

— Chwileczkę — odpowiedziała i przełączyła go do redakcji. Następne pięć minut spędził z komórką przy uchu, w końcu usłyszał po drugiej stronie bardzo zmęczony głos dziennikarza.

Szybko wprowadził go w sprawę. Powiedział, że szuka osoby, która trzy lata temu pisała o pożarze przy Belgiensgade, w którym podobno nawet ktoś zginął.

— Chodzi o siedzibę pewnej organizacji chrześcijańskiej. Mówi to panu coś?

— Tak, pamiętam tę sprawę — powiedział dziennikarz. Ravn słyszał, jak ziewa. — Ale to było chyba na Frankrigsgade.

— Nie, na Belgiensgade, a organizacja nazywała się



Wybrańcy Boga.

— Nazwa nic mi nie mówi, ale pożar pamiętam. Chociaż to nie ja o nim pisałem. Powinien pan skontaktować się z Tagem, niestety, jest na urlopie — powiedział dziennikarz i się roześmiał.

— Nie wie pan, czy w redakcji są egzemplarze numeru z opisem pożaru?

— Na pewno nie. Kiedy redakcje lokalnych gazet zostały połączone, wszystkie artykuły trafiły do wspólnej bazy. Ale proszę poszukać w bibliotece w Tårnby. To tam odsyłamy wszystkich historyków, którzy do nas dzwonią.

— Mają tam numery „Amager Bladet”?

— Tak, przynajmniej tak sędzę.

Ravn zatrzymał taksówkę. Miał nadzieję, że dziennikarz się nie mylił. Usiadł na tylnym siedzeniu i sprawdził, czy ma przy sobie dość pieniędzy. Gdyby był sam, pojechałby autobusem, ale Møffe nie przepadał za publicznymi środkami transportu, natomiast uwielbiał jazdę samochodem. Wystawiał łeb przez otwarte okno i przyglądał się mijającym ich rowerzystom.

Dziesięć minut później zatrzymali się przed głównym wejściem biblioteki przy Kamillevej. Ravn zapłacił kierowcy, wszedł do środka razem z psem, podszedł do recepcji i poprosił o kontakt z którymś z bibliotekarzy. Najwyraźniej dziennikarz miał rację, biblioteka była w posiadaniu bogatego zbioru historycznego. Bibliotekarka, szczupła kobieta z ogromnym wisiosem z bursztynu na szyi, poinformowała go, że w archiwum znajdują się materiały dotyczące całej gminy.

— Łącznie z okolicznymi wsiami: Ullerup, Tømmerup, Maglebylille i wyspą Saltholm. Archiwizujemy wszystko: zdjęcia, taśmy, obrazy, mapy, lokalną literaturę, archiwa firm, ulotki związkowe, rysunki budynków, miejscową prasę...

— Także „Amager Bladet”? — wtrącił Ravn.

— Oczywiście. Wszystkie egzemplarze są do przejrzenia w piwnicy — powiedziała kobieta i odgarnęła grzywkę z czoła.  
— Są też na mikrofilmach, jeśli ktoś woli.

— Więc poproszę wersję filmową — powiedział Ravn z uśmiechem.

Bibliotekarka się zarumieniła.

— Wersję filmową — powtórzyła, chichocząc.

Pięć minut później siedział przed skanerem w pokoju na najwyższym piętrze i czekał, aż bibliotekarka przyniesie z piwnicy mikrofilmy. Poza nim i starszym małżeństwem, siedzącym nieco dalej przy stole konferencyjnym, w dużym, jasnym pomieszczeniu nie było nikogo. Małżeństwo kartkowało książki parafialne i robiło notatki w notesie formatu A4.

W drzwiach pojawiła się bibliotekarka, trzymała w rękach karton z mikrofilmami. Była na nich utrwalona zawartość wszystkich wydań „Amager Bladet” z lat 2011 – 2013. Kobieta włożyła pierwszą taśmę do skanera i pokazała Ravnowi, jak ma ją później wymienić na następną. Ravn podziękował za pomoc i zaczął obracać koło przesuwające taśmę. Na ekranie pojawiły się pierwsze strony gazety. Po chwili opanował obsługę skanera i przeglądanie taśm szło mu sprawniej. Przed jego oczami przesuwała się cała historia tej części miasta. Artykuły dotyczyły nowo otwieranych sklepów i tych, które właśnie zamykały podwoje, a także miejscowych polityków — jedni nie dotrzymywali obietnic, innych wybierano na kolejne kadencje. Pisano o problemach w opiece nad osobami starszymi, o utalentowanych młodych sportowcach i o zaginionych zwierzętach domowych, które zostały odnalezione przez właścicieli. Tytuły na pierwszych stronach zawsze brzmiały dramatycznie. Najczęściej dotyczyły planowanego zamknięcia przedszkola, szkoły czy domu opieki. Niekiedy pisano też o przestępczości, głównie o włamaniach i kradzieżach, czasem zdarzało się zabójstwo. Po przejrzaniu większości wydań z 2011 roku był pewien, że artykuł o pożarze na pewno będzie głównym tematem dnia, więc raczej go nie przeoczy. Dwadzieścia minut później, kiedy przejrzał już połowę mikrofilmów, jego przypuszczenia się potwierdziły. „Wolny Kościół w płomieniach” — krzyczał nagłówek na trzeciej stronie gazety. Pod tytułem

zamieszczono zdjęcie, na którym widać było wozy strażackie i strażaków walczących z płomieniami. Autor artykułu pisał, że do pożaru doszło około godziny dwudziestej drugiej trzydzięci. Przyczyną był prawdopodobnie niedopałek papierosa, od którego zapaliła się kanapa. W pożarze zginął mężczyzna, którego tożsamości policji wciąż jeszcze nie udało się ustalić. Ludzie, zebrani na nabożeństwie w lokalu obok, stosunkowo późno zauważyli ogień. Dopiero gdy płomienie wyszły na zewnątrz, wezwano pomoc. Kiedy przybyła straż pożarna, budynek był już nie do uratowania. Niżej zamieszczono zdjęcie dwóch strażaków, którzy nieśli nosze. Z podpisu pod zdjęciem wynikało, że wiele osób trafiło do szpitala na obserwację z powodu zaczadzenia. Ani policja, ani straż nie miały wątpliwości co do przyczyny pożaru, ale z jej ogłoszeniem czekano na wyniki badań technicznych oraz na identyfikację ofiary, co powinno nastąpić w ciągu kilku najbliższych dni.

Ravn przesunął film do kolejnego wydania gazety, ale nagle taśma się skończyła.

— Szlag! — wymknęło mu się. Odwrócił się w stronę małżeństwa i spojrzał na nich przepraszająco.

Sięgnął po kolejną taśmę i włożył ją do skanera. Przesunął kilka pierwszych obrazów i zaczął przeglądać tekst. Dopiero na przedostatniej stronie, tuż nad życzeniami z okazji urodzin i rocznic, znalazł notatkę o pożarze. Straż pożarna stwierdziła, że powodem pożaru był papieros, od którego zapaliła się kanapa, po czym pożar rozprzestrzenił się do innych pomieszczeń. Ofiarą pożaru padł pięćdziesięciosiedmioletni Ove Nielsen, bezdomny, który uczestniczył we wspólnym posiłku, po czym położył się, żeby odpocząć, podczas gdy pozostali członkowie wspólnoty udali się na nabożeństwo. Po przesłuchaniu kilku świadków zdarzenia policja uznała sprawę za zakończoną.

Ravn przesunął taśmę, chciał sprawdzić, czy w kolejnych numerach gazety znajdzie informację o tym, dokąd przeniosła się wspólnota. Nic nie znalazł, w końcu się poddał i już miał wyłączyć skaner, gdy nagle jego uwagę przykuło jedno zdjęcie.

Przekręcił pokrętło i cofnął film. Kiedy na ekranie pojawiła się ziarnista fotografia, zatrzymał taśmę. Zdjęcie zostało zrobione przed kościołem Zbawiciela. Przy wejściu widać było tłumnie zgromadzonych ludzi. Gdzieś w środku zdjęcia Ravn zobaczył siebie. Wychodził z kościoła, obok niego szedł Johnson, za nimi ojciec Evy i jej brat. Nieśli trumnę z ciałem, na zdjęciu widać było też otwartą klapę karawanu. Przełknął ślinę. Pamiętał ten dzień jak przez mgłę. Dużo ludzi chciało się pożegnać z Evą, wielu z nich w ogóle nie znał. Sprawa była szeroko komentowana w mediach. Młoda adwokatka, która zawsze chętnie pomagała słabszym, została zamordowana, podczas gdy jej narzeczony, funkcjonariusz policji, był w pracy. Takie historie trafiały do ludzkich serc, a jego miało zaraz pęknąć, po raz kolejny. Musiał szybko stąd wyjść. Wstał i ruszył do drzwi. To wszystko była jego wina. Po co zaangażował się w to dochodzenie? Powinien był poświęcić uwagę innej sprawie. Sprawie, która zawsze będzie go prześladować. Nieważne, ile innych spraw rozwiąże, tę zabierze ze sobą do grobu. Czuł, że musi się napić. Ugasić pragnienie i utopić myśli. Natychmiast!

## 23.

Ravn ruszył ulicą Overgaden Neden Vandet w stronę przystani, gdzie cumowała „Bianca”. Szedł w pewnej odległości od nabrzeża. Już z daleka zauważył niewielki maszt z latarnią na samej górze, a tuż pod nią kopułę radaru. Jak wiele razy wcześniej, kiedy wypił nieco za dużo i miał problem z trafieniem do domu, maszt pełnił funkcję drogowskazu.

Świadomie unikał Wydry Morskiej, a przede wszystkim samego Johnsona. Odbił więc rundkę po okolicznych knajpach. Zaczął od Kanalbodegaen, potem przyszła kolej na Eiffel Bar, zajrzał też do Skipperkroen i do paru innych, których nazw już nie pamiętał, ale nikt go tam nie znał i mógł sobie spokojnie pić. Dotarł do „Bianki” i usiadł na nabrzeżu. Møffe natychmiast wskoczył mu na kolana. Trzymając jedną ręką psa, a drugą opierając się o reling, udało mu się po jakimś czasie szczęśliwie zejść na pokład.

— Całkiem ambitne przedsięwzięcie — usłyszał głos w ciemnościach.

Postawił psa na pokładzie i spojrzał na kobietę, która stała oparta o reling.

Møffe pomerdał ogonem i podszedł do Katrine, ale tym razem nie miała dla niego żadnych smakołyków. Wrócił więc i wślizgnął się do kajuty przez uchylone drzwi.

— Późnoo pracujesz — powiedział Ravn, starając się brzmieć trzeźwo.

— No cóż.

— Co tu robisz? — Oparł się o ścianę kajuty, starając się z całych sił utrzymać równowagę.

Katrine zrobiła kilka kroków w jego kierunku.

— Byłam w sąsiedztwie i pomyślałam, że zajrzę i dowiem

się, jak ci idzie dochodzenie. A ponieważ cię nie było, postanowiłam zaczekać.

— Rozgość się, proszę — powiedział Ravn i wskazał na białe plastikowe krzesła, stojące na pokładzie.

Katrine nie ruszyła się z miejsca; patrzyła na niego z aroganckim uśmiechem przyklejonym do ust.

— Twój sąsiad tu wpadł, ten dziennikarz. Przydźwigał jakąś stertę papierów.

— Świetnie. Próbował cię podrywać?

— Jeśli nawet, to tego nie zauważyłam.

— Chyba nie jesteś w jego typie. Woli takie bardziej romantyczne, łagodne.

Katrine nadal się uśmiechała.

— Jak ci idzie dochodzenie?

— Jeśli dobrze pamiętam, mam czas do poniedziałku. Nie za wcześnie na takie pytania?

— Coś mi mówi, że nawet jeszcze nie zacząłeś.

— Jestem w trakcie, kontroluję sytuację.

— Znalazłeś adres?

Ravn skinął głową.

— Znalazłem, ale dom spłonął.

— No, to przynajmniej czegoś się dowiedziałeś. Miałam na myśli jego nowy adres.

Ravn poczuł, że nogi mu się nieco rozjeżdżają, ale starał się utrzymać w pionie.

— Dlaczego Mesmer chce odnaleźć syna?

— Już ci mówiłam. Chce ponownie nawiązać z nim kontakt.

— Tak, ale dlaczego? Nie sprawia wrażenia osoby sentymentalnej, jeśli chcesz poznać moje zdanie.

— Nie chcę. Kiedy możemy oczekiwać odpowiedzi na pytanie o miejsce pobytu Jakoba?

Ravn wzruszył ramionami i próbował skupić wzrok na jej twarzy.

— Dlaczego nie powiedzieliście mi, że dom wspólnoty spłonął?

Katrine wzięła głęboki oddech.

— Skup się na swoim zadaniu, zamiast zajmować się rzeczami, które nie mają nic wspólnego ze sprawą. Tak będzie prościej. Znajdź Jakoba, a potem będziesz mógł się upić do nieprzytomności.

— Mam dosyć. Zrywam umowę. — Ravn prześlizgnął się obok Katrine i opadł ciężko na plastikowe krzesło.

— Przemawia przez ciebie alkohol?

— Nie, sam przemawiam. Nie musicie mi nawet płacić za czas, który wam poświęciłem. Po prostu zabieraj się stąd.

— Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem — powiedziała Katrine i podeszła do niego.

— Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć dlaczego — odpowiedział, nie patrząc na nią.

— Jestem pod wrażeniem, że tak długo wytrzymałeś. Tego nie przewidziałam, nawet w najśmielszej wyobraźni. Dwa dni były bez zarzutu. To dużo, jak na kogoś takiego jak ty.

— Kogoś takiego jak ja? Czyli kogo?

— Frajera, który zawsze przegrywa.

— Bardzo zabawne. Jeśli za to Mesmer ci płaci, to jesteś tego warta.

— Ferdinand Mesmer płaci mi między innymi za doradztwo. A ja radziłam mu, żeby trzymał się od ciebie z daleka.

— Mam wrażenie, że nie bardzo cię słucha. Dlaczego? Czyżby ci nie ufał?

— Niestety, Ferdinand Mesmer ma niekiedy zbyt miękkie serce, szczególnie jeśli chodzi o beznadziejne przypadki. Do takich należy również sprawa jego syna.

Ravn podniósł głowę i spojrzał na nią.

— Co wiesz o Jakobie Mesmerze?

— To, co sam będziesz mógł przeczytać w raporcie.

— Zapomniałaś, że już się z tego wypisałem?

Katrine udała, że go nie słyszy.

— Jakob Mesmer zawiódł ojca. Jego usprawiedliwieniem był Bóg. Jakie jest twoje? — spytała.

— Na pewno nie równie dobre.

— Pewnie to, którego zawsze używasz.

— Czyli?

— Zabójstwo żony. Mam rację?

— Skończ, dopóki jeszcze możesz.

— Dlaczego? Nie mam racji? Kiedy jest ci trudno, zawsze po nie sięgasz.

— Powiedziałem: przestań.

— Niewiarygodne, co można zrzucić na barki zmarłych.

Zanim Katrine zdążyła zareagować, Ravn wstał z krzesła, jedną ręką chwycił ją za szyję, drugą pchnął. Zrobiła trzy kroki do tyłu i uderzyła całym ciężarem ciała o drzwi kajuty. Zamknęły się z hukiem.

— Nie zdążyliśmy się pobrać — wycedził przez zęby.

— Jeśli jeszcze raz o niej wspomnisz, wylądujesz na łopatkach. Nie ma znaczenia, że jesteś kobietą.

Zobaczył, jak jednym ruchem dłoni wysuwa pałkę teleskopową, poczuł uderzenie w skroń i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Upadł na pokład jak kłoda. Natychmiast to wykorzystwała, uderzyła go pałką w kolano, miękka chrząstka poddała się. Zawył i chwycił się za nogę.

— Jeśli jeszcze kiedykolwiek mnie tkniesz, będzie to ostatnia rzecz, którą zrobisz w swoim gównianym życiu. — Zaczęła kasłać, chwyciła się za gardło. — Jeśli rzeczywiście chcesz odejść, musisz oddać mi raport, płytkę i tę stertę papieru, którą wydrukował twój przyjaciel.

— Mam cię gdzieś — wystękał obolały Ravn.

Trafiła go z chirurgiczną precyzją, wiedział, że nie da rady się podnieść.

— Przyłóż lód, to jutro będziesz mógł chodzić. A teraz poproszę raport. — Złożyła pałkę i schowała ją do wewnętrznej kieszeni.

— Wynoś się z mojej łodzi. I nie pokazuj się tu więcej.

Katrine pokiwała głową.

— Rozumiem, że to znaczy, że dalej dla nas pracujesz?



Skinął głowę. Katrine wyciągnęła do niego dłoń, chciała pomóc mu wstać, ale zignorował ją.

— Wciąż tu jesteś?

Po chwili usłyszał, jak schodzi na nabrzeże.

— Tempo, Kruk, tempo — zawołała na odchodne.

Po jej odejściu Ravn jeszcze długo leżał, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo nad sobą. Kolano pulsowało, czuł, że jest spuchnięte. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek dostał taki wycisk od dziewczyny. Owszem, zdarzało mu się oberwać, ale zawsze od facetów: rockersów, psychopatów czy innych świrów ćwiczących sporty walki. Nigdy od dziewczyny. Od pierwszego spotkania wiedział, że ma przy sobie broń, ale fakt, że była to pałka teleskopowa, zaskoczył go. Bo pałka wymagała zarówno doświadczenia, jak i finezji. Okazało się, że miała i jedno, i drugie. Jeśli dodać do tego jej wybuchowość, była to bardzo niebezpieczna znajomość. Kobieta przerażała go, a jednocześnie fascynowała.

## 24.

Kiedy Ravn obudził się następnego ranka, niemal nie był w stanie oprzeć się na nodze. Kuśtykając, zabrał się do robienia śniadania dla siebie i Møffego. Powinien był jej posłuchać i od razu przyłożyć lód, ale on po prostu poszedł spać. Kolano było spuchnięte, jakby miał pod skórą piłeczkę tenisową. Jedynym plusem było to, że ból odwracał jego uwagę od kaca, który rozsadzał mu głowę. Postanowił wyłączyć radio tranzystorowe, mrużące coś w kącie, ale nagle muzyka się zmieniła, ktoś puścił Huey Lewis and the News. Zostawił więc radio włączone, nucąc stary przebój *I Want a New Drug*. Mimo wczesnej pory w kajucie panował niemiłosierny upał; usiadł na tylnym pokładzie z filiżanką kawy i stosem papierów, które wydrukował mu Eduardo. Chciał podziękować mu za trud, ale sądząc po zamkniętych drzwiach kajuty, przyjaciel poszedł już do redakcji.

Zaczął przerzucać papiery: patrzył na daty i szukał ostatnich zapisków Benjamina. Wyglądało na to, że gdzieś w połowie Benjamin przestał datować notatki. Albo o tym nie pamiętał, albo uznał, że nie ma to znaczenia. Końcowa część sprawiała wrażenie czysto przypadkowych zapisków, charakter notatek się zmienił, w wielu miejscach trudno było dostrzec jakikolwiek sens. Bardzo się różniły od rzeczowych zapisków z pierwszej części raportu. Benjamin spisywał teraz przede wszystkim swoje rozmyślenia na temat życia, Ewangelii, czyśćca i dnia Sądu Ostatecznego.

Będą znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach, a na ziemi trwoga narodów bezradnych wobec szumu morza i jego nawałnicy. Ludzie będą mdleć ze strachu, w oczekiwaniu wydarzeń zagrażających ziemi. Albowiem moce niebios zostaną wstrząśnięte. Wtedy ujrzą Syna Człowieczego, nadchodzącego w obłoku z wielką mocą i chwałą.

Wychwalał też Pana i Wybrańców Boga, a przede wszystkim Jakoba Mesmera, jako prawdziwego przywódcę.

Chwalmy nasze szczęście, bo została nam dana możliwość pójścia za Panem. Dziękujmy za dar, który został nam objawiony. Skłaniajmy głowy przed naszym Pasterzem. Dzięki Ci, że dałeś nam Jakoba Mesmera, który wskazuje nam drogę do ogrójca. Chwalmy Pana, Alleluja. Dziękujmy Mu za Wybrańców Boga.

Ravnowi trudno było sobie wyobrazić, że te zapiski są autorstwa tej samej osoby, która sporządziła raport. Zastanawiał się, co sprawiło, że Benjamin tak radykalnie zmienił poglądy. Jego rozwój duchowy niepokoił Ravna, wręcz go przerażał. Wrócił do początku raportu. Zauważył, że ostatnią datowaną notatkę Clausen spisał kilka miesięcy przed pożarem. Jej tekst był rzeczowy i konkretny, tak jak notatki z początkowej części raportu.

Benjamin pisał, że poprzednie tygodnie minęły na wzajemnym poznawaniu się. Chociaż nauczyciele podkreślali, że życie uczniów przed wstąpieniem do wspólnoty nie miało żadnego znaczenia, to jednak przy różnych okazjach, czy to podczas sprzątania, prac w ogrodzie, czy podczas sporządzania posiłków, wypływały różne informacje. Benjamin zaczął więc notować szczegóły z wcześniejszego życia uczniów. Kilka młodszych dziewcząt pochodziło z porządnych, chrześcijańskich domów. Ich przystąpienie do Wybrańców Boga miało charakter raczej młodzieżowego buntu. Inni uczestnicy kursu pochodzili z podobnych wspólnot i Kościołów, ale szukali nowych inspiracji i bardzo chcieli poznać Jakoba Mesmera. Była też grupa ludzi, których Benjamin określał mianem uciekinierów. Często osoby te zostawiły za sobą nieudane małżeństwo, przemoc, nałogi czy cierpienie psychiczne — na przykład jednonogi Patrick. Mężczyzna był żołnierzem, wrócił z prowincji Helmand w Afganistanie bez lewej nogi i z zespołem stresu pourazowego. Na szczęście na stacji kolejki podmiejskiej Dyssegården znalazł Boga. Gdyby nie to, kilka sekund później rzuciłby się pod wagon kolejki linii B, jadącej w kierunku Høje Taastrup. „To Jezus podciął mi nogi, i tę zdrową, prawą, i lewą, tę aluminiową, tak że

przewróciłem się na peronie i nie zdążyłem rzucić się pod wagon”, powiedział Benjaminowi. „Jezus daje nam czasem nieźle popalić”, dodał jeszcze.

Benjamin pisał też o Lise. Po wspólnej misji na Østerbro bardzo się do siebie zbliżyli. Opowiedziała mu o swoich pobytach w szpitalu psychiatrycznym w Nordvang, pokazała ręce, pełne poprzecznych białych blizn. „Mapa koszmaru mojego dzieciństwa”, jak to określiła. Teraz jednak żylutki i pigułki należały do przeszłości, zastąpiło je życie z Jezusem.

Benjamin pisał też, że Lise, ale też inni uczestnicy kursu zaczęli wypytywać go o przeszłość. Starał się odpowiadać wymijająco, mówił, że miał trudne dzieciństwo, ale na szczęście odnalazł drogę do Boga. Twierdził, że najbardziej nachalny jest Patrick. Wymijające odpowiedzi Benjaminą wzbudziły jego podejrzenia, którymi podzielił się z nauczycielami. W każdym razie oni też zaczęli wypytywać o jego przeszłość i powody, dla których chciał zostać członkiem wspólnoty. Benjamin starał się zachować milczenie, ale jak pisał w raporcie, było to coraz trudniejsze. Bał się, że zostanie zdemaskowany, poza tym w ogóle czuł się jak „podlec”. Tak Lise określiła kiedyś swojego byłego chłopaka, który nie tylko ją zdradził, ale też wyczyścił jej konto.

Paranoja kierownictwa Wybrańców Boga przybrała na sile, kiedy prasa znów zaczęła się nimi interesować. Benjamin nie wspomniał w raporcie, o jakie konkretnie gazety chodziło. Pisał natomiast, że pewnego ranka przyjechał na zajęcia na rowerze i zobaczył grupę nauczycieli dyskutujących głośno z dziennikarzem, który razem z fotografem stał w ogródku przed budynkiem wspólnoty. Dopytywał się, czy ludzie przebywają tu z własnej woli. Powtarzał kilkakrotnie pytanie. Pytał też o pranie mózgu i o miejsce pobytu ich przywódcy, Jakoba Mesmera. W końcu dziennikarz razem z fotografem zostali wyprowadzeni poza teren wspólnoty.

Artykuły w gazetach przyczyniły się do spadku liczby członków organizacji. Nie tylko w ośrodku na Belgiensgade, ale też w innych miejscach. Były piłkarz drużyny krajowej, którego

Benjamin widział podczas jednego z pierwszych spotkań, zrezygnował z członkostwa we wspólnocie, którą określił jako sekciarską. Jakoba Mesmera nazwał „niebezpiecznym uwodzicielem wykorzystującym słabych ludzi”. Następnego wieczoru po ukazaniu się jego wypowiedzi członkowie wspólnoty modlili się za niego, bo „nie wiedział, co czyni”.

Kilka stron dalej Benjamin pisał, że dowiedział się, że ostatnio zamknięto kilka ośrodków wspólnoty na Jutlandii i na Fionii. Zdarzyło się to w czasie, gdy pojawiły się pierwsze plotki o powrocie Jakoba Mesmera. Wkrótce potem kierownictwo wezwało członków wspólnoty, by przekazać im ważną wiadomość. Jakob Mesmer miał niedługo wrócić na Belgiensgade i trzeba było godnie go powitać. Benjamin pisał, że ludzie przyjęli wiadomość entuzjastycznie, a w następnych dniach mniej czasu poświęcano apostołom i ich przesłaniu, więcej zaś praktycznym sprawom związanym z powrotem Jakoba Mesmera. Perspektywa jego powrotu bardzo ożywiła Lise. Ponieważ kierowała chórem, zlecono jej wybranie piosenek na powitanie Jakoba. Pewnego dnia pojawiła się w nowej fryzurze; nie dość tego — ufarbowała też włosy. Chociaż Benjamin opisywał jej przemianę w dość neutralny sposób, to w jego słowach wyczuwało się pewną zazdrość.

Przyjechał dzisiaj. Jakob Mesmer. Na tylnym siedzeniu czarnego audi. Jest dość potężnej postury. Miał na sobie białą koszulę i białe spodnie. Często się uśmiecha. Uścisnął nam wszystkim dłonie, jakbyśmy byli oczekującymi na niego dyplomatami. Ma mocny uścisk dłoni, a jego zęby są równie białe, jak koszula. «Błogosławiony bracie. Błogosławiona sestro. Niech Pan w tym dniu błogosławi wam wszystkim», tak brzmiały jego pierwsze słowa. Wszyscy byli wniebowzięci. Niektórzy płakali z radości. Tove, jedna z uczennic, chciała rzucić mu się do stóp, ale Jakob chwycił ją i uścisnął. Ludzie mieszkający po drugiej stronie ulicy gapili się na nas z okien, nie bardzo wiedząc, co się dzieje i kto przyjechał. Ale okazało się, że to wszystko było niczym w porównaniu z...

\*\*\*

Ravn zrobił przerwę w lekturze; sięgnął po kubek z kawą. Muzykę w tle zastąpiły wiadomości. Słuchał ich jednym uchem, przyglądając się dwóm kajakarkom, które właśnie przepływały obok. Były w wyjątkowo dobrej formie. Pomyślał, że powinien zadbać o kondycję. Pod koniec wiadomości spiker poinformował, że tego dnia o godzinie czternastej, po nabożeństwie w Holmens Kirke, odbędzie się pogrzeb asystenta kryminalnego, René Mørka, który zginął w zeszłotygodniowym nalocie policji na nielegalny klub. Udział w uroczystościach zapowiedziało wielu policjantów, spodziewano się też wielu zwykłych obywateli, którzy w ten sposób będą chcieli oddać cześć funkcjonariuszowi. Potem nastąpiła prognoza pogody. Jeszcze więcej słońca. Jeszcze więcej ciepła. I zakaz kąpieli w Sundzie z powodu zwiększonej ilości alg.

Kościół leżał po drugiej stronie mostu Knippelsbro, niecały kwadrans drogi spacerem od nabrzeża, i Ravn zaczął się zastanawiać, czy nie powinien się tam wybrać, nawet jeśli znał René jedynie z opowiadań Mikkela. Chłopak był nowy i w zapale popełnił błąd, za który przyszło mu zapłacić życiem. Los bywa okrutny. W rozgrywce z Kaminskim nie można było popełnić błędu. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, René pewnie nadal by żył. Ale nad takimi rzeczami nikt nie ma władzy. Nazywają to losem albo pechem. A może René tego dnia rzeczywiście nie był w stanie nic zrobić, żeby uniknąć śmierci? Może wszystko zostało wcześniej zaprogramowane? Podobnie jak wtedy, kiedy Eva weszła do mieszkania. Może w świecie potrzebna jest dawka zła, żeby reszta mogła funkcjonować normalnie? Może to rodzaj wentylu bezpieczeństwa dla szaleństwa? Kac Pana Boga?

Wstał, zebrał papiery, wziął je ze sobą do kajuty i położył na stole. Opowieść Benjamina o zmartwychwstaniu Jakoba Mesmera musiała zaczekać.

## 25.

Tłum przed dawnym kościołem Marynarki Wojennej był większy, niż się spodziewał. Przyglądał się z daleka ciemnemu morzu galowych mundurów, przemieszczających się w stronę drzwi kościoła, w którym miało się odbyć nabożeństwo. Zabójstwo René Mørka wzmocniło ducha wspólnoty i kazało na chwilę odsunąć na bok wzajemną rywalizację i wszelkie podziały. Bolesna strata wzmocniła poczucie zintegrowania.

Do środka zaczęli wchodzić funkcjonariusze w mundurach, za nimi ruszyli cywile. Niektórzy wiedzeni współczuciem, inni ciekawością, była wśród nich także spora grupa emerytowanych policjantów, których serca przy tej smutnej okazji zapewne były mocniej niż zwykle. Ravn nie zamierzał uczestniczyć w nabożeństwie. Zbyt silne były wspomnienia tego, które odprawiono za Evę. Został więc na zewnątrz razem z fotografami prasowymi i turystami, którzy przypadkowo właśnie przechodzili obok.

Po jakimś czasie zaczęły bić dzwony i drzwi kościoła się otworzyły. Reporterzy zaczęli się tłoczyć wokół karawanu stojącego na podjeździe, a kiedy pojawił się kondukt z białą trumną, rozległ się szum kamer. Po raz kolejny Ravn powrócił myślami do pogrzebu Ewy.

Po kilku minutach na placu zaroilo się od umundurowanych gości, ludzie stali w niewielkich grupkach, czekając, aż karawan z trumną odjedzie. Ravn dostrzegł Mikkela, który stał razem z Melbym, inspektorem Braskiem i jeszcze kilkoma kolegami z komendy. W tym samym momencie Mikkel zobaczył Ravna. Przeprosił kolegów i ruszył w jego stronę. Brask i Melby też musieli go zauważyć, ale żaden z nich nawet go nie pozdrowił.

— Jak leci? — spytał Ravn, wskazując głową na temblak

Mikkela.

— W porządku.

— Wróciłeś do pracy?

— Powoli wracam. Siedzę nad papierkami i czasem stukam coś jednym palcem — powiedział Mikkel i ręką na temblaku zademonstrował Ravnowi swoje ograniczenia.

— Zawsze tak pisałeś — powiedział Ravn, uśmiechając się dobrotliwie.

Mikkel też się uśmiechnął. W tym momencie karawan przejechał przez otwartą bramę i obaj ruszyli w stronę wozu.

— Ładna uroczystość — odezwał się Mikkel. — Nawet Braskowi udało się powiedzieć coś rozsądnego.

— Zdecydowanie tak — przytaknął Ravn.

Mikkel spojrzał na niego.

— Nie było cię w środku, prawda?

Ravn wzruszył ramionami.

— Byłem tam duchem. Dobrze znów widzieć cię na nogach.

— Dzięki. Dlaczego przyszedłeś?

— Żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Miałem nadzieję, że wpadnę na ciebie.

Mikkel uśmiechnął się krzywo.

— Nie zajmuję się już sprawą Kaminskiego, jeśli o to ci chodzi.

— W ogóle?

— Kaminski siedzi za kratkami na najwyższym piętrze aresztu. Jedynie wybrane osoby mają prawo go przesłuchiwać. Mnie na tej liście nie ma.

— Ale w jakimś momencie muszą was chyba dopuścić?

— Wątpię. Kiedy wydział zabójstw, grupa robocza i służby skończą przesłuchania, niemiecka policja, szwedzkie Säpo i cały szereg innych europejskich władz policyjnych zażąda wydania go.

— A co z Braskiem? Nie wystąpi w imieniu działu? — Ravn wskazał na inspektora policji, który stał odwrócony do niego plecami.

— Nie podniecaj się tak.



— Nie możemy chyba pozwolić, żeby Kaminskiemu się upiekło?

— Nie możemy? My? Kogo masz na myśli? Jeśli dobrze pamiętam, nie pracujesz już w komendzie.

— Dobrze wiesz, kogo mam na myśli.

— Prawda jest taka, że Kaminski siedzi za kratkami i nigdy nie wyjdzie na wolność. Szykują już dla niego dawną celę Pallego Sørensen.

— Ale przecież zawarliśmy umowę. Miałeś się dowiedzieć, czy Kaminski wie, kto zabił Evę.

— Co chcesz, żebym zrobił? — Na twarzy Mikkela malowała się desperacja. — Ta sprawa mnie przerosła. Nic więcej nie jestem w stanie zrobić. — Spuścił głowę i wbił wzrok w ziemię. — Powiem ci szczerze: muszę to sobie odpuścić — powiedział cicho. — Dorthe bardzo się martwi. Chce, żebym odszedł z policji.

— I odejdziesz?

Mikkel spojrzał na niego.

— Nie, ale muszę iść dalej. Nie mogę bez przerwy myśleć, że równie dobrze to mogłem być ja. Nie rozumiesz tego?

Ravn pokiwał głową.

— Jasne. Uważaj na siebie — powiedział, pociągnął za smycz i się odwrócił.

— Ravn — zatrzymał go Mikkel — cały czas spływają do nas informacje o tym, gdzie ludzie Kaminskiego przechowywali towar.

— Jaki towar?

— Głównie prochy i forszę, niekiedy też broń. Ale wczoraj pojawiło się także kilka kontenerów z towarem paserskim.

Wszystko zostało przesłane do rejestracji.

— I?

— Wiem, że to mało prawdopodobne, ale może wśród tych rzeczy jest coś z waszego mieszkania?

— Co dowodziłoby, że Kaminski wiedział o włamaniu.

— Właśnie — powiedział Mikkel i rozłożył ręce. — Czy to

coś zmieni i ułatwi nam dostęp do niego, to już inna sprawa.

Ravn pomyślał, że pewna nadzieja jest, chociaż wątpliwa, bo po co Kaminski trzymałby rzeczy skradzione ponad trzy lata temu? Ale gdyby tak było, mogłoby to być jakieś otwarcie, a to lepsze niż nic. Nie zamierzał pogrzebać wszelkich nadziei. Pokiwał głową.

— Kiedy się czegoś dowiesz?

Mikkel wzruszył ramionami.

— Odezwę się w najbliższych dniach. Obiecuję.

## 26.

Ravn zapalił lampę naftową i powiesił ją na bomie, tak że oświetlała tylny pokład łodzi. Ciepłe światło było wystarczająco silne, żeby mógł czytać raport Benjamina, a jednocześnie dym odstraszał komary.

Z raportu wynikało, że Jakob Mesmer zamieszkał na stałe w budynku wspólnoty przy Belgiensgade. Razem z kilkorgiem ludzi z kierownictwa. Reszta nauczycieli i uczestnicy kursu mieszkali w piwnicy, gdzie urządzono wspólną sypialnię. Jakob Mesmer mieszkał na piętrze w specjalnie dla niego przygotowanym mieszkaniu, składającym się z sypialni, łazienki i gabinetu. To tutaj studiował pisma, przygotowywał kazania na wieczory biblijne i pisał książkę, już trzecią z kolei. Benjamin dodał jeszcze, że kiedy Jakob Mesmer po obiedzie udawał się do gabinetu, żeby pracować nad książką, w domu miała panować całkowita cisza. Oczywiście wszyscy musieli wykonywać powierzone im obowiązki, ale miało się to odbywać w całkowitym milczeniu.

Benjamin opisywał Mesmera jako człowieka dobrego i zawsze uśmiechniętego. Ale miał też wrażenie, że Jakob jest bardzo zmęczony. Presja mediów odcisnęła na nim piętno. Zamknięcie kilku ośrodków uznał za swoją porażkę. Natomiast podczas wieczorów biblijnych nie wykazywał żadnych oznak zmęczenia. Obecność Jakoba sprawiła, że dom był pełen ludzi. Przybywali z całego kraju, żeby słuchać jego kazań i prosić go o modlitwę. Benjamin twierdził, że nie było choroby, której Jakob Mesmer nie mógł wyleczyć, nie istniał też demon, którego nie potrafiłby wygnać z człowieka. Pewnego wieczora sprawił, że zepsuty iPhone zaczął działać, jakiejś kobiecie wyprostował nogę i wypędził demona z ciała młodego, częściowo sparaliżowanego

mężczyzny. Benjamin wszystko dokładnie opisał, ale trudno było powiedzieć, czy w to wierzył. Wydawał się bardzo pozytywnie nastawiony do Jakoba, wyraźnie odcinał się od nagonki prasy, którą uważał za niesprawiedliwą i wprowadzającą w błąd. Nie omieszkał jednak podkreślić, że wieczory biblijne, poza chwaleniem Pana, miały też aspekt finansowy. Kilka razy zdarzyło mu się słyszeć, jak Jakob Mesmer czyni wyrzuty kierownictwu, że nie potrafią zdobyć dostatecznie dużo darowizn. „Haruję ponad siły!”, krzyczał. „Walczę, żeby Słowo Boże docierało do jak największej grupy ludzi. Jedyne, co macie robić, to wyciągać ręce i przyjmować datki, ale nawet tego nie potraficie. Czyżby wasza wiara była taka słaba? Nie wierzycie już we mnie? Nie wierzycie w Ewangelię?”

Ravn zaczął właśnie czytać o wpływie Jakoba na kobiety będące członkiniami wspólnoty, kiedy usłyszał, jak ktoś wchodzi na pokład od strony dziobu. Obrócił się na krześle i zobaczył idącego w jego stronę Eduarda.

— Mam ci coś do powiedzenia — wyrzucił z siebie zdyszany.

— Nie usiądziesz? — Ravn podsunął mu krzesło i Eduardo usiadł. — Może kieliszek wina? — zaproponował. Wychylił się nieco i sięgnął do niewielkiej szafki po szklanę.

— Od kiedy pijesz wino? — spytał Eduardo.

— Od czasu, kiedy skończyło mi się piwo.

Eduardo wziął do ręki butelkę i zaczął się przyglądać etykietce.

— Reserva, no, proszę.

— Co masz mi do powiedzenia?

— *Momentito*. — Nalał sobie szklaneczkę i spróbował wina. Skrzywił się. — A niech to. Jak długo je tu trzymasz?

— Nie mam pojęcia. Nawet nie pamiętam, że je kupiłem. Może dostałem w pakiecie z łodzią? — Opróżnił szklanę.

— Smakuje jak wino.

Eduardo pokręcił bezradnie głową.

— Pewnego dnia nauczę cię pić porządne wino, *amigo*.

— Mów, z czym przyszedłeś.

— Kiedy siedziałem dzisiaj w redakcji i pracowałem nad artykułem o wyprzedzaży państwowych spółek, wpadła mi w oko informacja o planowanej fuzji.

— No, coś takiego — rzucił Ravn ironicznie i wlał sobie do szklanki resztę wina. — Miałeś szczęśliwy dzień.

— Zaczekaj, aż usłyszysz, o kogo chodzi. Sprawa dotyczy nikogo innego, jak Mesmer Resources i firmy SIALA.

— I co z tego?

— Jeśli do niej dojdzie, będą więksi niż McKinsey. Staną się niemal monopolistą na rynku implementacji strategii zarządzania w administracji publicznej.

Ravn popijał wino. Teraz, gdy Eduardo zwrócił mu na to uwagę, też czuł, że nie jest to najlepsze wino pod słońcem. Odstawił szklankę; żałował, że przyjaciel nie zachował tej uwagi dla siebie.

— To fantastyczne. — Eduardo rozłożył ręce w zachwycie.

— Fantastyczne — powtórzył Ravn bez entuzjazmu.

— Widzę, że cię to nie bierze.

— Prawdę mówiąc, nie. Nie pracuję dla firmy Mesmera, tylko dla niego osobiście. A on chce po prostu odnaleźć syna. I tyle.

— Czy ty w ogóle wiesz, czym zajmuje się jego firma?

— Oczywiście. Organizują kursy i takie rzeczy... dla szefów działów. *Big business*, który, jak słyszę, stanie się jeszcze większy.

Eduardo odchylił się na krześle i spojrzał na niego poważnie.

— Przyjrzałem się bliżej ich ofercie.

— I coś ci to dało?

— Cały ich biznes, stratyfikacja, filozofia zarządzania wpisują się w opatentowany przez nich system zwany Mesmogramem.

— Mesmogram — powtórzył Ravn z uśmiechem. — Dział marketingu zbytnio się nie wysilił, wymyślając tę nazwę.

— Może i nie, ale wiesz, kto wymyślił ten system?

— Nie mam pojęcia. Ferdinand Mesmer?

— Spróbuj jeszcze raz.

Ravn przyglądał mu się dłuższą chwilę.

— Chyba nie jego syn?

— *Correcto*. Jakob Mesmer.

— Jakob pracował w firmie, zanim spotkał Boga?

— Nie tylko pracował. Prawdopodobnie wspólnie z ojcem jest właścicielem tego, co stanowi podstawę firmy. Firmy wartej miliony, które za chwilę zamienią się w miliardy.

— Niech to szlag, tego się nie spodziewałem. — Ravn podrapał się po głowie. — Teraz rozumiem, że Mesmer rzeczywiście ma motywację, by odnaleźć syna.

— Może to dobry moment, żebyś się z tego wycofał?

— Dlaczego?

— Dlatego że nie chcesz chyba mieć do czynienia z takimi ludźmi? To może być niebezpieczne.

Ravn uśmiechnął się gorzko.

— Czyżby socjalista postanowił opowiedzieć mi o złych kapitalistach?

— Mówię serio. Tu chodzi nie tyle o pieniądze, ile o władzę, *comprendes*? Gra toczy się o wielką stawkę.

— Nie boję się ani Ferdinanda Mesmera, ani nikogo.

— Może powinienes? A co z tym detektywem, autorem raportu?

— To znaczy?

— Gdzie jest?

— Nie mam pojęcia. Nie udało mi się z nim skontaktować. Ale przypuszczam, że czuje się dobrze, gdziekolwiek jest.

— Miejmy nadzieję. Tylko po co te wszystkie tajemnice?

— Czy to nie znak charakterystyczny tej branży?

— Tak? Jeśli Ferdinand Mesmer chciałby załatwić sprawę dyskretnie, użyłby do tego swoich adwokatów. I nie mam na myśli Lohmana, ale tych młodych wilczków, którzy z pewnością wypracowaliby jakiś rozsądny kompromis i zadbali, żeby nic nie wyciekło. Dlaczego tego nie zrobił, tylko zwrócił się do ciebie?

— Nie wiem.

— No właśnie. A zastanawiałeś się, co się stanie, kiedy wrócisz do niego z adresem Jakoba Mesmera?

— Wyluzuj, bo popadnę w paranoję. W tym momencie moim największym problemem jest to, że facet zapadł się pod ziemię.

— Ravn próbował się uśmiechnąć, ale nagle dotarło do niego, że Eduardo ma jednak trochę racji. Motywy Mesmera były bardzo niejasne. — Rzeczywiście, pogadam z nim, zanim podejmę dalsze kroki.

— Rzuć tę sprawę. Powiedz, że nie udało ci się znaleźć jego syna, i zachowaj forszę.

— To nie moje metody.

— Twój wybór. Ale cokolwiek postanowisz, uważaj na siebie. — Eduardo wstał i ziewnął. — Do jutra.

— Dzięki — zawołał za nim Ravn.

Patrzył chwilę, jak Eduardo schodzi z pokładu i kieruje się do swojego kecza. W końcu odwrócił głowę i spojrzał na kanał. Słowa przyjaciela nie dawały mu spokoju. Pomyślał o pożarze budynku wspólnoty i poparzonej dłoni Mesmera. W tym momencie trudno mu było powiązać obie te rzeczy, ale go niepokoiły. Przypomniawszy sobie odpowiedź Katrine, kiedy spytał ją, dlaczego Mesmer nie powierzył sprawy właśnie jej. Ty jesteś prywatnym detektywem, nie ja, powiedziała mu wtedy. Jaka w takim razie była jej rola w tej całej sprawie? Miała ją zakończyć, kiedy Jakob wypłynie na powierzchnię?

Młoda sekretarka w wysokich szpilkach otworzyła Ravnowi drzwi i wprowadziła go do gabinetu szefa. Ferdinand Mesmer siedział za dużym biurkiem i przeglądał dokumenty. Leniwym gestem wskazał Ravnowi krzesło przed biurkiem, nawet nie podnosząc głowy. Ravn podszedł bliżej. Idąc, minął Katrine, która siedziała na kanapie z filiżanką kawy w ręku. Uśmiechnęła się do niego swoim kocim uśmiechem.

— Jak się miewa twoje kolano?

Nie odwzajemnił uśmiechu, poszedł dalej i zatrzymał się dopiero przy samym biurku. Mesmer ponownie wskazał mu krzesło. Podniósł głowę.

— Siadaj.

Ravn przesunął krzesło i usiadł.

— Masz adres Jakoba? — spytał Mesmer niecierpliwie.

Ravn powoli pokręcił głową.

— Jeszcze nie.

— Wiec po co chciałeś się spotkać?

— Bo jesteś mi winien wytłumaczenie.

— Ja jestem ci coś winien? — Mesmer poprawił się na krześle i zmarszczył czoło. — Jakie wytłumaczenie?

— Jaki jest prawdziwy powód, dla którego chcesz odnaleźć syna?

— Już ci mówiłem.

— Nie, karmiłeś mnie kłamstwami.

Mesmer zamrugał zdumiony.

— Co takiego?

— Nie musisz odgrywać zmartwionego ojca. Lepiej powiedz mi coś więcej o fuzji, którą planujecie.

— O co ci chodzi? Dostaliśmy atrakcyjną propozycję od



jednego z naszych byłych konkurentów i negocjujemy. Możesz przeczytać o tym ze szczegółami w „Børsen”. Pisali o tym w zeszłym tygodniu. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego się złościś. I jakich kłamstw miałem ci niby naopowiadać...

— Chodzi raczej o to, czego mi nie powiedziałaś. Dlaczego nie wspomniałaś o zaangażowaniu Jakoba w pracę firmy?

— Uznałem, że to nieistotne. Nadal tak uważam.

— Jeśli chcesz, żebym dalej prowadził dochodzenie, musisz mi powiedzieć, czym Jakob zajmował się w firmie. No i dlaczego chcesz się z nim skontaktować. Jeśli nie, to kończę.

Mesmer patrzył na niego, jakby był niesfornym dzieckiem.

— Dobrze — odezwał się w końcu. — Powiedz, co chcesz wiedzieć.

— Po pierwsze, czy to Jakob rozwinął Mesmogram?

Mesmerowi drgnął kącik oka. Schylił głowę i spojrzał pustym wzrokiem na leżące przed nim papiery.

— To nie takie proste. Wbrew temu, co myślisz, troszcę się o syna, chociaż przyznaję, że sprawa ma kilka aspektów.

— Więc powiedz mi prawdę.

Mesmer pokręcił głową.

— Prawdę... Prawda jest taka, że kiedyś przyjąłem Jakoba do firmy. Po tym, jak wyleciał z psychologii. Wtedy cała firma to byłem ja z garstką doradców. Zajmowaliśmy się tym samym, czym zajmujemy się dzisiaj, tylko na mniejszą skalę. No i bazowaliśmy na systemach stworzonych przez innych: Myers-Briggs, JTI, DISC.

— Przejdź do zatrudnienia Jakoba. Razem organizowaliście kursy?

— Nie, Jakob nie był w stanie. Cierpiał na ciężką depresję i był w trakcie leczenia. Z powodu choroby musiał zrezygnować ze studiów.

— Więc czym się zajmował?

— Zatrudniłem go jako doradcę. Zajmował się różnymi praktycznymi ustaleniami w związku z kursami. Kopiował materiały dydaktyczne, sprawdzał, czy działa nagłośnienie, czy

jest dostatecznie dużo krzesel, tego typu rzeczy.

— Słyszałem, że robił jednak nieco więcej.

— Tak, kiedy jego stan się polepszył, zaczął bardziej angażować się w działalność firmy. Po roku zaczął studiować metody, które stosowaliśmy. Początkowo asystował konsultantom, z czasem jednak zaczął sam prowadzić kursy i szybko stał się jednym z najlepszych w tej dziedzinie.

— A jeśli chodzi o system, który opracowaliście?

Mesmogram.

— To był pomysł Jakoba. Nikt się tego po nim nie spodziewał. Nikt nie wiedział, czym się zajmuje po pracy. Przedstawił nam jedynie zarys przyszłego programu, ale już wtedy wiedzieliśmy, że coś z tego będzie. Uprościł procesy myślowe, na których opierały się stosowane przez nas do tej pory systemy. Jednocześnie stworzył bazę bardziej zróżnicowanego systemu profilowania niż ten, którym wówczas się posługiwaliśmy. Wymyślił też podstawy bardzo zaawansowanego systemu ocen, dającego lepsze wyniki, i to w krótszym czasie. Poza tym jego system miał niezwykły potencjał. Nie ograniczał się jedynie do zarządzania, mógł być stosowany także w psychologii, w pedagogice, prawdę mówiąc, w edukacji w ogóle, nawet na poziomie szkoły podstawowej.

— Czyli tak naprawdę to wszystko zasługa Jakoba

— powiedział Ravn, rozglądając się po gabinecie.

— To przesada. Pomysł Jakoba był przełomowy, ale był tylko pomysłem. Siedem lat trwało, zanim udało nam się wprowadzić go w życie. Pracowali nad nim najlepsi psychologowie i analitycy zarówno z McKinseya, jak i z Microsoftu. Zanim cokolwiek postanowiliśmy, dokładnie wszystko sprawdzaliśmy. Od tamtego czasu wydaliśmy niemal trzydzieści milionów koron, żeby rozwinąć i opatentować system. Nadal wydajemy spore sumy na jego rozwój. Mesmogram zyskał światową sławę i stał się marką, ale to zasługa naszych ludzi, ich ciężkiej, codziennej pracy. Planowana fuzja ma ją ułatwić.

— Dlaczego Jakob rzucił to wszystko?

Ferdinand Mesmer wzruszył ramionami.

— Taki już jest. Czasem po prostu znika, ucieka od ludzi, chowa się w sobie.

— Musiał mieć jakiś powód.

— Jak już mówiłem, realizacja jego pomysłu nie była łatwym zadaniem. Jakob ciężko nad tym pracował, na równi z innymi. Może poczuł się zmęczony? Tak czy inaczej, stawał się coraz bardziej nieznośny. Zwalniał kompetentnych ludzi, jeśli odważyli mu się przeciwstawić. Był niegrzeczny wobec naszych partnerów, także inwestorów. W końcu się poddał.

— Czyli?

— Zniknął. Z dnia na dzień musieliśmy przejąć jego zadania i ratować projekt. Zanim jednak do tego doszło, miałem z nim kilka sprzeczek. Chciał wycofać się z firmy, rzucić pracę nad Mesmogramem. — Mesmer przerwał i ciężko westchnął, ale po chwili powrócił do przerwanej wątku. — Odwrócił się plecami do rodziny. Wiele lat nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości, aż nagle objawił się w roli kaznodziei — wycedził szyderczo.

— Był religijny?

— Nie, wręcz przeciwnie. Był pragmatykiem, do wszystkiego podchodził bardzo konkretnie. Traktował religię jako przesąd.

— Więc co spowodowało tę nagłą zmianę?

— Może złe towarzystwo? — rzucił Mesmer ironicznie.

— Doprawdy nie wiem.

— Pomijając ojcowską troskę, dlaczego chcesz teraz skontaktować się z Jakobem?

Ferdinand Mesmer posłał Ravnowi spojrzenie, które miało dać mu do zrozumienia, że nie podoba mu się jego ton, ale odpowiedział na pytanie.

— Jakob zniknął z firmy z dnia na dzień i chociaż oficjalnie odżegnuje się zarówno od firmy, jak i od rodziny, formalnie nigdy tego nie zrobił.

— A teraz, jeśli fuzja ma dojść do skutku, potrzebny jest jego podpis?

— Powinien oficjalnie zrzec się praw do firmy, której obecnie jest współwłaścicielem. Oczywiście zrekompensuję mu to. Dlatego chciałbym, jeśli go znajdziesz, żebyś przekazał mu tę umowę do podpisu.

Poparzoną ręką Mesmer przesunął w stronę Ravna żółtą urzędową kopertę.

Ravn spojrział na nią, ale jej nie tknął. Mesmer wyraźnie przygotował ją wcześniej, jakby był pewny wyniku spotkania, zanim jeszcze w ogóle się zaczęło.

— Powiedziałem, że znajdę twojego syna, ponieważ sądziłem, że to ważne dla ciebie osobiście. Nie dlatego, że to dobry interes.

— To jest dla mnie ważne. Bardziej, niż przypuszczasz. Przykro mi, jeśli poczułeś się oszukany. Nie było to moją intencją. Chcę odnaleźć Jakoba i się z nim pogodzić. Ale czuję się też odpowiedzialny wobec rodziny i ludzi, którzy tu pracują, a także wszystkich, którzy w przyszłości będą czerpać z tego, nad czym dzisiaj pracujemy. — Poprawił się na krześle. — Chętnie podniosę ci honorarium. Niech to będzie rekompensatą za dotychczasowe nieporozumienia.

— Ja tak nie pracuję.

— Dobrze. — Mesmer spojrział na Ravna i uśmiechnął się.  
— Rozumiem, że nadal jesteś zainteresowany sprawą?

Ravn szedł ulicą Strandgade, w rękę trzymał kopertę, którą przekazał mu Ferdinand Mesmer. Rano był przekonany, że nie będzie już dłużej dla niego pracował, że Mesmer wynajmie kogoś innego, kto dalej poprowadzi śledztwo. Prywatnych detektywów nie brakowało, niejeden byłby gotów oddać życie za takie zlecenie. Mesmer bez problemu znalazłby kogoś bardziej doświadczonego i mniej pyskatego od Ravna. Ale mimo jego prowokacyjnego zachowania Mesmer postanowił go zatrzymać. Ravn podejrzewał, że zerwanie z Jakobem miało jeszcze inne powody, w które Ferdinand Mesmer go nie wtajemniczył. Szafa rodziny Mesmerów zapewne zawiera jeszcze wiele trupów.

Ważył w rękę kopertę. Była ciężka, proponowany kontrakt był zapewne obszerny. Musiał przyznać, że Ferdinand Mesmer potrafi rozgrywać ludzi. Do tej pory twierdził, że chodzi mu jedynie o adres Jakoba, teraz nagle Ravn stał się posłańcem. Miał skontaktować się z Jakobem osobiście. Wyjął komórkę z kieszeni i zadzwonił do Victorii.

Odebrała zdyszana.

— Co robisz?

— Ustawiam książki na półkach. Właśnie przywiozłam sześć kartonów z mieszkania zmarłego.

— Mogłabyś poszukać mi kilka tytułów z literatury fachowej?

— Nie mam już więcej egzemplarzy *Kim chcę zostać*.

— Bardzo zabawne. Interesują mnie tytuły z zakresu zarządzania oraz dotyczące Mesmogramu.

— Mesmogramu? Od nazwiska twojego zleceniodawcy, Mesmera?

— Zgadza się.

— Myślałam, że szukasz jego syna?

— Znów masz rację.

— Więc dziwię się, dlaczego szukasz materiałów o swoim zleceniodawcy.

— Niesłusznie. Myślisz, że uda ci się coś znaleźć?

— Jeśli tak, będziesz mi winien bułeczkę cynamonową.

Ravn się rozłączył. Oczywiście mógł poprosić Ferdinanda Mesmera o egzemplarz jego książki albo kupić jeden z licznych tytułów leżących na ladzie w recepcji, ale nie chciał, żeby ktoś z firmy dowiedział się o tej części jego zlecenia.

Wrócił na łódź i usiadł do lektury końcowej części raportu. Seminarium najwyraźniej dobiegało końca, pierwsi kursanci zdali już egzaminy. Wszyscy pomyślnie zaliczyli szkolenie. Tylko jedna osoba nie zamierzała kontynuować nauki. Benjamin pisał, że chociaż jego praca dla Mesmera się skończyła, to po egzaminach postanowił zostać we wspólnocie. Ponieważ kurs opłacił mu Mesmer, uważał, że ma obowiązek dalej pisać sprawozdania, chociaż czuł się z tym jak „podlec”. Może dlatego po raz kolejny podkreślił, że artykuły prasowe są niesprawiedliwe. Wspólnota działa z dobrego serca. Jakob Mesmer też zyskał jego sympatię. Benjamin wstydził się swoich wątpliwości z pierwszych tygodni pobytu we wspólnocie. Żałował, że w jednym z raportów oskarżył Jakoba o czerpanie zysków z wieczorów biblijnych. Z czasem zrozumiał, że Jakob jest bardzo oddany pracy. Wieczory biblijne okazały się sukcesem, wspólnota na Belgiensgade zyskiwała coraz więcej członków, więc wszyscy powinni się zjednoczyć wokół wspólnych zadań. Z raportu wynikało też, że Lise zamieszkała już na stałe na Belgiensgade. Razem z innymi kursantami dostała łóżko w piwnicy. Benjamin pomagał jej przy przeprowadzce i nawet zrobił tabliczkę na szafkę. Lutownicą wypalił na niej imię i nazwisko: Lise Brask. Na górze dodał jeszcze kwiatek. Ravn postanowił zapamiętać imię i nazwisko dziewczyny. Jeśli nie trafi na inny ślad, będzie miał przynajmniej tyle.

Przeszedł do następnego rozdziału, w którym Benjamin pisał, że jest mu przykro wracać wieczorami do domu i wolałby zamieszkać na stałe na Belgiensgade. Pisał też, nieco sentymentalnie, że trzy miesiące, które spędził we wspólnocie, dały mu coś, czego w ogóle się nie spodziewał. Zawdzięczał to Ferdinandowi Mesmerowi. Gdyby nie powierzone mu zadanie, nigdy by tam nie trafił. Paradoksalnie oznaczało to, że coraz trudniej było mu pisać raporty. Na dole strony widniała adnotacja: „Uważam, że może Pan być dumny ze swojego syna”.

Ravn się uśmiechnął. Wyglądało na to, że zatrudniony przez Mesmera śledczy zmienił stronę i znalazł miłość, co w zasadzie powinno prowadzić do szczęśliwego zakończenia. Ravn wstał i poszedł do kajuty po ostatnią część raportu. Z kieszeni dobiegł go dzwonek komórki. Wyjął ją i odebrał.

— Kup bułeczki cynamonowe i wpadaj — usłyszał głos Victorii po drugiej stronie.

— Znalazłaś coś o Mesmogramie?

— Znalazłam coś więcej.

— Co?

— Bułeczki cynamonowe. Z Lagkagehuset, Ravn.

Ledwie Ravn przekroczył próg antykwariatu, od razu poczuł zapach świeżo zaparzonej kawy. Victoria stała za dużą ladą sklepową i sortowała książki w kartonach. Dobra pogoda nie przysparzała klientów. Poza jednym starszym panem, w antykwariacie było pusto.

— Macie coś Salingera? — spytał mężczyzna zza półek lekko świszczącym głosem.

— Już dawno nic nie miałam. Młodzi zaczęli doceniać dawnych mistrzów.

— Przekłęta młodzież — odpowiedział z uśmiechem starszy pan i wrócił do poszukiwań.

Victoria pokiwała głową.

Ravn rzucił na ladę torbę z bułeczkami. Spojrzała na nią łakomym wzrokiem, otrzepała ręce z kurzu, wytarła je

o tweedowe spodnie i sięgnęła po stojące na półce kubki.

— Gdzie są książki?

Naląła kawę z ekspresu z tłoczkiem.

— Jesteś ślepy? Wszystkie leżą tam — skinęła głową w stronę sterty na stoliku.

Ravn wziął pierwszą z brzegu i zaczął się przyglądać niebieskiej okładce z białą figurą w kształcie gwiazdy. Książka zatytułowana była *Mesmogram — sukces rodzi sukces*. Odłożył ją i sięgnął po następne: *Mesmogram — rozwój osobisty*, *Mesmogram — dla liderów jutra*, *Mesmogram — twój partner w interesach*.

— Dlaczego Jakob Mesmer wymieniony jest jako autor tylko jednego z tych dzieł?

— To normalne. Pozostali autorzy to zapewne ludzie, którzy ukończyli odpowiednie kursy i teraz, w zamian za zrzeczenie się praw do części tantiem, wykorzystują pomysły Mesmera w innych dziedzinach. To często stosowana praktyka, jeśli chodzi zarówno o systemy zarządzania, jak i o kuracje odchudzające. I jedno, i drugie często sprzedaje się pod znanymi markami. — Victoria sięgnęła po papierową torbę i wyjęła z niej bułeczki z cynamonem.

— Czytałaś coś z tego? — spytał Ravn.

— Mam ciekawsze zajęcia — odpowiedziała z pełnymi ustami. — Jeśli przeczyta się jedną z nich, można spokojnie powiedzieć, że przeczytało się wszystkie.

Gdzieś zza półek dobiegł ich okrzyk radości. Po chwili ukazały się głowa mężczyzny i ręka z egzemplarzem *Dziewięciu opowiadań*.

— Patrzcie, kto się tu zagubił. Stary, dobry J.D.

— Niech pan nie liczy, że dostanie pan z tego powodu rabat — uśmiechnęła się Victoria. — Ale gratuluję.

Mężczyzna pokiwał głową i wrócił do poszukiwań wśród półek.

Ravn wypił łyk kawy.

— Dziękuję, że chciało ci się je wyszukać. Chyba wezmę tę,



którą napisał Jakob.

— Ale to nie jedyna, którą udało mi się znaleźć

— powiedziała Victoria i posłała mu tajemnicze spojrzenie.

— Co takiego?

— Nieco inna tematyka, ale autor jest ten sam. — Schyliła się i wyjęła książkę spod lady. — To jego szukasz, prawda?

Ravn spojrział na cienką książkę w szarej okładce. Wykonany tuszem rysunek przedstawiał gorejący krzak. Nad nim, wypisany zamaszystym pismem, widniał tytuł: *Współczesne egzorcyzmy* — *podręcznik wypędzania demonów*. Autorem był pastor Jakob Mesmer.

— Co tak naprawdę wiesz o Mesmerze i jego sekcje?

Ravn stał i oniemiały przyglądał się książce.

Ravn wziął do ręki książkę i zaczął ją kartkować. Na pierwszej stronie było zdjęcie Jakoba Mesmera. W białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem wyglądał jak młodsza wersja ojca, tylko bez brody. Patrzył na czytelnika głębokim, poważnym wzrokiem. Ravn szybko przebiegł oczami krótki wstęp, w którym Jakob Mesmer zapraszał czytelnika do lektury. Pisał, że pragnie w ten sposób wnieść wkład do walki z Szatanem. Z historycznego punktu widzenia zawsze istniała walka dobra ze złem i każda religia, czy to islam, judaizm, hinduizm, czy chrześcijaństwo, miała swoje metody walki. Nowoczesna nauka uznawała istnienie zjawiska jako takiego, ale nie nazywała go opętaniem przez Szatana. Mówiono o manii, hysterii albo depresji. Jakob podkreślał, że jedynie wiara chrześcijańska jest w stanie naprawdę pokonać Szatana, dlatego warto zapoznać się z nauką o egzorcyzmach. Każda przypadkowa próba może pogorszyć stan opętanego i przenieść jego przypadłość na osoby próbujące dokonać egzorcyzmu. Jakob zakończył wstęp cytatem z Biblii: „I zapytał go: «Jak ci na imię?». Odpowiedział Mu: «Na imię mi Legion, bo nas jest wielu»”. Ewangelia według św. Marka 5, 9.

Ravn przełożył kartkę i spojrział na spis treści. Książka była podzielona na rozdziały, każdy traktował o innym aspekcie egzorcyzmów. Jeden rozdział autor poświęcił historii, w drugim omówił konkretne przypadki, była też lista demonów z ich charakterystyką. Kilka rozdziałów Jakob przeznaczył na opis różnych rodzajów opętania. Podał przykłady zalecanych modlitw oraz relikwii i amuletów. W jednym rozdziale opisał poszczególne fazy egzorcyzmów. Podkreślił, że niekiedy wystarcza jedna sesja, ale czasem trzeba podjąć walkę, która może trwać wiele lat.

Ravn pokręcił głową.

— I co, dowiedziałeś się czegoś? — spytała Victoria i przełknęła ostatni kęs cynamonowej bułeczki.

— Niewiele. Jakob Mesmer nie przestaje mnie zadziwiać. Droga od psychologii zarządzania do zielonoświątkowców i w końcu do praktykowania egzorcyzmów nie jest taka oczywista — powiedział Ravn i zaczął czytać na głos fragmenty ostatniego rozdziału książki.

— Tu jest napisane, że aby się dowiedzieć, czy jakaś osoba jest opętana, należy się za nią pomodlić i dokonać wstępnego egzorcyzmu, by w ten sposób ustalić charakter demona i jego r o z m i a r y. — Ravn spojrział na Victorię. — Benjamin pisał w dzienniku, że wieczory biblijne zwykle kończyły się modlitwą i egzorcyzmami, ale o czymś takim nie wspominał.

— Może Benjamin nie o wszystkim wiedział? Im szybciej go odnajdziesz, tym lepiej. To wszystko wydaje mi się niezdrowe — powiedziała Victoria poważnie.

Ravn przytaknął. Świadomie nie wspominał o umowie, którą obiecał dostarczyć Jakobowi.

— Ile jestem ci winien? — spytał, chowając książkę do kieszeni kurtki dresowej.

— Zapłaciłeś za bułeczki, więc jesteśmy kwita.

Podziękował skinieniem głowy i skierował się do drzwi.

— Nie weźmiesz ze sobą pozostałych książek?

— Do diabła z nimi, to znaczy... Wiesz, co chciałem powiedzieć. Na razie.

Wrócił na „Biancę” i natychmiast zabrał się do lektury ostatniej części raportu, która powstała, zanim Benjamin przeszedł na dziwnie napuszony bełkot i zaczął wychwalać Wybrańców Boga oraz cytować fragmenty Biblii. Ravn zastanawiał się, co było przyczyną tej zmiany.

TO JEST MÓJ OSTATNI RAPORT

Dzisiaj przystąpiłem do egzaminu i go zdałem. Lise i inni kursanci udzielili mi błogosławieństwa i życzyli powodzenia. Nawet Jakob Mesmer zajrzał do klasy i nazwał mnie Człowiekiem

Ewangelii. Wygłosił krótką mowę na moją cześć, chwalił mój rozwój i powiedział, że ma wobec mnie duże oczekiwania. Byłem dumny, ale przyjąłem jego słowa z pokorą. Było mi wstyd wobec tych, których oszukałem. Dlatego to jest mój ostatni raport.

Ravn kontynuował lekturę. Czytał o kolacji, w której uczestniczyli członkowie wspólnoty. Wszyscy się dopytywali, czy Benjamin zamierza dalej studiować. Wywierali na nim presję, łagodną, ale bardzo stanowczą. Nie uległ jej, powiedział tylko, że nie podjął jeszcze decyzji. Wieczór zakończył się przy kominku w salonie, modlono się i śpiewano psalmy. W pewnym momencie Lise chwyciła jego dłoń i mocno ją uścisnęła. Wyszeptała, że jest z niego dumna, że cieszy się, że skończył kurs i że Mistrz go pochwalił. Ludzie zaczęli powoli się rozchodzić, jedni wracali do swoich pokojów, drudzy do domów. Lise spytała, czy Benjamin zostanie jeszcze chwilę. Siedzieli więc przy kominku i rozmawiali długo w noc. Najpierw o psalmach, które śpiewano wieczorem; autorką niektórych z nich była Lise. Potem mówili o Wybrańcach Boga, o tym, jakie mieli szczęście, że spotkali na swojej drodze Jakoba. Lise opowiadała o innych członkach wspólnoty, która stała się jej rodziną. Właśnie podczas tej rozmowy otworzyła się przed nim i opowiedziała mu trochę o swoim dzieciństwie. Benjamin zaznaczył w nawiasie, że nie chce tych spraw poruszać w raporcie, ale były to rzeczy straszne, jakich żadne dziecko nie powinno doświadczać. Następnie Lise po raz kolejny podziękowała mu za wsparcie, a potem razem śmieli się z różnych incydentów, które przytrafiły im się podczas pracy misyjnej. Lise zwierzyła mu się, że żaden mężczyzna nigdy jeszcze nie dał jej tyle co on i że ma nadzieję, że Benjamin jednak zdecyduje się na kolejny kurs. Wówczas nie musieliby się rozstawać. Benjamin pisał, że dłuższy czas leżeli w milczeniu przed kominkiem. Następnie spytał ją, czy uważa, że powinien postarać się o pokój w budynku wspólnoty. Lise nic nie odpowiedziała, ale objęła go, a w jej oczach pojawiły się łzy. Powiedziała, że to wymaga zgody Jakoba i że w takiej sytuacji powinien pewnie zdecydować się na kontynuację nauki. Benjamin zażartował, że gotów jest zaliczyć

i drugi, i trzeci kurs, a nawet jeszcze kolejny. Zaczęli się śmiać. Lise wyznała, że jest szczęśliwa, że w końcu spotkała kogoś, komu może zaufać. Jej słowa bardzo go zaboląły. Doszedł do wniosku, że musi powiedzieć prawdę, chociaż obawiał się jej reakcji. Pocieszał się, że wykładowcy zawsze podkreślali, że przeszłość jest nieważna, liczy się to, co każdy z nich robi, by służyć Bogu i dobru wspólnoty.

Ravn przerwał na chwilę lekturę i spojrzął na kanał. Był zaskoczony niezwykłą szczerością Benjamina wobec Ferdinanda Mesmera, nawet w sprawach osobistych, wręcz intymnych. Miał wrażenie, jakby Benjamin realizował program dwunastu kroków, poczynając od punktu, który oznaczał wyznanie wszystkim całej prawdy. Wątpił jednak, czy Mesmer docenił gest Benjamina — mówiąc dyplomatycznie. Przekonał się o tym, kiedy po chwili wrócił do lektury raportu.

Dzisiaj zwierzyłem się Lise. Opowiedziałem jej o swojej przeszłości prywatnego detektywa. Powiedziałem, w jaki sposób trafiłem do Wybrańców Boga, oczywiście nie zdradzając, kim jest mój mocodawca. Zapewniam Pana, że nigdy tego nie zrobię. Mam nadzieję, że rozumie Pan, iż musiałem wyznać jej prawdę, by móc wkroczyć w nowy, bardziej chwalebny etap życia. Mam wrażenie, że wywiązałem się ze swego zobowiązania: sprawdziłem warunki, w jakich działa wspólnota, oraz opisałem pozycję, jaką zajmuje w niej Pański syn. Jestem przekonany, że dalsze śledztwo jest bezcelowe. Ostatnią część należności proszę przekazać na konto Wybrańców Boga. Wkrótce prześlę Panu rachunek.

Ravn zdziwił się, że Ferdinand Mesmer nie poinformował go o prawdziwej przyczynie zakończenia współpracy z Benjaminem. Katrine twierdziła, że wyłącznym powodem była niekompetencja Benjamina, a nie zmiana jego poglądów. Możliwe, że Ferdinand Mesmer potraktował to bardzo osobiście, nawet jeśli Benjamin okazał się lojalny do końca. Ravn był ciekaw, jak dalej potoczyły się sprawy, więc wrócił do lektury. To, co przeczytał na następnej stronie, całkowicie go zaskoczyło.

JESTEM ZDESPEROWANY, NIE WIEM, CO ROBIĆ, DLATEGO ZNÓW DO PANA PISZĘ, PANIE MESMER. MÓJ PLAN ZAWIÓDŁ. CZEKAM NA JAKOBA. PRZEKŁĘTY JAKOB.

Ravn przebiegł wzrokiem początek, chcąc sprawdzić, czy e-mail ma datę, ale pole z adresem i datą zostało usunięte, został tylko tekst wiadomości. Zaczął czytać desperacki list Benjamina.

Drzę ze strachu. Dosłownie. Nie wiedziałem, że to możliwe. Wszystko potoczyło się inaczej, niż miało. Nie wiem już, co tu się dzieje. Kierownictwo jest w panice. Seans wymknął się spod kontroli. Egzorcyzmy okazały się... Nie wiem, jakiego słowa użyć. PRZERAŻAJĄCE, to chyba najwłaściwsze określenie. Jakob. Czekam, aż przyjdzie do mnie, do sypialni. Opowiem mu o wszystkim od początku, żeby zrozumiał, co się stało. Sądziłem, że mogę ufać Lise. Jakiś czas po naszej rozmowie zebrałem się na odwagę i poszedłem do niej. Słuchała mnie uważnie. Powiedziałem, że muszę jej coś wyznać. Obiecała, że nikomu nie zdradzi moich tajemnic, tak jak ja nie zdradziłem jej. Wszystko miało zostać między nami a Bogiem. Moje tajemnice będą u niej bezpieczne, bo przecież ufamy sobie, zapewniała mnie. Więc opowiedziałem jej o swojej przeszłości, przyznałem, że kiedyś byłem prywatnym detektywem. W pierwszej chwili nawet ją to rozbawiło. Była chyba zdziwiona, że takie zawody naprawdę istnieją. Kiedy jednak powiedziałem jej o swoim ostatnim zleceniu, nagle zamilkła. Po dłuższej chwili spytała, kto mnie wynajął. Nie odpowiedziałem. Spytała, czy mówiłem komuś o tym, co mi wyznała. Odparłem, że przekazałem jedynie

podstawowe informacje, rzeczy, z których powinna być dumna. Że pisałem o jej pieśniach, o tym, że pomaga słabszym i angażuje się w działalność wspólnoty. Zapewniłem, że jej tajemnice są u mnie bezpieczne. I że ufam, że moje u niej także. Zapewniła mnie, że tak jest. Potem się modliliśmy. Za mnie. Za zło, które wyrządziłem. Łudziłem się, że wszystko będzie dobrze. Kiedy się rozstawaliśmy, miałem wręcz wrażenie, że nasza więź się wzmocniła. Że byliśmy równi, wobec siebie i wobec Boga. MYLIŁEM SIĘ, CHOLERNIE SIĘ MYLIŁEM.

Popołudnie. Grabiłem liście w ogródku, kiedy nagle kazano mi wejść do środka. Pomyślałem, że chodzi o moją aplikację na kolejny kurs. Już za niego zapłaciłem, więc spodziewałem się, że dostanę potwierdzenie przyjęcia. Ale gdy tylko wszedłem do sali, od razu poczułem, że coś jest nie tak. Całe kierownictwo było na miejscu. Åse, wiecznie niezadowolony Reikendorf, Birgitte, Samuel, Karl-Emil i oczywiście Jakob. Obok niego siedziała Lise. Miała spuszczoną głowę. Nawet kiedy wszedłem, nie podniosła wzroku. Od razu się domyśliłem, że oni wiedzą. Zanim ktokolwiek otworzył usta. Wskazano mi puste krzesło po drugiej stronie stołu, naprzeciwko nich. Zaczął Jakob. Powiedział, że Lise przyszła do nich i im się zwierzyła. Spytał, co mam na swoją obronę. Więc powiedziałem, jak sprawy wyglądają. Powtórzyłem to, co wcześniej mówiłem Lise. Prawdę mówiąc, poczułem nawet ulgę. Podczas mojej opowieści Åse cały czas robiła znak krzyża. Jakob spytał, kto kazał mi go śledzić. Nie był zły. Pewnie dlatego od razu się przyznałem, że pracowałem dla Pana. Dla jego ojca. Poprosił, żebym przyniósł swoje raporty. Pokazałem mu tablet ze wszystkimi notatkami i e-mailami. Wiem, że złamałem zasadę dyskrecji. Zwykle jej przestrzegam, w stu procentach. Ale zanim zdradziłem Pana, Panie Mesmer, zdradziłem Jakoba i Wybrańców Boga. Mam nadzieję, że rozumie Pan mój dylemat. Jakob czytał i czytał. Na dworze zrobiło się ciemno. Siedzieliśmy i czekaliśmy w milczeniu. Podobnie jak Lise, patrzyłem głównie w podłogę. Kiedy kilka razy podniosłem głowę, za każdym razem

napotykałem ich spojrzenia. Potępiające. Zranione. Jakob oddał mi tablet. Podziękował, nawet zdobył się na uśmiech. Potem wstał i zaczął mówić. Jakby wygłaszał kazanie. Powiedział, że jest wśród nas demon. Jeden z tych najgorszych. Wszyscy przyznali mu rację, nawet Lise skinęła głową. Jakob skończył i zwrócił się do kierownictwa wspólnoty z prośbą o radę. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, chociaż wszyscy byli zgodni. Stwierdzili, że należy się modlić za moją zagubioną duszę, a potem kazać mi odejść. Åse powiedziała nawet, że trzeba zabrać mi tablet i go zniszczyć. Jakob podziękował za cenne rady, a potem dodał, że się z nimi nie zgadza. Wskazał na mnie. Powiedział, że kiedy przyszedłem do Wybrańców Boga, były we mnie demony. Byłem wielkim grzesznikiem. Sam mój zawód był grzeszny. Moje zadanie dla Ferdinanda Mesmera stanowiło część jego planu, planu Szatana. Ale czas, jaki spędziłem we wspólnocie, i moja szczerza skrucha pokazały, że nawet największy grzesznik może zostać zbawiony. Więc zamiast mnie potępiać, wszyscy powinni paść na kolana i chwalić łaskę Pana. Żałować swojej pychy. Pierwsza padła na kolana Åse. Pozostali poszli za jej przykładem, błagali Boga o przebaczenie. Jakob pobłogosławił ich, kładąc im rękę na głowach. Mnie objął i mocno uściskał. Powiedział, że przeszedłem niezwykle trudną drogę. Że wykazałem się odwagą. Jak Izraelici, którzy prowadzeni przez Mojżesza, pokonali niebezpieczeństwa Synaju. Potem znów zwrócił się do pozostałych. Powiedział, że demon nadal jest wśród nas. Że objawił się w donosicielstwie Lise. Widziałem, że Lise przeraził taki obrót sprawy. Tym bardziej że ludzie z kierownictwa wydawali się zgadzać z Jakobem. Próbowwała się bronić. Powiedziała, że nie chciała donosić. Chciała być lojalna, dlatego uznała, że musi ich poinformować. Jakob przerwał jej cytatem z Księgi Przysłów: „Obmówca, chodząc, wyjawia tajemnice, duch wierny zamilczy o sprawie”. To okazało się decydujące. Następnie Jakob wyklął ją. Lise była wstrząśnięta. Prosiła, żeby tego nie robił, ale on powiedział jej, że sama jest sobie winna. Zaczęła błagać go o przebaczenie, mówiła, że nie była sobą. Jakob jednak



pozostał niewzruszony. Wtedy ona też zacytowała Księgę Przysłów: „Niegodziwy ustami chce zabić bliźniego, lecz przenikliwość prawych wybawia”. Jakob spytał, czy to znaczy, że chce zostać wybawiona. Lise zaczęła błagać go, by uwolnił ją od demona, który w niej tkwi i zżera ją od wewnątrz. Jakob zwrócił się do kierownictwa z pytaniem, czy może zdjąć z niej ekskomunikę i poddać ją egzorcyzmom. Wszyscy odpowiedzieli: tak. Ulżyło mi. Pomyślałem, że jeśli wszyscy się za nią pomodlimy, jeśli Jakob się za nią pomodli, to uwolnimy ją od złego. I będziemy mogli zacząć od początku. **JAKŻE OKRUTNIE SIĘ MYLIŁEM.** Jakob natychmiast nakazał, żeby Åse i Birgitte zaprowadziły Lise do kotłowni i ją przygotowały. Do mnie zaś zwrócił się słowami: „Wybrańcy Boga potrzebują twojej pomocy przy egzorcyzmach. Jesteś gotów zabić demona, bracie Benjaminie?”.

Ravn usłyszał warknięcie i się wzdrygnął. Spojrzał na Møffego. Pies siedział obok i patrzył na niego z wyrzutem. Domyślił się, że pora wieczornego spaceru dawno minęła.

— Widzisz chyba, że pracuję?

Møffe znów zawarczał, tym razem głośniej i żałośniej. Ravn wiedział, że się nie podda, zanim go nie wyprowadzi. A jeśli będzie zwlekał zbyt długo, to żeby postawić na swoim, Møffe załatwi się na pokładzie.

— No dobrze, chodź już.

Poszli wzdłuż kanału w kierunku Christianshavns Torv. Odbyli chyba najkrótszy spacer świata. Trwał jedynie tyle, żeby Møffe zdążył załatwić swoje potrzeby. Ravn nie zauważył nawet tłumów, które wyległy przed bodegę przy kanale. Normalnie stanowiłyby trudną do odparcia pokusę, teraz jednak zawrócił pospiesznie, żeby jak najszybciej znaleźć się na „Biance” i kontynuować lekturę raportu.

**NIE WIEDZIAŁEM, ŻE W BUDYNKU JEST  
KOTŁOWNIA ANI CO SIĘ W NIEJ ZNAJDUJE.  
DOWIEDZIAŁEM SIĘ TEGO W BARDZO BOLESNY  
SPOSÓB.**

Jakob szedł przodem. Razem z innymi mężczyznami, członkami wspólnoty, zeszli do piwnicy. W jednej ręce trzymał srebrny krucyfiks, w drugiej Biblię. Tuż za nim szedł Samuel. Niósł szklankę i karafkę z wodą święconą. Powtarzali łacińskie słowa, których nigdy wcześniej nie słyszałem. Panujący wokół mrok sprawiał, że poczułem się jak w starym horrorze. Wszedłem do kotłowni. Na kozetce w rogu leżała Lise w samej bieliźnie. Nogi i ręce miała skrępowane grubymi gumowymi taśmami. W niewielkim pomieszczeniu było gorąco jak w łaźni, ale jej ciało

drżało, jakby z zimna. Jakob i pozostali członkowie wspólnoty zaczęli powtarzać wyznanie wiary. Jakob wziął dwie błyszczące stare monety i położył je na powiekach Lise. Wszyscy uklękliśmy wokół kozetki, powtarzając cały czas głośno i wyraźnie wyznanie wiary. Lise cały czas płakała. Nie wiem, jak długo się modliliśmy, ale zdążyło mi zaschnąć w gardle. W końcu Jakob wstał. Wziął szklanę i nalał do niej wody święconej z karafki. „Wypij tę świętą wodę, demonie”, powiedział i przystawił szklanę do ust Lise. Zaczęła łapczywie pić. Opróżniła szklanę. Potem nagle sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Kiedy znów zaczęliśmy się modlić, Lise nagle się zmieniła. Zaczęła krzyczeć, pluć, w końcu zwymiotowała zieloną żółcią. Kazano mi wytrzeć wymiociny. Jakob podał jej wodę święconą, która najwyraźniej jeszcze bardziej podrażniła demona. Lise robiła wszystko, żeby się go pozbyć. Szarpała się, zaczęły jej krwawić ręce i nogi. Uwięziony w niej demon krzyczał na nas. Widziałem strach w jej oczach. Najbardziej bała się Jakoba. Szlochała i krzyczała, błagała, żeby nigdzie jej nie zabierał. Dostała drgawek i ugryzła się w język. Krwawiła. Siłą włożyliśmy jej szmatkę do ust. Rozwarliśmy jej szczęki, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło. Karl-Emil, Samuel i Reikendorf musieli usiąść na niej okrakiem, żeby ją przytrzymać i nieco uspokoić. Wtedy Jakob zwrócił się do mnie. Powiedział, że demon zaraz opuści ciało Lise, a ja, jako osoba niedoświadczona, nie mogę być przy tym obecny. Istnieje bowiem ryzyko, że demon przeniesie się na mnie. Jej demon mógł mnie opętać. Żyć dalej we mnie. Jakob poprosił, żebym wypił trochę wody święconej. Potem się przeżegnał, zmówił modlitwę i odesłał mnie.

Siedzę teraz sam w sypialni w piwnicy. W półmroku. Siedzę i piszę. I wciąż słyszę ją. Wyje jak katowany pies. Na korytarzu kursanci i nauczyciele pocieszają się nawzajem. Wszyscy są przerażeni. Boję się, że zaraz zwymiotuję, jak Lise. Kręci mi się głowie. Trudno mi znaleźć słowa, połączyć je ze sobą. To mnie przeraża. Boję się. Czyżbyśmy żyli w czasach demonów? Muszę wysłać Panu ten e-mail, zanim będzie za późno. Już jest za

późno...

Ravn zobaczył, że następne kartki są puste, przerzucił je i dotarł do końcowej części raportu. Nie znalazł jednak żadnej informacji o tym, jak zakończyły się egzorcyzmy i co się stało z Benjaminem. Raport kończył się hymnem pochwalnym na cześć Syna Bożego, Wybrańców Boga oraz Jakoba, którego Clausen konsekwentnie nazywał Pasterzem albo Wielkim Mistrzem.

Ravn odłożył papiery na stojące obok plastikowe krzesło. Miał wrażenie, że za pośrednictwem Benjamina Jakob chciał przekazać ojcu wiadomość. Pokazać mu, jaką zyskał pozycję i władzę nad innymi. Dowieść, że wygrał walkę o duszę Benjamina. Z jednego z zaufanych pracowników ojca zrobił swojego wiernego sługę. Jeśli rzeczywiście mu się to udało, było to chore. W takim razie — jak zareagował Ferdinand Mesmer? Potem wydarzyło się wiele rzeczy: wybuchł pożar, Wybrańcy Boga zniknęli, zniknął też Jakob. A teraz okazało się, że powodzenie firmy Ferdinanda Mesmera zależy od podpisu jego syna. Najbardziej jednak dręczyło Ravna pytanie, dlaczego Ferdinand Mesmer go w to wszystko wciągnął. Nie podobała mu się myśl, że mógł być pionkiem w jego grze. Teraz najważniejszą rzeczą nie było już odnalezienie Jakoba. O wiele bardziej martwił się tym, co spotkało jego poprzednika. Uznał, że musi spotkać się z Benjaminem Clausenem.

Gospodarz domu, Folmer, ubrany w świeżo wyprasowany kombinezon, otworzył drzwi do dawnego biura w piwnicy. Pomieszczenie pełniło teraz funkcję schowka na rowery dla mieszkańców kamienicy przy Lysefjordsgade. Folmer włączył światło, odwrócił się i spojrzał na Ravn. Światło świetlówek na suficie odbijało się w grubych szklach dozorczy.

— Tutaj miał biuro, ale jak już mówiłem przez telefon, niewiele jest do oglądania.

— Jak długo wynajmował to pomieszczenie?

— Trzy, cztery lata, może trochę dłużej. Zanim został prywatnym detektywem, zajmował się różnymi rzeczami.

— Jakimi?

— Prowadził księgowość, robił strony internetowe. Ale najlepiej szła mu praca detektywa. Ty też jesteś detektywem?

— W pewnym sensie tak.

— A więc szukasz kolegi. Zabawne. Zaginiony detektyw. — Roześmiał się. — Nie zrozum mnie źle, lubiłem Benjamina. Prawdę mówiąc, kiedyś mi nawet pomógł.

— W jaki sposób?

Folmer poprawił okulary i spojrzał uważnie na Ravn, jakby chciał się upewnić, czy może mu zaufać.

— Moja była żona lubiła egzotyczne jedzenie. Benjamin się dowiedział, kim jest kucharz, jeśli mnie rozumiesz.

Ravn rozumiał go doskonale.

— Kiedy widziałeś go ostatni raz?

— Kilka lat temu. Kiedy wypowiedział umowę najmu. Pamiętam, że był zdenerwowany. I przygnębiony. Wtedy myślałem, że to dlatego, że musi zamknąć interes. To nigdy nie jest przyjemne.

— Jesteś pewien, że nie przeprowadził się do jakiegoś innego lokalu?

Folmer pokręcił głową.

— Nie miał tu wielu rzeczy, a to, co miał, wystawił na śmietnik. Zostawił tylko kartony z dokumentami. Powiedział, że przyjdzie po nie następnego dnia, ale już nigdy się tu nie pojawił.

— Co się stało z tymi kartonami? Trafiły na śmietnik?

— Chodź ze mną — powiedział Folmer.

Poprowadził Ravn najpierw przez schowek na rowery, a potem dalej wąskim korytarzem z czerwonymi drzwiami, za którymi były prywatne piwnice lokatorów. Dotarli do ostatniej z nich i Folmer wyjął pęk kluczy. Po chwili znalazł ten, którego szukał, i otworzył drzwi.

— Jak już mówiłem, lubiłem Benjamina, więc postanowiłem przechować mu te rzeczy.

Ravn włożył głowę do środka; pomieszczenie wyglądało jak magazynek pełen szpargałów.

— Trzymam tu przedmioty, które ludzie zapominają zabrać ze sobą, kiedy się przeprowadzają. Czego tu nie ma... — Folmer pokręcił głową i zdjął z półki zakurzoną perukę.

— Przyjaźniliście się? — spytał Ravn.

Folmer pokręcił głową.

— Nie jakoś szczególnie, ale znałem dość dobrze jego matkę. Mieszkała przy Gullandsgade. Bystra babka, należała do świadków Jehowy czy czegoś podobnego.

— Benjamin też był świadkiem Jehowy?

Folmer znów pokręcił głową.

— Nie. Jego matka była osobą wierzącą, ale czy on też, tego nie wiem. Ale był grzecznym chłopcem, zawsze chętnie pomagał innym. Był uprzejmy, chociaż sprawiał wrażenie nieco przestraszonego. Jego matka miała silny charakter. W końcu wyprowadził się z domu, do mieszkania piętro niżej. — Folmer pokręcił głową i się uśmiechnął.

— Wiesz, czy nadal tam mieszka?

— Nie, na pewno nie. Jakoś mu się tam nie bardzo podobało.

Dużo czasu spędzał tutaj, na dole. To znaczy, jeśli akurat nie prowadził żadnego śledztwa.

— Wspominał kiedyś o Wybrańcach Boga?

Folmer pokręcił głową.

— Nie, a przynajmniej tego nie pamiętam. — W tym momencie w kieszeni Folmera odezwała się komórka, odebrał i spojrzał na Ravn. — Tam w kącie stoją kartony Benjamina. Możesz je przejrzeć.

Ravn zaczął się przeciskać przez zastawiony rzeczami magazynek, dotarł do dwóch kartonów Benjamina i ukucnął. Otworzył pierwszy z nich i sprawdził jego zawartość. W środku były głównie faktury i kilka papierowych teczek. Wyjął jedną i zajrzał do środka. Znalazł w niej stare zeznania podatkowe i księgi rachunkowe. Odłożył ją i sięgnął po następną. Podobnie jak poprzednia, zawierała dokumentację księgową, faktury, rozliczenia podróży i sprawozdania roczne. Sięgnął po drugi karton. Znalazł kolejne teczki z dokumentami. Sprawdził dane na fakturach — wszystkie były adresowane na Lysefjordsgade, na Benjamina. Nie znalazł nic, co wskazywałoby, dokąd się przeprowadził. Zaczął przeglądać stare rachunki i pokwitowania, porządnie spięte spinaczem. Po chwili w drzwiach stanął Folmer.

— Skończyłeś? — spytał z uśmiechem. — Nie mam już więcej czasu.

— Rozumiem — odpowiedział Ravn i wstał. Spojrzał na jeden z ostatnich rachunków. Z Interflory, adres dostawy: Ośrodek Psychiatryczny na Amager.

— Czy dobrze zrozumiałem, że matka Benjamina mieszkała gdzieś w pobliżu? Wiesz, dokąd się przeprowadziła?

— Dokąd? Na cmentarz, już dobre dziesięć lat temu. Czemu pytasz?

Ravn pokręcił głową i wrzucił plik rachunków z powrotem do kartonu.

— Jeśli go znajdziesz, pozdrów go ode mnie — rzucił Folmer i zaczął zamykać drzwi.

— Jasne.

Ruszyli korytarzem do wyjścia. Wyszli na zewnątrz, na oświetloną słońcem Lysefjordsgade. Folmer znów się uśmiechnął.

— Przypomniałem sobie, że kilka lat temu szukała go tu jakaś młoda kobieta. Tuż po tym, jak się stąd wyprowadził.

— Lise?

— Nie pamiętam imienia. Była dość niska, ale mocno zbudowana, odniosłem wrażenie, że coś ćwiczy, jak to dzisiejsze młode kobiety. Miała ciemne włosy. Cały czas się uśmiechała, ale tak jakoś surowo. No i była bardzo nachalna. To mogła być Lise?

Ravn pokręcił głową.

— Raczej nie.

Pożegnał się z Folmerem. Szedł ulicą i zastanawiał się, czy to mogła być Katrine. Może próbowała odnaleźć Benjamina? Jednak przede wszystkim intrygowało go, komu Benjamin wysyłał kwiaty na oddział psychiatryczny. Dręczyło go pewne podejrzenie, ale w głębi duszy miał nadzieję, że się myli.



Ravn wszedł na pokład, gdzie czekał na niego Møffe. Stał i merdał ogonem. Powitał go radosnym szczekaniem i skoczył na niego, aż Ravn musiał go uspokoić. Zaczął czochrać jego wielki łeb, szturchnął go lekko. W drodze powrotnej z Lysefjordsgade zastanawiał się, w jaki sposób może się dowiedzieć, czy osobą, której Benjamin wysłał kwiaty, była Lise. Bo jeśli tak było, to może szpital nadal ma jej dane. Uderzyło go, o ile łatwiejsze były takie poszukiwania, kiedy pracował w policji. Nagle przyszło mu coś do głowy. Sięgnął po komórkę. Sprawdził w Internecie adres szpitala i wybrał numer.

— Szpital psychiatryczny, Amager — usłyszał lekko nosowy głos po drugiej stronie.

— Thomas Ravnsholdt, komenda Station City. Poszukuję informacji o jednym z waszych dawnych pacjentów.

— O co chodzi? — spytała pielęgniarka.

— Potrzebne mi dane waszej byłej pacjentki, niejakej Lise Brask. Była u was jakieś dwa lata temu... Nie mam przy sobie jej PESEL-u.

— Może pan powtórzyć, skąd pan dzwoni?

Ravn zaczerpnął powietrza.

— Komenda Station City, na Halmtorvet, jednostka dochodzeniowa.

— Więc zna pan procedury. Musi się pan zwrócić do nas na piśmie. Obojętne, czy chodzi o dawnego, czy obecnego pacjenta.

— Ta informacja jest mi pilnie potrzebna. Może pani sprawdzić?

— Przykro mi. Proszę powtórzyć, jak pan się nazywa?

Ravn się rozłączył. Pomyślał, że kiepsko z nim, jeśli nawet pielęgniarki nie jest w stanie przekonać. Przypomniał sobie, jak

z Mikkelem, kiedy jeszcze pracowali razem, wyciągali od ludzi poufne informacje. Wrócił do kajuty, podszedł do kanapy, przesunął poduszki i otworzył wieko skrzyni. Wewnątrz leżało kilka czarnych sportowych toreb, w których trzymał ubrania. Sięgnął po jedną z nich, przerzucił upchnięte w niej ciuchy i w końcu znalazł kopertę z dokumentami, wśród których była też jego legitymacja policyjna. Rozłożył zafoliowany dokument i spojrzał na swoje zdjęcie. Zrobione wieki temu. Gładko ogolony mężczyzna z krótkimi włosami, w koszuli od munduru i krawacie. Marzenie każdej teściowej. Ale zdjęcie miało niewiele wspólnego z tym, jak wyglądał dzisiaj. Jakby pochodziło z innego życia. Pamiętał, że zostało zrobione niedługo po tym, jak został policjantem. Kiedy jeszcze, podobnie jak jego koledzy, świeżo wykluci policjanci, wierzył, że będzie w stanie przyczynić się do tworzenia bezpieczniejszego społeczeństwa, kiedy jeszcze wierzył w sprawiedliwość, w to, że jednak na ogół dobro wygrywa ze złem. Wówczas nie było dla niego żadnych szarych stref. Ale od tamtego czasu zmądrzał. Zdjęcie go przygnębiło, schował legitymację do kieszeni. Powinien ją oddać, kiedy odchodził na przymusowy urlop, ale skłamał, że ją zgubił. Nie potrafił powiedzieć dlaczego. Może gliniarz, który w nim siedział, nie chciał się poddać?

Nad zielonymi terenami Amager Faelled zapadł zmrok, drzewa i krzewy pod wiaduktem kolejki przypominały ciemne morze. Kiedy kolejka zatrzymała się na stacji Sundby, z pierwszego wagonu wysiadł Ravn. Ruszył pustym peronem w stronę Digevej, która doprowadziła go do szarego kompleksu szpitala psychiatrycznego. Dotarł do głównego wejścia, przez szklaną ścianę zobaczył lekarza dyżurnego. Miał ciemną skórę, siedział w recepcji i jadł kanapkę owiniętą w srebrną folię. Ravn słusznie założył, że pielęgniarki, z którą rozmawiał wcześniej przez telefon, o tej porze na pewno już nie będzie. Wcisnął dzwonek przy drzwiach i zobaczył, jak mężczyzna w recepcji odwraca się, zaskoczony. Wstał, odłożył kanapkę na blat, wytarł ręce w biały fartuch i ruszył do drzwi.

— Policja — powiedział Ravn i przyłożył legitymację do szyby.

Lekarz dyżurny otworzył drzwi i zaprosił go do środka.

— O co chodzi? — spytał z uśmiechem. Wyglądał młodo, pewnie student medycyny, który w ten sposób dorabia sobie do stypendium, pomyślał Ravn. Odczytał nazwisko na plakietce.

— Potrzebuję pomocy w sprawie, nad którą aktualnie pracujemy, Shahid. — Wziął go za ramię i poprowadził do recepcji.

— O jaką sprawę chodzi? — spytał Shahid. — To ma coś wspólnego z naszym zakładem?

— W pewnym sensie. Chodzi o osobę, która kiedyś była waszą pacjentką. Obawiamy się, że mogło dojść do kradzieży tożsamości — skłamał Ravn.

— Mojemu wujowi też się kiedyś coś takiego przytrafiło — powiedział Shahid. — Musiał stoczyć wojnę z bankiem, żeby

odzyskać to, co stracił. Urzędnicy z Danske Bank to dranie.

— Nie zaprzeczę — przytaknął Ravn i uśmiechnął się współczująco. — Mógłbyś sprawdzić mi jedno nazwisko? A jeszcze lepiej, gdybyś miał aktualny adres pacjentki.

Shahid pokręcił głową.

— Zrobiłaby się afera, to poufne informacje. Proponuję, żebyś wrócił jutro i porozmawiał z kimś z personelu. Na pewno dowiesz się więcej.

— Te informacje są mi potrzebne teraz. Bandyci nie śpią, im szybciej zamkniemy sprawę, tym lepiej. Obiecuję, że nie będziesz miał żadnych nieprzyjemności. Mnie tu w ogóle nie było — powiedział i mrugnął do niego porozumiewawczo. — Okaż trochę zrozumienia i pomóż mi.

Shahid rozejrzał się i w końcu pochylił się nad klawiaturą komputera.

— No dobrze, podaj mi imię i nazwisko tej osoby, zobaczę, czy mamy coś w rejestrze.

— Lise, Lise Brask.

Shahid znieruchomiał, odwrócił się do Ravna.

— Znam ją.

— Świetnie, masz jej adres?

— Mieszka tutaj, że tak to ujmę.

— Lise Brask? Jesteś pewien?

— Tak, mamy tu trzydzieścioro pięcioro stałych pacjentów.

Lise jest u nas najdłużej. Sleeping Beauty, tak ją nazywamy.

— Spuścił wzrok. — Głupio, ale nie ja to wymyśliłem...

— Mogę się z nią zobaczyć? — wszedł mu w słowo Ravn.

— Teraz? — Shahid spojrział na zegarek.

— Tak, teraz. Żebym mógł ustalić jej tożsamość

— powiedział. Nie zabrzmiało to zbyt wiarygodnie. — Sprawa jest pilna, dlatego cię o to proszę — dodał.

Shahid wciągnął głęboko powietrze, wyglądał jak skazaniec w drodze na szafot.

— Chodź ze mną — powiedział.

Ruszyli ciemnym korytarzem prowadzącym na oddział

szpitalny. Dotarli do jego końca, Shahid wystukał kod na panelu, rozległo się ciche buczenie i ciężkie drzwi otworzyły się automatycznie.

— To, co robimy, jest zabronione.

— Spokojnie, muszę się tylko upewnić. Za pięć minut wrócisz do swojej kanapki.

— To zabronione — powtórzył Shahid, kiedy zatrzymał się przed drzwiami do pierwszej sali. Otworzył je ostrożnie i weszli do ciemnego pokoju. Ravn ledwie widział sylwetkę pacjentki leżącej na łóżku w głębi. — W każdym razie łatwo ją zidentyfikować — powiedział Shahid. — To na pewno.

Podeszli do łóżka, Shahid podszedł do wezglowia i zapalił kinkiet na ścianie.

Ravn spojrział na Lise i mimowolnie zrobił krok do tyłu.

— Co jej się stało?

— Soda kaustyczna.

Dolna część twarzy kobiety była pokryta szerokimi grudkowatymi bliznami, które sięgały szyi. Wargi były wyżarte, a bezzębne usta wyglądały jak pusta dziura. Nie miała też większej części nosa, przez co jej twarz przypominała nieco pysk gada. Wszystko to kontrastowało z zadbanymi, długimi jasnymi włosami.

— Ktoś oblał ją sodą kaustyczną?

— Nie, sama ją wypila. Takie rany spotyka się najczęściej u małych dzieci, które przez pomyłkę wypiją jakiś żrący środek czyszczący. W przypadku Lise była to próba samobójcza.

— Kto ją tu przywiózł?

— Nie mam pojęcia. Kiedy zacząłem tu pracować, już tu była.

— Przynieś jej kartę.

— Ale...

Ravn posłał Shahidowi surowe spojrzenie; chłopak skinął głową.

Kiedy Shahid wyszedł, Ravn chwycił dłoń kobiety i lekko ją ścisnął. — Lise... — powiedział. — Lise...

Z poparzonej krtani wydobył się charkot, kobieta zaczęła się powoli wybudzać.

— Słyszysz mnie? — wyszeptał. — Muszę z tobą porozmawiać.

Lise otworzyła oczy i pustym wzrokiem spojrzała w sufit. Ravn ponownie ścisnął jej dłoń, spojrzała na niego.

— Nazywam się Thomas Ravnsoldt, jestem...

Krzyknęła przerażona i cofnęła dłoń.

— Spokojnie, Lise, chcę ci pomóc.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę, jakby próbowała go rozpoznać.

— Jak do tego doszło, Lise? Czy to się wydarzyło, kiedy byłaś u Wybrańców Boga?

Lise wymamrotała coś niezrozumiale, z kącika ust zaczęła jej lecieć ślina.

— Jakob Mesmer ci to zrobił?

— Ben... min... Ben... min... Ben... ja... min...

— Benjamin ci to zrobił?

— Ben... min...

— Wiesz, gdzie on jest? Wiesz, gdzie mogę znaleźć Benjamina?

Lise zamknęła oczy i oteńpiona lekami zapadła w półsen.

Ravn wziął jej dłoń i potrząsał nią lekko, aż znów otworzyła oczy.

— Co się stało z Jakobem? — spytał. Słyszał, jak na korytarzu ktoś otwiera automatyczne drzwi, po chwili rozległy się kroki. — Co się stało z Jakobem Mesmerem, Lise?

W jej oczach na chwilę pojawił się błysk, wymamrotała coś niezrozumiale.

— Wiesz, gdzie on jest?

— Messssssmer — wysyczała przez zniszczone usta.

— Co tu się dzieje?

Ravn odwrócił się. Zobaczył Shahida, a obok niego potężnie zbudowanego mężczyznę, który bez wątplenia był lekarzem, chociaż wyglądał jak bokser wagi ciężkiej.

— Gets... mani... — wyszeptała Lise. — Getse... man...

— Thomas Ravnsholdt, Station City — przedstawił się Ravn lekarzowi i ponownie zwrócił się do Lise. — Co powiedziałaś?

— Get... man...

— Masz legitymację? — warknął lekarz.

— Jasne — rzucił Ravn, wyjął legitymację i zamachał nią w powietrzu. — Lise, nie rozumiem, co do mnie mówisz...

— Get... man... Gets... man... Getse... man — powtarzała Lise coraz szybciej i coraz głośniej. Jakby była w transie.

— Proszę odejść od pacjentki — powiedział lekarz. Chwycił Ravna za ramię i odciągnął od łóżka.

Próbował uspokoić Lise, okrył ją kołdrą i zaczął do niej spokojnie przemawiać.

— Już dobrze, kochanie, spróbuj zasnąć...

Lise chwyciła go za rękaw, jakby chciała, żeby się nad nią pochylił.

— Getse... man... Getse... man... Getse... man...

— powtarzała w kółko.

Ravn wziął od Shahida kartę choroby i zaczął czytać. Na początku był krótki opis urazów spowodowanych przez zażycie sody kaustycznej, następnie wymieniono liczne operacje, które Lise przeszła na oddziale intensywnej opieki medycznej w Szpitalu Krajowym, zanim została przeniesiona na Amager. W karcie zaznaczono, że już wcześniej miała problemy psychiczne oraz że ma za sobą kilka prób samobójczych. Była też lista środków, które przyjmowała, głównie substancji psychoaktywnych i beta-blokerów.

Ravn przebiegł wzrokiem kolejne adnotacje, usiłując znaleźć dane osoby do kontaktu, ale nie znalazł żadnych informacji.

— Ma jakiegoś opiekuna? Ktoś ją odwiedza?

— Nigdy nikogo u niej nie widziałem — odpowiedział Shahid i spojrzał na swojego przełożonego.

Lekarz się odwrócił, zauważył, że Lise im się przygląda. Wyrwał Ravnowi z ręki kartę choroby.

— Proszę natychmiast stąd wyjść!

— Próbuje się dowiedzieć, kto jej to zrobił, do cholery!

— Sama to sobie zrobiła. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Rozumie pan?

— Rozumiem — powiedział Ravn i uniósł ręce, jakby się poddawał. Po chwili opuścił je i spojrzał błagalnie na lekarza.

— Szukam dwóch osób: Benjamina Clausena i Jakoba Mesmera. Wiecie może, czy któryś z nich się z nią kontaktował?

Lekarz zagroził mu drogę i niemal wypchnął go z pokoju, a razem z nim Shahida.

— Tak jak Shahid powiedział, łamiąc zresztą tajemnicę lekarską, od kiedy Lise jest u nas, nikt nigdy jej nie odwiedzał.

Kilka minut później Ravn znów stał przed bramą szpitala. Lekarz zagroził mu, że jeśli będzie próbował wrócić, zawiadomi policję. Nie przejął się tym, bo gdyby jego nocna wizyta u Lise wyszła na jaw, konsekwencje ponieśliby przede wszystkim obaj lekarze. Był wstrząśnięty tym, co zobaczył. Pomyślał, że przydałby mu się kieliszek czegoś mocniejszego. Niestety, w pobliżu nie było żadnego baru.



Ravn siedział na parapecie w pokoju Eduarda w redakcji „Information”. Przypominający celę pokój zarzucony był gazetami, wszędzie leżały sterty papierowych teczek. Półka na ścianie wypełniona była książkami i wyglądała, jakby za chwilę miała się przewrócić na biurko. Jediną dekorację pokoju stanowił oryginalny plakat z filmu *Belle de Jour*. Wisiał obok drzwi i przedstawiał półnagą Catherine Deneuve. Z pokoju obok dobiegały odgłosy ożywionej dyskusji. Eduardo wrócił z dwoma kubkami kawy i zamknął za sobą drzwi.

— Więc uważasz, że to sprawa dla policji? Że doszło do przestępstwa? — Podał Ravnowi kubek i usiadł na zniszczonym krześle.

— Nie żebyś od razu miał o tym pisać w gazecie, ale tak, sądzę, że obrażenia Lise mogły powstać w wyniku egzorcyzmów, które opisał Benjamin w swoim raporcie. — Wypił łyk kawy. Eduardo zaczął przeglądać książkę autorstwa Jakoba Mesmera poświęconą egzorcyzmom.

— Jest tu gdzieś napisane, że używa się do tego sody kaustycznej?

— Nie.

— Benjamin coś o tym wspomina?

Ravn pokręcił głową.

— Nie. Benjamin widział tylko, jak Jakob daje jej do picia wodę święconą. Ale nie zapominaj, że był obecny jedynie na początku seansu.

Eduardo pokiwał głową i odłożył książkę na biurko.

— Co powiedział lekarz?

— Że to była próba samobójcza. Tak jest napisane w karcie.

— Pokazali ci jej kartę?

— Niezupełnie. Zdążyłem jednak zobaczyć, że była kilkakrotnie hospitalizowana i ma za sobą kilka prób samobójczych.

— Z tego, co mówisz, nie można wykluczyć, że to była kolejna.

— No cóż...

— Masz wątpliwości?

— Raczej przeczucie.

— Szósty zmysł? — Eduardo się uśmiechnął.

— To coś więcej. Lise zwykle się cięła. Tak pisze Benjamin w raporcie. Z jej karty wynikało, że wszystkie wcześniejsze próby polegały na tym, że albo łykała środki nasenne, albo podcinała sobie żyły.

— Rozumiem, do czego zmierzasz. Soda kaustyczna nie pasuje do tego obrazu.

— Właśnie.

— Podejrzewasz, że ktoś ją do tego zmusił?

— Chętnie bym się dowiedział, co Jakob Mesmer i Benjamin mają na ten temat do powiedzenia.

— Poczyniłeś jakieś postępy w dochodzeniu?

— Doszedłem do pożaru, podczas którego spłonął budynek na Belgiensgade. Nie wiem, dokąd się potem przenieśli.

— Sprawdziłeś w bazie danych ministerstwa?

— W jakiej bazie? Jakiego ministerstwa?

— W bazie wspólnot religijnych — powiedział Eduardo i zalogował się do komputera. — W Ministerstwie do spraw Kościoła — dodał.

Ravn podszedł bliżej i zajrzał mu przez ramię.

— Mam — oznajmił Eduardo po chwili. Na ekranie na stronie ministerstwa pokazała się lista działających w Danii stowarzyszeń i wspólnot religijnych. — Są podzielone według religii — powiedział Eduardo i kliknął w odpowiedni link.

Lista, która się pojawiła, była dłuższa, niż się spodziewali, zajmowała całe sześć stron. Na szczęście wszystko było uporządkowane alfabetycznie. Weszli na stronę

zielonoświątkowców i szybko znaleźli Wybrańców Boga.

— Adres: Belgiensgade — powiedział Eduardo, wskazując na ekran.

— Najwyraźniej nie wprowadzili jeszcze zmiany w adresie — stwierdził Ravn, drapiąc się w brodę. — Myślisz, że można zadzwonić do ministerstwa?

— Na pewno można, ale nie wiem, czy to ma sens, bo wspólnoty same aktualizują dane. Rejestracja służy przede wszystkim temu, żeby mogły ubiegać się o dotacje. Jeśli Wybrańcy Boga nadal działają, Jakob powinien zadbać, żeby dane były aktualne.

Ravn nalegał, więc w końcu Eduardo znalazł numer telefonu do ministerstwa i zadzwonili. Dotarcie do osoby, która potrafiłaby odpowiedzieć na ich pytania, zajęło dobry kwadrans.

— Przykro mi — usłyszeli w końcu. — Ale to jest jedyny adres, jaki mamy.

— Może jakiś numer telefonu albo adres mailowy?

— Niestety, nie mamy nic więcej.

— Wiadomo, czy wspólnota została rozwiązana?

— Z naszych informacji wynika, że nie, ale zdarza się, że wspólnota zostaje rozwiązana, a my dowiadujemy się o tym już po fakcie.

Eduardo podziękował za pomoc i się rozłączył.

— Tyle z ministerstwa. Mam inny pomysł — oznajmił nagle i wstał. — Może Kjeld coś wie.

— A Kjeld to kto?

— Kjeld to instytucja. Zajmuje się wszystkim, pisał o osobach, które opuściły świadków Jehowy, i o radykalizacji muzułmanów w więzieniach.

— Nie chciałbym, żeby pisał o tej sprawie.

— Spokojnie, nie tak łatwo go namówić, żeby usiadł do klawiatury. Wszystko zostanie w rodzinie — zapewnił Ravna Eduardo i poklepał go po ramieniu.

Ravn nie potrafiłby powiedzieć, czy się cieszy, że został zaliczony do rodziny „Information”, ale dopóki nikt nic od niego

nie chciał, było mu wszystko jedno.

Pokój Kjelda leżał na samym końcu korytarza; już po chwili zapukali do jego drzwi.

— Proszę — rozległ się chrapliwy głos.

Weszli do środka. Pokój Kjelda był jeszcze mniejszy niż pokój Eduarda i tonął we mgle. Pod oknem za zawalonym papierami biurkiem siedział starszy mężczyzna w kraciastej koszuli drwała i czerwonych szelkach.

— Pachnie tu jak na bazarze gdzieś na Wschodzie — stwierdził Eduardo. — Palisz fajkę wodną?

— Palę papierosa elektronicznego — odpowiedział Kjeld i zaniósł się kaszlem. — O smaku jabłka — dodał.

— Lone się wścieknie, jeśli się dowie. — Eduardo zaczął machać rękami i odganiać dym od twarzy. — Wiesz, że obowiązuje całkowity zakaz palenia?

— Przecież to tylko para, a poza tym zgłosiłem weto. Chcesz czegoś ode mnie, czy przyszedłeś zatruwać mnie złą energią? — spytał Kjeld i odchylił się na krześle, które zatrzeszczało złowieszczo.

— Szukamy pewnej wspólnoty, sekty działającej w ramach zielonoświątkowców. Nazwali się Wybrańcami Boga. Mówi ci to coś?

— Wybrańcy Boga...

— Był pożar...

— Na Amager — podchwycił Kjeld. — Tak, przypominam sobie. To było dobrych kilka lat temu. Co chcesz wiedzieć?

— Nikt nie wie, gdzie teraz są. Pamiętasz może, co się z nimi stało po pożarze?

Kjeld skrzyżował ręce na piersiach i zaciągnął się papierosem.

— Mam wrażenie, że się rozwiązali. Sprawdziliście w ministerstwie?

— Mają tylko stary adres i nie potrafili nam powiedzieć, czy grupa nadal istnieje, czy nie.

Kjeld pokiwał głową i wydmuchał kolejną chmurę pary.

— Coś mi się kołacze po głowie. Pamiętam, że kiedyś przymierzałem się do napisania artykułu o tym piłkarzu, który grał na lewym skrzydle w reprezentacji. Jak on się nazywał? Lars? Lasse? Lennart?

— Rozmawiałeś z nim?

— Nie, zdążył od nich odejść, więc cała historia umarła śmiercią naturalną. Zresztą to było jeszcze przed pożarem.

— Myślisz, że się rozwiązali?

— Czy ja wiem...? Niewykluczone. Wiele z tych wspólnot po jakimś czasie się rozpada. Rozwiązują się i idą do nieba — powiedział Kjeld, uniósł ręce i się roześmiał.

Podziękowali mu i wrócili do pokoju Eduarda.

— A co z Mikkelem? Nie może sprawdzić w rejestrze ludności?

— To wymagałoby wszczęcia procedury.

— Miałem na myśli: nieoficjalnie.

— Nie mam bliższych danych. Poza tym ostatnim razem obiecałem mu, że to był naprawdę ostatni raz.

W rzeczywistości Ravn nie miał obiekcji, żeby prosić Mikkela o pomoc, ale chciał go wykorzystać do sprawy Evy. Poza tym Mikkel wciąż jeszcze nie dał mu znać, kiedy będą mogli sprawdzić rzeczy z magazynu Kaminskiego, chociaż mu to obiecał.

Eduardo usiadł przy biurku i ponownie sięgnął po książkę Jakoba Mesmera. Zaczął ją przeglądać.

— Jak można zmusić kogoś do wypicia sody kaustycznej?

— Jeśli było ich wystarczająco dużo, a Lise była skrępowana pasami, to chyba żaden problem.

— Miałem na myśli aspekt psychiczny.

Ravn wzruszył ramionami.

— Dość się napatrzyłem na rzeczy, jakie ludzie są w stanie sobie zrobić, więc chyba nic mnie już nie zaskoczy. Ale przyznaję, trzeba mieć umysł psychopaty.

Eduardo odłożył książkę. Ravn wziął ją do ręki i chciał

schować do kieszeni kurtki dresowej, kiedy nagle jego wzrok padł na nazwę wydawnictwa na dole okładki. Przesunął po niej palcem. Getsemani, ogrójec. Benjamin wspominał o nim w raporcie. To było miejsce, do którego Jakob zamierzał ich wszystkich zabrać.

— Getsemani to ogród oliwny, w którym Jezus modlił się z apostołami w wieczór przed ukrzyżowaniem — powiedział Eduardo, jakby czytał w jego myślach.

Ravn spojrzał zdumiony na przyjaciela.

— Co się tak dziwisz? Jako dziecko chodziłem do szkółki niedzielnej.

— Naprawdę?

— Jak wszystkie dzieci w Hiszpanii. Co to za miejsce?

— Nie mam pojęcia, ale Lise w kółko powtarzała tę nazwę.

— Myślisz, że wydawnictwo może mieć z tym coś wspólnego?

— Coś mi mówi, że może być własnością albo samego Jakoba, albo całej wspólnoty. Możesz sprawdzić, czy nadal istnieje?

Eduardo znów zasiadł przed komputerem, próbował odszukać wydawnictwo, ale na próżno.

— Może spróbujesz w rejestrze gospodarczym?

Eduardo wszedł na odpowiednią stronę i wpisał nazwę: Getsemani. Na ekranie pojawiły się nazwy kilku firm. Pochylił się, żeby lepiej widzieć, i zaczął czytać.

— Ci sami właściciele. Właścicielami wszystkich spółek są Jakob Mesmer i jeszcze dwie osoby.

Ravn okrążył biurko i spojrzał na ekran.

— O, cholera. Wybrańcy Boga mają więcej firm niż scjentolodzy.

Eduardo uśmiechnął się.

— Oprócz wydawnictwa mają też firmę budowlaną, oferującą usługi remontowe, szklarnię, firmę sprzątającą i firmę internetową, która podobno zajmuje się tworzeniem stron internetowych.

— Masz ich adresy?

— Chwileczkę — powiedział Eduardo i wszedł w pierwszy link. — Wygląda na to, że firma budowlana została zamknięta kilka lat temu.

— A co z innymi?

— Firma internetowa też już zamknęła podwoje, podobnie jak firma sprzątająca. Wydawnictwo też już nie istnieje. Zwinęli interes.

— Wymieniłeś też jakąś szklarnię. Co z nią?

— Szklarnia... — Eduardo czytał coś na ekranie.

— Szklarnia chyba nadal funkcjonuje.

— Masz jakiś adres?

— To na Lolandii. Zapisać ci adres i numer telefonu?

— Tak, poproszę.

Eduardo zapisał wszystkie dane na żółtej karteczce post-it i podał ją Ravnowi.

— Co chcesz zrobić? Zadzwoń do nich?

— Chyba jeszcze się wstrzymam.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz tam jechać?

Ravn pokręcił głową, widać było, że intensywnie się zastanawia.

— Więc co? Co dalej?

— Ciekaw jestem, czy Ferdinand Mesmer cały czas wiedział, gdzie jest jego syn.

Eduardo usiadł wygodniej na krześle i spojrzał na niego zdziwiony.

— Więc po co by ci to zlecał?

— Bo lubi mieć władzę nad ludźmi.

— Nie łatwiej byłoby dać ci adres?

— Owszem, ale Ferdinand Mesmer kieruje się innymi zasadami.

— Niby jakimi?

— Chciał, żebym przed spotkaniem z jego synem sam doszedł do różnych rzeczy.

— Ale dlaczego?

Ravn pokręcił głową.

— Nie wiem. Może żeby mieć pewność, że nie przejdę na ich stronę, jak Benjamin? A może z innych, sobie tylko wiadomych powodów?

Eduardo był wyraźnie zdenerwowany.

— Mogę tylko powtórzyć to, co już raz ci powiedziałem: daj sobie spokój z tą sprawą.

— Trochę już na to za późno.

— Więc co zamierzasz?

— Umówić się na rozmowę z szatanem — odpowiedział krótko Ravn. Sięgnął po książkę Jakoba Mesmera i schował ją do kieszeni.



Ravn stał oparty o betonowy filar w podziemnym garażu należącym do Mesmer Resources. Garaż był przyjemnie chłodny; tonął w niebieskawej poświacie świetlówek umieszczonych pod sufitem. Z głośników płynęły łagodne dźwięki muzyki. Dając złudne poczucie bezpieczeństwa, miały pewnie uczynić to miejsce nieco przyjemniejszym. Wszędzie wokół stały samochody, tylko przed nim było jedno puste miejsce. Na ścianie zamontowano tabliczkę z imieniem i nazwiskiem: Ferdinand Mesmer. Sądząc po stojących po obu stronach ekskluzywnych samochodach, firmie wiodło się nie najgorzej. Kilka godzin wcześniej recepcjonistka poinformowała Ravna, że Ferdinand Mesmer ma spotkanie na mieście. Spodziewano się go dopiero za kilka godzin. Zaproponowała, żeby zaczekał w holu, ale Ravn podziękował. Wolał spotkać się z Mesmerem tutaj. Z daleka od jego gabinetu i Katrine, która zwykle nie odstępowała go na krok.

Minęło kolejne pół godziny, zanim Ravn usłyszał, że do garażu zjeżdża jakiś samochód. Reflektory wielkiego mercedesa omiotły zjazd białym światłem, dwunastocylindrowy silnik głośno pracował. Za kierownicą siedział Ferdinand Mesmer; dotarł do swojego miejsca i zręcznym ruchem zaparkował samochód. Ravn ruszył w jego stronę. Zatrzymał się tuż za samochodem, czekał, aż Mesmer wysiądzie.

— Ładna bryczka — rzucił.

Ferdinand Mesmer spojrzał na niego zdziwiony. Zamknął samochód pilotem.

— Czekałem na wiadomości od ciebie — powiedział, usiłując się odnaleźć w niespodziewanej dla niego sytuacji.

— Dlaczego nie dałeś mi adresu Jakoba?

— Będziemy tu stać czy pójdziemy do mojego gabinetu?

— Wiedziałeś, jak ciężkie obrażenia ma Lise Brask?  
Wiedziałeś ją?

— Lise Brask? Chodzi o tę kobietę, o której Benjamin wspomina w raporcie?

— Przestań grać, dobrze wiesz, o kogo chodzi.

— Nie będę zaprzeczał. Musiałem zebrać myśli — odparł Mesmer. Teczkę z miękkiej skóry położył na dachu mercedesa.

— Wiem, że jest w szpitalu psychiatrycznym i ma oszpeconą twarz.

— A Benjamin? Co się z nim stało?

— Szukaliśmy go jakiś czas po tym, jak zakończył pracę.

— To znaczy po tym, jak został członkiem wspólnoty i zamiast raportów zaczął przysyłać ci hymny pochwalne na cześć Pana?

— Tak, martwiłem się o niego i kazałem wszcząć poszukiwania.

— Wiem, że Katrine była w jego dawnym biurze. Dowiedziała się czegoś? Na przykład dokąd się przeniósł?

— Obawiam się, że to był ostatni ślad.

— A w ogóle dlaczego zatrudniłeś właśnie Benjamina? Ferdinand Mesmer wzruszył ramionami.

— Pewnie jego firma była pierwszą, na którą natrafiłem w książce telefonicznej.

— Kłamiesz. Wybrałeś go bardzo starannie, podobnie jak mnie.

— Do czego zmierzasz?

— Znałeś jego sytuację rodzinną. Wiedziałeś, że odebrał surowe, religijne wychowanie. To zadecydowało?

Ferdinand Mesmer zmrużył oczy.

— Jesteś lepszy, niż sądziłem. Tak, rzeczywiście, znałem sytuację Benjamina. Pomyślałem, że to umożliwi mu bardziej dogłębne śledztwo.

— Chodziło ci o pracę pod przykryciem?

Ferdinand Mesmer pokiwał głową.

— Niestety, nie przyszło mi do głowy, że może się nawrócić.

Okazało się, że mój syn potrafi być przekonujący.

— Benjamin nadal jest z Jakobem?

— Na ten temat wiem równie mało jak ty, ale zakładam, że tak.

— Chyba że spotkało go coś jeszcze gorszego niż Lise.

Mesmer odwrócił głowę i sięgnął po teczkę leżącą na dachu samochodu.

— Co wiesz o pożarze na Belgiensgade? — ciągnął Ravn.

Wskazał głową na dłoń Mesmera ze śladami po poparzeniu. Mesmer uśmiechnął się niemal niezauważalnie.

— Tylko to, co można było przeczytać w gazetach. Chyba nie sądzisz, że miałem z tym coś wspólnego? — Wyciągnął dłoń w stronę Ravna. W mrocznym garażu sprawiała wrażenie bardziej zdeformowanej, niż była w rzeczywistości. Wyglądała niemal jak kopyto. — To stare dzieje. — Uśmiechnął się. — Masz jeszcze jakieś pytania?

— Mam. Książki napisane przez twojego syna.

— Rozumiem, że pytasz o te, które nie dotyczą Mesmogramu?

— Zgadza się.

— Kiedy zobaczyłem pierwszą z nich, byłem wstrząśnięty. Wypędzanie demonów. Jakiś absurd. Między innymi dlatego postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o tej jego sekcji.

— A co z pozostałymi firmami, których był współwłaścicielem? Też je sprawdziliście? — spytał Ravn.

— Oczywiście. Ciekawe, że wszystkie upadły, chociaż większość zatrudnionych pracowała bez wynagrodzenia, a zysk szedł wyłącznie na Wybrańców Boga. Ale cóż, zła sława robi swoje.

— A ogrodnictwo? Zakładam, że to jedyne, co mu zostało. Ferdinand Mesmer zaczerpnął powietrza.

— Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

— To miał być żart?

— Raczej ironiczny komentarz. Uprawiają pieczarki.

— Naprawdę?

Starszy pan przytaknął.

Ravn oparł się o mercedesa.

— Jeśli już wcześniej miałeś te wszystkie informacje, dlaczego nie posłałeś na Lolandię Katrine, żeby wręczyła mu tę umowę?

— Chciałem, żeby ktoś mi potwierdził, że mój syn jest nieobliczalny.

— Katrine nie mogła tego zrobić?

— Chciałem, żeby to był ktoś, kto spojrzy na wszystko świeżym okiem, trochę z zewnątrz. Ktoś o twoich możliwościach.

— Jeśli podejrzewałeś, że twój syn lub któryś z członków wspólnoty popełnił przestępstwo, powinieneś to zgłosić policji.

— Obaj dobrze wiemy, że możliwości policji są mocno ograniczone.

— Tak? A mnie się wydaje, że nie poszedłeś na policję, bo bałeś się, że przy okazji wyjdzie na jaw coś, co mogłoby źle wpłynąć na planowaną przez ciebie fuzję.

— Źle mnie oceniasz. Nie chcę nikogo kryć, nawet swojego syna, nawet jeśli miałby coś wspólnego ze zniknięciem Benjamina, hospitalizacją Lise czy czymkolwiek innym. Dlatego się z tobą skontaktowałem, Ravn. Żeby pewne rzeczy mogły wyjść na jaw.

— I żebyś mógł podpisać umowę.

— To też.

— Dlaczego zakładasz, że Jakob ją podpisze? Skoro jest ci taki niechętny?

— Bo brakuje mu pieniędzy. Jego gospodarstwo jest zadłużone. Produkcja, jeśli się nie mylę, została wstrzymana. Jeżeli chce ratować resztki wspólnoty, będzie musiał to zrobić. Ręka Boga — dodał z ironią.

Ravn odsunął się od mercedesa.

— Zakładam, że wygrasz.

— Ja już przegrałem. Wyrzucam sobie, że wszystko zaszło za daleko. Że nie potrafiłem być dla niego lepszym ojcem. Nie miał łatwego dzieciństwa. Ani młodości. Wielu rzeczy żałuję.

— Zostaw to innym, nie mam ochoty tego wysłuchiwać.  
Ferdinand Mesmer wzruszył ramionami.

— Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz albo będziesz mi współczuł. Prawdę mówiąc, nie ma to dla mnie większego znaczenia. Zakładam, że nadal jesteś zainteresowany sprawą?

Ravn nie odpowiedział. Miał dosyć, odwrócił się.

— Jesteś? — zawołał za nim Ferdinand Mesmer.

Jego głos odbił się echem w pustym garażu, w którym nadal rozbrzmiewała muzyka.

Minęła północ, ale powietrze nadal było ciepłe. Ravn siedział obok Eduarda na rufie jego kecza. Stopy miał zanurzone w wodzie, pił piwo. Od strony pobliskich lokali dochodziły krzyki i śmiech gości, którzy przenieśli się na zewnątrz, nad kanał. Ravn opowiedział przyjacielowi o rozmowie z Ferdinandem Mesmerem. Przyznał, że każde kolejne spotkanie sprawia, iż coraz mniej mu ufa. Chociaż za każdym razem dowiaduje się też nowych rzeczy.

— Manipuluje ludźmi. W życiu nie miałem do czynienia z czymś takim. Mam wrażenie, że nawet jeśli odkrywa przede mną rąbek tajemnicy, robi to tylko po to, żeby zbudować na tym nowe kłamstwo. — Ravn pociągnął kolejny łyk piwa.

— To po co chcesz tam jechać? Niech on sam albo Katrine przekaże Jakobowi tę cholerną umowę.

— Chcę się dowiedzieć, kto tak strasznie skrzywdził Lise. Eduardo patrzył na wodę.

— Uważam, że powinieneś dać sobie z tym spokój. Nie jedź. Ravn spojrzał na przyjaciela, który wydawał się szczerze zatroskany. Szturchnął go żartobliwie.

— Martwisz się o mnie?

— Mam złe przeczucia.

— Jadę na Lolandię. Najgorszą rzeczą, jaka może mnie tam spotkać, jest śmierć z nudów. I to jeszcze zanim dotrę do tych cholernych pieczarek. Kto, u licha, uprawia pieczarki?

— Nadal się martwię — powiedział Eduardo. Wyglądał, jakby wybierał się na pogrzeb.

— Co przede mną ukrywasz?

Eduardo podniósł głowę i spojrzał na niego.

— Kiedy cię nie było, wpadł tu na chwilę Kjeld.

— Ten od czerwonych szelek i fajki wodnej?

— Elektronicznego papierosa, ale to akurat nie ma większego znaczenia. Powiedziałem mu, czego się dowiedzieliśmy o gospodarstwie Mesmera, a wtedy przypomniał sobie pewną historię, którą kiedyś opowiedział mu kolega.

— Jaką historię?

— Kiedy Wybrańcy Boga byli u szczytu popularności, organizowano tam obozy...

— I...

— Nie były to obozy sportowe, tylko resocjalizacyjne. Tak to określali. Kjeld twierdzi, że były to obozy pracy, jak te opisane w *Archipelagu GULag*.

— No dobrze, ale kto tam trafiał?

— Członkowie wspólnoty, którzy wyrażali się krytycznie o jej działaniach albo nie dość się w nie angażowali. Niekiedy też ludzie, którzy ukończyli kursy, a potem nie byli w stanie za nie zapłacić. Kjeld twierdzi, że Jakob prawdopodobnie inspirował się obozami pracy scjentologów.

— Nic na ten temat nie wiem, ale dlaczego ludzie się na to zgadzali?

— Ponieważ mieli do wyboru albo pobyt w obozie, albo usunięcie ze wspólnoty.

— Kjeld wie, co tam się działo?

— Czytano Biblię i ciężko pracowano. Podobno ktoś, komu udało się stamtąd uciec, mówił, że kazano im chodzić w kolorowych kombinezonach i że byli całkowicie odizolowani od świata zewnętrznego. Wobec nieposłusznych stosowano kary cielesne.

— Ale podobno to wszystko się rozpada?

— O tym Kjeld nie wspominał. Martwię się, bo nikt nie wie, co tam się naprawdę dzieje. Jeśli coś się zmieniło, to raczej nie na lepsze.

Ravn dopił piwo i wstał.

— Sporo się dzisiaj dowiedziałem.

— Więc jedziesz tam?

— Tak. — Odstawił butelkę. — Dzięki za piwo.

Ravn ruszył wzdłuż nabrzeża w stronę tylnego pokładu „Bianki”. Zdziwił się, że Møffe nie wybiegł mu na spotkanie, jak zwykle to robił. Zaczął go wołać. Po chwili usłyszał charakterystyczne mlaskanie i zobaczył psa na pokładzie. Tuż obok, oparta o reling, stała kobieta i karmiła go psimi smakołykami.

— Na psa stróżującego raczej się nie nadaje — stwierdziła Katrine.

— Jak dotąd, jeszcze go na ciebie nie poszczułem — odpowiedział Ravn i podszedł do niej.

Katrine uśmiechnęła się i wytarła ręce w czarny top.

— Chyba już go oswoiłam.

— Długo tu jesteś?

— Chodzi ci o to, ile udało mi się usłyszeć z waszej rozmowy?

— Można to tak ująć.

— Wystarczająco dużo, żeby się cieszyć, że nie prenumeruję gazety, dla której pracuje twój przyjaciel.

— Nie wiedziałem, że w ogóle czytasz gazety.

— A ja nie wiedziałam, że tak łatwo cię nastraszyć.

— Więc nie słuchałaś uważnie. Nie trzęsę portkami przed pierwszą lepszą sektą. Po co tu przyszłaś?

— Byłam w okolicy.

— Późno pracujesz.

— A kto powiedział, że jestem tu służbowo? — Spojrzała na niego wyzywająco i zrobiła krok w jego kierunku.

Poczuł woń perfum zmieszany z lekkim zapachem potu.

— Kim ty jesteś? — spytał, wytrzymując jej wzrok.

— Kimś, kto pomaga dbać o to, by rzeczy trafiały na swoje miejsce.

— I to wszystko?

— Zwykle jest z tym sporo pracy — powiedziała.

Nagle położyła mu ręce na ramionach i objęła go. Był



zaskoczony.

— Gdzie wcześniej służyłaś? W jakiej jednostce?

Pocałowała go, odwzajemnił pocałunek. Ugryzł ją lekko w wargi i język.

— Pytasz, czy należymy do tej samej sekty? — spytała z uśmiechem.

— Czyli jakiej? — pociągnął ją w stronę otwartych drzwi do kajuty.

— Niebieskich koszul. A o jakiej myślałeś?

Uśmiechnął się, zdjął T-shirt i stanął przed nią półnagi.

— Masz na sobie za dużo rzeczy.

Wziął ją za rękę i pociągnął w głąb kajuty. Zaczęli walczyć z paskami i zamkami błyskawicznymi, Katrine szybko zrzuciła top, Ravn pomógł jej pozbyć się reszty odzieży i pchnął ją na łóżko.

— Jesteś za drobna na strażnika, więc obstawiam agentkę służb specjalnych. PET. Mam rację?

Położył się na niej i zaczął pieścić jej napięte wygimnastykowane ciało, czuł pod palcami jej ciepłą skórę.

— Nigdy nie mówię o przeszłości — powiedziała i przyciągnęła go do siebie, pocałowała go namiętnie i rozłożyła nogi, żeby mógł w nią wejść. — Interesuje mnie teraźniejszość, no i w jakimś stopniu również to, co przyniesie przyszłość.

Opadł na nią ciężko, wszedł w nią i dał się pochłonać aktowi miłosnemu. Zaczęli się kołysać, lekko, niemal w rytmie fal.

Po wszystkim leżeli w milczeniu i wpatrywali się w nocne niebo, widoczne przez otwarty luk. Na zewnątrz było cicho, najwyraźniej miasto też w końcu zasnęło.

— No więc co przyniesie przyszłość?

— Słucham? — odwróciła głowę i spojrzała na niego.

— Powiedziałaś, że interesuje cię, co przyniesie przyszłość.

— Powiedziałam: w jakimś stopniu.

— Jak ją widzisz?

Poprawiła się na łóżku, przybrała pozycję półleżącą i zaczęła

wodzić palcami po jego klatce piersiowej.

— Nie chodzi o to, żeby coś widzieć, raczej o to, żeby być przygotowanym. Móc zaakceptować, cokolwiek się pojawi.

— Filozofujesz.

— Próbuję zachować zdrowy rozsądek.

Poklepała go po klatce piersiowej i wstała.

Ravn patrzył, jak zbiera rozrzucone po kajucie ubrania.

Wyglądała pięknie w księżycowej poświacie, ale wiedział, że kiedy rano się obudzi, będzie żałować tego, co zrobił. Będzie miał moralnego kaca i będzie mu wstyd wobec kobiety, która już dawno nie żyła. To było pewne jak amen w pacierzu.

— To pomysł Mesmera?

— Kiepsko mnie znasz. — Włożyła majtki i koszulkę. — To raczej zły nawyk, którego nie potrafię się pozbyć...

— Czyli?

— Zadaję się z niewłaściwymi facetami. — Włożyła buty i posłała mu całusa. — Uważaj na siebie, Kruk.

Odwróciła się i wyszła z kajuty, a on leżał i słuchał odgłosu jej kroków na nabrzeżu, które powoli zamierały. „Zadaję się”. Tak, to było właściwe określenie na to, co przed chwilą się stało. Znał znaczenie tych słów aż za dobrze. Nie wyjawiała mu, skąd pochodzi. W jego świecie dodawało jej to atrakcyjności.

— Dokąd się wybierasz? — spytała Victoria i spojrzała na niego z wyrzutem.

Ravn ugryzł kawałek cynamonowej bułeczki; zawsze je kupował, kiedy szedł do antykwariatu pożyczyć od Victorii jakąś książkę.

— Na Lolandię — powiedział z pełnymi ustami.

Victoria usiadła na brzegu lady i podciągnęła tweedowe spodnie, żeby nie zepsuć kantów.

— Wiesz, że tam stosują chów wsobny?

— Wiedziałem, że jesteś uprzedzona do Szwedów i Niemców, ale nie sądziłem, że twoje uprzedzenia dotyczą też duńskiej prowincji.

— To nie są uprzedzenia, tylko wieloletnie doświadczenie. Nie wykluczam, że są tam też mili ludzie, ale ja ich nie spotkałam.

— A kiedy ostatnio byłaś poza Kopenhagą?

Spojrzała na niego oburzona.

— Często wyjeżdżam poza Kopenhagę po książki, ale nie będę ukrywać, że podróże mnie nie bawią. A już na pewno nie miałabym ochoty jechać do tych buraków. Co cię tam ciągnie?

— Muszę coś sprawdzić — rzucił lekko. Nie chciał jej mówić o umowie, którą zgodził się przekazać. — Podejrzewam, że Benjamin przebywa tam w jakimś gospodarstwie. Razem z Jakobem Mesmerem i jego wyznawcami.

— Jedziesz do tego egzorcysty?

Ravn skinął głową.

— Nic dobrego z tego nie wyniknie. — Victoria umoczyła bułeczkę w kawie, tak jak lubiła, i ugryzła kawałek. — Więc co chcesz pożyczyć? Mapę?

— Chętnie, jeśli jakąś masz, ale to nie wszystko...

— Tak? Nie sędzę, żebym miała jeszcze jakieś książki jego autorstwa. Poza tym nie wzięłaś tych ostatnich Mesmogramów, czy jak tam one się nazywają.

— Nie potrzebuję ich.

— A czego potrzebujesz?

Ravn wypił łyk kawy.

— Pieniędzy ode mnie nie wyciągniesz.

— Nie chcę twojej kasy.

— Więc o co chodzi?

— O twój samochód.

Victoria odstawiła filiżankę i długo patrzyła na niego w milczeniu.

— Chcesz pożyczyć Wilmę?

— Nie wiedziałem, że twoje auto ma imię. Ale tak. Mogę?

— Nie możesz pożyczyć samochodu od Mesmera?

— Niestety nie.

— A audi Lohmana? Całe lato nim szusowałeś.

— Wtedy pracowałem dla Lohmana. — Ravn postanowił nie wspominać, że dotąd nie zapłacił Lohmanowi za przednią szybę, którą wybił Carsten. — Bardzo mi pomożesz — powiedział tylko.

— Nie ma jakiegoś publicznego środka transportu, z którego mógłbyś skorzystać?

— Gospodarstwo leży z daleka od wszystkiego. Obiecuję, że będę o niego dbać, to znaczy, będę dbać o Wilmę. Wrócę wieczorem, jeszcze przed zmrokiem.

Victoria przyglądała mu się, jakby był trędowaty.

— Ale Møffego zostawisz w domu. Ślini się i linieje, nie chcę potem sprzątać jego kłaków.

Już chciał powiedzieć, że Møffe ani się nie ślini, ani nie linieje, ale doszedł do wniosku, że powinien uważnie wybierać swoje bitwy.

— Nie musisz się martwić. Møffe zostanie na łodzi z Eduardem.

Victoria sięgnęła do kieszeni i po chwili wyjęła kluczyk przytwierdzony do kółka z dużą srebrną literą „W”.

— Dobrze, tym razem ci ją pożyczę, ale jeśli zauważę choć jedną rysę na lakierze, to na zawsze pozostaniemy wrogami. Na zawsze, Ravn. Gotów jesteś podjąć takie ryzyko?

Ravn sięgnął po kluczyki i wyjął je z jej dłoni.

Dziesięć minut później siedział już za kierownicą czerwonego volvo duett P 210 kombi z 1966 roku. Victoria stała obok z głową w kabinie i przyglądała się, jak Ravn próbuje uruchomić silnik. Skrzynia biegów zazgrzytała lekko, kiedy w końcu udało mu się wrzucić pierwszy bieg.

— Nie przekraczaj osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. I kontroluj temperaturę płynu w chłodnicy. Nie może przekroczyć osiemdziesięciu pięciu stopni. I nie jedź polnymi drogami, kamienie mogą uszkodzić podwozie.

— Będę uważać — obiecał Ravn i dodał gazu.

— Zobaczymy się później.

— Puść hamulec ręczny! — zawołała Victoria tak głośno, że niemal ogłuchł na jedno ucho.

Zwolnił hamulec i samochód zaczął się toczyć Dronningensgade w kierunku skrzyżowania z Torvegade. W tylnym lusterku widział Victorię, która nadal za nim patrzyła. Ucieszył się, kiedy w końcu zniknęła mu z pola widzenia.

Stary blaupunkt przeskakiwał z jednej stacji radiowej na drugą. Ravn jechał E47 na południe, kierował się na Lolandię. Czasem zakłócenia zagłuszały muzykę, ale akurat w tej chwili — był nieco na południe od Præstø — Johnny’emu Cashowi udało się przebić przez szum. Z głośnika leciało *Walk the Line*. Ravn nastawił głośniej. Na autostradzie utrzymywał stałą prędkość stu kilometrów na godzinę, czyli nieco powyżej dopuszczalnej granicy ustalonej przez Victorię, ale nie lubił, kiedy wyprzedzały go tiry. Zresztą stare volvo radziło sobie bez problemu. Ravn kontrolował też temperaturę płynu w chłodnicy. Silnik pracował głośno, wewnątrz unosiła się woń spalin, ale jazda była przyjemnością. Także dlatego, że wielu kierowców odnosiło się do pojazdu z sentymentem i mijając go, podnosiło do góry kciuk.

Dwadzieścia minut później przejechał przez cieśninę Kalve Strøm. Jadąc mostem, spojrzął na migoczącą w upale niebieską wodę wokół wyspy Masnedø. Kiedyś razem z Evą planowali rejs po tych wodach. Mieli przybijać do kolejnych małych, sielankowych portów. Tak naprawdę był to pomysł Evy. Pewnego dnia w porcie w Nyhavn zobaczyła stary kuter, z którego sprzedawano świeże owoce z Fejø. I zamarzyła, żeby kiedyś popłynęli „Bianką” na wyspy po jabłka. Nigdy tego nie zrobili. Nie zdążyli, tak jak nie zdążyli zrobić wielu innych rzeczy. Ravn pomyślał, że za honorarium od Mesmera będzie mógł naprawić silnik „Bianki” i może wtedy popłynie po jabłka dla Evy. W ten sposób uczci jej pamięć. Pomysł przypadł mu do gustu.

Kiedy przejeżdżał przez kolejną wyspę, przez Falster, niebo się zachmurzyło. Otworzył boczną szybę i poczuł parne powietrze na zewnątrz; pomyślał, że pewnie zbliża się burza. Jeśli adres

okaże się właściwy, za jakieś pół godziny powinien być na miejscu. Wjechał do tunelu Guldborgsund, łączącego Falster z Lolandią. Radio zamilkło i wtedy usłyszał warkot silnika. Jakby się zacinał, coś było nie tak. Odruchowo zwolnił. Sprawdził wszystkie pomiary na desce rozdzielczej, wydawały się w porządku.

Po chwili był już na Lolandii; z daleka dobiegały pierwsze odgłosy burzy, jakby na zamówienie. Nie był na tyle przewidujący, żeby zawczasu sprawdzić prognozę pogody, po prostu założył, że nie będzie padać. Teraz martwił się powrotem, perspektywa jazdy starym volvem w ciemnościach i w deszczu przerażała go. Nagle rozległ się huk i po chwili z chłodnicy zaczęły się wydobywać obłoki białej pary, zasłoniły mu widok. Odruchowo wcisnął hamulec i volvo wpadło w poślizg. Zdjął nogę z hamulca, przekręcił kierownicę, skontrował i zorientował się, że za chwilę znajdzie się na przeciwległym pasie jezdni. Zaczął desperacko kręcić kierownicą, próbując zapanować nad samochodem. Skutek był taki, że wóz wylądował w rowie, a on uderzył głową w kierownicę.

Dotknął ręką czoła, zobaczył, że krwawi. Pchnął drzwi ramieniem i oszołomiony wytoczył się z samochodu. Z chłodnicy nadal wydobywała się para, rozgrzany do białości silnik zaczął wydawać podejrzane dźwięki.

— To nie może być prawda! — wymamrotał.

Powoli wydostał się z rowu, usiadł na poboczu i przyglądał się Wilmie. Na szczęście uderzenie było dość łagodne. Przedni zderzak był co prawda wygięty, ale lekko, natomiast Ravn nie wiedział, czy ucierpiał też silnik. Uznał, że nie będzie próbował go uruchomić, bo nawet jeśli mu się to udało, sam nie dałby rady wyciągnąć wozu z rowu. Spojrzał na pustą szosę i spostrzegł, że asfalt zrobił się ciemniejszy. Deszcz przybierał na sile, poczuł w nozdrzach jego metaliczną woń. Wiedział, że musi zadzwonić po pomoc drogową, po dźwig, który wyciągnie samochód z rowu i dostarczy go do warsztatu. Miał nadzieję, że uszkodzenia nie okażą się poważne i nie będzie musiał informować Victorii

o całym zdarzeniu.

Laweta zjawiała się po trzech godzinach oczekiwania. Ravn, który schronił się przed nasilającym się deszczem w kabinie volva, wyszedł na zewnątrz i zobaczył miejscowego kierowcę ciężarówki. Na poobijanych drzwiach widniał napis: „Zadzwoń po nas, jeśli wóz ci się spoci”.

— Co to? Nie masz hamulców? — spytał mężczyzna. Stał naprzeciwko niego, był ubrany na czarno i wyglądał jak rowerzysta.

— Mam, ale wpadłem w poślizg, coś zazgrzytało i nagle wszędzie był dym.

— Cóż, każdemu może się zdarzyć.

— Mam wrażenie, że wiesz, co mogło się stać — powiedział Ravn z nadzieją w głosie.

— Nie mam pojęcia, zajmuję się tylko holowaniem

— odpowiedział mężczyzna i zaczął wkładać rękawice robocze.

— Ale odwiozę cię do warsztatu. Ładny wóz.

Zaczepił linę o hak, uruchomił korbę lawety i bez większych problemów wyciągnął samochód z rowu. Kiedy volvo stanęło na szosie, Ravn spróbował uruchomić silnik, który jednak znów zaczął charczeć. Wyglądało na to, że za chwilę wykaszle wszystkie nity przez rurę wydechową. Wyłączył silnik.

— Powinien go obejrzeć fachowiec. Mój brat jest niezły w te klocki.

— Mam nadzieję, że jest też szybki.

\*\*\*

W walącym się budynku warsztatu unosił się ostry zapach starego oleju silnikowego; wokół kanału, na którym stała Wilma, wałały się części zapasowe do silników i fragmenty rozebranych skrzyń biegów.

Brat bliźniak kierowcy stał pochylony nad chłodnicą i przyglądał się wnętrzu starego volva. Ravn krążył wokół niego, od czasu do czasu niecierpliwie sprawdzając godzinę na iPhone.



Jeśli uda się szybko naprawić samochód, jeszcze dzisiaj dotrze do gospodarstwa Jakoba Mesmera, które znajdowało się zaledwie kilka kilometrów od warsztatu.

— Dasz radę go naprawić?

Mechanik wymamrotał coś pod nosem, nie przerywając pracy.

— Będę wdzięczny, jeśli uda ci się skończyć przed wieczorem.

Minęło kilka minut, zanim mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na niego sennym wzrokiem.

— Na piechotę do Kopenhagi jest kawał drogi.

— Właśnie — powiedział Ravn i zagryzł wargę. — Dasz radę go naprawić?

— Nie sprawdzałeś wskaźnika temperatury? Jak się ma stary samochód, to trzeba kontrolować takie rzeczy.

— Oczywiście, że sprawdzałem. Co dziesięć minut, i nie przekraczałem osiemdziesiątki, a jeśli, to niewiele.

— Sam z siebie się nie zapalił.

Ravn przełknął ślinę.

— Spalił się?

Mężczyzna wytarł dłonie w kombinezon.

— Całkiem się nie spalił, ale chłodnica poszła.

— Masz może taką w magazynie? Zapłacę każdą cenę.

— W magazynie? — Mężczyzna uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Takich chłodnic już się nie produkuje.

— Więc co teraz?

— Skontaktuję się z mechanikiem w Nakskov. Zobaczymy, czy ma coś, co może nam się przydać. Ale to będzie nie wcześniej niż jutro.

— Jutro? Ale ja... muszę mieć samochód.

— Wszyscy tak mówią.

— Nie można zadzwonić do tego faceta w Nakskov?

— Można, ale na pewno poszedł już do domu, więc nic nam to nie da. Gdybyś kontrolował sytuację, nie doszłoby do tego. Jedyne plus jest taki, że na drugi raz będziesz bardziej uważać.

Zostaw mi numer komórki, to dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem.

Ravn, zmęczony, oparł się o ścianę. Samantha Fox spoglądała na niego z wyblakłego kalendarza z połowy lat osiemdziesiątych, który wisiał nad jego głową. Dał mechanikowi numer komórki.

— Jest tu gdzieś jakiś hotel?

— Można wynająć pokój ze śniadaniem. Bed and Breakfast. Niedaleko stąd. Ale przyjmują tylko gotówkę.

Ravn wyszedł przez otwartą bramę warsztatu i ruszył przed siebie pustą o tej porze główną ulicą Søllested. W jednej ręce trzymał komórkę, w drugiej kopertę. Deszcz przestał już padać, promienie słońca przedzierały się przez czarne chmury. W oddali nadal słychać było grzmoty. Wysłał Victorii SMS-a, w którym przeprosił, że nie odda jej wieczorem samochodu. Sprawy się przeciągnęły, musi przenocować w miasteczku. Kiedy minutę później zadzwoniła do niego, postanowił nie odbierać. Nawet w SMS-ie trudno mu było kłamać.

Na ścianie jednego z ostatnich domów w miasteczku był szyld Bed and Breakfast. Ravn wszedł na podwórze, na którym stała wielka ciężarówka, minął ją i poszedł dalej do drzwi. Zapukał, odpowiedziało mu szczekanie psa. Po chwili otworzył mu szczupły mężczyzna, który nogą powstrzymywał wilczura.

— Tak?

— Szukam noclegu. Ma pan coś wolnego?

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

— Zwykle przyjmujemy tylko ludzi, których znamy.

— Zapłacę z góry.

— Coś się znajdzie. Jesteś sam?

Ravn obrócił się i uśmiechnął, jakby chciał pokazać mu, że nikogo z nim nie ma.

— Zepsuł mi się samochód, zostawiłem go w warsztacie...

— Trzeba sobie pomagać — przerwał mu mężczyzna.

— Zostań! — krzyknął do psa i popchnął go kolanem w głąb korytarza.

Ravn poszedł za mężczyzną. Okrążyli dom i weszli do niewielkiej przybudówki, w której znajdował się pokój do wynajęcia. Urządzony był skromnie. Dwa pojedyncze łóżka i fotel, wtłoczony w kąt, stanowiły całe umeblowanie. Mimo uchylonego okna w pokoju było duszno, czuć było stęchlizną. Ravn obejrzał pokój i wrócił na korytarz, gdzie była wspólna łazienka.

— Tak to wygląda — stwierdził mężczyzna, biorąc się pod boki.

— W porządku. Ile pan za niego chce?

— Dwieście za noc. Rozliczymy się przy wyjeździe

— powiedział mężczyzna i dał mu klucz.

— Można tu coś zjeść?

— Śniadanie. Było nie było, to Bed and Breakfast.

— Jasne. — Ravn skinął głową i mężczyzna ruszył do drzwi.

Kiedy wyszedł, Ravn podszedł do okna i otworzył je najszerzej, jak to było możliwe. Spojrzał na ciągnące się w oddali pola pszenicy, na których pracowały kombajny. Jeżeli nie zacznie znów padać, zostaną tam pewnie przez całą noc, więc na spokojny sen raczej nie miał co liczyć. Burczało mu w żołądku. Pomyślał, że chociaż miasteczko jest niewielkie, musi w nim być jakieś miejsce, gdzie można coś przegryźć i popić zimnym piwem. Podszedł do łóżka i schował kopertę pod materac. Nie była to najlepsza kryjówka, ale też nie bardzo sobie wyobrażał, że ktoś mógł się tu włamać i przeszukać pokój.

Na drugim końcu miasteczka był pub, Søllested Pub. Na dziedzińcu stały ławy, nad nimi wisiały kolorowe lampki. Ludzie siedzieli przy stołach i jedli. Znad dużego grilla przy barze unosiły się kłęby dymu. Młodzi chłopcy w czapkach bejsbolowych i jednakowych fartuchach grillowali kiełbaski i hamburgery. Ravn znalazł wolne miejsce przy jednym z długich stołów, przy którym kilku miejscowych jadło kolację. Zaproponował im kolejkę. Kiedy po chwili wrócił z piwem, mężczyźni wznieśli toast i zaczęli z nim rozmawiać. Wszyscy mieszkali w miasteczku; dwóch wybierało się po kolacji w pole, trzeci, kierowca tira, Arne, poinformował, że następnego dnia rusza do Francji, po czym zwrócił się do Ravna:

— Słysząc, że nie jesteś stąd, więc co cię sprowadza tu do nas na południe?

— Rozglądam się za jakimś domem, ale zepsuł mi się samochód — powiedział Ravn. Nie miał ochoty wtajemniczać ich w swoje plany.

— Chcesz się tu osiedlić? Stąd ludzie raczej wyjeżdżają — powiedział Arne i pokiwał głową. — Jeszcze trochę, a trzeba będzie wszystko zamknąć. Młodzi wyjeżdżają się uczyć, a potem nie wracają. — Sięgnął po kaszkiet, przeciągnął dłonią po

rzadkich włosach. — Tak to już jest — dodał smutno.

— A ja słyszałem, że jakiś czas temu jacyś ludzie z Kopenhagi kupili tu gospodarstwo.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i pokręcili głowami.

— W Søllested? O niczym takim nie słyszałem. Gdzie?

— Może coś pomyliłem — odpowiedział Ravn i wypił łyk piwa. — Może to było gdzie indziej. Podobno hodują pieczarki. Jakaś wspólnota czy coś takiego. — Wzruszył ramionami.

— Masz na myśli sektę?

Ravn skinął głową.

— Tak, to chyba jakiś ruch religijny.

— Osiedli w pobliżu Dannemare. — Potężnie zbudowany mężczyzna wskazał palcem gdzieś za Ravnem. — To niedaleko stąd.

— I nadal tam są?

Arne skinął głową.

— Myślę, że tak, ale z nikim się nie zadają. Czasem robią zakupy w Brugsen, wtedy ich widuję. Kiepsko wyglądają, jeśli mam być szczery.

— Jak to: kiepsko?

— Głodni, chorzy. Gdyby to były zwierzęta, dawno poszłyby pod nóż.

Mężczyźni przy stole się roześmieli. Wszyscy z wyjątkiem Ravna.

— To ich gospodarstwo cienko przedzie — ciągnął Arne.

— Nie wystarczy być bogobojnym, trzeba jeszcze znać się na robocie. I ciężko pracować — dodał jeden z mężczyzn. Spojrzał w niebo. — No właśnie, trzeba wracać do pracy.

Wstał z ławki, za nim poszli pozostali. Pożegnali się z Ravnem i Arnem i odeszli.

Po chwili Arne zaproponował Ravnowi kolejkę. Kiedy wstał i poszedł do baru, Ravn rozejrzał się po dziedzińcu. Zauważył, że doszli nowi goście, robiło się coraz gwarniej. Atmosfera przypominała nastrój w Wydrze Morskiej. Pomyślał, że pewnie każda miejscowość ma takie „swoje” miejsce.

— Słyszałem, jak rozmawialiście — odezwał się mężczyzna, który wcześniej siedział w pobliżu. Był pijany. Stał teraz pochylony nad Ravnem, z butelką w ręku, i ledwie trzymał się na nogach. — O tych z Farmy — dodał.

— Tak? Co słyszałeś? — spytał Ravn i się uśmiechnął.

— To świry. Totalnie pokręceni. Moja siostra była tam kiedyś na nabożeństwie. Dom wariatów, nie przesadzam. — Pod mężczyzną ugięły się nogi, byłby się przewrócił, gdyby nie oparł się o Ravna. — Wcale nie modlą się do Boga, rozumiesz?

— Niezupełnie.

Mężczyzna spojrział na Ravna zamglonym wzrokiem.

— Oni czczą Szatana. Modlą się do Lucyfera, rozumiesz?

Arne wrócił z piwem, wziął mężczyznę za kołnierz i odciągnął na bok.

— Wracaj do domu, Ole. Prześpij się.

— Dobra, dobra — wymamrotał mężczyzna. Cofnął się kilka kroków, próbując odzyskać równowagę. — Już sobie idę. Postawisz browarek?

— Wracaj do domu — powtórzył Arne.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem — zwrócił się Ole do Ravna. — Czczą Szatana.

Arne usiadł obok Ravna i postawił przed nim piwo.

— Nie przejmuj się nim. Ole wypalił i przepił mózg, na szczęście jest nieszkodliwy.

Ravn pokiwał głową. Patrzył za mężczyzną, który szedł powoli ulicą. Przypomniała mu się stara mądrość ludowa, głosząca, że prawdy można się dowiedzieć od dzieci i pijaków.

## 41.

Ravn obudził się w niewygodnym łóżku ze zbyt miękkim materacem. Rozejrzył się sennie dookoła. Minęło trochę czasu, zanim dotarło do niego, że jest w wynajętym pokoju na wsi, a nie na pokładzie „Bianki”. Przez cienką firankę wpadały promienie słońca i chociaż było jeszcze wcześniej, w pokoju zrobiło się już gorąco. Obudził go hałas pracujących na polach kombajnów. Pewnie jeździły całą noc, bo kiedy późnym wieczorem wracał do domu, też je słyszał. Wstał i podszedł do okna. Chciał odsłonić firankę i otworzyć okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Podążył wzrokiem za pracującymi na polu maszynami i za niebieskim traktorem z przyczepą, który zmierzał na drugi kraniec pola. Mężczyźni kończyli pracę, w jasnym porannym słońcu widniało świeże rzysko.

Dziesięć minut później Ravn szedł już przez podwórze. Zauważył, że jego gospodarz stoi w oknie głównego budynku i go obserwuje. Postanowił darować sobie śniadanie i czas oczekiwania na wiadomość od mechanika wykorzystać na wizytę w gospodarstwie Jakoba, które podobno leżało jakieś pięć, sześć kilometrów od Søllested. Chciał jak najszybciej załatwić sprawę.

Po drodze zajrzał do piekarni przy głównej ulicy. Poprosił młodą Tajkę, która stała za ladą, żeby zrobiła mu kilka kanapek z serem. Wziął je ze sobą, żeby zjeść po drodze. Szybko opuścił miasteczko. Szedł pustą wiejską drogą, napawając się widokiem rozległych pól. Pszenica była już wysoka, chmury rzucały cienie, mknęły nad polami, łany zboża wyglądały jak falujące morze.

Po czterdziestu minutach wędrówki dotarł do wysokiego, pociągniętego wapnem białego muru, biegnącego między okazałymi starymi dębami. Obok wysokiej bramy widniała tabliczka, na której ktoś czarnymi ukośnymi literami napisał

„Getsemani”, a nieco niżej cytat z Księgi Psalmów: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną, Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza”.

Wcisnął guzik domofonu połączonego z niewielką kamerą. Nikt się nie odezwał, spróbował ponownie, a potem jeszcze raz, ale nadal bez powodzenia. Odwrócił się i zaczął iść wzdłuż muru, który ciągnął się aż do pobliskiego pola. Zasłaniał cały teren gospodarstwa. Ravn widział mur przez wysokie łany zboża. Nad nim kłębiły się zwoje drutu kolczastego, nieco dalej dojrzał między drzewami niewielką kamerę. Zaczął się zastanawiać, czy liczne środki ostrożności miały służyć odstraszeniu niepożądanych gości, czy może raczej uniemożliwiać ucieczkę członkom wspólnoty?

Wrócił do bramy i ponownie wcisnął dzwonek. Jednak i tym razem nikt nie odpowiedział. Zauważył szparę na listy w bramie i pomyślał, że najłatwiejszym rozwiązaniem byłoby wrzucić przez nią kopertę. Wykonałby zlecenie Ferdinanda Mesmera, ale przecież nie tylko dlatego tu był. Odchylił głowę i spojrzał na wysoką bramę. Jedyne, co mu pozostało, to wdrapać się na nią. Włożył stopę w szparę na listy, wspiał się na palce i udało mu się chwycić dłońmi górnej krawędzi bramy. Podciągnął się na tyle, żeby móc zajrzeć do środka. Zobaczył starannie wygrabioną alejkę, prowadziła między starymi dębami, a potem, kawałek dalej, dość raptownie zniknęła za zakrętem.

Próbował podciągnąć się jeszcze wyżej, kiedy nagle usłyszał za sobą stłumiony odgłos syreny policyjnej. Odwrócił głowę i zobaczył, że został przyłapany na gorącym uczynku. Zeskoczył na ziemię. Po drugiej stronie wiejskiej drogi stał zakurzony radiowóz z napędem na cztery koła. Za kierownicą siedział policjant w okularach przeciwsłonecznych; jedną rękę trzymał na zewnątrz, pomachał mu leniwie, dając do zrozumienia, że ma do niego podejść.

Ravn przeszedł przez drogę, nie bardzo wiedząc, co go czeka.

Potęźnie zbudowany, poparzony słońcem policjant otarł pot



z karku.

— Co prawda przed chwilą miałeś w ustach kopertę, ale nie wyglądasz mi na listonosza.

Ravn uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Dzwonek nie działa, więc pomyślałem, że wdrapię się na mur i zobaczę, czy ktoś jest w domu.

— Jasne. Masz jakiś dokument tożsamości?

Ravn poklepał się po kieszeniach, znalazł portfel, wyjął z niego prawo jazdy i podał policjantowi.

— Nie jesteś stąd, to słyhać — powiedział policjant, obracając w rękę prawo jazdy. — Co cię tu sprowadza?

— Miałem oddać to. — Ravn zamachał kopertą.

— Tam jest skrzynka na listy. — Policjant wskazał ręką na bramę. — Dlaczego z niej nie skorzystałeś?

— To ważny dokument, kazano mi doręczyć go osobiście Jakobowi Mesmerowi. Orientuje się pan może, czy nadal tu mieszka?

Policjant zsunął nieco okulary i spojrzał na Ravna.

— Dokument? Brzmi bardzo oficjalnie, ale z całym szacunkiem, nie przypominasz urzędnika z gminy, a tym bardziej prawnika. Więc kim jesteś, Thomasie Ravnsholdcie z Kopenhagi?

— Ravn, wszyscy tak do mnie mówią — powiedział i uśmiechnął się. — Pracuję dla kancelarii adwokackiej — skłamał.

Policjant oddał mu prawo jazdy.

— Jesteś prywatnym detektywem?

Ravn wzruszył ramionami.

— Powiedzmy, że jestem doradcą. Freelancerem.

— Freelancerem... Brzmi elegancko.

Ravn żałował, że użył tego określenia.

— Dawniej pracowałem w policji, w komendzie Station City na Halmtorvet.

Policjant zdjął okulary.

— Jako świeżo upieczony gliniarz byłem na stażu na Store Kongensgade. Koledzy byli w porządku, ale nie było lekko.

— Kiedy to było?

— W dziewięćdziesiątym trzecim.

— Gorący rok. Brałeś udział w starciach? — spytał Ravn. Policjant pokiwał głową w milczeniu.

— Z demonstracji osiemnastego maja została mi nawet pamiątka. — Odwrócił głowę i wskazał dłonią zgrubienie na prawej skroni. — Dostałem kamieniem. Miesiąc byłem na zwolnieniu.

— I tak miałeś szczęście.

Policjant ponownie skinął głową i włożył okulary.

— Przyszedłeś na piechotę z Kopenhagi?

— Musiałem zostawić samochód w warsztacie w Søllested.

Nie wytrzymał trudów podróży.

— Wskakuj — rzucił policjant, pokazał mu ręką, żeby wsiadł do radiowozu.

— Chciałbym najpierw to oddać.

— Proponuję zadzwonić i umówić się z kimś. Poza tym zaraz zacznie padać.

Ravn spojrzał na niebo, na którym nie było ani jednej chmury.

— Naprawdę?

— Naprawdę — powiedział policjant i ponownie wskazał na drzwi.

Ravn okrążył radiowóz. Wiedział, że policjant nie pozwoli mu zostać. Będzie musiał wrócić tu później. Wsiadł do środka i po chwili mknęli drogą z powrotem do Søllested.

— Ile lat już tu jesteś? — spytał Ravn.

— Dwadzieścia, w zeszłym roku obchodziłem jubileusz.

Zdecydowanie za długo — dodał i pokręcił głową.

— Więc znasz okolicę.

— To prawda. I chociaż więcej ludzi stąd wyjeżdża, niż tu przyjeżdża, to pracy ciągle nam przybywa. Bogate gminy z północy traktują nas jak rodzaj społecznego śmietnika. Przysyłają nam wszystkich, którymi nie mają ochoty się zajmować.

— Jakie przestępstwa są tu najczęstsze?

— Mamy włamania, narkotyki, zdarzają się awantury domowe i od czasu do czasu jakieś zabójstwo. Zapewniam, że to ciężki kawałek chleba.

— Nie wątpię — przytaknął Ravn. — A Wybrańcy Boga? Macie z nimi kłopoty?

— Jacy wybrańcy?

— Ci tam — powiedział Ravn, wskazując ręką za siebie.

— Tak się nazywają? — Roześmiał się. — Trzymają się na osobności.

— Otoczeni drutem kolczastym i pod pełną kontrolą kamer.

— Niektórzy chcą mieć spokój i mają do tego prawo.

— Oczywiście, ale słyszałem plotki, które mnie zaniepokoiły.

— Ludzie zawsze plotkują, a szczególnie w takich małych społecznościach jak nasza. Niewiele się tu dzieje, więc plotkują.

— W Kopenhadze słyszałem podobne plotki. Byłeś kiedyś u nich?

— Nigdy z nikim nie rozmawiam o sprawach służbowych, nawet z żoną.

Ravn zastanawiał się, jak ratować sytuację.

— Miałem na myśli: tak prywatnie. Zdaje się, że organizują jakieś wieczory biblijne. Śpiewają, modlą się i odprawiają egzorcyzmy.

Policjant się roześmiał.

— Brzmi nawet zabawnie, ale nie sędzę, żeby to była prawda.

— I nigdy nie widziałeś Jakoba Mesmera? To znaczy, prywatnie.

— Jesteś strasznie namolny. Jak każdy gliniarz z Kopenhagi.

— Tak naprawdę jestem z Christianshavn, ale rzeczywiście, trudno nas przegadać. Jaki on jest, ten Jakob?

Policjant zwolnił, po chwili zatrzymał się na skrzyżowaniu.

— Gdzie masz samochód?

— Na drugim końcu miasta — powiedział Ravn i wskazał

w kierunku warsztatu. — Ale nie sądzę, żeby już był gotowy. Jeśli mógłbyś podrzucić mnie do pokoju, który wynajmuję...

— Wiem, gdzie to jest — odparł policjant, nie czekając, aż Ravn dokończy.

Pięć minut później byli na miejscu; policjant się zatrzymał.

— Mam nadzieję, że uda ci się przekazać list w sposób bardziej cywilizowany.

Ravn pokiwał głową.

— Zanim się tam udam, najpierw spróbuję się z nimi skontaktować — skłamał. — Dziękuję za podwiezienie.

Otworzył drzwi i zaczął wysiadać.

— To spokojni ludzie — usłyszał za sobą głos policjanta. — Bogobojni. Kiedy jakiś czas temu się tu osiedlili, chcieli wszystkich zbawiać. Ale nie bardzo im to szło, podobnie jak uprawa pieczarek. Teraz trzymają się od nas z daleka. Nie ma z nimi żadnych kłopotów. Co my, prowincjonalni policjanci, bardzo sobie cenimy.

— Wiesz może, czy Jakob Mesmer tam jest? To poważna sprawa — spytał Ravn i zamachał kopertą, jakby chciał podkreślić znaczenie swoich słów.

— Dawno go nie widziałem, ale pewnie jest. Dlaczego nie spytasz swojego gospodarza?

— On go zna?

— Ejner jest jedyną osobą, którą udało im się zwerbować. Ale to nie było trudne, bo Ejner zawsze interesował się zjawiskami nadprzyrodzonymi. Był już świadkiem Jehowy, potem działał w misji, a teraz przystąpił do Wybrańców Boga.

— Więc jednak wiesz, jak się nazywają?

— Znam tu wszystkich i wszyscy znają mnie. Miłego dnia...

Ravn.

Kiedy Ravn przechodził przez podwórze, zabręczała jego komórka. Wyjął ją z kieszeni i zobaczył, że Victoria przesłała mu wiadomość. „KIEDY WRACASZ??? POTRZEBUJĘ WILMY. TERAZ!”

Odpisał: „Przykro mi. Wrócę najszybciej, jak będę mógł”. Miał nadzieję, że mechanikowi uda się naprawić volvo w ciągu dnia, tak żeby wieczorem mógł zwrócić je Victorii. Obiecał sobie, że nigdy więcej go od niej nie pożyczy.

Już miał wejść do przybudówki, kiedy nagle zauważył Ejnera. Stał na ogrodzonym trawniku za domem i rozsypywał jakieś ziarno. Zamiast wejść do środka, Ravn poszedł dalej ścieżką, minął główny budynek i podszedł do ogrodzenia. Na niewielkim trawniku skakało siedem, może osiem królików.

Zatrzymał się i popatrzył na mężczyznę.

— Ładne króliki. Co to za rasa? — spytał.

— Znasz się na królikach?

— Nic a nic.

— Hvid Land — powiedział Ejner, nawet nie odwracając głowy w jego stronę.

— Wyglądają sympatycznie.

— Są bardzo towarzyskie — mruknął Ejner. — A mięso jest bez zarzutu.

— Zjada je pan?

Mężczyzna spojrzał na niego jak na idiotę.

— A po co bym je hodował?

Ravn poczuł nagle niechęć do niechlujnego mężczyzny w poplamionych spodniach, ale nie okazał tego, tylko się uśmiechnął.

— Słuszna uwaga. Podrzucił mnie wasz policjant.

— Widziałem.

— Rano wybrałem się do Getsemani, do tych szklarni.

Ejner przestał sypać pokarm i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Powiedział, że pan zna to miejsce.

— Kto tak powiedział?

— Policjant.

— Ach, tak — Ejner spuścił wzrok.

— A myślał pan, że kto?

Ejner nie odpowiedział, patrzył na króliki, które zebrały się wokół jego stóp.

— Powiedział też, że zna pan Jakoba Mesmera. To prawda?

— A dlaczego pytasz?

— Bo przyjechałem tu, żeby się z nim spotkać.

— Wielu ludzi by tego chciało. Widziałeś go?

— Dzwoniłem, ale nikt nie odpowiadał.

— Widocznie uznali, że nie chcą cię widzieć. — Mężczyzna uśmiechnął się do królików. — Nie każdy jest tam mile widziany, chociaż to Dom Boży.

Ravn przeszedł przez niski płotek i podszedł do Ejnera.

Króliki natychmiast oddaliły się w bezpieczniejsze miejsce.

— Muszę z nim porozmawiać. Kiedy widział go pan ostatni raz?

— Jakiś czas temu. Czego chcesz od Mistrza?

— Chciałem go tylko posłuchać. Jego przesłania. Byłem kiedyś na Belgiensgade.

— Przed pożarem?

— Tak. Razem z Benjaminem, Lise i innymi.

— Nigdy tam nie byłem. Nie znam tych ludzi. Ale słyszałem o tym miejscu.

— To były fantastyczne czasy, błogosławione lata

— powiedział Ravn, uśmiechając się niewinnie.

Ejner wytarł usta wierzchem dłoni.

— Pojutrze jest wieczór biblijny.

— W Getsemani?

— Tak.

— Jakob jest Mistrzem?

Ejner zmrużył oczy.

— Oczywiście, jakżeby inaczej? Któż inny mógłby odprawiać egzorcyzmy?

— Racja. Zna pan jego numer?

— Numer?

— Numer telefonu. Do Mistrza.

Mężczyzna zamrugął. Ravn wiedział z doświadczenia, że tak zwykle reagują ludzie, kiedy muszą szybko wymyślić jakieś kłamstwo.

— Ja... nie, nie mam. Nawet nie wiem, czy ma komórkę.

— Bardzo ci dziękuję, Ejner — powiedział Ravn. Poklepał mężczyznę po ramieniu, odwrócił się i przeszedł przez niski płotek.

— Jeśli znają cię z Belgiensgade, to dlaczego dzisiaj cię nie wpuścili?

Ravn odwrócił się i spojrzał na niego.

— Może nie wstają tak wcześnie — powiedział i uśmiechnął się niepewnie.

Z okna swojego pokoju Ravn obserwował Ejnera, który dalej stał wśród królików. Rozmawiał przez komórkę, żywo gestykulując. Ravn nie wiedział, z kim rozmawia, ale domyślał się, że rozmowa raczej nie dotyczy królików. Sięgnął po telefon i wybrał numer do warsztatu. Spytał, kiedy będzie gotowy jego samochód.

— Po południu — obiecał mu mechanik.

Kwadrans po drugiej Ravn jechał tą samą polną drogą, którą rano przemierzał na piechotę. Mechanik okazał się w porządku. Nie udało mu się znaleźć nowej chłodnicy na wymianę, więc zespawał starą. Wykonał kawał dobrej roboty, trzeba było naprawdę dobrze się przyjrzeć, żeby coś zauważyć. Ravn miał nadzieję, że uda mu się utrzymać Victorię w nieświadomości odnośnie do tego, co się wydarzyło. Poza tym rachunek był znacznie niższy, niż gdyby naprawa została wykonana w Kopenhadze. Jeśli zastanie Jakoba Mesmera w Getsemani, to jeszcze przed północą powinien być z powrotem w domu. Może nawet zdąży wpaść na jednego do Wydry?

Zbliżając się do gospodarstwa, już z daleka dostrzegł długi biały mur. Zdjął nogę z gazu. Po chwili po prawej stronie ukazała się wąska polna droga, skręcił w nią. Jechał teraz wśród wysokich łąków zbóż, zawieszenie skrzypiało złowrogo na wybojach, zwolnił jeszcze bardziej. Przejechał jakieś czterysta, może pięćset metrów, zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Z daleka dochodził cichy warkot kombajnu, poza tym panowała cisza. Nawet ptaki nie śpiewały. Niebo było zachmurzone, powietrze stało nieruchomo, jakby przyroda czekała na zbliżającą się burzę. Ravn wszedł na pole i zaczął przedzierać się przez zboże, które sięgało mu do pasa. Jakieś trzysta, czterysta metrów dalej leżało Getsemani, otoczone białym murem. Skierował się w stronę najbardziej oddalonej części gospodarstwa. Miał na nogach conversy i trudno mu się szło po miękkim podłożu, ale był przekonany, że gdyby podszedł do bramy i zadzwonił, nikt nie wpuściłby go do środka. A już na pewno nie teraz, kiedy Ejner doniósł im o wszystkim. Nie miał też specjalnej ochoty na ponowne spotkanie z policjantem, chociaż... Tuż obok wzbija się



w powietrze kuropatwa. Przestraszył się i byłby się potknął o własne nogi. Zaklął głośno i odbił nieco w bok, nie chciał znaleźć się w polu widzenia którejs z licznych kamer. Szedł dalej i nagle zauważył, że w pewnym miejscu biały mur przechodzi w niskie kamienne wyгородzenie. Zaczął iść wzdłuż niego. Z wysokich przyzmk kompostu, które otaczały gospodarstwo, unosił się ostry odór końskich odchodów. Wszedł na kamienny murek i zeskoczył po drugiej stronie. Wylądował w kompoście. Jedna stopa zanurzyła się w parującej gnojówce, szarpnął nią i w końcu udało mu się ją oswobodzić. Otrzepał spodnie i zaczął czyścić conversy z błota i obornika. Czuł, że cuchnie końskim łajnem; żałował, że jednak nie spróbował wejść przez bramę.

W tym momencie rozległ się grzmot, Ravn ruszył szybkim krokiem wzdłuż wysokich na metr przyzmk kompostu. Kiedy minął ostatnią, zaczęło lać. Włożył kaptur i szedł dalej. Po chwili zauważył małego chłopca, który stał i przyglądał mu się pustym wzrokiem. Jego chuda twarz była brudna, miał cienie pod oczami. Sprawiał wrażenie wygłodzonego, ze szczupłych ramion zwisał brudny niebieski kombinezon. Ravn już miał się do niego odezwać, ale chłopiec nagle zawrócił i zaczął biec na bosaka przez błoto, kierując się w stronę najdalej położonych baraków.

Ravn rozejrzał się i nagle poczuł nieprzyjemną woń. Słodką i duszącą zarazem, i tak silną, że była w stanie przyćmić ostry odór końskich odchodów. Rozpoznał zapach. W czasach, kiedy jeszcze pracował w policji, wysyłano ich czasem pod jakiś adres, ponieważ mieszkańcy skarżyli się na smród dochodzący z mieszkania sąsiada, którego dawno nikt nie widział. Rozpoznał charakterystyczny zapach śmierci.

Ravn szedł dalej przez tonący w błocie dziedziniec. Kierował się w stronę baraków, wśród których zniknął chłopiec. Kiedy był mniej więcej w połowie drogi, zauważył grupę mężczyzn naprawiających dach niewielkiej, stojącej nieopodal wiaty garażowej. Wszyscy mieli ogolone głowy i byli ubrani w zniszczone niebieskie kombinezony. Wychudzeni mężczyźni nie zwrócili na niego uwagi, kiedy ich mijał, pracowali dalej, usiłując usztywnić dach wiaty. Mimo szumu deszczu Ravn słyszał, jak powtarzają słowa psalmu. „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego... Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego...”

Minął mężczyzn i nagle spostrzegł starą tubę głośnikową, umieszczoną na wysokim słupie obok garażu. Rozejrzał się i zauważył kilka innych, zamontowanych na barakach i wzdłuż żwirowej alejki, prowadzącej do budynku, który wyglądał jak duża hala produkcyjna. Na kilku słupach były też kamery. Pomyślał, że jeśli ktoś na bieżąco monitoruje nagrania, to dawno już go zauważył. Dotarł do pierwszego baraku, okna chroniły zaryglowane okiennice, poszedł dalej do drzwi. Zapukał, chwycił za klamkę, ale drzwi, oczywiście, były zamknięte. Zobaczył dwie kobiety biegnące przez podwórze. Miały na sobie jednakowe zniszczone kombinezony, na głowach niebieskie chustki. Zerknęły na niego, ale się nie zatrzymały, pobiegly dalej w stronę hali. Podeszedł do drzwi kolejnego baraku. Były zamknięte. W tym momencie z głośnika zaczęły dobywać się trzaski, po chwili zastąpiły je dźwięki rozstrojonych organów, którym towarzyszył głos: „Bracia i Siostry, nadszedł czas zbawienia. Chwalcie Pana. Błogosławione niech będą Jego słowa, Jego Syn i Trójca Przenajświętsza. Służcie Panu, a okaże wam łaskę... bo

choćbyś chodził ciemną doliną, zła się nie lękaj, bo On jest z tobą. Jego kij i Jego laska są tym, co cię pociesza... Zapamiętajcie te mądre słowa... Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego... Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego...”.

Głos towarzyszył Ravnowi, kiedy zmierzał stromym podejściem do dużej hali produkcyjnej. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że ciągnie się ona aż do pięknego białego budynku głównego, położonego w najwyższym punkcie terenu i dominującego nad całością. Przy wejściu do hali kłębił się tłum ludzi w niebieskich kombinezonach, każdy pchał przed sobą niewielką taczkę. Ravn stanął w otwartych drzwiach, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy po prostu go ignorowali. Ludzie mijali go, mamrocząc wyznanie wiary, które płynęło z głośników.

Stał tak chwilę, ale w końcu wszedł do dużego, mrocznego pomieszczenia. Wewnątrz unosiła się ostra woń amoniaku; zasłonił ręką usta i oczy, żeby w ogóle móc oddychać. Grupa robotników z łopatami i grabiami wybierała kompost z tacek i rozkładała go na równe sterty. Potem kolejna grupa z aluminiowymi zbiornikami na plecach i prymitywnymi spryskiwaczami w rękach rozpylała na nie amoniak, ostatnia posypywała je wapnem. „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego... Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego...”, dochodziło z głośników.

Patrzył oniemiały, w jakich warunkach pracowali robotnicy. Nazwanie Getsemani obozem resocjalizacyjnym było niedomówieniem — to był obóz koncentracyjny. Powinno się go zamknąć, a winnych, czy raczej winnego, Jakoba Mesmera, pociągnąć do odpowiedzialności. Ravn obawiał się, że to, co zdążył zobaczyć w krótkim czasie, jaki tu spędził, to jedynie czubek góry lodowej.

— Hej, co ty tu robisz? — zagrzemiał czyjś potężny głos.

Spojrzał zdziwiony na niskiego mężczyznę, który zmierzał w jego kierunku. Podobnie jak pozostali miał na sobie niebieski kombinezon, ale dodatkowo miał też czerwoną opaskę na prawym

ramieniu, a na nogach wysokie gumiaki. Wyglądał jak zarządca folwarku z dawnych lat.

— Kim jesteś? Kto cię tu wpuścił?

Mężczyzna patrzył na Ravn z szaleństwem w oczach.

Machał jakąś tabliczką, którą trzymał w ręku. Był wychudzony i zniszczony ciężką pracą, ale Ravn go rozpoznał: widział go na zdjęciu, które znalazł w jednym z kartonów na Lysefjordsgade.

— Benjamin? Benjamin Clausen?

Mężczyzna zamrugął, usta wykrzywił mu grymas, widać było, że jest zaniepokojony.

— Tak, ale... Kim jesteś?

Ravn przedstawił się i wyciągnął do niego rękę. Benjamin jej nie uścisnął.

— Po co tu przyjechałeś?

— Żeby sprawdzić, czy żyjesz.

Benjamin przyglądał się uważnie Ravnowi. Silne opary amoniaku sprawiały, że ciekło mu z nosa. Wytarł go.

— Skąd my się znamy?

— Nigdy się nie spotkaliśmy.

— Ale powiedziałeś, że przyjechałeś sprawdzić, czy żyję.

— Czytałem o tobie.

— O mnie? Nie sądzę. Niby gdzie?

— Zastanów się chwilę.

Benjamin pokręcił głową i rozejrzał się, wyraźnie zmieszany.

— Nie wiem, o czym mówisz. Ani kim jesteś. Dlatego proszę, żebyś stąd poszedł. To teren prywatny. Chodź

— powiedział. Położył rękę na ramieniu Ravn i próbował pociągnąć go za sobą.

Ravn spojrzał na jego brudną dłoń, ale nie ruszył się z miejsca.

— Czytałem twój raport.

Benjamin szybko cofnął rękę.

— Jaki... raport?

— Aż tak wielu ich nie napisałeś, żeby nie wiedzieć, o którym mówię.

Benjamin się zaczerwienił.

— Idź stąd. Natychmiast.

— Denerwujesz się — powiedział Ravn i się rozejrzał.

— Myślałem, że wszyscy tu wiedzą, że kiedyś pracowałeś dla Ferdinanda Mesmera. I że pisałeś dla niego raporty o Wybrańcach Boga i o Jakobie, swoim Mistrzu.

— Czego chcesz? — wycedził Benjamin przez zęby.

— Jak już ci mówiłem, przyjechałem sprawdzić, czy żyjesz. Tak nagle zniknąłeś. Ferdinand Mesmer jest zaniepokojony.

— Zaniepokojony — parsknął Benjamin. — Ten człowiek to Szatan wcielony. Codziennie żałuję, że kiedyś miałem z nim cokolwiek wspólnego.

— Też za nim nie przepadam.

— Ale pracujesz dla niego. Prawda? Dlatego tu jesteś. On cię tu przysłał. Jesteś jego uczniem, uczniem Szatana...

— Daruj sobie tę retorykę — przerwał mu Ravn. — Nie przyjechałem tu z jego powodu.

— Świetnie, ale jeśli rzeczywiście, jak twierdzisz, martwiłeś się o mnie, to teraz się przekonałeś, że nic mi nie jest, i możesz stąd odejść.

— Nie. Muszę jeszcze porozmawiać z Jakobem Mesmerem. To jego głos? — spytał Ravn, wskazując na głośnik. — Osobiście preferuję przy pracy muzykę.

Benjamin odwrócił się, spojrział na dwóch robotników, którzy stali najbliżej, i zagwizdał. Mężczyźni natychmiast rzucili łopaty i podbiegli do niego. Benjamin wskazał głową na Ravna; mężczyźni bez wahania chwycili go pod rękę.

— Co tu się dzieje, do diabła?

— Tak, wzywaj swojego Pana, jeśli chcesz, ale nawet on ci nie pomoże — powiedział Benjamin.

Mężczyźni wyciągnęli Ravna z hali i poprowadzili drogą w kierunku baraków. Benjamin szedł tuż za nimi.

— Daj spokój, Benjaminie. Przyjechałem, żeby spotkać się z Jakobem Mesmerem.

— Mistrzowi nie należy przeszkadzać. Jego czas jest zbyt cenny.

— Mówię serio.

— Ja też. Mistrz ma dużo obowiązków. Cały swój czas poświęca nam, rozmyślaniom o pokoju na świecie i o Bogu. O ponownym narodzeniu.

Ravn próbował się wyswobodzić.

— Mam dla niego list.

— Od Ferdinanda Mesmera?

— Tak, więc puść mnie.

Mężczyźni chwycili go mocniej i pociągnęli w stronę przyzmy gnojówki.

— Nie pozwolę, żeby głos Szatana dotarł do uszu Jakoba. Ten człowiek, jego ojciec, pluje jadem, robi wszystko, żeby nas zwalczyć. Zniszczyć to, co od lat próbujemy zbudować.

— Rozglądałeś się wokół siebie? Widziałeś, w jakich warunkach żyjecie?

— Nie oczekuję, że ktoś taki jak ty zrozumie, co to znaczy poświęcić się dla większej sprawy. Co to znaczy żyć w ascezie.

— Asceza? To jest szaleństwo! Takich rzeczy powinno się zabronić. Z powodu tych kretynizmów cierpią dzieci...

Benjamin dał znać mężczyznom, żeby się zatrzymali, ale nie pozwolił im puścić Ravna.

— Zakradasz się tu jak złodziej, nasłany przez człowieka, który jest uosobieniem wszelkiego zła, i już po dwóch minutach nas potępiasz. Współczuję ci. Jesteś małym człowiekiem.

— Dlaczego nie chcesz pozwolić, żebym przekazał Jakobowi list od ojca? Nic więcej nie chcę.

Benjamin po raz pierwszy się roześmiał.

— Naprawdę jesteś aż tak naiwny? — Zrobił znak krzyża na piersi Ravna. — Mam nadzieję, że znajdziesz inną drogę niż ta, którą wytyczył ci Ferdinand Mesmer... Bo jeśli nie, to jesteś zgubiony.

Mężczyźni znów pociągnęli Ravna za sobą. Kierowali się w stronę garaży, gdzie kilku robotników nadal pracowało pełną parą. Dotarli do furtki wychodzącej na las, Benjamin sięgnął po klucz i otworzył ją. Mężczyźni wypchnęli Ravna na zewnątrz, a Benjamin szybko zamknął za nim bramkę.

— Mam dla ciebie pozdrowienia — powiedział Ravn. Wpatrywał się uważnie w Clausena.

— Od Ferdinanda Mesmera? Nie oczekuj, że je odwzajemnię.

— Nie, nie od niego, od Lise.

Benjamin starał się zachować spokój, ale kiedy chował klucz do kieszeni, drżały mu ręce.

— Kiedy się z nią widziałeś?

— Kilka dni temu.

— Ach tak. Jak ona się... czuje?

— Tak samo jak wtedy, kiedy wlałeś jej do gardła sodę kaustyczną.

Benjamin spojrzał na niego z przerażeniem. Drżały mu wargi.

— Nic takiego nie zrobiłem.

— Jeśli nie ty, to musiał to być Jakob. Wasze egzorcyzmy nie skończyły się dla niej dobrze.

— Idź stąd! Wynocha! — krzyknął Benjamin, po czym odwrócił się i niemal biegiem ruszył z powrotem.

Ravn patrzył za nim chwilę, nagle spostrzegł kamerę umieszczoną na słupie koło furtki. Wyjął kopertę z za paska i pomachał nią w stronę obiektywu. Jeśli w ten sposób nie uda mu się wywabić Jakoba z ukrycia, to nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić.



Od powrotu Ravna do wynajętego pokoju w miasteczku minęło już kilka godzin. Spędził je, siedząc przy oknie, które wychodziło na pola i przez które widział też kawałek wyгородzonego trawnika; baraszkowały na nim króliki. Nadal jednak nie było śladu Ejnera, chociaż jego samochód stał na podwórzu. Ravn zakładał, że jeśli Jakob Mesmer albo ktoś inny z Wybrańców Boga będzie chciał się z nim skontaktować, zapewne zrobi to za pośrednictwem wiernego wyznawcy, czyli Ejnera.

Widok wychudzonego chłopca nie dawał mu spokoju. Postanowił, że niezależnie od tego, czy uda mu się skontaktować z Jakobem, czy nie, zrobi wszystko, żeby zawiadomić pomoc społeczną o warunkach, jakie panowały w gospodarstwie. W tym momencie zadzwoniła jego komórka; odezwały się w nim wyrzuty sumienia — pewnie Victoria zamartwia się o samochód. Kiedy jednak spojrział na ekran, zobaczył, że połączenie jest z zastrzeżonego numeru.

— Ravn — przedstawił się. Czekał.

Po chwili usłyszał po drugiej stronie głos Mesmera, ale nie tego, którego się spodziewał.

— Udało ci się coś załatwić? — spytał bez ogródek Ferdinand Mesmer.

— Zależy, co masz na myśli — odpowiedział.

— Miałem wrażenie, że to jest dla ciebie jasne. Czy wiesz, gdzie przebywa mój syn, i czy przekazałeś mu umowę?

— Na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi: tak, na drugie: nie.

— Dlaczego?

— Zostałem wyrzucony, zanim zdołałem dotrzeć do twojego syna. A wyrzucił mnie Benjamin Clausen.

— Więc przynajmniej jego znalazłeś. Jak on się miewa?

— To szaleniec albo fanatyk, jak wolisz. Ale odniosłem wrażenie, że mimo kiepskiej formy czuje się dobrze. Odpowiada mu rola ekonoma.

— Chyba nie do końca rozumiem.

— To trzeba zobaczyć na własne oczy, inaczej trudno w to uwierzyć. Getsemani to obóz koncentracyjny, z wysokim murem i monitoringiem. Tak mieszkają wyznawcy twojego syna. Są wśród nich nawet dzieci.

— Brzmi to dość nieprawdopodobnie — powiedział Ferdinand Mesmer, w jego głosie słychać było niedowierzenie.

— Ale tak to wygląda. Postanowiłem, że skontaktuję się z pomocą społeczną i...

— Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Benjamin mówił coś o moim synu?

— Nie, mówił głównie o tobie. Podobno jesteś Szatanem.

— Wiesz, czy Jakob tam jest?

— Słyszałem jego głos, przez głośnik.

— Głośnik?

Ravn zobaczył przez okno Ejnera. Pojawił się w zagrodzie dla królików. Ukucnął, a zwierzęta natychmiast go obskoczyły. Zaczął je karmić, miał ze sobą kilka marchewek.

— Głośnik? — powtórzył Ferdinand Mesmer. — Jaki głośnik?

— Na całym terenie są zainstalowane głośniki, żeby członkowie wspólnoty w trakcie pracy mogli słuchać jego kazań. Podobno działają motywująco. Wygląda na to, że Jakob wziął sobie do serca wasze wytyczne — dodał Ravn ironicznie.

— To bardzo ważne, żeby jak najszybciej dostał do ręki umowę. Dopilnuj, żeby ją podpisał i ci ją oddał.

— Robię, co mogę, ale nie mam pewności, że Jakob nadal tam jest.

— Jak to?

— Jego głos mógł zostać nagrany na taśmę. W końcu nie odczytywał aktualnych wiadomości.

— Więc dowiedz się, czy tam jest! Za to ci płacę. Zarząd SIALA zaczyna tracić cierpliwość, fuzja jest zagrożona — powiedział Ferdinand Mesmer drżącym głosem.

— Robię, co mogę — powtórzył Ravn spokojnie. — Ale nawet jeśli go znajdę, skąd wiesz, czy będzie chciał podpisać kontrakt?

— Po prostu daj mu go, i to jak najszybciej. Wszystko się ułoży, możesz mi wierzyć.

Ravn siedział bez ruchu z komórką w dłoni. Ferdinand Mesmer był zdesperowany, ale tak naprawdę zależało mu jedynie na powodzeniu zaplanowanej transakcji. Reszta była mu obojętna, także to, co się działo w Getsemani. Ravn widział przez okno, jak Ejner bierze na ręce królika. Pogładził go po łebku, chwycił palcami za szyję i mocno ścisnął, drugą ręką pociągnął kilka razy za skoki zwierzęcia. Złamał mu kręgosłup. Trzymając martwego zwierzaka za długie uszy, ruszył szybko przez podwórze.

Ravn postanowił, że jeśli zabójca królika nie ukaże się za chwilę w drzwiach z wiadomością od Jakoba Mesmera, to jutro rano spróbuje ponownie sforsować bramę do Getsemani. Tym razem skieruje się prosto do białego budynku. Był przekonany, że jeśli Jakob przebywa w Getsemani, to właśnie w tym budynku.

Ravn zauważył, że kiedy wspomniał o Lise, Benjamin wyraźnie się zdenerwował. Niewykluczone, że rzeczywiście nie miał nic wspólnego z okaleczeniem kobiety, ale być może wiedział coś na ten temat. Jeśli tak, Ravn był pewien, że w końcu coś z niego wydobędzie, a może nawet uda mu się go namówić do świadczenia przeciwko winnym czy winnemu. Poczował, że budzi się w nim instynkt gliniarza. Poza tym był głodny i chętnie napiłby się miejscowego piwa, ale obiecał sobie, że nie wyjdzie z pokoju. Postanowił zostać i śledzić poczynania zabójcy królika.

Ravn obudził się przerażony. Najwyraźniej, siedząc na krześle, musiał się zdrzemnąć, bo wieczorne niebieskie niebo zdążyło się już zmienić w gęstą ciemność. Usłyszał, jak na podwórzu ktoś zamyka drzwi samochodu, pomyślał, że pewnie Ejner gdzieś wyjeżdża. Wstał z krzesła, podszedł do okna, osłonił oczy dłońmi i próbował dojrzeć coś w mroku. Na podwórzu trzy wysokie postacie krążyły wokół volva Victorii. Jeden z mężczyzn otworzył tylne drzwi kombi i wszedł do wozu, dwaj pozostali zaglądali do środka przez zamknięte szyby. Ravn rzucił się do drzwi i wybiegł na korytarz. Niech to szlag, nie pozwoli, żeby miejscowe szumowiny zwinęły samochód Victorii. Szarpnął drzwi, otworzył je i wybiegł na podwórze.

— Mogę w czymś pomóc? — spytał i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku mężczyzny, który stał najbliżej.

— To twój samochód?

Mężczyzna był krótko ostrzyżony i o głowę wyższy od Ravna. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki i ciemny obcisły T-shirt. Był dobrze umięśniony.

— Na pewno nie wasz — powiedział Ravn. — Możesz poprosić kumpla, żeby wyszedł z samochodu? — spytał, wskazując na bagażnik.

— Gdzie ona jest? — spytał mężczyzna.

— Co gdzie jest?

Mężczyzna uśmiechnął się groźnie; Ravn napiął mięśnie, przygotowany na wszystko.

— Koperta. Wymachiwałaś nią. Daj mi ją. Jest w samochodzie czy musisz po nią iść?

— Jakob Mesmer was przysłał?

— W samochodzie nic nie ma — odezwał się mężczyzna,

który znajdował się za jego plecami.

Rozległ się huk zamykanej kłapy bagażnika i po chwili mężczyzna dołączył do kolegi. Ravn pomyślał, że jeśli dojdzie do bójki, jego zaatakuje jako pierwszego. Był pewien, że sobie z nim poradzi, ale co będzie potem, wołał nie myśleć. Chociaż bywał już przecież w podobnych sytuacjach.

— Masz ją w środku?

— Jakob cię do mnie przysłał? Mistrz? — powtórzył Ravn jak gdyby nigdy nic.

— Nieważne, kto mnie przysłał. Masz mi oddać kopertę.

— Przykro mi, ale nic z tego. Poproszono mnie, żebym oddał ją Jakobowi do rąk własnych. Najprościej będzie, jeśli mnie z nim skontaktujecie.

Mężczyzna, który stał naprzeciwko niego, skinął głową kumpłowi, a ten natychmiast ruszył w stronę przybudówki.

— Jakob Mesmer jest w Getsemani?

Żaden z mężczyzn się nie odezwał.

— Chcę się z nim spotkać i załatwić sprawę.

Mężczyźni nadal wpatrywali się w niego w milczeniu. Po chwili wrócił ich kolega, z pustymi rękami.

— Nie ma jej tam, Patrick.

— Nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu nam jej dać?

W tym momencie Patrick zamierzył się na niego, ale Ravn przewidział cios. Przyciągnął mężczyznę do siebie i uderzył go głową w twarz. Trafił w nos. Patrick padł na ziemię, zalany krwią. Dwaj pozostali mężczyźni natychmiast rzucili się na Ravna i przycisnęli go do samochodu. Próbował się bronić, ale ciosy padały jeden za drugim i po chwili leżał już na ziemi. Czuł na sobie ich ciężkie buty. W pewnym momencie usłyszał głęboki nosowy głos. Ktoś zawołał, żeby przestali.

Patrick ukucnął obok niego. Krew ze złamanego nosa zabarwiła na czerwono dolną część jego twarzy.

— Gdzie ona jest?

— Pytaj, ile chcesz... — jęknął Ravn. — Oddam ją tylko

Jakobowi...

Patrick splunął krwią i wstał.

Ravn podniósł głowę. Stojący nad nim mężczyźni mieli zaciśnięte pięści. W każdej chwili byli gotowi znów zaatakować. Kawalek dalej stał Patrick i rozmawiał przez komórkę. Po chwili wrócił, spojrzał na Ravna.

— Jutro o dziewiątej w Getsemani. Nie zapomnij wziąć ze sobą koperty.

Mężczyźni ruszyli przez podwórze, wskoczyli do pick-upa i odjechali. Ravn podniósł się z trudem, oparł się o volvo i patrzył chwilę za nimi. Spuścili mu niezły łomot, ale nie takie rzeczy mu się przydarzały. Był obolały, na szczęście jednak nic mu nie złamali. Kilka tabletek panadolu i parę kieliszków złagodziłoby nieco ból, niestety, w tym momencie nie miał pod ręką ani jednego, ani drugiego. Na szczęście nadal był w posiadaniu umowy, którą miał przekazać Jakobowi. Leżała w przybudówce, w zbiorniku na wodę we wspólnej ubikacji na korytarzu, szczelnie zawinięta w foliową torbę z Netto. Być może kiedy jutro spotka się z Jakobem Mesmerem, będzie triumfował, ale teraz, kiedy bolał go każdy mięsień, uznał, że jednak powinien zażądać więcej pieniędzy za swoje usługi.

Jechał przez Søllested. Miasteczko leniwie budziło się do życia w upalny ranek. Minał stację benzynową, na której miejscowy policjant tankował swój pojazd z napędem na cztery koła. Zwolnił i pomachał mu przez opuszczoną boczną szybę. Minęła chwila, zanim mężczyzna go rozpoznał i też mu pomachał. Ravn zastanawiał się, czy nie powinien się zatrzymać i wtajemniczyć go w to, co się działo w Getsemani, ale pomyślał, że w ten sposób tylko dodatkowo skomplikuje sprawę. Jeśli stawi się u Jakoba z policjantem, na pewno nie wyciągnie z niego ani słowa. Pojechał więc dalej ulicą do skrzyżowania, na którym skręcił w kierunku gospodarstwa. Obok na siedzeniu pasażera leżała żółta koperta z umową. Wcześniej o tym nie pomyślał, ale teraz kusilo go, żeby ją otworzyć i zobaczyć, jaką sumę Ferdinand Mesmer jest skłonny zaproponować synowi za udziały w firmie. Na pewno była spora, ale w końcu nie powinno go to obchodzić, więc oparł się pokusie.

Dziesięć minut później zajechał przed bramę prowadzącą do Getsemani. Już miał wysiąść i zadzwonić, kiedy nagle brama otworzyła się automatycznie. Zobaczył przed sobą dwóch mężczyzn, tych samych, którzy odwiedzili go poprzedniego wieczoru. Patrick miał na nosie szynę, plastry ciągnęły się przez oba policzki. Zerknął spod oka na Ravna, który pozdrowił go skinieniem głowy i skręcił w żwirową aleję, prowadzącą do białego budynku. Wjechał na dziedziniec i na szczycie schodów zobaczył grupę ludzi, którzy najwyraźniej już na niego czekali. Byli to głównie mężczyźni w spodniach w kolorze khaki przypominający żołnierzy. Pomiedzy nimi stali mężczyzna i dwie kobiety w jednakowych szarych kostiumach ze stójkami. Ravn

zaparkował między dwoma czarnymi audi i wysiadł. Ludzie zebrani na schodach ruszyli w jego kierunku. Niestety, w komitecie powitalnym nie było Jakoba Mesmera.

Mężczyzna w szarym garniturze uśmiechnął się do niego i podał mu rękę.

— Samuel — przedstawił się, patrząc Ravnowi w oczy.

Kobiety, obie w średnim wieku, też się przedstawiły. Były to Birgitte i Åse. Ta druga wyglądała w zbyt obcisłym kostiumie jak nadmuchana ropucha. Birgitte, szczupła i wysoka, była jej całkowitym przeciwieństwem. Ravn przypomniał sobie ich imiona z raportu Benjamina. Należały do dawnego kierownictwa, jeszcze z Belgiensgade. Razem z Jakobem Mesmerem brały udział w sądzie nad Lise i w egzorcyzmach.

— Witamy w Getsemani — powiedział Samuel.

— Dzień dobry — odpowiedział Ravn.

— Proszę pójść z nami.

Ravn podążył za Samuelem i kobietami. Tuż za nimi szło kilku ponuro wyglądających mężczyzn, ostrzyżonych niemal na łyso. Eskortowali ich. Samuel poprowadził ich obok schodów, za dom. Ravn podniósł głowę i zobaczył przed sobą okazały budynek. Kontrast z wałącymi się barakami, które widział poprzedniego dnia, nie mógł być większy.

— Imponujące miejsce — powiedział i spojrzał na Samuela.

Mężczyzna lekko skinął głową.

— Dziękuję. Jesteśmy wdzięczni za łaskę, jaką Pan nas obdarzył.

— To wszystko musiało sporo kosztować.

— To list do Mistrza? — spytała Åse, pokazując na kopertę, którą Ravn trzymał w dłoni.

— Tak — przytaknął.

— Mam ją wziąć? — spytała Åse i wyciągnęła rękę.

— Dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Jeszcze chwilę ją potrzymam. Gdzie jest Jakob?

— Proszę tędy — odpowiedział Samuel.

Poprowadził ich dalej żwirową alejką do miejsca, z którego



w pewnym oddaleniu widać było halę produkcyjną. Nagle Ravnowi przyszło na myśl, że może prowadzą go do stert kompostu, tam go obezwładnią i zabiorą mu kopertę. Ale w tym momencie Samuel skręcił ze ścieżki i zaczął iść w kierunku niskiego białego budynku, położonego między grupą drzew a starannie skoszonym trawnikiem. Drzwi budynku były otwarte na oścież i już z daleka widać było w środku rzędy pustych krzeseł. Samuel wprowadził ich do pogrążonego w półmroku, chłodnego pomieszczenia, w którym pachniało świeżą farbą malarską. Z przodu była scena, stało na niej kilka mikrofonów na statywach, na ścianie w głębi wisiał pomalowany na czarno drewniany krzyż metrowej wysokości. Dominował nad pomieszczeniem. Dwóch mężczyzn w zniszczonych niebieskich kombinezonach chodziło ze szmatkami w rękach i ścierało kurze z krzeseł. Samuel klasnął w dłonie — mężczyźni natychmiast przerwali pracę, szybko udali się do drzwi z tyłu lokalu i wyszli.

— Jeśli zaczekasz chwilę, Mistrz zaraz cię przyjmie — zwrócił się Samuel do Ravn.

Ravn zrobił krok w jego stronę. Kątem oka dostrzegł, że mężczyźni przypominający wojskowych bacznie mu się przyglądają.

— Mam nadzieję, że nie tracimy czasu? — spytał.

— Nie rozumiem.

— Poczuję się zawiedziony, gdybyś mnie oszukał i na przykład okazałoby się, że Jakoba tu w ogóle nie ma.

— Zapewniam cię, że jest. Wkrótce się z nim zobaczysz.

— Więc dlaczego rozmawiam teraz z tobą, a nie z nim? To on wyznaczył spotkanie na godzinę dziewiątą. Jest już kwadrans po.

— Mistrz pracuje nad kazaniem na dzisiejsze spotkanie biblijne — wtrąciła się Åse. — To ważne wydarzenie, w którym uczestniczą goście z zewnątrz. Też jesteś mile widziany.

— Dziękuję, ale chciałbym jak najszybciej spotkać się z Jakobem. Zaraz potem wyjadę.

Åse pokiwała głową.

— Gdy tylko Mistrz skończy pisać kazanie, zaraz cię przyjmie. Może usiądziesz? — spytała i wskazała na stojące obok krzesło.

— Dziękuję, wolę postać.

— Błogosławiony dzień — powiedział Samuel i odwrócił się w stronę drzwi.

Åse i Birgitte skinęły Ravnowi głowami i po chwili wyszły razem z towarzyszącymi im mężczyznami, zostawiając go samego.

Uprawa pieczarek musi być dochodowym interesem, pomyślał Ravn, skoro Wybrańców Boga stać na utrzymanie takiego miejsca. Z drugiej strony nie muszą opłacać pracowników, ludzie harują za darmo. Zaczął się zastanawiać, ilu ich tu pracuje. Sądząc po tym, co udało mu się zobaczyć poprzedniego dnia, pewnie ze czterdzieści, pięćdziesiąt osób. Poza tym była też grupa członków wspólnoty ubranych na szaro, takich jak ta trójka, którą przed chwilą spotkał. Wszędzie kręcili się też ostrzyżeni na łyso mężczyźni przypominający żołnierzy, przyboczna prywatna gwardia szwajcarska Mistrza. Sądząc po tatuażach, które Ravn zdążył zauważyć u wielu z nich, porównanie było trafne. Wielu miało bowiem wytatuowane na rękach emblematy z koroną królewską. Na tego typu tatuaże decydowali się najczęściej żołnierze idący na wojnę. Miał to być dowód wierności sztandarowi, regimentowi, a przede wszystkim sobie. W swoim raporcie Benjamin pisał, że Patrick zamierzał popełnić samobójstwo, ale Bóg sprawił, że trafił do Wybrańców Boga. Niewykluczone, że pozostali weterani mieli za sobą podobne doświadczenia. Co wcale nie czyniło ich mniej niebezpiecznymi.

Minęła godzina, a Jakob Mesmer nadal się nie pokazał. Ravn zdawał sobie sprawę, że oczekiwanie miało go zmęczyć, dlatego oparł się pokusie, żeby spytać strażników, kiedy Jakob się pojawi. W swoim czasie on i Mikkel też stosowali podobne sztuczki wobec aresztowanych. Każdy prowadzący przesłuchanie wiedział, że to nie pytania miały największy wpływ na podejrzanego, tylko

oczekiwanie na nie. Im dłużej czekali w samotności, tym bardziej byli potem skłonni do współpracy. Nawet ci najbardziej agresywni stawali się potulniejsi, a kiedy przesłuchanie w końcu się zaczynało, bez oporu oddawali inicjatywę przesłuchującemu.

Pozostawienie Ravna samego świadczyło o tym, że Jakob Mesmer nie tylko jest zainteresowany zawartością koperty, ale zapewne też pragnie wydobyć z Ravna jak najwięcej informacji.

Nagle gdzieś z tyłu rozległo się szuranie; Ravn się odwrócił. Zobaczył, że w jego kierunku idzie ktoś w niebieskim kombinezonie. Rozpoznał Benjamina. Zanim się zorientował, o co chodzi, Benjamin chwycił go za ramię i pociągnął za sobą do ciemnego pomieszczenia.

— A jednak mieli rację — wycedził przez zęby. — Wróciłeś. Ravn wyszarpnął rękę.

— Cofnij się albo zaraz wylądujesz na podłodze — powiedział, starając się utrzymać Benjamina na odległość wyciągniętej ręki.

Benjamin pokręcił głową. Był zrozpaczony.

— Powinieneś być trzymać się z daleka.

— A ty powinieneś pozwolić mi spotkać się z Jakobem, zamiast mnie wyrzucać.

— Nie masz pojęcia, jak potężną maszynę wprowadziłeś w ruch.

Benjamin sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zmęczonego niż poprzedniego dnia. Z wychudzoną twarzą i wystającymi kośćmi policzkowymi przypominał więźnia obozu koncentracyjnego. Kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, Ravn zauważył, że w górnej szczęce brakuje mu kilku zębów.

— Pozwól przynajmniej, żebym to ja przekazał Mistrzowi ten list — poprosił, wskazując brudnym palcem na kopertę.

— Dziękuję, ale jak już wczoraj mówiłem, obiecałem, że zrobię to osobiście.

— Bo Ferdinand Mesmer ci kazał?

— Bo umowa to umowa. Po prostu. — Spojrzał na jego brudny kombinezon i zasmucił się. — Co się z tobą stało, do licha? Wyglądasz okropnie, cuchniesz.

— Ale przynajmniej nie jestem stracony, jak ty.

— Rozumiem. Nie rozumiem natomiast, jak do tego doszło. Benjamin spuścił wzrok.

— Nie rozumiesz naszych praw. Prawdziwa wiedza wymaga poświęceń.

— Czyli podczas gdy ty i inni harujecie jak niewolnicy, niektórzy, bardziej uprzywilejowani, wiodą przyjemne życie na zamku.

Benjamin pokręcił głową.

— Nikomu niczego nie zazdroszczę. Znak Kaina nie jest moim znakiem. Ale nie oczekuję, że ktoś z zewnątrz to zrozumie.

— Więc wszyscy jesteście tu z własnej woli?

— Oczywiście. — Benjamin spojrzał na Ravna i uśmiechnął się łagodnie. — Wszystko, co robimy, robimy z wdzięczności dla Mistrza.

— Alleluja — odpowiedział Ravn ironicznie. — Dlaczego

więc cały teren jest otoczony murem z drutem kolczastym, a wokół są strażnicy?

— Nic nie rozumiesz. Strażnicy są tu dla naszego bezpieczeństwa. Strzegą nas przez złem z zewnątrz. Bronią przed Szatanem i wszystkimi rzeczami, przed którymi uciekliśmy. Straż stanowi część naszej wspólnoty, wszyscy jesteśmy równi.

— Naprawdę?

— Tak, wielu z nich to byli żołnierze. Wrócili z wojen z bliznami na duszy, ale Mistrz ich przygarnął i wskazał im drogę.

— Wzruszające. A dzieci?

— Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie, mówił Jezus. Są tu ze swoimi rodzicami.

— To im nie służy. Sam widziałem.

— Widziałeś ludzi potrzebujących pomocy. Uwierz mi, że zanim przyszli i zapukali do naszych drzwi, było im znacznie gorzej. W Getsemani przyjmujemy wszystkich wykluczonych, tych, których społeczeństwo odrzuciło.

— Żeby mieć niewolników.

Benjamin pokręcił głową.

— Wszyscy bierzemy udział w procesie oczyszczenia, wielkiego egzorcyzmu. To naturalny proces.

— Tak jak w przypadku Lise?

Benjamin położył rękę na oparciu krzesła.

— Jeśli powiem ci, co się stało Lise, wyjedziesz stąd?

— Nie. Ale bez względu na to, czy mi powiesz, czy nie, i tak dowiem się wszystkiego. A jeśli się okaże, że miałeś z tym cokolwiek wspólnego, nie daruję ci tego, rozumiesz?

— Mówisz jak policjant. Byłeś kiedyś policjantem, prawda?

Benjamin wypowiedział te słowa z nabożeństwem, jakby ten fakt był dla niego szczególnie ważny.

— Owszem.

— Kiedyś, wiele lat temu, też chciałem służyć w policji. Ale... — urwał, w jego wzroku pojawiła się pustka.

Ravn zaczerpnął powietrza.

— Co się stało z Lise?

— Dobrze, powiem ci. — Benjamin przełknął ślinę. — To się stało wtedy, kiedy jeszcze byliśmy na Belgiensgade. Tam mieściła się siedziba wspólnoty. Lise tam mieszkała, ja też zamierzałem...

— Tak, wiem, czytałem o tym w twoim raporcie. Pisałeś, że zaciągnęliśmy ją do piwnicy i związaliśmy siłą — powiedział Ravn ostrym tonem.

— To nie było tak — wszedł mu w słowo Benjamin. W jego głosie słychać było desperację. — Lise była opętana, chcieliśmy jej pomóc, uwolnić od Złego.

— To Jakob o wszystkim decydował, prawda? To on stwierdził, że jest opętana, tak?

— Mistrz się na tym zna. Zawsze pierwszy dostrzega demona.

— To wtedy w piwnicy wlaście jej do ust sodę kaustyczną? Żeby ją oczyścić?

— Nie, nie. Nikt jej nie skrzywdził, przysięgam...

— Poza tym, że ją związaliśmy. Pisałeś o tym.

— Tak, to prawda, ale to było dla jej dobra. Żeby demon nie sprowokował jej do zrobienia sobie krzywdy. Opętał ją, chciał ją zabić. Mistrz uratował jej życie. Wypędził go z niej.

— Więc Lise wyzdrowiała? To chcesz mi powiedzieć?

Benjamin skinął głową.

— Tak, Lise wyzdrowiała. Wszyscy bardzo się ucieszyliśmy. Dziękowaliśmy Panu. Ale...

— Ale co?

— Zgubiła nas pycha. Chociaż nie byliśmy tego świadomi. Kilka dni później, kiedy członkowie wspólnoty zebrali się w ogrodzie, Lise nagle źle się poczuła. Myślałem, że to z powodu upału, więc poradziłem jej, żeby poszła się położyć do pokoju...

— Benjamin urwał, patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

— Zanim wyszła, podeszła do mnie i mnie uścisnęła. Powiedziała coś, czego nie zrozumiałem. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że tak naprawdę to nie Lise wtedy do mnie mówiła, tylko demon, który znów nią zawładnął.

— I nikt jej nie pomógł?

Benjamin pokręcił głową.

— Była bardzo dzielna. Sama znalazła w kuchni właściwy środek i wypila, nawet go nie rozcieńczając. Krzyczała i piła. Kiedy do niej dobiegliśmy, leżała na podłodze, skręcając się z bólu. Soda wyżerała jej usta, ale w jej oczach widzieliśmy wdzięczność. Była wolna.

— Ale skończyła w zamkniętym oddziale psychiatrycznym

— powiedział Ravn i przełknął ślinę.

— Tam jest jej ciało, jej dusza jest u Pana.

— Jesteś chory — powiedział Ravn.

— Idź już. Powiedziałem ci wszystko.

— Nigdzie nie pójde, dopóki nie spotkam się z Jakobem.

Dlaczego tak się obawiasz tego spotkania?

— Niczego się nie obawiam — powiedział Benjamin i znów zamrugał.

— Co on ci zrobił? Co się wydarzyło po wypadku Lise?

— Zlitował się nade mną. Chociaż go zawiodłem. Okazał mi miłosierdzie.

— Traktując cię jak niewolnika?

— Ile razy mam ci powtarzać, że nie jesteśmy niewolnikami?

— Pokazałeś Jakobowi swoje raporty. Jak to przyjął?

Benjamin spuścił wzrok.

— Czy Jakob kiedykolwiek pytał cię o Ferdinanda?

— Nie chce znać tego Szatana. Ciebie też nie chce znać

— powiedział Benjamin i spojrzał triumfująco na Ravna.

— Sądzisz, że nie zechce się ze mną spotkać?

Benjamin posłał mu pogardliwe spojrzenie.

— Jesteś bardzo uparty, więc pewnie się z nim zobaczysz.

Tylko staraj się go nie denerwować.

— Bywa porywczy?

— Czuje sprawiedliwy gniew wobec winnych — powiedział Benjamin i rozłożył ręce.

— Kto podłożył ogień na Belgiensgade?

— Nikt. To była ręka Boga. To On wskazał nam drogę do

tego miejsca. Do Getsemani.

W tym momencie na zewnątrz rozległy się kroki. Benjamin spojrzął z przestachem na drzwi. Alejką prowadzącą do domu szła Åse, w ręku trzymała tacę, na której stały karafka z wodą i szklanka.

Ravn popatrzył za Benjaminem, który przemieszczał się między rzędami krzesel.

— W tym pożarze zginął mężczyzna. Ktoś mógł zostać oskarżony o zabójstwo.

Benjamin wzruszył ramionami.

— Pan daje i Pan odbiera — powiedział cicho.

— Pożar. Czy to był znak? Czy Jakob w ten sposób chciał coś przekazać ojcu?

— Pan daje i Pan odbiera — powtórzył Benjamin i zniknął za tylnymi drzwiami.

Po chwili do środka weszła Åse, postawiła tacę na stoliku obok śpiewników z psalmami.

— Pomyślałam, że może jesteś spragniony — powiedziała i nalała mu wody do szklanki.

— Dziękuję, chętnie się napiję. Czy Jakob jest już w drodze?

— Mistrz wciąż pracuje, ale sądzę, że niedługo skończy.

Ciesz się, że się spotkacie. — Podała Ravnowi szklankę i wyszła.

Ravn pił wodę i patrzył, jak kobieta odchodzi ścieżką. Kiedy dotarła do strażników, zamieniła z nimi kilka słów. Mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na niego. Ravn odniósł wrażenie, że decyzja o tym, czy zostanie, czy odejdzie, nie należy już do niego.



Coraz większy upał zapowiadał kolejną burzę, ale jak dotąd było sucho, deszcz jeszcze nie spadł. Ravn rozboleła głowa, nie potrafił jednak powiedzieć, czy z powodu zmiany pogody, czy z coraz większego głodu. Było wpół do czwartej, a więc czekał już prawie sześć godzin. Długo, chociaż pamiętał, że sam nieraz kazał podejrzanym czekać jeszcze dłużej. Strażnicy przed wejściem okazali się cierpliwi, nawet na moment nie ruszyli się z miejsca. Ravn już dawno sprawdził tylne drzwi, za którymi wcześniej zniknął Benjamin — kiedy je otworzył, zobaczył Patricka i jednego z jego ludzi. Poprosili go grzecznie, ale stanowczo, żeby wszedł do środka i tam czekał na Jakoba Mesmera. Powiedział, że chyba ma już dosyć czekania; żaden z mężczyzn tego nie skomentował.

W umieszczonych tuż pod sufitem w każdym rogu sali głośnikach nagle coś zatrzeszczało. Po chwili rozległy się dźwięki organów. Podobne słyszał wczoraj w hali, tyle że tym razem muzyce nie towarzyszył monotony głos Jakoba. Gdzieś na zewnątrz dał się nagle słyszeć jakiś hałas, Ravn wstał zesztywniały z krzesła i podszedł do drzwi. Zobaczył zbliżającą się grupę może dwudziestu osób w szarych ubraniach. Wszyscy podążali w kierunku wejścia, szli ze spuszczoneymi głowami i złożonymi dłońmi. Kiedy podeszli bliżej, rozmowy ucichły, minęli Ravną w milczeniu. Patrzył chwilę za nimi, zauważył, że nie ma wśród nich Samuela, Åse ani Birgitte. Rozległo się szuranie krzeseł, goście zaczęli zajmować miejsca w pierwszych rzędach przed sceną. Po chwili do środka weszła niewielka grupa strażników. Ravn rozpoznał Patricka, który minął go i razem z innymi strażnikami zajął miejsce w rzędzie tuż za członkami wspólnoty w szarych strojach. Po kilku minutach na ścieżce

ukazali się Samuel i Åse; szli razem z sześcioma innymi osobami, z których żadna nie miała na sobie szarego mundurka wspólnoty. Ravn pomyślał, że pewnie byli to zaproszeni goście z zewnątrz. Po chwili zauważył Ejnera, szedł nieco z tyłu. Kiedy zobaczył Ravna w drzwiach, odwrócił pospiesznie wzrok i szybko wszedł do środka.

— Samuel — odezwał się Ravn, kiedy mężczyzna przechodził obok niego.

Samuel zatrzymał się i spojrzał na niego zdziwiony.

— Tak?

— Kiedy zobaczę się z Jakobem?

— Za chwilę... Zaraz zaczynamy — dodał.

— Chciałbym wcześniej z nim porozmawiać. Długo już na niego czekam.

— Tak jak my wszyscy. Na pewno nie będziesz tego żałować. Jestem przekonany, że będzie to dla ciebie duże przeżycie — powiedział Samuel.

Chciał ruszyć dalej, ale Ravn złapał go za rękaw.

— Nie jestem tu po to, żeby cokolwiek przeżywać. Mam przekazać mu pewien dokument. To ważne, żeby go otrzymał.

Samuel wziął głęboki wdech, wydmuchał powietrze nosem.

— Wszyscy uważamy, że świat kręci się wokół nas. Dlatego zapominamy o Panu.

— Muszę porozmawiać z Jakobem.

— Dam ci znać, kiedy będzie to możliwe. A teraz proszę, usiądź. — Uśmiechnął się chłodno, wskazał Ravnowi jedno z krzeseł w ostatnim rzędzie i oddalił się w stronę sceny.

Ravn przyglądał się zgromadzonym ludziom i zastanawiał się, czy Jakob Mesmer w ogóle się pojawi. Czy w ogóle gdzieś tu był? Nagle z zewnątrz dobiegł tupot wielu nóg. Ravn odwrócił się i zobaczył wchodzących do sali członków wspólnoty w brudnych niebieskich kombinezonach. Mimo że było jeszcze wiele wolnych krzeseł, zajęli miejsca wzdłuż ścian. Stali w milczeniu ze spuszczoneymi głowami.

Na znak Samuela, który grał na gitarze, i Åse, która zajęła miejsce przy elektrycznych organach, wszyscy zaczęli śpiewać hymn pochwalny na cześć Pana. Ravn miał wrażenie, że tekst psalmu napisał któryś z członków wspólnoty. Pieśń była o Bogu, o tym, jaki jest wielki i potężny i jak wszyscy są wdzięczni, że mogą mu służyć. Refren powtarzano pięć, może nawet dziesięć minut. Ravnowi wydały się one wiecznością. Kiedy muzyka ucichła i wszyscy złożyli wyznanie wiary, Åse odegrała kilka akordów na organach. Nagle, jak na dany znak, drzwi się otworzyły i do środka weszła Birgitte w towarzystwie potężnie zbudowanego mężczyzny w jasnych spodniach i luźnej lnianej koszuli, sztywnej od potu. Mężczyzna ciężko oddychał i ocierał czoło chusteczką. Upał wyraźnie dawał mu się we znaki. Wszyscy wstali i zaczęli klaskać. Ravn też wstał, nie tyle z szacunku, ile po to, żeby dokładniej przyjrzał się człowiekowi, który wszedł do sali.

Mężczyzna wspierał się na kuli; szedł z trudem, lekko się kołysząc, w kierunku sceny. Miał na nosie duże okulary przeciwsłoneczne z niebieskimi szklami, które zakrywały mu większą część twarzy. Jednak Ravn rozpoznał go bez trudu. To jego twarz widniała na okładce książki, którą pożyczyła mu Victoria. To jego — samozwańczego kaznodzieję, Jakoba Mesmera — członkowie wspólnoty nazywali Mistrzem. Teraz nareszcie się zjawił.

Jakob Mesmer przeszedł przez scenę, zmierzał w kierunku stojącego na środku krzesła. Opadł na nie ciężko. Wiotką dłonią pomachał zgromadzonym, oklaski przybrały na sile. Po chwili Birgitte zwróciła się do zebranych i poprosiła wszystkich o zajęcie miejsc. Ravn usiadł jako ostatni. Chciał, żeby Jakob Mesmer go zobaczył. Nie potrafił jednak powiedzieć, czy udało mu się osiągnąć cel.

Samuel wygłaszał kazanie. Energiczny i pełen pasji, wydawał się przeciwieństwem Jakoba, który cały czas siedział ze spuszczoną głową. Ravn słuchał kazania jednym uchem, skupiony na obserwowaniu Mesmera. W niczym nie przypominał wielkiego

przywódcy, którego opisywał Benjamin w raportach. Można było wręcz odnieść wrażenie, że został zmuszony do przyjścia tu, jak stary papież, który musi sprawować swój urząd aż do śmierci. Jakob Mesmer wyglądał na człowieka starego i zniszczonego, chociaż był zaledwie kilka lat starszy od Ravn.

Ludzie znów zaczęli śpiewać. Słowa pieśni były inne niż poprzednio, ale treść ta sama. Podobnie jak wcześniej, chwalono Pana, ludzie unosili ręce, niektórzy wstawali i kołysali się w rytm melodii. Nawet krótko ostrzyżeni strażnicy dali się porwać muzyce. Ravn odwrócił się i spojrzął na członków wspólnoty w niebieskich kombinezonach. Stali z zamkniętymi oczami i śpiewali razem z innymi. Zobaczył Benjamina, który stał nieco w głębi i wyciągał ręce do nieba, jakby próbował je objąć. Ravn nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak bardzo nie na miejscu.

Po mniej więcej godzinie wspólnych śpiewów Samuel zwrócił się do zebranych z pytaniem, za kogo ma się modlić. Odpowiedział mu las rąk. Członkowie wspólnoty podchodzili do niego jeden po drugim. Wszystkich wysłuchiwał, po czym powtarzał na głos wspólnocie to, co usłyszał. Seans składał się w równych częściach z rytuału uzdrowicielskiego i aktu skruchy. Uczestnicy szukali ratunku z powodu dolegliwości nie tylko fizycznych, ale też psychicznych. Te ostatnie uznawano za przejaw opętania przez demona. Według Samuela, na miejscu obecnych było wiele demonów. Na szczęście wszystkie były do pokonania. Uczestnicy spotkania zaczęli po kolei podchodzić do Jakoba Mesmera. Klękali przed nim, a on kładł im rękę na głowie i się modlił. Z czasem, gdy popołudnie przechodziło w wieczór, ruchy Mistrza stawały się jakby mniej energiczne, widać było, że seans go zmęczył.

Kiedy pierwsze modły dobiegły końca, Samuel poprosił Mistrza, by powiedział parę słów. Birgitte podała mu mikrofon, Jakob wziął go, wypił łyk wody i zaczął mówić. Ravn był zdziwiony, że ten potężnie zbudowany mężczyzna ma tak delikatny głos. Ale w jego słowach nie było słabości. Wręcz

przeciwnie. Grzmiał ze sceny na członków wspólnoty, strofował ich za słabość i wątpliwości. Byli grzesznikami, dali się opętać Szatanowi. A wszystko z powodu pożądania, lenistwa, chciwości, pychy, zazdrości, a także żarłoczności. Mogli stać się zagrożeniem dla wspólnoty. Dlatego żądał, by wsłuchali się w słowa Pana i zaczęli się modlić o wybaczenie.

Jakob zakończył tyradę i odrzucił mikrofon. Wylądował na podłodze, w głośnikach rozległ się huk, niemal jak grzmot burzy.

Ravn wątpił, żeby Mesmer tak długo przygotowywał swoją mowę. Podejrzewał, że wojna na zmęczenie przeciwnika, którą Jakob razem z całym kierownictwem prowadził z Ravnem, przyniosła ofiary po obu stronach. Sam był już tak wyczerpany, że marzył, żeby wszystko jak najprędzej się skończyło i żeby w końcu mógł stąd wyjść.

— Zbierzmy się wszyscy w grupy — zwrócił się Samuel do członków wspólnoty.

Ludzie wstali i jak na rozkaz odsunęli krzesła. Ravn wstał jako jeden z ostatnich, natychmiast ktoś odsunął jego krzesło. Ludzie wokół niego zaczęli się zbierać w grupy po osiem, dziewięć osób. Stali obok siebie z rękami na ramionach i nagle, w jednej chwili, wszyscy zaczęli mówić. Dochodzące zewsząd głosy świadczyły o władzy, jaką Jakob Mesmer miał nad podległą mu wspólnotą.

Ravn poczuł, że ktoś położył mu rękę na ramieniu, odwrócił się. Zobaczył Birgitte, która patrzyła mu w oczy z uśmiechem przyklejonym do warg.

— Mistrz pragnie z tobą rozmawiać.

Spojrzał na scenę, na której królował Jakob Mesmer. Tłustymi palcami dał Ravnowi do zrozumienia, że ma do niego podejść.

Birgitte ukloniła się Jakobowi, który siedział na krześle w dość swobodnej pozycji i patrzył na Ravną obojętnym wzrokiem.

— To o tym człowieku wspominałam Mistrzowi. Nazywa się Thomas Ravnsholdt i chce z Mistrzem rozmawiać.

Ravn przedstawił się i podał Jakobowi rękę, ten zaś uścisnął ją, ale z pewnym wahaniem. Jego dłoń była wiotka, jakby z ciasta.

— Zglądałem tu kilka razy, żeby oddać ci to — powiedział Ravn, wskazując na kopertę. — Ale dobrze cię tu pilnują — dodał i skinął głową w stronę Birgitte, która zdążyła się już nieco oddalić.

Jakob Mesmer zerknął na kopertę przez niebieskawe szkła okularów przeciwsłonecznych. Wziął ją i położył sobie na kolanach.

— Słyszałem o tobie. Widziałem zdarzenia, w które byłeś zamieszany.

— Tak? W jaki sposób?

Jakob Mesmer spojrział w górę.

— On pokazuje mi wszystko.

— Dobry kontakt — mruknął Ravn z uśmiechem.

— Nie jesteś osobą wierzącą. To też mi powiedział.

— Wierzyć można na różne sposoby.

— Nie. Wszelkie stopniowanie i wszelkie skróty są dla grzeszników i niedowiarków.

Ravn nie odpowiedział. Nie miał ochoty zaczynać dyskusji teologicznej.

Jakob Mesmer spojrział na kopertę.

— Nie potrzebuję pomocy Pana, żeby się domyślić, kto jest jej nadawcą. Jak mnie znalazłeś?

— Podążyłem po śladach. Porządna detektywistyczna robota. Jakob Mesmer uśmiechnął się sarkastycznie.

— Musisz być niezły w swoim fachu, chociaż nie jesteś pierwszym, którego ojciec na mnie nasyła.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Jeden tajny agent nie zna drugiego, chociaż mają tego samego mocodawcę? Trudno mi w to uwierzyć. — Jakob Mesmer spojrzał na pogrążony w modlitwie tłum. — Jakie są twoje motywacje? Przyszedłeś, żeby nas szpiegować, a potem donieść o wszystkim swojemu panu?

— Przyszedłem wręczyć ci kopertę. To wszystko.

Jakob Mesmer posłał mu chłodne spojrzenie.

— Mam wrażenie, że jednak masz coś więcej na sercu.

Wskazał na kogoś za plecami Ravna, zmuszając go, aby się odwrócił. Ravnsholdt spojrzał na ludzi zebranych na sali i zobaczył, jak Samuel dotyka ramienia Benjamina, który natychmiast wystąpił z grupy i podszedł za Samuelem do sceny. Stał teraz przed nimi ze spuszczoną głową i z rękami na plecach.

— Znasz tego mężczyznę, Benjaminie? — spytał Jakob Mesmer piskliwym głosem.

— Nie, Mistrzu.

— Nawet na niego nie spojrzalesz. Przypatrz mu się i odpowiedz mi szczerze.

Benjamin zerknął na Ravna i szybko pokręcił głową.

— Okłamujesz mnie? Nie wiesz, że jest szpiegiem, tak jak ty?

Benjamin odwrócił głowę i spuścił wzrok.

— Nie przyjechałem tu, żeby szpiegować — odezwał się Ravn. — A tego człowieka w życiu nie widziałem.

— Żaden z was nie mówi prawdy — stwierdził Jakob Mesmer i wzruszył ramionami. — Pan widzi wszystko, podczas gdy my musimy montować kamery, żeby zachować kontrolę nad sytuacją. — Pokiwał głową z zadowoleniem i po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Próbowałem nakłonić go do odejścia. Wyrzucić za drzwi

— zaczął się tłumaczyć Benjamin. Był bliski płaczu. — Nie chciałem, żeby Was niepokoił, Mistrzu.

— Widzisz — powiedział Jakob Mesmer i wskazał na Benjamina. — Nie potrafi przestać kłamać. Demon zawładnął jego ustami, posługuje się jego językiem.

Ravn wzruszył ramionami.

— Nie znam go. Przypuszczam, że ma jakiś powód, żeby odpowiadać tak, jak odpowiada. W każdym razie nie ma to nic wspólnego z dokumentem, który mam ci przekazać.

Jakob Mesmer udał, że go nie słyszy, nadal wpatrywał się w Benjamina.

— Niewiele słów prawdy pada tu dzisiaj. Nie wyciągasz żadnych wniosków, Benjaminie. Wystarczy okazać ci trochę zaufania, a zaraz to wykorzystujesz. Widocznie taką masz naturę.

— Przepraszam, Mistrzu. Żałuję za swoje grzechy.

Jakob Mesmer otarł usta szeroką dłonią.

— Wracaj do grupy, grzeszniku.

— Tak, Mistrzu.

— Ale zanim to zrobisz, zdejmij opaskę. Nie będzie ci już potrzebna.

Ze łzami w oczach Benjamin zaczął powoli luzować czerwoną opaskę. Złożył ją starannie i położył na scenie. Stał jeszcze chwilę, aż w końcu Mesmer dał mu znak gestem, żeby odszedł.

Spojrzał na Ravna i ziewnął.

— Są jak małe dzieci. Bez przerwy trzeba ich kontrolować. Pilnować.

Ravn nie odpowiedział; Jakob Mesmer spojrzał na kopertę leżącą na jego kolanach.

— Wiesz, co zawiera?

— Kontrakt, który dotyczy firmy Mesmer Resources. Wiem, że ty i twój ojciec jesteście jej właścicielami, ale szczegółów nie znam.

— Mesmer Resources to jego firma, nie mam z nią nic wspólnego. — Jakob Mesmer spojrzał na Ravna zdziwiony. — Co



on ci powiedział?

— Że to ty stworzyłeś Mesmogram.

Jakob poprawił się na krześle i otarł czoło.

— To było dawno temu. W innym miejscu, w innym...

— urwał. Milczał chwilę. — Czego on chce? — Wziął do ręki kopertę i wskazał nią na Ravna.

— Jeśli dobrze rozumiem, firmę czeka fuzja. Ale żeby do niej doszło, ojciec musi cię wykupić. Zresztą sam przeczytaj.

— A więc chce się dzielić tymi bzdurami z jeszcze większą liczbą ludzi, przysporzyć jeszcze więcej bezbożnych dusz?

— Sam najlepiej wiesz, do czego służy Mesmogram

— powiedział Ravn z lodowatą ironią w głosie.

— Jakie stawia warunki?

— Nie mam pojęcia. Miałem tylko przekazać ci kontrakt. Jeśli jesteś gotów od razu go podpisać, mogę zabrać umowę ze sobą. Jeśli nie, wyślij ją pocztą.

— Co ci o mnie mówił? — spytał Jakob i zaczął rozrywać kopertę.

Ravn pokręcił głową.

— Niewiele. Nie było takiej potrzeby. Prosił tylko, żebym cię znalazł.

— Dobrze go znam. Na pewno nie przeoczył okazji, żeby przedstawić mnie w złym świetle.

— To nieprawda.

— Chcesz powiedzieć, że mówił o mnie dobrze? — Jakob roześmiał się sarkastycznie.

Ravn wzruszył ramionami.

— Jeśli mam być szczery, odniosłem wrażenie, że twój ojciec żałuje tego, co między wami zaszło. Niezależnie od powodów, jakie do tego doprowadziły.

Jakob Mesmer wyjął z koperty plik kartek i zaczął je przeglądać.

— Mówił coś o naszej wspólnej przeszłości?

— Opowiadał o waszej współpracy. Mówił, że martwił się o ciebie, kiedy się skończyła i kiedy założyłeś... — Ravn chciał

powiedzieć: sektę, ale się powstrzymał. — Kiedy założyłeś swój ruch — dokończył.

— Tak, to go zaniepokoiło — skomentował Jakob ironicznie.  
— Wysłał tu swojego szpiega, Benjamin.

— Którego, jak widzę, nawróciłeś.

Jakob podniósł wzrok znad papierów.

— A jaka jest w tym wszystkim twoja rola? Co ty z tego masz?

— Nic. Dla mnie to praca, jak każda inna.

— Ile srebrników ci płaci?

Ravn spojrzał na tłum ludzi w dole pod sceną.

— W tym momencie mam wrażenie, że za mało.

Jakob Mesmer wrócił do lektury dokumentów, przeczytał ostatnią stronę bez szczególnego zainteresowania. Włożył papiery z powrotem do koperty. Ravn pomyślał, że jednak przyjdzie mu wrócić z niczym.

— Zwróciłeś uwagę na jego dłoń?

— Na dłoń twojego ojca?

Jakob skinął głową.

— Miał coś wspólnego z pożarem na Belgiensgade?

— spytał Ravn.

— Więc o pożarze też wiesz? Nie jesteś głupi. — Jakob wytarł usta. — Pożar to był wypadek. Firma ubezpieczeniowa, która wypłaciła nam odszkodowanie, nie miała żadnych wątpliwości.

Ravn nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Pomyślał, że jeszcze chwila, a uwierzy Benjaminowi, który mówił o ręce Boga.

— Jeśli nie jest to ślad po tym pożarze, to po czym? Po jakimś innym?

Jakob się roześmiał i spróbował wstać z krzesła o własnych siłach. Natychmiast podeszła do niego Birgitte i podała mu kulę. Jakob wyszeptał jej coś do ucha, coś, co najwyraźniej ją zaskoczyło. Zawahała się. Szturchnął ją lekko i dopiero wtedy się ruszyła. W tym momencie rozległy się dźwięki organów, gwar

natychmiast ucichł. Ludzie się rozproszyli, ruszyli ku drzwiom, ci w niebieskich kombinezonach niemal biegiem.

— Mogę pokazać ci nasze szczególne miejsce, nasze małe Getsemani?

— Dziękuję, ale nie. Czeka mnie długa droga powrotna do Kopenhagi.

— Aż tak ci się chyba nie spieszy. Zresztą pewnie chciałbyś wrócić z podpisanym kontraktem, prawda? — Pomachał mu przed nosem kopertą.

— Czy go podpiszesz, czy nie, jest mi całkowicie obojętne. Prawdę mówiąc, widziałem już wystarczająco dużo, żeby wyrobić sobie zdanie o tobie i twoim ruchu.

— Nie wyglądasz na zadowolonego.

Ravn wzruszył ramionami.

— Krzywdzisz nas — ciągnął Jakob. — Chciałbym ci pokazać, co udało nam się osiągnąć. Potem podpiszę kontrakt, wrócisz do domu i dostaniesz pochwałę. Może nawet jakiś bonus. Jakaś apetyczną kosteczkę — roześmiał się głucho.

— No, dobrze, pokaż mi to wyjątkowe miejsce — powiedział Ravn takim tonem, jakby już żałował swojej decyzji.

Ravn razem z Jacobem Mesmerem, Patrickiem i dwoma jego przybocznymi wyszli z sali tylnymi drzwiami. Na zewnątrz zaczął już zapadać zmrok, Getsemani powoli pochłaniały ciemności. Kontrast między gwarem rozmodlonych głosów wewnątrz a ciszą na zewnątrz był porażający. Nagle farma wydała się Rawnowi miastem duchów. Początkowo szli ścieżką prowadzącą w stronę dużej hali produkcyjnej, ale w pewnym momencie skręcili, okrążyli halę i po chwili dotarli do niewielkiego budynku z niebieskimi metalowymi drzwiami. Patrick pobiegł przodem i otworzył je. Z ciemnego pomieszczenia dobiegł hałas pracujących maszyn. Jakob Mesmer z trudem przecisnął się przez wąskie drzwi, Ravn i strażnicy podążyli za nim.

— To tutaj odbywa się proces fermentacji — powiedział Jakob Mesmer, próbując przekrzyczeć hałas maszyn.

Przy panelu kontrolnym stał starszy mężczyzna w szarym ubraniu i bacznie obserwował wskaźnik temperatury. Zauważył ich dopiero, kiedy stanęli obok niego. Na widok Jakoba spuścił pokornie wzrok i ukłonił mu się kilka razy. Jakob podał mężczyźnie rękę, ten zaś ucałował ją z wdzięcznością. Ravn poczuł obrzydzenie, gdy patrzył, jak starszy człowiek płaszczy się przed Jakobem, który przyjmował hołdy z zadowoloną miną, godną mafiosa albo kardynała.

— William wie wszystko na temat obróbki cieplnej kompostu. Tutaj napowietrzamy amoniak i pasteryzujemy biomasę, by otrzymać najlepszą jakość nawozu. To on odżywia nasze kochane grzybki, nasze święte mikroorganizmy.

— Widziałem, jak ludzie w hali przewracają łopatami gówno i spryskują je chemikaliami — powiedział Ravn chłodno. — To na pewno nie służy ich zdrowiu.

— Słyszę, że wiesz wszystko o wstępnej obróbce kompostu — powiedział Jakob z uśmiechem. — Powinieneś wstąpić do naszej wspólnoty.

— Dziękuję, ale nie.

Minęli Williama, który znów z szacunkiem schylił głowę, i ruszyli do drzwi. Nad nimi umieszczona była duża rura z ciepłą wodą, biegnąca przez cały korytarz. Weszli do hali. Panował w niej mrok i chłód, czuć było łagodny zapach ziemi. Sześć rzędów grządek, każda o długości trzydziestu czterech metrów, ciągnęło się przez całą halę. Wszystkie grządki miały cztery poziomy. Jakob podszedł do jednej z nich i zanurzył tłuste palce w ciemnej ziemi. Wziął do ręki grudkę, w której widać było delikatną białą sieć.

— Widzisz, to jest grzybnia. Czyż nie jest to piękny widok? W każdej grządce znajdziesz podobną sieć, która cały czas się rozbudowuje.

— Nadajesz się na ogrodnika — skomentował sucho Ravn.

Jakob włożył grudkę ziemi z grzybnią z powrotem do grządki i przycisnął ją dłonią.

— Raczej nie. W przeciwieństwie do ogrodnika czy chłopów pracujących na polu nie jesteśmy zainteresowani tym, żeby rośliny rosły. My je niszczymy, by następnie odtworzyć naturalny proces gnicia. W ten sposób grzyby czerpią składniki odżywcze z martwej tkanki i rosną duże i silne.

— Tak właśnie traktujecie członków wspólnoty?

— Czyli?

— Niszczycie ich, by potem ponownie kształtować?

— Widzę, że nie owijasz w bawełnę — powiedział Jakob.

— No cóż, uczymy ludzi pokory, by doprowadzić ich do prawdziwej wiary. Nie powiedziałbym, że kogoś niszczymy.

— Niebieskie kombinezony nie zasługują na godne traktowanie?

— Członkowie wspólnoty muszą zrozumieć, że wszystkie ich działania, nawet słowa, mają konsekwencje. Jeśli jednostka przedkłada interesy wspólnoty nad swoje, dostaje nagrodę, jeśli

nie, ma to swoje konsekwencje. Inaczej mówiąc, każde negatywne działanie musi spotkać się z reakcją.

— Czyli karą?

— Resocjalizacją.

— Dlatego poniżacie tych, którzy nie są wam posłuszni?

— Nikogo nie poniżamy. Uczymy. Błogosławieństwo i pokuta to najlepsze narzędzia, które pomagają doprowadzić stado do raju. Ciemność i światło, jedno i drugie stworzone przez Pana.

— Te zasady dotyczą też dzieci?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Widziałem tu dzieci. Wśród niebieskich kombinezonów, czyli tych, których należy resocjalizować.

— Dzieci towarzyszą rodzicom, to chyba oczywiste.

Rozdzielenie ich byłoby niehumanitarne.

— Dzieci też są karane?

— Jak już mówiłem, nikogo nie karzemy. Nauczamy o Bogu, tylko na różne sposoby. Dzieci w Getsemani są wolne i szczęśliwe. Mają pełną swobodę, mogą się bawić, gdzie chcą, a rodzice nie muszą się niepokoić, że coś im się stanie. Czy w jakimkolwiek wielkim mieście jest to dzisiaj możliwe? To tam dzieciom dzieje się krzywda. — Jakob położył dłoń na ramieniu Ravna. — Wiedziałeś, że grzyby tworzą własne królestwo? Nie należą ani do świata zwierząt, ani do świata roślin. Mają własny świat.

— Nie wiedziałem — odpowiedział Ravn chłodno.

— Jeśli ktoś zainteresuje się nimi bliżej, tak jak ja to zrobiłem, dostrzeże, że tak naprawdę są czymś pomiędzy. Ogniwem łączącym dwa światy. Pół roślina, pół zwierzę. Łączą, ale i dzielą dwa różne światy... Grzyb to organizm, który potrafi żyć w całkowitych ciemnościach i żywić się martwą tkanką. Żyje albo jako pasożyt, albo w symbiozie ze swoim gospodarzem.

Jakob pociągnął Ravna korytarzem do kolejnej hali, która okazała się przedłużeniem pierwszej. Tutaj procesy były nieco bardziej zaawansowane, grządki były pełne białych kapelusików,

wyraźnie odcinających się od czarnej ziemi. W głębi cztery kobiety zbierały grzyby i wkładały je do niewielkich pojemników stojących na wózkach.

— *Agaricus bisporus*.

Jakob sięgnął po dużą pieczarkę, wziął ją delikatnie do ręki i oczyścił z ziemi. Spojrzał na nią pod światło, podziwiając cienkie jasnobrązowe blaszki.

— Mięisty kapelusz pieczarki to tak naprawdę owocnik zawierający zarodniki. Zbiory mamy cztery razy do roku.

— Całkiem intratne przedsięwzięcie, jeśli sądzić po tym, co tu widziałem.

— Czyli?

— Dom, eleganckie samochody na zewnątrz, no i darmowa siła robocza.

Jakob pokręcił głową.

— To nietrafna ocena. Mamy wiele gąb do wykarmienia, cały czas przybywają nowi członkowie. Kłamstwa świata na zewnątrz nie służą nam, ale nie narzekamy. Nadal przyjmujemy odtrąconych, tych, którym nikt nie chce pomóc. Biednych. Chorych psychicznie. Alkoholików. Narkomanów. Złodziei. Inwalidów wojennych. Przeszłość jest dla nas bez znaczenia. Wiemy, że cokolwiek robili wcześniej, ich przyszłość jest tutaj. Kiedyś wspólnoty takie jak nasza były prześladowane, próbowano unicestwić całe narody. Ale Bóg nas chroni. Chodź, pokażę ci coś — powiedział nagle Jakob i odrzucił pieczarkę na bok.

Szli, mijając kolejne grządki, aż w końcu dotarli do wąskiego korytarza, który prowadził do pakowni. Stało tu wielu członków wspólnoty, zarówno w szarych mundurach, jak i w niebieskich kombinezonach, i pakowało tacki pieczarek do kartonów.

Ravn miał wrażenie, że rozpoznaje logo firmy, widywał je chyba w miejscowym sklepie na Christianshavns Torv, ale nie był pewny.

Jakob otworzył drzwi do małego pomieszczenia po drugiej stronie pakowni i wcisnął włącznik przy wejściu. Świetlówki na suficie zamigotały i po chwili się zapaliły.

— Z czasem wprowadziliśmy tu wiele udogodnień  
— powiedział i uniósł dumnie rękę, w której trzymał kulę. — To  
nasze centrum wiedzy.

Ravn rozejrzał się po pomieszczeniu; nie miało okien  
i przypominało wysłużone szkolne laboratorium fizyczne. Przy  
dużym stole, który zajmował większą część lokalu, były trzy  
miejsca pracy, każde z własnym mikroskopem. Stół był pokryty  
grubą warstwą kurzu, między mikroskopami leżały  
poprzewracane szklane kolby, obok stały statywy z brudnymi  
próbówkami. W głębi pod ścianą znajdowało się kilka niskich  
lodówek, miały otwarte drzwi, na półkach widać było szklane  
naczynia z zaszczepionymi osadami, które zdążyły już spleśnieć,  
poza tym lodówki były puste.

— Hodowla pieczarek to nasz finansowy fundament, przede  
wszystkim jednak prowadzimy badania nad różnymi gatunkami  
grzybów. To właśnie tutaj staramy się odkryć ich tajemnice  
i przekazać je światu. Oczywiście po opatentowaniu — dodał  
Jakob i po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko.

Ravn był zdziwiony, że Mesmer zdaje się nie dostrzegać  
nędznego stanu, w jakim znajduje się laboratorium. Prezentował  
mu je z wyraźną dumą.

— To dziedzina o wielkim potencjale — mówił energicznie.  
— Pomyśl o takich odkryciach, jak penicylina, enzymy stosowane  
w proszkach do prania, pestycydy do zwalczania szkodników czy  
środki spulchniające w branży spożywczej. Istne cuda boże  
w postaci mikroorganizmów.

— Dlaczego zaprzestaliście badań?

— Kto tak powiedział? — Jakob zmarszczył czoło.

— Mam wrażenie, że ostatnie doświadczenia  
przeprowadzano tu dawno temu.

— Prowadzimy badania w wielu dziedzinach, ale też  
odczuwamy skutki konkurencji. Nie jest łatwo przyciągnąć  
naukowców i zainteresować inwestorów trudnym projektem. Na  
szczęście cierpliwość zostaje nagrodzona. — Jakob postukał  
w metalowy pojemnik, będący częścią starego zbiornika z brązu,



którego kiedyś używano do procesów fermentacji. — Dlatego praca fizyczna, wiedza i wiara są w Getsemani traktowane na równi. Naszym celem jest samowystarczalność, zarówno fizyczna, jak i duchowa.

W tym momencie z walkie-talkie Patricka dobiegły trzaski, mężczyzna odebrał wezwanie.

— Mamy problem przy barakach. Jesteś z Mistrzem? Odbiór — rozległ się czyjś zdyszany głos.

— Co się dzieje?

— Potrzebny jest Mistrz. Natychmiast.

Jakob wyrwał walkie-talkie z rąk Patricka i przyłożył do ucha.

— Co to za problem?

W tle słyhać było hałas, a potem znów rozległ się głos.

— Benjamin... Chodzi o Benjamina. Źle z nim. Zachowuje się jak opętany!

Kiedy Ravn i Jakob Mesmer dotarli do baraków, zobaczyli sporą grupę ludzi zebranych wokół Benjamina, który siedział w kucki na podłodze w pierwszym baraku. Jak dzikie zwierzę zapędzone w kąt. Członkowie wspólnoty stali w pewnej odległości i zdenerwowani przyglądali się skulonej postaci, syczącej z wściekłości. Najbliżej Benjamina stał Samuel. Trzymał przed sobą krucyfiks i powtarzał szeptem wyznanie wiary. Benjamin zareagował warknięciem, z jego gardła dobiegły niezrozumiałe charczące dźwięki. Jego skóra była żółta, rysy twarzy wyostrzone, usta ściągnięte w grymasie bólu.

Jakob przecisnął się przez tłum do Samuela i odsunął go łokciem.

— Zajmę się nim.

— Już się trochę uspokoił — odpowiedział Samuel. — Mam wrażenie, że spłynęła na niego łaska Pana.

— Tak? — Jakob uniósł kulę, którą się podpierał, i dotknął nią Benjamina.

Benjamin wrzasnął i odtrącił ją gwałtownie. Jakob i zebrani wokół ludzie cofnęli się, wielu zaczęło się żegnać.

— Belzebubie, a więc znów się spotykamy! — krzyknął Jakob Mesmer. — Po raz kolejny pokonam cię mocą, którą ześle mi Pan. — Uderzył mocno końcem kuli w pierś Benjamina, który zachwiał się, stracił równowagę i przewrócił się. — Odejdź, Szatanie, od tego biednego mężczyzny!

Benjamin szybko wstał, po czym ponownie ukucnął, w każdej chwili gotów rzucić się na Jakoba. Zaczął wrzeszczeć i pluć na niego.

Jakob, niezrażony zachowaniem Benjamina, ponownie uniósł kulę i zadał mu kilka silnych ciosów.

— Rozkazuję ci, Szatanie, opuść to ciało i tę duszę!  
Benjamin odpierał ciosy, krzycząc coś niezrozumiale.  
W końcu Jakob przestał, ale nadal dyszał ciężko.

— Wysłuchaj słów Ewangelii, Belzebubie! — Otarł rękawem spocone czoło. — „Jezus zapytał go: Jak ci na imię? On odpowiedział: Legion, bo wiele złych duchów weszło w niego”. Jezus przegnał je wszystkie, jednego po drugim, tak jak ja dzisiaj przeganiam ciebie. Wracaj do krainy ciemności!

Benjamin jedną ręką chwycił się za brzuch, drugą zaczął grzebać w błocie, po czym zaczął rzucać kamyczkami w Jakoba.

— Leeeeegion... Leeeeegion... — powiedział niskim głosem.  
— Wyjdź!

Członkowie wspólnoty zaczęli głośno modlić się za Benjamina. Niektórzy płakali. Ravn przyglądał się scenie rozgrywającej się przed jego oczami. Sprawiała wrażenie wyreżyserowanej, ale cierpienie Benjamina i strach zebranych wokół ludzi dodawały jej autentyzmu. Nie wierzył, że Benjamin jest opętany, ale widać było, że coś się z nim dzieje. Odbywający się w ciemności dramat z udziałem fanatycznie nastawionych ludzi był przerażający.

— Przytrzymajcie go! — rozkazał Jakob. — Pomóżcie mi wygnać z niego demony Szatana! — krzyczał.

Patrick i jeden z jego ludzi podeszli do Benjamina, który nagle się na nich zamachnął. Z łatwością odparli jego ciosy, chwycili go i wykręcili mu ręce. Benjamin próbował się uwolnić, ale mężczyźni okazali się silniejsi i w końcu się poddał.

— Woda święcona! Przynieście wodę święconą! — zawołał Jakob.

Niemal w tej samej chwili podeszła do niego Birgitte, niosąc w ręku karafkę.

— Przeklinamy diabła i wszystkie jego czyny — powiedział Jakob, podchodząc bliżej do Benjamina.

Benjamin schylił głowę i zaczął mówić językami. Ślinił się, wypowiadając szybko niezrozumiałe słowa.

Patrick chwycił go za włosy i siłą odchylił mu głowę.

Benjamin plunął na Jakoba, trafił w klatkę piersiową, ale on zdawał się tego nawet nie zauważyć.

— Wierzę w Jezusa Chrystusa, syna Jego jedyne, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego, narodził się z Maryi Panny, umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion, zstąpił do piekieł... — urwał i zaczął ostrożnie polewać twarz Benjamina wodą z karafki.

Benjamin krzyczał i próbował odwrócić głowę, ale mężczyźni trzymali go mocno. W pewnym momencie Patrick chwycił go za brodę i siłą rozwarł mu szczęki.

— Neeee... — protestował Benjamin stłumionym głosem.

Jakob zaczął wlewać mu do gardła wodę święconą. Benjamin kaszlał i krztusił się.

— Wierzmy w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie... ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny.... Amen.

Kiedy karafka została opróżniona, Jakob odsunął się, a mężczyźni poluzowali chwyt. Benjamin osunął się na ziemię.

— Panie... — zawołał Jakob i uniósł ręce ku niebu.

— Prosimy Cię, byś wybaczył temu grzesznikowi, błagamy, byś okazał mu łaskę i przepędził z niego demona. Przepędź go z naszej wspólnoty, by nie znalazł schronienia w kolejnej słabej, niewinnej duszy.

Benjamin wydał z siebie zduszony dźwięk i zaczął wymiotować zieloną żółcią.

Przez tłum przeszedł jęk. Wielu zaczęło spontanicznie się modlić i dziękować Panu za cud, którego przed chwilą byli świadkami.

Jakob opuścił ręce i zadowolony spojrzał na członków wspólnoty.

— Moc Pana jest wieczna. Amen — powiedział, po czym zwrócił wzrok na Benjamina. — Mam nadzieję, że jesteś wdzięczny za łaskę Pana. Że zrozumiałeś, jaką władzę posiada nad życiem i śmiercią. Poddał cię próbie, demon pokazał ci twoją słabość.

— Jestem wdzięczny... — wyszeptał Benjamin.

Seans dobiegł końca. Ravn nadal nie rozumiał, co się stało z Benjaminem, ale najwyraźniej odzyskał dawną formę. Samuel uklęknął obok niego i zaczął go uspokajać, wziął szmatkę i wytarł żółć z jego brody.

— Na pewno zadajecie sobie teraz pytanie, jak to się stało, że demon wdarł się w środek naszej wspólnoty? — Jakob rozejrzał się po zgromadzonych ludziach, w jego postawie było coś wyzywającego.

Wszelkie rozmowy ucichły.

— Kto z was zaraził Benjamina grzechem? Bo imię demona było Grzech!

Ludzie starali się unikać wzroku Mistrza.

— Wiem, że wszyscy czujecie się czyści, ale pamiętajcie, że wobec Pana wszyscy jesteśmy grzesznikami.

— Amen — odpowiedział mu chór głosów.

— Tym razem wina nie leży po stronie wspólnoty. Demon nie tkwi w nas. Ten, kto go w sobie nosi, stoi tuż za wami!

Jakob Mesmer uniósł kulę i wskazał nią ponad głowami ludzi. Zgromadzeni odwrócili się i z przerażeniem zaczęli przyglądać się Ravnowi.

Ravn przełknął ślinę.

— Chociaż go przyjęliśmy, zaprosiliśmy, by uczestniczył w naszym wieczornym spotkaniu, Szatan cały czas pozostawał przy jego boku. To on sprowadził tu demona.

— Odejdź, Szatanie! — zawołała jakaś kobieta z tłumu.

Ravn zrobił kilka kroków do tyłu. Spostrzegł, że strach w oczach ludzi zastąpiło coś innego. Szaleństwo, nienawiść wobec obcego. Zaczął się bać, to wszystko mogło się źle skończyć.

— Nie mamy pewności, czy to on sprowadził tu demona — powiedział Samuel, podnosząc się z podłogi.

Jakob Mesmer zmierzył go chłodnym wzrokiem.

— Czyżby Pan przemówił do ciebie, Samuelu?

— Oczywiście, że nie. Pan przemawia tylko do ciebie, Mistrzu.

Ludzie znów patrzyli na Jakoba.

— Chciałem tylko powiedzieć, że nie możemy mieć pewności. Kiedy Pan rozmawiał z tobą, Mistrzu?

— Nie wierzysz mi, Samuelu?

— Ależ nie, Mistrzu. Nie chcę tylko, żebyśmy rzucali kamieniem, jeśli nie mamy absolutnej pewności.

Część zebranych pokiwała głowami, na twarzy Jakoba pojawił się grymas niezadowolenia.

— Oczywiście, ale on sam się zdradził, wręczając mi to.

Jakob Mesmer uniósł kopertę, którą przekazał mu Ravn. Ludzie patrzyli na nią z lękiem, jakby trzymał w ręku żmiję.

— Demon chciał dosięgnąć nie tylko Benjamina, najpierw próbował dotrzeć do mnie!

W tłumie rozległ się jęk, ludzie patrzyli to na Jakoba, to na Ravna.

— Przekazał mi dekret od Naczelnego Szatana. Wszyscy dobrze wiemy, o kim mowa.

Reakcja członków wspólnoty wskazywała, że wszyscy doskonale wiedzą, że chodzi o Ferdinanda Mesmera.

— Po raz kolejny nas oczernia, po raz kolejny próbuje zniszczyć naszą niezwykłą jedność, naszą ukochaną wspólnotę — mówił Jakob łamiącym się głosem. — Szatan, który od początku robi wszystko, by zatruć naszego ducha i nas pokonać, wysłał kolejnego szpiega, jeszcze jednego tajnego agenta. Dokładnie tak, jak kiedyś przysłał Benjamina. — Jakob wskazał na miejsce, gdzie przed chwilą leżał Benjamin. Było puste. — Gdzie on jest? — krzyknął zdziwiony.

Zrobiło się zamieszanie, ludzie zaczęli rozglądać się nerwowo za Benjaminem. Po chwili wśród tłumu rozległ się głos Åse: — Tam jest!

Wskazała dłonią w stronę pryzm kompostu, na jednej z nich stał Benjamin. Patrzył na ludzi, kręcił z rozpaczą głową i płakał.

— Wszystko zaczyna się od początku... Nie wytrzymam tego... Już nie chcę... Nie... Odejdź ode mnie... — Zamachnął się ręką w powietrzu.

— Demon znów wziął go we władanie — oznajmił Jakob Mesmer. — Dlaczego go nie pilnowałeś, Samuelu?

Benjamin zaczął bić się po twarzy otwartą dłonią.

— Nie chcę... Nie chcę... Rozumiesz, Lise... Wybacz mi... Wybacz, że nie byłem w stanie cię uratować... Teraz rozumiem, przez co musiałaś przejść... Będę czekać na ciebie u bram raju.

Nagle się odwrócił, zeskoczył z pryzmy kompostu i zaczął biec w kierunku pobliskiego rowu.

— Mamy biec za nim, Mistrzu? — spytał Patrick.

Jakob nie odpowiedział od razu. Razem z innymi patrzył za Benjaminem. Mężczyzna biegł przez pole, które w bladym świetle księżyca wyglądało jak wielkie falujące morze.

— Nie — odrzekł w końcu. — Benjamin wybrał swoją drogę do Stwórcy.

Ravn zrozumiał, co Jakob miał na myśli, dopiero gdy zobaczył reflektory w oddali. Mimo późnej pory na polu nadal pracowały kombajny. Benjamin zmierzał prosto w ich stronę.

— Musimy go powstrzymać — odezwał się Ravn.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy patrzyli przed siebie, na pole, gdzie Benjamin przedzierał się przez wysokie zboże.

Ravn zaczął przeciskać się przez tłum, ale natychmiast poczuł, jak czyjaś ręka chwyta go za szyję i nie pozwala iść dalej.

— Zostaniesz tutaj! — Usłyszał głos Patricka tuż przy uchu.

Po chwili pojawili się strażnicy, którzy mieli pilnować, by nie ruszył się z miejsca.

Benjamin zbliżał się do kombajnu; kiedy znalazł się tuż obok, przyspieszył i wyskoczył przed niego. Stanął w ostrym świetle reflektorów i wyciągnął ręce do góry. Wyglądał jak marmurowy posąg.

— Panie! Panie! — wołał, przekrzykując huk maszyny.

— Zbaw grzesznika.

Noże kombajnu były coraz bliżej, obracały się ze świstem; nagle rozległ się pisk hamulców, ale było już za późno. Noże rozerwały ciało Benjamina na strzępy, nocne niebo zabarwiło się purpurą. Krew obryzgała łany zboża wokół kombajnu. Maszyna

w końcu się zatrzymała, stała teraz niema między kołyszącymi się łanami zboża, po zaparowanej szybie kabiny spływała krew.

Po chwili doszły ich wzburzone głosy ludzi pracujących na polu. Ravn odwrócił głowę i kątem oka spojrział na Jakoba. Wydawał się zadowolony z rozwoju sytuacji. Jakby śmierć Benjamina była częścią jakiegoś większego planu, zdążył pomyśleć Ravn, zanim czyjaś potężna pięść trafiła go w szczękę i posłała na ziemię. Otoczyła go wszechogarniająca ciemność.



Ravn ocknął się, kiedy usłyszał krople deszczu bębniące o dach szklarni. Spróbował się poruszyć i poczuł, że w skórę szyi wrzyna mu się sztywny plastikowy rzemyk, którym był przywiązany do słupa. Zastygł w bezruchu, bojąc się, że rzemyk zaciśnie się jeszcze bardziej i go udusi.

Pamiętał, że Patrick i jego ludzie przywlekli go tu i pobili. Potem opaskami zaciskowymi skrupowali mu ręce i nogi, przywiązali do filara i zostawili.

Powiódł językiem po zębach, chyba miał wszystkie. Górna warga była pęknięta, nadal czuł w ustach smak krwi. Zaczepnął chłodnego porannego powietrza, deszcz wzmocnił zapach zgnilizny, który unosił się w dużej szklarni. Próbował rozejrzeć się dookoła. W niskich kwadratowych skrzynkach rosły różne rodzaje grzybów rozmaitej wielkości i kształtu, w najróżniejszych odcieniach czerwieni, od fioletu przez pomarańcz po szkarłat. Gdzieś z głębi pomieszczenia dobiegł go jakiś szelest, ale plastikowy rzemyk wokół szyi uniemożliwiał mu wszelki ruch. Dźwięk był coraz bliżej i po chwili stanął przed nim chłopiec w niebieskim kombinezonie. Przyglądał mu się z zainteresowaniem. Leciało mu z nosa, smarkał głośno. Ravn go rozpoznał: to był ten sam chłopiec, którego poprzednim razem widział koło pryzm kompostu. Teraz, kiedy był tak blisko, zobaczył, że chłopiec ma zespół Downa. Dzieciak uśmiechnął się szeroko.

— Byłeś niegrzeczny?

— Nie — odpowiedział Ravn schrypniętym głosem.

— To dlaczego tu jesteś? Tutaj trafiają tylko niegrzeczni.

— Ja nie byłem niegrzeczny.

— Tego nigdy nie można być pewnym. Czasem po prostu tak

się dzieje.

— Masz rację. Jak masz na imię?

— Kev... Kev... Kevin — wydukał. Jąkał się. — A ty?

— Ravn. Kruk, jak ptak.

Kevin uśmiechnął się.

— Fajne imię.

— Pewnie tak. Myślisz, że mógłbyś mi pomóc, Kevinie?

Chłopiec spojrzał na niego.

— Jesteś demonem? — spytał poważnie.

— Nie.

— Bo jeśli jesteś demonem, to nie mogę ci pomóc. Bo wtedy sam jesteś sobie winny, że cię tu przywiązali.

— Przysięgam, że nie jestem demonem. Widzisz te odłamki szkła, tam dalej? — spytał i wskazał głową w stronę niewielkiej sterty szklanych odłamków, leżących na ziemi obok jednej ze skrzynek.

Kevin nie odrywał wzroku od Ravna. Wyciągnął rękę i brudnym palcem wskazującym dotknął opuchlizny pod jego okiem.

— Bili cię. Nie wyglądasz ładnie.

— No cóż, dostało mi się.

— Dostało ci się — powtórzył chłopiec i się roześmiał.

— Kto cię związał? — dopytywał się.

— Żołnierze, ci krótko ostrzyżeni, którzy tak groźnie wyglądają.

Kevin skrzyżował ręce na piersiach.

— Nie lubię ich — oświadczył.

— Ja też nie. Dlaczego ich nie lubisz?

— Drwią sobie ze mnie... I biją. Nie są fajni.

— Masz rację. Możesz przynieść jeden taki odłamek i pomóc mi się uwolnić? Inaczej wrócą i znów mnie pobiją.

— Nie będą zadowoleni.

— Obiecuję, że nic im nie powiem. I dopilnuję, żeby więcej ci nie dokuczali. Ani cię nie bili.

Kevin uśmiechnął się szeroko.

— Dobrze — powiedział.

Podszedł do leżących na ziemi odłamków, dwoma palcami wziął największy z nich i wrócił do Ravna. Już miał się nad nim nachylić, kiedy na zewnątrz szklarni rozległy się kroki. Szkło wypadło chłopcu z ręki, zrobił kilka kroków do tyłu.

— Nie podchodź za blisko do demona, Kevinie — rozległ się głos Jakoba Mesmera, który właśnie wszedł do szklarni.

Kevin patrzył złękniony na Mistrza, który stanął przed nimi.

— Co tu robisz w towarzystwie demona?

— Powiedział, że... że nie jest demonem, Mistrzu.

Jakob pogładził chłopca po włosach.

— Naiwny baranku boży. Wiesz, że nie wolno ci tu wchodzić?

Kevin skinął głową.

— Tak, ale zachciało mi się siusiu.

Jakob Mesmer roześmiał się.

— No cóż, trudno, ale teraz zmykaj stąd. I nie pokazuj się tu więcej, dobrze? — powiedział i spojrzał wymownie na skórzany pasek przy spodniach.

Kevin też popatrzył na pasek i pokiwał głową.

— Już zmykam, Mistrzu.

Odwrócił się i pobiegł przez szklarnię, kierując się w stronę tylnych drzwi.

— Słodki dzieciak, prawda? Jakies pół roku temu zjawił się tu razem z matką. Uciekła od byłego męża, alkoholika, który niecnie ją wykorzystywał. Na świecie jest tylu złych ludzi — powiedział Jakob i spojrzał na Ravna. — Widzę, że się obudziłeś. Ale nie przypuszczam, żebyś śnił snem niewinnego, posłańcu demona. — Uśmiechnął się chłodno.

— Dlaczego go nie powstrzymaliście? Dlaczego nie powstrzymałeś Benjamina?

— On tam na polu umówił się na spotkanie ze Stwórcą.

— Mogłeś go zatrzymać, gdybyś tylko chciał.

— Przypisujesz mi zbyt dużą moc. Tak naprawdę to była twoja wina.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Przyszedłeś tu, przysłany przez Diabła, i zaraziłeś Benjamina. — Jakob uśmiechnął się krzywo. — Próbowałem go ratować, ale twoja obecność sprawiła, że rzucił się pod kombajn. — Zaczął wymownie obracać palcami. — To ty ponosisz odpowiedzialność.

— Możliwe, że te bzdury robią wrażenie na twoich uczniach, ale nie na mnie. Obaj wiemy, że go wykorzystałeś, dokładnie tak, jak teraz próbujesz wykorzystać mnie. Żeby zdobyć nad nimi władzę. — Ravn zmrużył oczy. — Samuel zaczyna ci zagrażać? Jest następnym Mesjaszem? Tak? To wszystko z tego powodu? — dodał szyderczo.

Jakob wzruszył ramionami.

— Nikim nie manipuluję. Ludzie idą za mną z własnej woli. Mam wrażenie, że mylisz mnie z moim ojcem. Manipulacja to jego specjalność. Spójrz na siebie. Do czego cię doprowadził?

— Trafiłem tu przez ciebie. Wiesz, że za coś takiego grozi ci do ośmiu lat więzienia?

— Uczony prywatny detektyw, zna się na prawie. Zaimponowałaś mi. Były policjant? — Podszedł bliżej.

— Ciekawe, dlaczego odszedłeś ze służby. Kiepskie zarobki? Za dużo pracy czy nieprzyjemne doświadczenia? Coś cię przestraszyło? Jakaś tragedia? — Spojrzał na Ravna uważnie wzrokiem, jakiego nie powstydzilby się jego ojciec. — Nie wyglądasz na faceta, którego można łatwo zastraszyć. Jesteś na to zbyt ograniczony, za mało inteligentny. Kawał drania z ciebie.

— Myśl sobie, co chcesz. Wypuść mnie i zakończmy sprawę.

— Teraz już trochę na to za późno.

— Powiem, że wdałem się w bójkę z twoimi ludźmi, dołożyłem im, a potem oni postanowili mi oddać. Dlatego mnie tu umieściliście, żeby ostudzić emocje. To wszystko. Co ty na to?

Jakob przyglądał mu się dłuższą chwilę, po czym na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Źle cię oceniłem. Jesteś, co prawda, draniem, ale inteligentnym. Rozumiem już, dlaczego ojciec wybrał właśnie ciebie. Pewnie jesteś jednym z jego najlepszych

współpracowników.

— Podjąłem się tego zlecenia i to wszystko. A jeśli chodzi o moją przeszłość, to rzeczywiście byłem policjantem. Zarobki były marne, więc postanowiłem coś zmienić. Twój ojciec płaci więcej za godzinę niż kopenhaska policja.

Jakob dotknął dłonią ust i zamyślony przyglądał się Ravnowi.

— Nie dlatego zmieniłeś pracę. Nie tylko ze względu na pieniądze. Ojciec cię w to wmanipulował, ze wszystkimi tak robi.

— Dlaczego miałbym kłamać? — spytał Ravn. — Dla mnie to praca jak każda inna, a im szybciej się ze wszystkim uporam, tym lepiej. Uwolniłbyś mnie z tych opasek? — spytał. Starał się, by jego głos brzmiał obojętnie, ale Jakob nie dał się nabrać.

— Opowiedział ci o teście kawy?

— Nie pamiętam.

— Czyżby? Opowiedział ci. Widzę to po twojej twarzy — stwierdził Jakob z zadowoleniem. — Chciał, żebyś lepiej zrozumiał to, co robi. Przedstawił swoje interesy w bardziej ludzkim świetle, żeby złagodzić swoje oblicze, wzbudzić twoją sympatię. Jestem pewien, że historia ci się spodobała. Tak bardzo, że pewnie wypróbowałaś ją na znajomych. Mam rację?

Ravn nie odpowiedział, co tylko pobudziło Jakoba do dalszych dywagacji.

— W ten sposób złowił cię na haczyk. Wiesz, skąd to wiem? Bo sam to wymyśliłem. Iluż klientów udało nam się złapać na tę historyjkę. — Pokręcił głową. — Zawsze należy zadbać o to, żeby nadać produktowi ludzką twarz. Sprawić, żeby ludzie poczuli sympatię. A wtedy masz ich! — powiedział i pstryknął palcami jak sprzedawca samochodów.

— Gratuluje. Wygrałeś, Jakob. Zmanipulował mnie. Wszystko sobie wyjaśniliśmy, podpisz umowę i zgarniemy każdy swoje. Jestem pewien, że dostaniesz wystarczająco dużo, żeby to miejsce mogło dalej funkcjonować. Służąc tobie i twojemu ruchowi. Może nawet uda ci się wznowić badania — powiedział, zerkając na skrzynki stojące za Jakobem.

Ale uśmiech, który pojawił się na twarzy Jakoba, świadczył o tym, że Ravnowi nie udało się go przekonać. Ani do tego, żeby uwolnił go z więzów, ani do tego, żeby podpisał kontrakt.

— Jak każde dobrze wytresowane zwierzątko, nie jesteś w stanie spojrzeć na sprawę z szerszej perspektywy. Tutaj dzieją się wielkie rzeczy, dlatego nie potrzebujemy jałmużny. Cesarzowi, co cesarskie, pamiętasz? Nie potrzebujemy pomocnej dłoni Szatana, czyli mojego ojca. Z pomocą Bożą poradzimy sobie sami. — Jakob oparł się na kuli; wyglądało na to, że zamierza odejść.

— Nie rozumiesz, że wkrótce ludzie zaczną mnie szukać? Śmierć Benjamina też nie przejdzie bez echa.

— Każdy, kto zjawi się w Domu Bożym, będzie mile widziany — powiedział Jakob beztrąsko. — Jesteś spragniony? — zmienił nagle temat.

— A jak myślisz? — Ravn przełknął ślinę.

— Przepraszam, że jestem takim kiepskim gospodarzem. — Jakob poklepał się po kieszeni i z uśmiechem wyjął z niej plastikową butelkę. — Zapomniałem, że przecież po to tu przyszedłem.

Odkręcił nakrętkę i przyłożył szyjkę do ust Ravn, który zaczął chciwie pić ciepłą wodę. Potem odsunął nieco butelkę, żeby Ravn musiał wyciągnąć szyję. Plastik wrzynał mu się w skórę i ranił go.

Jakob się roześmiał.

— Jak nieme zwierzę, szczeniaczek.

W końcu zakręcił butelkę i schował ją z powrotem do kieszeni. Spojrzał na Ravn, przeciągnął dłonią po spoconym czole i wytarł palce w koszulę.

— Ciekawe, jaki demon znalazł w tobie schronienie? Demon nienawiści? Pożądania? Zazdrości? Strachu? Zemsty?

Chociaż przed chwilą pił wodę, Ravn poczuł, że znów zaschło mu w gardle. W ustach miał gorzki smak. Pomyślał, że spuchł mu język. Zaczęło drapać go w gardle, zakasłał.

— Demon zaczyna wychodzić. Tylko który z nich? Którego

wysłał Belzebub, żeby tobą zawładnął?

Głos Jakoba dochodził jakby z oddali. Kiedy Ravn uniósł lekko głowę i spojrzał na niego, wydał mu się niezwykle wysoki, szczególnie na tle promieni zachodzącego słońca.

— Co... co mi dałeś?

— Wodę święconą. Wodę święconą, która sprawia, że możesz zobaczyć swojego demona.

— Ty bydlaku. — Ravn usłyszał własny głos, również dochodzący z daleka. Nagle zrozumiał, co się stało. — Trujesz ich wszys...

— Grzyby wskazują im drogę. Niektóre działają silniej, inne słabiej.

— Otrułeś Lise, dlatego targnęła się na swoje życie.

— Ja za to nie odpowiadam. Wypędziliśmy z niej demona. Podziękowała nam za to. Tego, że jej nadwrażliwa dusza pchnie ją do takiego czynu, nikt nie mógł przewidzieć. Taka była wola Boga. Moim zdaniem ukarał grzesznicę.

— Benjaminowi podałeś tę samą truciznę? Dlatego zabrałeś mnie na obchód? Żeby trucizna zaczęła działać?

— Nikogo nie otrułem. Używam wody święconej, żeby pomóc ludziom uwolnić się od demona. Żeby mogli go zobaczyć. Bóg stworzył demony, by ludzie mogli uczyć się na własnych błędach. Tak jest napisane w Piśmie Świętym.

— Dlaczego Benjamin musiał umrzeć? Dlaczego mnie tu przetrzymujesz? Dobrze wiesz, że to się źle skończy.

— Skoro nie umiesz dostrzec całego kontekstu, zadowol się jego wycinkiem. — Jakob nachylił się nad Ravnem, który przerażony odwrócił głowę. Plastikowy rzemyk zacisnął się, znów poczuł, że się dusi. — Mam nadzieję, że przeżyjesz spotkanie ze swoim demonem. Nie wszyscy mają to szczęście, niektórzy członkowie wspólnoty używają teraz ziemię pod nasze uprawy. Demony potrafią być równie silne jak grzyby, które sprawiają, że wychodzą na zewnątrz. Jeśli uda ci się przeżyć, powitamy cię w gronie naszej wspólnoty. Zostaniesz Wybrańcem Boga.

Ravn spuścił wzrok. Spostrzegł, że ma na sobie zniszczony



niebieski kombinezon. Nie był pewien, czy halucynacje już się zaczęły, ale coś mu mówiło, że to dopiero początek czekającego go koszmaru.

Ravn zamknął oczy i starał się odsunąć od siebie strach przed tym, co wydawało się nieuchronne. Próbował się rozluźnić, żeby nie wpaść w panikę. Czuł, że jest rozpalony, ubranie miał wilgotne od potu i nawet kiedy z całej siły zaciskał powieki, miał wrażenie, że przenika przez nie purpurowe światło. Starał się uspokoić oddech. Wdychał powietrze przez nos, a potem powoli wypuszczał.

Mimo że tego nie chciał, jego myśli wciąż krążyły wokół Lise i tego, co zrobiła. Co musiało się wydarzyć, że próbowała popełnić samobójstwo, wypijając żrący płyn? Pomyślał o Benjaminie i kombajnie, o krwawej chmurze w świetle reflektorów. W takim samym kolorze, jaki miał teraz przed oczami. Dosyć! Nie wolno mu tak myśleć. Nie wolno mu myśleć o odłamku szkła, który przyniósł Kevin i który leżał teraz obok jego stopy. Nie wolno mu myśleć, że mógłby za jego pomocą zrobić sobie krzywdę. Próbował się uspokoić, przekonując sam siebie, że cokolwiek Jakob mu podał, on przeżyje. W pewnym sensie był to po prostu rodzaj upojenia, nawet jeśli pojawią się halucynacje, będzie musiał skupić się na tym, że wszystko jest jedynie ułudą.

*Otwórz oczy.* Nie wiedział, skąd pochodził głos, może była to jego myśl wypowiedziana na głos? *Otwórz oczy, żeby widzieć, co się stanie.* Posłuchał, zamrugał powiekami. Był w szklarni sam, przez brudne okna przenikały pojedyncze promienie słońca. Światło migotało, trudno mu się było skupić. Ściany i sufit szklarni zdawały się poruszać w rytm jego oddechów, do wewnątrz, a potem na zewnątrz. Wstrzymał oddech, ściany znieruchomiały, ale gdy tylko nabierał powietrza, znów zaczynały się ruszać, na dodatek bez przerwy zmieniały rozmiary i kolory.

Po chwili zaczął też słyszeć głosy. Ich obecność go przeraziła. Zamknął oczy, ale miał wrażenie, że widzi przez powieki. *Dołącz. Dołącz. Dołącz.* Dołącz, wybijało się z gwaru. Na zewnątrz z ogromną prędkością gnały chmury. Światło dzienne zamieniło się w mrok, mrok zamienił się w światło poranka. Wydawało mu się, jakby czas pędził naprzód. Tygodnie znikwały w mgnieniu oka, miesiące, a nawet lata przelatywały obok. Miał wrażenie, że czas wciąż przyspiesza. Nagle stanęła przed nim Eva. Wtedy dotarło do niego, że tak naprawdę czas się cofał. Do tego ranka sprzed trzech lat, kiedy pożegnał się z nią, nie mając świadomości, że robi to po raz ostatni. Ich ostatni kontakt był poranną rutyną. Szybka kawa, kanapka z serem zjedzona w biegu, krótka wymiana spojrzeń, pocałunek w przelocie, bo oboje byli już skupieni na zadaniach, które ich czekały. Kiedy teraz ją zobaczył, rozpłakał się. Spostrzegł plamy krwi na jej koszuli i chociaż stała przodem do niego, wiedział, że ma zmiążdżony tył czaszki. Bo przed nim stała martwa Eva. Ta, którą przez ostatnie lata tyle razy próbował przywrócić do życia. Chciał jej dotknąć, ale plastikowe paski, którymi związane mu ręce, uniemożliwiały jakikolwiek ruch. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Mógł tylko płakać. Natomiast słyszał jej głos, mimo że jej usta się nie poruszały. Pytała, czy zapomniał o niej. Podobno to najgorsze, co może się przytrafić zmarłemu. Podobno tam, po drugiej stronie, jest specjalne miejsce dla zapomnianych zmarłych. Miejsce, w którym nie ma żadnych słów, nie ma płaczu ani chłodu, jest tylko samotność. Próbował jej wytłumaczyć, że nie zapomniał o niej, że nigdy o niej nie zapomni. Nie uwierzyła mu, ale powiedziała, że rozumie, że jest mu trudno. Przekonywał ją, że zawsze będzie ją kochać, że nigdy o niej nie zapomni.

*Obiecałeś znaleźć tego, kto mnie zabił.* — Próbowałem, Evo, naprawdę. Musisz mi uwierzyć, że tak było, ale nie potrafiłem...

— *Obiecałeś się mną opiekować.*

— Wiem.

Obraz Evy zaczął się rozmywać, a on nie mógł nic zrobić. Było mu wstyd. Zaczął płakać. Płakał dłuższą chwilę, w końcu

jednak podniósł wzrok i zaczął rozglądać się po szklarni. Wszystko dookoła wydawało mu się takie jak wcześniej, dziwne dźwięki ucichły, stał oparty o słup przed skrzynkami z grzybami. Miał wolne ręce — potarł nadgarstki, na których plastikowe opaski zostawiły ślady. Spojrzał na odłamek szkła, podniósł go. *Uwolnij się*, odezwał się głos w jego głowie. *Uwolnij się*. Wydawało się to proste. Jedyne rozwiązanie. Logiczne i jasne. Pokręcił głową, dziwiąc się własnej głupocie, i przeciągnął odłamkiem po tętnicy na ręce, a potem przez klatkę piersiową. Poczuł, jak z otwartych ran zaczyna sączyć się krew niczym ciepłe mleko. Jakby zanurzył się we własnej krwi. Wolny od przeszłości, pokutujący za grzechy. Był wolny, nareszcie był wolny.

Krzyknął spanikowany i otworzył oczy. Serce mu waliło, z trudem oddychał. Spuścił wzrok, żeby spojrzeć na swoje ciało. Plastikowa opaska ograniczała mu ruchy, ale był w stanie zobaczyć swoją klatkę piersiową. Żadnej krwi, żadnych cięć, żadnych omamów, chociaż obrazy, które przed chwilą oglądał, wydawały się jak najbardziej realne. Na ziemi obok jego nogi były ślady wymiocin. Zapach żółci wciąż był bardzo intensywny. Miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje, czuł pieczenie w żołądku i w klatce piersiowej. Doszedł do wniosku, że o ile psychiczne objawy zatrucia najwyraźniej ustąpiły, o tyle skutki fizyczne dopiero się zaczęły.

W tym momencie z dworu dobiegł warkot silnika, jakiś samochód zbliżał się do szklarni. Ravn usłyszał, jak zatrzymuje się na żwirowej alejce, trzasnęły drzwi. Pomyślał, że szklarnia musi znajdować się niedaleko głównego budynku i placu, na którym dzień wcześniej zostawił swój samochód. Możliwe, że przyjechał Jakob Mesmer albo inny członek wspólnoty, ale równie dobrze mógł to być ktoś z zewnątrz. Rozejrzał się za odłamkiem szkła, który Kevin upuścił tuż obok jego prawej stopy. Z trudem udało mu się zgiąć skrępowane nogi i skrócić je tak, żeby piętą pchnąć odłamek. Szkło przesunęło się w stronę jego rąk, ale nie na tyle, żeby mógł do niego dosięgnąć. Odwrócił się, poczuł, że plastik wrzyna mu się w skórę szyi, ale był tak zdeterminowany, że postanowił nie zwracać na to uwagi. Udało mu się przesunąć odłamek nieco dalej, a kiedy pasek na szyi pękł, mógł wykonać ruch ciałem i czubkami palców dosięgnąć odłamka. Ostrożnie przesunął go bliżej i zaczął pocierać nim plastikową opaskę, która krępowała mu dłonie. W końcu rozległ się trzask, plastik pękł. Spojrzał na swoje zakrwawione ręce i przypomniał sobie koszmar

sprzed chwili. Szybko przeciął plastik wokół nóg.

Miał trudności z utrzymaniem się na nogach. Zakręciło mu się w głowie, oparł się o słup. Spojrzał na środkową alejkę szklarni, przez otwarte drzwi widać było dziedziniec. Między drzewami zauważył ciemny samochód terenowy z napędem na cztery koła i napisem „Policja” na boku. Policjanta nie było widać.

Zaczął kasłać. Brzuch bolał go coraz bardziej, splunął — w ślinie była krew. Jej widok go zaniepokoił. Słyszał, że trujące grzyby mogą niszczyć narządy wewnętrzne. Zdarzały się przypadki, kiedy lekarze byli bezradni. Funkcje życiowe powoli ustawały i człowiek umierał w koszmarnych męczarniach. Jeśli nie chciał skończyć jako nawóz dla pieczarek Jakoba, musiał zrobić wszystko, żeby wydostać się na zewnątrz i odnaleźć policjanta. Zanim będzie za późno.

Pokuśtykał do wyjścia, mijając po drodze grządki z grzybami. Kiedy był już niemal przy drzwiach, usłyszał głosy dochodzące z dziedzińca. Podniecony przyspieszył, potknął się na progu i upadł na mokrą trawę przed szklarnią. Próbował się podnieść, ale nogi nie chciały go słuchać. Leżąc na ziemi, patrzył na miejscowego policjanta, który stał na placu razem z Samuelem, Jakobem Mesmerem i kilkoma strażnikami. Zobaczył, jak Jakob kręci głową i bezradnie rozkłada ręce. Ravn podniósł się powoli i zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę najbliższych drzew. Musiał dotrzeć na dziedziniec, zanim policjant odjedzie. Chwycił się pnia i próbował przywołać policjanta, ale z jego krtani wydobył się jedynie słaby jęk. Widział, jak policjant szykuje się do odjazdu. Dokuśtykał do następnego drzewa, jeszcze dwadzieścia metrów i będzie na dziedzińcu. Zobaczył, jak policjant podchodzi do volva Victorii, które nadal stało między dwoma czarnymi audi przed głównym budynkiem. Wskazał na nie i spytał o coś Jacoba. Ravn był za daleko, żeby słyszeć, co Jakob mu odpowiedział. Znów zrobił kilka kroków, był coraz bliżej. Nagle zobaczył, że policjant wraca do Mesmera.

— Nie wierzę ci — usłyszał, jak mówi. Potem padły słowa

o przeszukaniu domu i o mężczyźnie, który w nocy zginął na polu.

— Wierz, w co chcesz, wierz, komu chcesz. Najważniejsze, żebyś zachował wiarę.

— Ratunku — jęknął Ravn, próbując zwrócić na siebie uwagę policjanta, ale jego słowa zagłuszył huk, który w tym momencie rozległ się na dziedzińcu. Wszyscy odwrócili się w stronę schodów prowadzących do głównego budynku. Na podeście stał Patrick i celował w policjanta z myśliwskiej dwururki. Nagle skierował broń nieco w bok i posłał salwę w stronę przedniej szyby policyjnej terenówki. Szyba eksplodowała.

Przerażony policjant zaczął biec w stronę wozu.

Jakob Mesmer uniósł rękę, w której trzymał kulę.

— Czujesz, że zbliża się dzień Sądu Ostatecznego? Ty grzeszniku, bluźnierco, czcicielu diabła? — krzyczał za policjantem.

Patrick naładował broń i posłał kolejną salwę, tym razem celował w jedno z przednich kół wozu. Policjant rzucił się na siedzenie kierowcy, schylił się i próbował schronić się za kierownicą.

Samuel chwycił Jakoba za rękę.

— Przerwij to szaleństwo, Jakobie. Proszę — błagał.

Jakob pchnął go tak mocno, że Samuel się przewrócił.

— W piekle jest dość miejsca dla niedowiarków! — zawołał Jakob. Wskazał ręką na samochód, który przerażony policjant próbował uruchomić. — Zniknij, pomioście Szatana! Pożegnaj go salwą, która pokaże mu siłę Pana — zwrócił się do Patricka.

Rozległy się strzały, kule przebiły chłodnicę, nad pokrywą silnika pokazała się para. Policjantowi udało się uruchomić silnik, dodał gazu i z zawrotną prędkością ruszył zwirową aleją w stronę bramy. Po chwili rozległ się huk, terenówka uderzyła w bramę, która się otworzyła.

Ravn upadł wykończony na dziedziniec. Dotknął twarzą zimnego, twardego żwiru. Gdzieś z oddali dobiegł pisk opon.

— Dobrze się spisałeś, Patricku. Uprzedzałem, że pomocnicy

Szatana będą nas nękać. — Jakob spojrział na zgromadzonych wokół ludzi. — Teraz już nie mamy odwrotu — stwierdził. — Jesteśmy w stanie wojny.

Krótko ostrzyżeni strażnicy pokiwali głowami, Patrick ponownie załadował broń. Nagle Ravn poczuł ukłucie w bok, ktoś próbował go zmusić, żeby odwrócił się na plecy. Zobaczył Jakoba Memsera, który stał nad nim i dźgał go kulą.

— Żyjesz, wysłanniku demona? Twardy jesteś. — Otarł spocone czoło i strzepał z palców krople potu, trafiły Ravną w twarz. — No, cóż, tak czy inaczej, wkrótce trafisz do piekła.

W tym momencie Ravn uświadomił sobie skalę szaleńczego planu Jakoba.



Patrick naciągnął oba kurki strzelby i skierował lufę w stronę Ravna. Wystarczyło, żeby pociągnął za spust, a jego głowa rozleciałaby się na kawałki, zresztą pewnie nie tylko głowa.

— Daj rozkaz, Mistrzu — Patrick zwrócił się do Jakoba, który stał obok niego.

— Mistrzu, tak nie można — usłyszeli nagle głos Samuela. — Nie możesz go tak po prostu zabić. To wbrew temu, w co wierzymy.

— Oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę, rana za ranę... Nie pamiętasz? Druga Księga Mojżeszowa.

— Ale ten człowiek nic nie zrobił, był jedynie posłańcem. Jakob spojrział na Ravna.

— Nie podoba mi się. Ale oszczędź prochu, synu — powiedział i położył dłoń na ramieniu Patricka. — Grzybki Pana Boga zrobią swoje. Spójrz, jak się trzęsie...

Patrick opuścił broń i się uśmiechnął.

— Może rzucimy go w gnojówkę, niech zdycha w gównie. Jakob pokręcił głową.

— Nie, weźmy go ze sobą.

Patrick razem z jednym ze strażników chwycili Ravna pod ramiona i próbowali postawić go na nogi. Ravn miał wrażenie, że żołądek zaraz eksploduje mu z bólu. Upadłby, gdyby mężczyźni go nie podtrzymali. Pociągnęli go w stronę głównych drzwi. Jakob Mesmer z paroma innymi osobami wchodzili właśnie do środka. Kiedy Ravn w końcu znalazł się wewnątrz, był jeszcze na tyle przytomny, że zaczął się rozglądać. Widok go zadziwił. Trwały prace remontowe, wszystkie ścianki działowe zostały rozebrane, podobnie jak strop między parterem a pierwszym piętrzem. Powstało jedno bardzo duże pomieszczenie. Ściany były nagie,

miał wrażenie, że nagle znalazł się na scenie. Mężczyźni pociągnęli go na drugi koniec sali, posadzili przy filarze i związali mu ręce. Oparł się o zimną stal i zaczerpnął powietrza. Miał wrażenie, że zaraz straci przytomność, wiedział, że musi zrobić wszystko, żeby nie zasnąć. Wielka sala tańczyła mu przed oczami, nie mógł się skupić. Jak przez sen widział, jak Jakob Mesmer w towarzystwie kilku osób stoi i wpatruje się w monitory ustawione jeden obok drugiego na długim stole na środku sali. Niewyraźne obrazy przedstawiały ziarniste ujęcia z kamer monitoringu. Z niewielkiego głośnika dochodził głos Jakoba Mesmera przy akompaniamencie organów. „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego... Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego...”

— Poruszają się jakby po omacku — powiedział Jakob i potarł brodę. — Kilka strzałów i już nie wiedzą, co robić. Ciekawe.

— To zrozumiałe, że są przerażeni — odezwał się Samuel. W jego głosie słychać było niepokój. — Musisz ich uspokoić, nie możemy dopuścić, żeby to szaleństwo się rozwinęło.

— Nie możemy ustąpić Szatanowi. To on nas zaatakował, nie na odwrót.

— Policjant chciał się tylko dowiedzieć, czy Benjamin należał do naszej wspólnoty. To wszystko. Po co ta agresja, Jakobie? Nie takie mieliśmy plany, kiedy się tu przenosiliśmy.

— Zapominasz, że to ja stworzyłem Wybrańców Boga. Ty dołączyłeś później.

— Bynajmniej tego nie zapomniałem, Mistrzu.

— Od pierwszego dnia szykujemy się do obrony przed Szatanem.

— Chwaląc Pana, modląc się i śpiewając.

— Powinniśmy korzystać ze wszystkich środków, jakie Pan nam udostępnia. Nie wolno ci wątpić, Samuelu. Tym bardziej teraz, kiedy udało nam się przegonić demony i kiedy znów możemy żyć w spokoju zgodnie ze Słowem Bożym. Nie wolno ci wątpić — powtórzył i spojrział na niego poważnie.

Samuel spuścił wzrok.

— Nie wątpię w słowa Pana, tylko nie rozumiem tego dążenia do konfrontacji. — Rzucił Patrickowi zdenerwowane spojrzenie. — Nie tego nauczamy. Wręcz przeciwnie.

— Postępuje tak, bo chce wywołać chaos — wszedł mu w słowo Ravn schrypniętym głosem.

Zebrani ludzie odwrócili się i spojrzeli na niego.

— Pograżacie się coraz bardziej — ciągnął Ravn. — Policja tu wróci, to tylko kwestia czasu.

— A więc powitamy demony, prawda, Patricku?

Patrick skinął głową.

— Tak, Mistrzu, niech tylko się tu zjawią. Wysłannicy Szatana. Damy sobie z nimi radę. Już tego przecież dowiedliśmy.

Jakob uśmiechnął się serdecznie.

— Tak, wiem, mój dzielny synu. Jesteście moimi krzyżowcami, naszą armią aniołów. Naszymi prawdziwymi obrońcami.

— Samuelu, powstrzymaj ich, zanim zginą niewinni ludzie — powiedział Ravn. Brzuch bolał go coraz bardziej, znów zaczął pluć krwią.

Åse zrobiła znak krzyża.

— Demon próbuje zatruć ci umysł swoim paskudnym językiem — zwróciła się do Samuela.

— Nie słuchaj go — poparła ją Birgitte.

Samuel nie odpowiedział, stał nieruchomo i wpatrywał się w Ravna.

Jakob odwrócił się i położył rękę na ramieniu Samuela.

— Drogi przyjacielu. Wszyscy wiemy, dokąd to prowadzi. Wielokrotnie o tym rozmawialiśmy, przygotowywaliśmy się na to, co nieuniknione, więc nie ma powodu, żebyśmy teraz się wycofywali. Musimy pozostać silni w wierze.

— Nie ty, Jakobie... Mistrzu, będziesz decydował, co ma się stać ze wspólnotą. I nie my, zebrani tutaj. To wspólnota powinna dokonać wyboru. Zwołaj wszystkich i wytłumacz ludziom sytuację. Pomóż im, wesprzyj ich, Mistrzu. Pozwól, by dokonali

wyboru.

— Oczywiście — Jakob objął Samuela i zwrócił się do Birgitte: — Wezwiesz wszystkich, siostró?

Birgitte skłoniła się i odwróciła twarzą do monitorów. Wyłączyła odtwarzacz, wyjęła kasetę i sięgnęła na półkę po inną, którą następnie włożyła do odtwarzacza. Z głośnika na stole rozległo się bicie dzwonów; po chwili płynęło już ze wszystkich głośników na zewnątrz.

— Patricku, synu. Zadbasz razem ze swoimi niebiańskimi wojownikami o to, by w naszej wspólnocie zapanował spokój, a gdyby zaszła taka potrzeba, obronicie nas przed demonami z zewnątrz? — spytał i uśmiechnął się łagodnie, jakby prosił o pozmywanie naczyń.

— Oczywiście, Mistrzu.

— Niech Bóg cię błogosławi. Przygotujcie się.

Ravn patrzył za Patrickiem i jego ludźmi, którzy otworzyli właz i zniknęli pod podłogą. Po kilku minutach wyszli, niosąc ciężkie skrzynie, pełne amunicji, na piersiach mieli zawieszony karabiny. Ravn rozpoznał je bez trudu. M95. Standardowa broń obrony cywilnej, zapewne skradziona z jakiegoś magazynu. Zapasy wystarczyłyby do rozpętania wojny domowej. Ravn nie miał żadnych wątpliwości, że zarówno Patrick, jak i jego ludzie są odpowiednio przeszkoleni i wystarczająco cyniczni, żeby zrobić z niej użytek. Dlatego obawiał się najgorszego. Gdyby doszło do wymiany ognia między ludźmi Patricka a siłami policji, nie oszczędzono by nikogo, nawet kobiet i dzieci. Byłaby to istna rzeź.

Mamroczące głosy wielu ludzi wyrwały Ravna z drzemki. Czuł ogromne pragnienie, ale kiedy próbował przełknąć ślinę, poczuł, że coś kaleczy mu gardło. Jego stan się pogarszał, ból promieniował do wszystkich członków, miał wrażenie, że traci w nich czucie. Zaczęła ogarniać go apatia, jakby trucizna zobojętniła go na to, co działo się wokół. Jakby już pogodził się z nieuniknionym.

Spojrzał na zebranych członków wspólnoty. Ich uwaga była skupiona na Jakobie Mesmerze, który znajdował się na końcu ogromnej sali. Wokół stali strażnicy. Dowodzeni przez Patricka niebiańscy wojownicy, jak określił ich Jakob. Ravn miał wrażenie, że słyszy huk śmigłowców, ale nie potrafił powiedzieć, czy były to omamy, czy też rzeczywiście policja okrążyła siedzibę wspólnoty. Pośrodku grupy ludzi ubranych w niebieskie kombinezony stał Kevin. Trzymał za rękę dość młodą, wychudzoną kobietę i wpatrywał się w Ravna. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, twarz chłopca się rozpromieniła. Energicznie pomachał mu ręką.

— Kruk... Tam jest kruk — powiedział głośno.

Ravn pokiwał głową i mimo bólu próbował uśmiechnąć się do chłopca. Kobieta, zapewne matka, pociągnęła go mocno za rękę i powiedziała, że nie wolno mu dawać znaków demonowi. Kevin posłuchał i z pewnym oporem odwrócił głowę.

Wśród członków wspólnoty Ravn dostrzegł kolejne dzieci, było ich ośmioro, może dziesięcioro. Niektóre młodsze od Kevina, niektóre w jego wieku. Jedne miały na sobie szare mundurki, inne — brudne niebieskie kombinezony. Wszystkie, z wyjątkiem Kevina, były wyraźnie przejęte i świadome powagi sytuacji.

— Wysłannik demona... — zaczął Jakob Mesmer i wskazał

ręką na Ravna.

Wielu członków wspólnoty odwróciło głowy. Sądząc po ich twarzach, nie bali się go. Albo wyglądał tak kiepsko, że przestał wzbudzać strach, albo ludzie mieli poważniejsze problemy.

— Przybył tu, by wypowiedzieć nam wojnę w imieniu Szatana, mojego ziemskiego ojca. Patrzcie, ile z nim przybyło demonów. Są teraz wśród nas — powiedział Jakob, wskazując żółtą kopertą na stojących przed nim ludzi. — Sami wiecie, gdzie ich szukać. Wśród wyrzutków społeczeństwa, którzy odrzucają słowa Pańskie, by przyjąć Szatana.

W tłumie rozległy się zaniepokojone szepty.

— Te tablice są pełne kłamstw — ciągnął Jakob, kładąc dłoń na żółtej kopercie. — Te kłamliwe pisma mają zniszczyć naszą kochaną wspólnotę. Oddalić nas od siebie i od naszego niebiańskiego Ojca. Bardzo mi przykro, że sprawy zaszły tak daleko.

— Mistrzu? — odezwał się jeden ze starszych mężczyzn z pierwszego rzędu. — Nie możemy spróbować bronić się przed tymi kłamstwami? Wcześniej tak robiliśmy.

Stojący wokół niego ludzie kiwali głowami, pokazując, że go popierają.

— To nie ma sensu — powiedział Jakob i spojrzał na niego zasmucony. — Chciałbym powiedzieć, że to nie on za tym stoi, ale to byłaby nieprawda. Te kłamstwa nas zniszczą. Wdaliłybyśmy się w długotrwały, wyczerpujący proces. W końcu przyznano by nam rację, ale zwycięstwo przyszłoby za późno. Szatan i tak by wygrał.

W tłumie rozległ się szloch.

— O jakie kłamstwa chodzi, Mistrzu? Możesz przeczytać nam te pisma?

— Nie mogę i nie chcę — odpowiedział Jakob Mesmer, patrząc na zebranych ludzi ponurym wzrokiem. — Zniszczyłyby wasze dusze, opętały wasze umysły. Sam jedynie z pomocą Pana przebrnąłem przez kilka pierwszych stron tych diabolicznych kłamstw.

— Nie możemy zwalczać ich dobrocią? Głosząc Słowo Boże? — spytała kobieta, która trzymała za rękę Kevina.

Wszyscy spojrzeli na nią. Najwyraźniej poczuła się skrępowana, spuściła wzrok.

— Jest wśród nas dzielna dusza — powiedział Jakob i rozłożył ręce w ojcowskim geście. — Bądź błogosławiona, siostró. Przykro mi, ale to niemożliwe. Nie teraz, kiedy słudzy Szatana stoją pod naszymi murami, okrążyli nas i w każdej chwili mogą nas zaatakować. Po raz kolejny Zło pokazało swą moc — powiedział łamiącym się głosem. Ukrył twarz w dłoniach, próbował się pozbierać. — Przykro mi, że sprawy zaszły tak daleko. Przepraszam za błędy, które popełniłem. Za to, że naraziłem was wszystkich na...

— Nie płaczcie, Mistrzu — przerwał mu ten sam starszy mężczyzna, który rozpoczął dyskusję. — To nie twoja wina, Mistrzu. Jesteśmy ci wdzięczni za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

— Amen — rozległo się tu i tam w tłumie. — Amen.

Ravn spojrział na Jakoba, który otarł łzy i uśmiechnął się z wdzięcznością do członków wspólnoty. Dla Ravna nadal nie było jasne, dlaczego Jakob nie przyjął propozycji ojca. Nie potrafił powiedzieć, jaka suma wchodziła w grę, ale podejrzewał, że była na tyle duża, że umożliwiłaby Jakobowi dalsze władanie swoim królestwem. Dlaczego był gotów je poświęcić? Dlaczego okłamywał ludzi, wykorzystując umowę do niepotrzebnego jątrzenia? Jediną rzeczą, jaka przychodziła mu do głowy, było to, że Mesmer za wszelką cenę pragnął zostać męczennikiem, nawet za cenę życia innych ludzi.

— Mistrzu, wszyscy jesteśmy z Tobą — zapewnił Samuel, który stał obok Jakoba. — Ale czy naprawdę nie ma innego rozwiązania? Może po prostu się poddajmy? Potem pomodlimy się za nasze grzechy. Wiary nikt nam nie odbierze.

— Mielibyśmy ulec Szatanowi? — krzyknął Jakob, opluwając się. — Mielibyśmy zawieść Boga? To proponujesz, Samuelu? To słowa Judasza.

Samuel się skulił.

— Więc ucieknijmy, tak jak zrobili Izraelici. — Samuel spojrział na tłum, jakby szukał wsparcia wśród zebranych na sali ludzi. — Może gdzie się ukryjemy? Może pojedziemy do naszych braci i siostr w Niemczech?

Wśród ludzi zapanowało poruszenie, po czym wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Każdy przedstawiał swoją propozycję rozwiązania problemu. Jedni chcieli wyjechać do północnej Szwecji i zaszyć się w tamtejszych lasach, drudzy wracali do pomysłu zakupu małej wyspy gdzieś w Norwegii, jeszcze inni chcieli szukać schronienia w bardziej ortodoksyjnych wspólnotach na Wschodzie. W końcu Jakob Mesmer przerwał rozmowy, uderzając z całej siły kulą w podłogę.

— Bracia i siostry, opamiętajcie się. Wiem, że beznadziejna sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, prowadzi do różnych desperackich pomysłów. Nie zapominajcie jednak, że jesteśmy oblężeni. Nie możemy stąd uciec. A nawet gdybyśmy mogli, to dokąd byśmy się udali? Nie mamy środków, żadnych pieniędzy. Kłamstwa tych, którzy nam źle życzą, zrujnowały nas. Rozejrzyjcie się dookoła! — Pokazał kulą na puste pomieszczenie. — To miał być dom Pana, wzniesiony na jego chwałę. Nawet to nam zabrali.

— Więc co zrobimy, Mistrzu? — spytał łamiącym się głosem starszy mężczyzna z pierwszego rzędu.

— Obejmijmy Boga. Wiecie przecież, że droga do raju nie wiedzie przez dobra materialne i złoto. Oddajcie cesarzowi to, co cesarskie.

— Amen!

— Podążycie za mną do raju?

— Amen — rozległo się ponownie.

— Co Mistrz ma na myśli? — spytał cicho Samuel.

Jakob odwrócił się w jego stronę.

— Czyż nie wyraziłem się dostatecznie jasno? Jest więcej rajów? — roześmiał się głucho.

Członkowie wspólnoty też się roześmieli, tyle że nerwowo.

— Przyjaciele, długo przygotowywaliśmy się do tego dnia.



Obiecuję, że droga do raju będzie spokojna. Podążmy teraz wszyscy razem do świątyni, gdzie Åse i Birgitte już wszystko przygotowały. Będziemy tam śpiewać Panu, podczas gdy...

W tym momencie rozległ się huk śmigłowca, który najwyraźniej rzeczywiście nad nimi krążył. Jakob wziął do ręki walkie-talkie i powiedział coś do słuchawki. Po chwili usłyszeli strzały, ludzie się wzdrygnęli.

— Spokojnie, dzieci, spokojnie — odezwał się Jakob Mesmer. — Wszystko jest pod kontrolą.

Śmigłowiec zamilkł, Jakob otrzymał kolejne wezwanie przez walkie-talkie. Wysłuchał informacji i uśmiechnął się.

— Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nasi niebiańscy wojownicy właśnie przegonili fruujące demony. Możemy teraz spokojnie iść w stronę świątyni — powiedział i dał ludziom znak ręką, żeby poszli za nim. Zaintonował psalm i ruszył przed siebie.

Uzbrojeni strażnicy zaczęli pospieszać ludzi, którzy szli, śpiewając: „Łaska Pana wspiera nas i daje nam nadzieję...”.

Po chwili Ravn został sam w dużym, pustym budynku. Zerknął na stół, na którym w jednym rzędzie stało trzydzieści monitorów. Na jednym z nich zobaczył, jak członkowie wspólnoty, kierowani przez Jakoba Mesmera, podążają zwirową ścieżką w stronę niskiego aneksu. Na innych monitorach widać było strażników rozmieszczonych wzdłuż ogrodzenia i zniszczonej bramy wjazdowej. Przy szosie stały radiowozy, blokowały drogę.

Ravn pociągnął za plastikową opaskę wokół nadgarstków, ale nie miał siły jej zdjąć.

Ravn obudził się, kiedy poczuł na wargach chłodną wodę. Zaczął chciwie pić. Ktoś polewał go wodą, kapiała mu na twarz, oślepiała go. Zobaczył niewyraźną postać. Ktoś pochylał się nad nim. Przestał pić, opuścił głowę i z trudem łapał powietrze.

— Już po ataku? — spytał schrypniętym głosem. — Dużo ludzi zginęło?

Postać nie odezwała się, uniósł głowę. Przed nim stał Kevin, miał łzy w oczach. Trząsł się ze strachu, ręka, w której trzymał butelkę z wodą, drżała.

— Nie chcę... spotkać Je... Jezusa...

Ravn nie zrozumiał, o co mu chodzi, pokręcił głową.

— Możesz dać mi jeszcze trochę wody? — poprosił.

Kevin ponownie uniósł butelkę i ostrożnie zaczął lać wodę do otwartych ust Ravna. Tym razem poszło mu lepiej. Ravn wypił wodę, spojrzał na Kevina i podziękował mu. Odwrócił głowę i popatrzył na monitory na stole. Strażnicy nadal stali przy bramie. Odniósł wrażenie, że nic się nie zmieniło.

— Przepraszam, że wcześniej cię... nie uwolniłem — odezwał się Kevin.

— W porządku. Myślisz, że uda ci się znaleźć coś, czym będziemy mogli przeciąć ten plastik? — wskazał głową na swoje unieruchomione ręce.

Kevin pokiwał głową.

— Bałem się, dlatego ci nie pomogłem. Kiedy ktoś się boi, nie potrafi pomóc.

— Doskonale to rozumiem i cieszę się, że wróciłeś. Możesz sprawdzić, czy na stole obok monitorów nie ma czegoś, co mogłoby nam się przydać?

— Dobrze — powiedział Kevin. Rzucił plastikową butelkę

na podłogę, podszedł do stołu i zaczął się rozglądać. — Nic tu nie ma, Kruku. Ale może to ci się przyda? — sięgnął do kieszeni kombinezonu i wyjął z niej zardzewiały gwóźdź. Pokazał go Ravnowi. — Trudno nim coś przeciąć, ale można nim zrobić dziurę.

— Świetnie — pochwalił go Ravn. — Zaraz pokażę ci, co zrobimy.

Kevin podszedł bliżej i ukucnął obok Ravna.

— Umieść gwóźdź między moimi dłońmi a kawałkiem plastiku i z całej siły spróbuj nim kręcić.

Kevin zrobił, co Ravn mu kazał, i zaczął obracać gwóźdź. Opaska zacisnęła się jeszcze bardziej, plastik zaczął wrzynać się Ravnowi w skórę.

— Nie boli cię to? — spytał Kevin i spojrzał na niego zaintrygowany.

— Odrobinę — jęknął Ravn, zagryzając zęby z bólu. W następnej chwili plastik pękł i Ravn mógł oswobodzić rękę.

— Dziękuję, Kevin, świetnie się spisałeś — powiedział, rozcierając zdrętwiałe nadgarstki.

Kevin uśmiechnął się.

— Możemy teraz iść po mamę?

Ravn oparł się o filar i spróbował się podnieść. Czuł silne skurcze żołądka i nagle zwymiotował wodą, którą przed chwilą wypił. Odwrócił głowę i otarł usta.

Kevin spojrzał na niego i zmarszczył nos.

— Nie czujesz się dobrze, prawda?

— Nie najlepiej. Masz jeszcze trochę wody?

Kevin pokręcił głową.

— Możemy iść po mamę? — spytał ponownie.

— A gdzie ona jest?

— W świątyni, razem z innymi.

— To nie będzie łatwe — powiedział Ravn i rozejrzał się dookoła. — Wiesz, czy jest tu gdzieś jakiś telefon?

Kevin znów pokręcił głową.

— Tu nie wolno mieć telefonów. Tylko Mistrz ma komórkę,

ale on jest w świątyni. I jeszcze żoł... żoł... żołnierze. Niektórzy z nich też mają komórki. Do kogo chcesz zadzwonić? Do swojej mamy?

— Na policję. Musimy ich zawiadomić, żeby przyszli i pomogli nam stąd wyjść.

— Musimy zabrać mamę.

— Oczywiście. Policja się nią zajmie.

Ravn spojrzał na otwarty właz w podłodze. Chwycił Kevina za rękę i próbował się na nim oprzeć. Wąty chłopiec ugiął się pod jego ciężarem, ale powoli udało im się dotrzeć do włazu. Ravn usiadł obok stromych schodów i spojrzał w dół. Pojedyncza żarówka słabo oświetlała piwniczne pomieszczenie.

— Zaczekaj tu — rzucił Ravn do Kevina i zaczął schodzić po wąskich schodkach.

— Ale wrócisz, Kruku, prawda?

— Tak, tak, na pewno. Czekać na mnie — odpowiedział Ravn.

Dotknął stopami podłogi, odwrócił się i zaczął się rozglądać po długiej, niskiej piwnicy. Wnętrze przypominało podziemny barak wojskowy. W długim rzędzie stały rozłożone łóżka polowe, obok nich — zamknięte na kluczyk metalowe szafki. Zaczął iść wąskim przejściem, opierając się o nie. Sądząc po liczbie łóżek, pomieszczenie było przeznaczone nie tylko dla żołnierzy Patricka, ale też dla części członków wspólnoty. Kiedy Ravn dotarł do końca pomieszczenia, zobaczył, że piwnica się rozgałęzia. Jeden korytarz prowadził w stronę toalet i łazienki, drugi kończył się kuchnią, która, sądząc po długich stołach, funkcjonowała też jako jadalnia. Zaczął przeciskać się między stołami do zlewu, sięgnął po kubek i napełnił go wodą.

— Kruku! — dobiegł go z góry głos Kevina.

Ostrożnie wypił mały łyk wody, żeby nie zwymiotować.

— Kruku!

Odstawił kubek i szybko przejrzał zawartość górnych szuflad szafki kuchennej. Wiedział, że musi jak najszybciej wrócić do chłopca, zanim ten zwróci na siebie uwagę żołnierzy. Wśród

narzędzi znalazł nóż kuchenny średniej wielkości, wziął go ze sobą. Miał nadzieję, że znajdzie gdzieś broń, ale uznał, że lepszy nóż niż nic. Z drugiej strony wątpił, czy w tym stanie dałby radę pokonać kogokolwiek, nawet najsłabszego członka wspólnoty.

— Myślałem, że sobie poszedłeś, Kruku — powitał go Kevin, kiedy wyszedł z piwnicy.

Chłopiec miał oczy mokre od łez, Ravn pogładził go po szorstkich włosach.

— Obiecałem, że wrócę.

— Mogę iść po mamę?

— Jak się tu dostałeś?

Kevin wskazał na otwarte okno, wychodzące na niewielki ogródek między głównym budynkiem a halą produkcyjną.

— Przez nie — odpowiedział.

— Chodźmy stąd.

Ravn poczuł się na tyle dobrze, że przeszedł do okna o własnych siłach. Wychylił się przez nie, próbując dostrzec coś w ciemnościach. Usłyszał nad sobą szum śmigłowca, poza tym w opustoszałym ogródku panowała cisza.

— Musimy być bardzo ostrożni — wyszeptał do Kevina. Pomógł chłopcu wyjść przez okno, a po chwili podążył za nim.

— Nikt nie może nas zobaczyć — powiedział cicho, powstrzymując Kevina, który wyrywał się do przodu.

— Będę bardzo cicho — zapewnił go szeptem chłopiec.

— Wiesz, gdzie są rozlokowani żołnierze?

— Rozlokowani?

— Gdzie stoją?

Kevin pokiwał głową i się uśmiechnął.

— Są wszędzie.

— Przy kompoście też? Może uda nam się wyjść tamtędy?

— Tam też są, Kruku. Ukrywają się w nim.

— Jesteś pewien?

— Na tysiąc procent. Kiedyś rzucali we mnie kamieniami, kiedy tamtędy przechodziłem. Pójdziemy po mamę? Myślę, że ona też nie chce się spotkać z Jezusem.

Skurcze żołądka wróciły, Ravnowi zrobiło się czarno przed oczami. Ścisnął dłoń Kevina, aż chłopiec jęknął i cofnął rękę. Z daleka dobiegły trzaski policyjnego megafonu. Dowódca jednostki apelował do członków wspólnoty o kontakt i nieeskalowanie konfliktu. Jeśli ktoś potrzebuje pomocy, ma iść w kierunku bramy. Podał też numer komórki, pod który każdy może zadzwonić, jeśli z jakichś powodów nie może się ujawnić.

Policja prowadziła akcję zgodnie z regulaminem. Na zewnątrz zachowywano spokój, apelowano o kontakt, ale jednocześnie zastanawiano się intensywnie, jak dotrzeć do wroga i go zaatakować. Ravn wielokrotnie uczestniczył w podobnych działaniach, zasady były takie same, bez względu na to, czy chodziło o odbicie zakładników, rozbrojenie chorego psychicznie, wtargnięcie do squatów zajmowanych przez rockersów, czy — jak w tym przypadku — o fanatyczną sektę, która zabarykadowała się w swojej siedzibie. Pomyślał, że dowódca nie chce ryzykować, apelował do ludzi i próbował negocjować tak długo, jak to było możliwe, chociażby dlatego, że po nieudanym nalocie na spelunę Kaminskiego nikt nie chciał kolejnych ofiar.

— Chodź, pójdziemy po mamę — powtórzył Kevin i pociągnął Ravna za rękę.

— Najpierw musimy znaleźć jakiś telefon, to jest teraz najważniejsze. Sam nie jestem w stanie jej pomóc, rozumiesz to, prawda?

Chłopiec pokiwał głową.

— Jasne, nie jestem głupi. Znajdziemy jakiś w świątyni, chodź, pokażę ci.

Ravn nie bardzo sobie wyobrażał, jak Kevin zamierza to zrobić, ale pomyślał, że warto spróbować. Poza tym może przy okazji dowie się, jak wygląda sytuacja. Jeśli członkowie wspólnoty nadal pozostają w jednym miejscu, to ryzyko, że w szturmie zginą niewinni ludzie, jest mniejsze. Ravn był przekonany, że wcześniej czy później do wymiany ognia między policją a żołnierzami Patricka.

Idąc przez ogród, dotarli do pogrążonej w mroku żwirowej

ścieżki. Ravn wziął chłopca za rękę i razem weszli do niskiego budynku stojącego pośrodku zielonego trawnika. Drzwi były otwarte, wewnątrz paliło się światło. Kevin parł do przodu i ciągnął za sobą Ravna, który próbował go powstrzymać.

— Spokojnie — wyszeptał. — Sprawdźmy, czy możemy okrążyć budynek.

Kevin skinął głową i ruszyli wzdłuż ściany. Ze środka dochodziły głosy modlących się ludzi, słychać było płacz. Kevin ścisnął mocniej rękę Ravna. Ravn położył palec na ustach, dając mu do zrozumienia, że ma milczeć. Po chwili okrążyli dom i znaleźli się przed tylnym wejściem. Ravn puścił dłoń Kevina i wyjął z kieszeni nóż. Położył dłoń na klamce, nacisnął — drzwi się otworzyły. Ruszyli bezszelestnie przez korytarz, który doprowadził ich na tył sceny. Ravn zauważył Jakoba; stał skąpany w świetle reflektorów. Miał nagi tors, ręce wyciągnął do góry, kołysał się lekko na boki, jak w transie.

— Pójdziemy po mamę? — spytał po raz kolejny Kevin i wskazał dłonią przed siebie.

Ravn nie odpowiedział, przyglądał się scenie rozgrywającej się na jego oczach. Na podłodze przed Jakobem leżały bezwładne ciała członków wspólnoty, wśród nich ciało matki Kevina. Z kącików ust wypływała strużka śliny, martwym wzrokiem wpatrywała się w duży ciemny drewniany krzyż, wiszący na ścianie za Jakobem.

— Pójdziemy po mamę, Kruku?

Z miejsca za sceną Ravn śledził, jak członkowie wspólnoty ustawiają się w kolejce po śmierć. Większość trzymała się za ręce, ludzie płakali i modlili się na zmianę. Na skraju sceny, za niewielkim składanym stolikiem stały Åse i Birgitte. Na stoliku znajdowały się białe plastikowe kubki. Birgitte nalewała do nich napój z dzbanka, a Åse podawała je członkom wspólnoty, którzy po kolei podchodzili do stolika.

Jakob trzymał przy ustach mikrofon, dyszał ciężko.

— „I Jezus rzekł: «Czy możecie pić kielich, który ja mam pić?». Odpowiedzieli Mu: «Możemy»”. Tak i my dzisiaj pić będziemy kielich Syna niebiańskiego, by dołączyć do Niego. Podejdźcie bliżej, dołączcie do naszych braci i sióstr, którzy już wyruszyli w tę drogę. — Wskazał dłonią na leżące przed sceną bezwładne ciała. — Nie wahajcie się — zwrócił się do pary młodych ludzi, którzy stali przed nim, każdy z kubkiem w ręku. — Zaufajcie Panu.

— Nie mogę, Mistrzu — wybuchnął młody mężczyzna i szlochając, opuścił rękę z kubkiem.

Jakob zmarszczył czoło i spojrzał na niego zawiedziony.

— Nie zachowuj się w ten sposób. To na nic. Na ziemi wygrało zło, dlatego musimy udać się do naszego niebiańskiego Ojca. Jeśli tu zostaniesz, trafisz do czyśćca, rozumiesz? To koniec. Tylko nam, zbawionym grzesznikom, dane będzie zacząć wszystko od początku.

— Naprawdę nie można nic zrobić?

— Wychył kielich. Nie pozwól, by zło zwyciężyło. — Jakob spojrzał z uśmiechem na zebranych członków wspólnoty. — Nie pozwólcie, by wsadzono was do więzienia razem z mordercami i gwałcicielami. Nie zasłużyliście na to. Ci, tam na zewnątrz, chcą



nas podzielić, odebrać wam wasze dzieci, oddać je na wychowanie grzesznikom. Wychować na prostytutki i narkomanów. Czy nie lepiej, by wzrastały u boku Pana? Razem z wami. Z Wybrańcami Boga. Okażcie im łaskę, pozwólcie im wypić kielich.

Ravn dostrzegł Samuela, który razem ze strażnikami chodził między rzędami krzesel i przekonywał opornych do powstania i zajęcia miejsca w kolejce. Kiedy jedna ze starszych kobiet zaprotestowała, Jakob zszedł ze sceny.

— Nie zawieźdź Jezusa, nie zawieźdź swoich braci i sióstr. To byłoby wobec nich niesprawiedliwe — mówił do mikrofonu.

— Siostró, wiem, że diabeł próbuje przeciągnąć cię na swoją stronę. Nie chce, byś trafiła do raju, nie chce, byś zasiadła u boku Pana. Nie idź za głosem diabła, siostró. Proszę, nie idź za nim.

Kobieta wstała z płaczem, po policzkach leciały jej łzy.

— Boję się, Mistrzu.

— Niepotrzebnie. Przemawia przez ciebie diabeł. Wszyscy zaśniemy i obudzimy się w niebie. Mówiłem o tym wiele razy. Zrób, co masz zrobić, nie strasz dzieci. — Pokazał dłonią na dwie małe dziewczynki, które stały w kolejce razem z rodzicami i płakały. — Patrz, jakie są odważne, jakie szczęśliwe, że wkrótce spotkają Jezusa. Bierz z nich przykład. Proszę cię, siostró, bądź dzielna i zaufaj Panu. Uwierz w jego moc.

— Przepraszam, Mistrzu.

Kobieta otarła policzki i pozwoliła, by Samuel objął ją i poprowadził do kolejki.

Ravn przyglądał się scenie z przerażeniem. W ciągu wielu lat pracy w jednostce specjalnej nigdy nie był świadkiem czegoś tak strasznego. Wiedział, że jest bezradny. Nie mógł nic zrobić, przeciwnik był za silny. W tym momencie kolejna osoba upadła martwa na podłogę. Ravn spojrzał na leżące przed sceną ciała i rozrzucone wokół jednorazowe białe kubki. Doszedł do wniosku, że trucizna, którą Jakob podawał członkom wspólnoty, musi być znacznie silniejsza niż ta, którą podał jemu.

— Kev... Kevin... — usłyszeli nagle charkoczący głos matki

chłopca. Kobieta wyciągnęła rękę w stronę syna. Próbowwała powiedzieć coś jeszcze, ale z jej ust wydobyła się piana.

— Mamo... — zaczął Kevin, ale Ravn natychmiast zasłonił mu usta dłonią.

Chłopiec próbował uwolnić się z jego uścisku, Ravn trzymał go resztką sił.

— Przestań — uciszał go. Pociągnął go za sobą do drzwi. Kiedy nacisnął klamkę i je otworzył, Kevin skorzystał z okazji i mu się wyrwał.

— Stój! — zawołał za nim Ravn.

Chłopiec nie zareagował, pobiegł korytarzem w stronę sceny. Wołał matkę. Po chwili w głośnikach rozległ się głos Jakoba. Dziękował Bogu za cud, którego wszyscy przed chwilą byli świadkami: mały Kevin, zbłąkana owieczka, wrócił do stada, by w porę otrzymać swój kielich.

Ravn rzucił się między krzaki i położył na ziemi. Oddychał z trudem i trzymał się rękami za brzuch. Miał wrażenie, że za chwilę jego wnętrzności eksplodują. Zobaczył, że drzwi świątyni się otwierają. Jeden ze strażników wyjrzał na zewnątrz, zapalił latarkę i omiół światłem trawnik. Najwyraźniej nie zauważył nic podejrzanego, bo zaraz ją zgasił i wrócił do środka. Ravn spoglądał przez krzaki w stronę niskiego budynku. Nie był w stanie pojąć, co tam się odbywa. Zbiorowe zabójstwo było tak doskonale zorganizowane, że przyszło mu do głowy, że Jakob musiał planować je już od dłuższego czasu. Śmierć Benjamina przyszła w samą porę. Jakob wykorzystał ją do zwarcia szeregów w walce z zewnętrznym wrogiem. Ravn wiedział, że musi coś przedsięwziąć. Musi pomóc ludziom, którzy stali w środku i czekali na śmierć. Tylko jak nawiązać kontakt z policją? Gdyby miał komórkę... albo chociaż latarkę. Mógłby wówczas, wykorzystując ciemną noc, nadać sygnał alfabetem Morse'a. Nie wiedział, co robić. Wewnątrz, w sali, widział dzieci, wśród nich był też Kevin. Niewykluczone, że Jakob zdążył mu już podać kubek z trucizną. Ravn przyrzekł sobie, że kiedyś Mesmer za to

odpowie. Miał ochotę wrócić i poderżnąć mu gardło, ale doskonale wiedział, że w ten sposób nie uratuje ani Kevina, ani nikogo innego. Zdesperowany zaczął się zastanawiać, czy nie zaatakować strażników przy bramie. Jeśli zaczęliby do niego strzelać, odgłosy wystrzałów zaalarmowałyby policjantów. Co jednak wcale nie musiałyby stać się sygnałem do rozpoczęcia szturm. Wręcz przeciwnie. Policja zapewne próbowałaby wziąć ich na zmęczenie. Takie były zasady. W tym przypadku oznaczałoby to, że kiedy w końcu doszłoby do szturm, wszyscy byliby już martwi. Wchodząc do Getsemani, policjanci zobaczyliby setki zwłok, w tym kobiet i dzieci, leżących wśród wiernych wojowników Jakoba, a dookoła te przeklęte białe kubki. Jeśli nie chciał do tego dopuścić, musiał w jakiś sposób sprowokować atak. Gdyby policja wiedziała, że ludzie są w niebezpieczeństwie, na pewno przystąpiłaby do działania. Dlatego musiał uświadomić im powagę sytuacji, dać do zrozumienia, że za murami rozgrywa się tragedia. Jakakolwiek, przyszło mu nagle do głowy.

Pomysł był szalony, nie miał pewności, czy uda mu się go zrealizować ani czy sam przeżyje. Nie miał jednak wątpliwości, że w ten sposób na pewno zmusi policję do działania.

Chowając się w cieniu drzew, szedł ścieżką prowadzącą w kierunku hali produkcyjnej i baraków. Getsemani wydawało się opustoszałe. Spodziewał się, że strażnicy zostali rozstawieni wzdłuż muru i bramy, gotowi w każdej chwili ruszyć do walki z policją, gdyby ta przypuściła szturm. Był pewien, że plan Jakoba nie przewidywał, że ktoś może przeżyć, ale nie potrafił powiedzieć, czy żołnierze Patricka wybraliby śmierć w walce, czy raczej dołączyliby do kolejki po truciznę. Tak czy inaczej doszedł do wniosku, że przynajmniej jeszcze przez jakiś czas będzie mógł pozostać niewidoczny. Ból żołądka zmusił go do zatrzymania się. Miał wrażenie, że połowa jego ciała jest zdrtwiała. Zdrową ręką uderzył się mocno w udo, żeby odzyskać czucie. Udało mu się, ale tylko częściowo, poza tym ból nie pozwalał mu iść zbyt szybko. Kuśtykając, kierował się w stronę otwartych drzwi do hali produkcyjnej. Cały czas słyszał nad sobą krzącający w ciemnościach policyjny śmigłowiec. Poza tym wszędzie panowała cisza. Rzucił okiem na pustą halę, warstwa białego wapna na przyzmach kompostu wyglądała jak śnieg. Wszędzie unosił się ostry zapach amoniaku. Obok pierwszej przyzmy leżały aluminiowe kanistry, stanowiące część prymitywnego urządzenia do oprysków. To właśnie one go zainspirowały. Co prawda rozcieńczona mieszanka amoniaku, która się w nich znajdowała, była dla niego bezwartościowa, ale gdyby udało mu się znaleźć pojemnik, gdzie przechowywano płynny amoniak, sytuacja mogłaby się zmienić. Był pewien, że musi być gdzieś w pobliżu. Może w niskim budynku, który widział między halą a barakami? Wyszedł na zewnątrz, okrążył budynek, minął garaże z wiatą i zaczął zbliżać się do najodleglejszej części Getsemani. Był pewien, że w pobliżu są strażnicy, ale na razie żadnego jeszcze nie spotkał.

Podszedł do pierwszych drzwi, oparł się o nie ramieniem i pchnął. Rozległ się jęk zawiasów, drzwi się otworzyły. Szybko wszedł do środka i zaczął rozglądać się w ciemnościach. Był w niewielkim warsztacie, przy jednej ścianie stała tokarka, na drugiej wisiały półki pełne kartonów i części zapasowych. Już miał wyjść, kiedy jego wzrok padł na cztery metalowe pojemniki pod ścianą. Podszedł bliżej i zaczął je po kolei podnosić. Wszystkie były puste z wyjątkiem ostatniego, w którym znajdowała się jakaś ciecz. Odkręcił nakrętkę, powąchał. W pojemniku był olej napędowy.

Wyszedł na zewnątrz z pojemnikiem w ręku. Czuł, że coraz bardziej opada z sił. Powinien jak najszybciej znaleźć zbiornik z amoniakiem. Przeszedł kilka metrów i musiał się zatrzymać. Niemal żałował, że nie poszedł za Kevinem. Pomyślał, że gdyby udało mu się dźgnąć Jakoba nożem, powstałoby zamieszanie i może ludzie by się ocknęli? Ale pewności nie miał. Gdyby mu się nie udało, wtedy przyspieszyłby tylko śmierć niewinnych osób.

Dotarł do najbliższego baraku, pchnął plecami drzwi i wpadł tyłem do ciemnego pomieszczenia. Wylądował na podłodze, leżał chwilę, czekając, aż dojdzie do siebie. Wciągnął powietrze nosem i poczuł ostrą woń amoniaku. Gdzieś w pobliżu był magazyn. Musi tu być, pomyślał. Przewrócił się na bok i na końcu ciemnego pomieszczenia dostrzegł zarys dużego zbiornika. Podniósł się i powoli ruszył w jego kierunku. Zbiornik miał owalny kształt, na powierzchni widać było plamy rdzy, przypominał starą bombę lotniczą z okresu drugiej wojny światowej. Gdyby umiał otworzyć kranik i doprowadzić do wycieku oparów, osiągnąłby skutek podobny do zrzucenia bomby. Kiedy służył w policji, słyszał opowieści o eksplozjach amoniaku, które równały z ziemią wszystko wokół. Sam amoniak nie był łatwopalny, w przeciwieństwie do gazu, który powstawał w wyniku przecieku. Ravn znalazł kranik umieszczony tuż pod ciśnieniomierzem. Chroniła go potężna kłódka, więc nawet nie próbował go odkręcić. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby rozbić zamek, ale nie zauważył nic, co mogłoby mu się przydać. Wrócił do drzwi,

obok których zostawił kanister, i zaczął ciągnąć go w stronę zbiornika. Z trudem postawił go na cienkiej rurce, prowadzącej od zbiornika do ciśnieniomierza. Uniósł go, po czym pozwolił mu opaść na rurkę. Zadrżała. Uderzył ponownie, potem jeszcze raz. Chociaż miał coraz mniej sił, nie przestawał uderzać. Nawet jeśli miałyby to być ostatnia czynność w jego życiu, był zdecydowany otworzyć zbiornik. Nagle spaw zbiornika przy ciśnieniomierzu puścił i przez szparę z sykiem zaczęły się wydobywać opary amoniaku. Upuścił kanister na podłogę i wykończony przyglądał się cienkiej rurce. Wydobywający się ze zbiornika gaz podrażniał drogi oddechowe, Ravn zakasłał. Zasłonił usta rękawem i zaczął oddychać przez materiał. Ciekło mu z oczu i z nosa, pomyślał, że wkrótce pomieszczenie wypełni łatwopalny gaz. Zaciągnął kanister do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia i odkręcił zakrętkę. Zaczął polewać olejem napędowym drewnianą ławkę i ścianę, pod którą stała. Kiedy opróżnił kanister, rzucił go na podłogę i sięgnął po zapalniczkę. Z drugiego końca pomieszczenia dochodziło syczenie gazu ulatniającego się z uszkodzonej rury. Przyłożył kciuk do główki zapalniczki i nagle się zawahał. Nie miał pojęcia, jakie stężenie gazu jest konieczne do wywołania eksplozji. Możliwe, że wystarczy iskra, aby wszystko, łącznie z nim, wyleciało w powietrze. Zaczął żałować, że w ogóle wpadł na taki pomysł, ale w tym momencie przypomniał sobie Kevina, który nie tylko nie zawahał się pobiec po pomoc dla matki, ale też pomógł mu się wyswobodzić. Nie mógł, do cholery, okazać się większym tchórzem od niego. Wstrzymał oddech i otworzył zapalniczkę. Kiedy pojawił się wąty płomień, przysunął ją do oleju napędowego rozlanego na ławce. Natychmiast się zajął, po ścianie zaczęły pełzać płomienie. Już miał otworzyć drzwi, kiedy usłyszał głosy na zewnątrz. Wyjął nóż i zaczął nasłuchiwać. Głosy były coraz bliżej. Zobaczył, że klamka opada, rzucił się na drzwi i pchnął je tak, że się otworzyły. Zobaczył przed sobą zdziwioną twarz Patricka, po czym obaj upadli na ziemię.

— Pali się! — krzyknął jeden z dwóch strażników towarzyszących Patrickowi.

Patrick rzucił się na Ravna i chwycił go za szyję. Ravn zamachnął się na niego nożem. Patrick zawył z bólu i puścił go. Ravn wstał i zaczął uciekać.

— Zatrzymajcie go! — krzyknął Patrick.

Ravn zerknął przez ramię; zobaczył ludzi Patricka, którzy stali w progu i bezradnie wpatrywali się w płomienie. Nagle Patrick podniósł się z ziemi, z rany na ramieniu kapłała krew. Odbezpieczył karabin i uniósł go. Ravn nie miał wątpliwości, że zaraz do niego strzeli. Pomyślał, że to koniec. I nagle rzeczywiście rozległ się huk, ale nie był to odgłos wystrzału. Dochodził od strony baraku, który przez chwilę wydawał się unosić w powietrzu, po czym został pochłonięty przez kulę ognia. Patrick zniknął w morzu płomieni. Podobnie jak drzewa, które oddzielały go od Ravna. Fala uderzeniowa wyrzuciła Ravna w powietrze z taką siłą, że wylądował na ścieżce dobre piętnaście, dwadzieścia metrów dalej. Z trudem łapał powietrze. Poczł przeszywający ból w nodze, spojrział w dół i zobaczył, że lewa nogawka jego spodni płonie. Zaczął nerwowo machać nogą i obrzucać płomienie ziemią, tak że po chwili zgasły.

Huk eksplozji ogłuszył go, słyszał jedynie głośnie buczenie. Przyglądał się widowisku, które rozgrywało się w ciszy przed jego oczami. Płomienie szybko przeniosły się na sąsiednie budynki, nastąpiły kolejne eksplozje, jęzory ognia sięgały ciemnego nocnego nieba. W pewnym momencie zapaliły się zmagazynowane butelki z gazem; uniosły się w powietrze, ciągnąc za sobą ogony ognia, niczym zagubione pociski. Poczłgał się w stronę drzew, gdzie było bezpieczniej. Powoli zaczął mu wracać słuch, przez buczenie od strony szosy docierały do niego odgłosy strzelaniny. Po chwili niebo przecięło światło reflektorów. Tuż nad sobą zobaczył policyjny śmigłowiec. Policja w końcu przystąpiła do szturm, obawiał się jednak, że było już za późno.

## 63.

Granaty błyskowo-hukowe rozświetlały nocne niebo, a echo wybuchów rozchodziło się głucho w całym Getsemani, kiedy jednostki policji wkroczyły z kilku stron na teren wspólnoty. Ravn siedział oparty o słup obok ostatniej grządki w szklarni.

Pierwotnie zamierzał doczołgać się z powrotem do świątyni, ale nie starczyło mu sił. Poszukał więc schronienia wśród kolorowych grzybków. Ugasił pragnienie, pijąc wodę z kranu obok grządki, próbował zebrać siły. Nasłuchując odgłosów strzelaniny, starał się zorientować w sytuacji na zewnątrz. Ludzie Jakoba używali karabinów M95, dźwięk strzałów był niski, głęboki, podczas gdy policyjne MP5 charczały. Początkowo słyszał głównie M95, ale po pewnym czasie charczenie MP5 zaczęło dominować, co musiało oznaczać, że policja opanowała sytuację.

Nagle od strony wejścia do szklarni dobiegł hałas, po chwili ktoś kopniakiem wybił szybę w drzwiach. Z cienia wyłoniła się półnaga blada postać. Ravn rozpoznał w niej Jakoba Mesmera. Miał ranę w boku, która obficie krwawiła, najwyraźniej został postrzelony. Nie zauważył Ravna. Trzymając w jednej ręce kulę, w drugiej żółtą kopertę, przedzierał się przez środkową alejkę, aż w końcu zatrzymał się obok jednej z grządek. Ukucnął z widocznym trudem i zakopał kopertę w żyznej czarnej ziemi.

Ravn sięgnął po nóż, który leżał tuż obok na kamiennych płytkach. Namacał go palcami, wziął w dłoń i kurczowo przycisnął do siebie. Był słaby, ale zdeterminowany, gotów zrobić wszystko, żeby powstrzymać Jakoba. Wolną ręką chwycił się kranu i próbował się podciągnąć. Niespodziewany cios w klatkę piersiową posłał go na ziemię, nóż wyslizgnął mu się z dłoni.

— Posłańcu demona, nadal żyjesz? — odezwał się Jakob, wyciągając kulę w jego stronę.



— Zabiłeś wszystkich? — spytał Ravn.

Jakob usiadł na ziemi. Poruszał się z widocznym trudem. Ravn widział, jak fałdy tłuszczu na brzuchu zafalowały, kiedy sięgnął ręką do rany w boku.

— Zabiłeś ich? — powtórzył, usiłując dosięgnąć noża.

— Ciszej. I nie musisz być niegrzeczny — powiedział Jakob. Końcem kuli odepchnął nóż. — Cieszymy się ciszą. — Ledwie zdążył to powiedzieć, na zewnątrz, i to chyba gdzieś blisko, znów rozległy się strzały. — No cóż, przynajmniej tak długo, jak to będzie nam dane — dodał, wzruszając ramionami.

— Co z Kevinem? Jego też zabiłeś?

Jakob się uśmiechnął.

— Co się tak martwisz o tego małego mongola? Śpi słodko razem z aniołkami Pana. On i jego matka. Amen.

Ravn pokręcił głową zrozpaczony.

— Sam nie odważyłeś się wypić swojej mikstury.

— Ceremonia została przerwana. Policja wkroczyła, zaniepokojona eksplozją. Wiesz może coś o tym? — Przekrzywił głowę, spojrzał Ravnowi w oczy.

— Żałuję, że nie pochłonęła też ciebie. Ale mogę przekazać ci pozdrowienia od Patricka. Sprawiał wrażenie zdziwionego, kiedy objęły go płomienie.

Jakob Mesmer pokiwał głową zadowolony.

— Jestem pewien, że błogosławiony Patrick jest zadowolony ze sposobu, w jaki opuścił ten padół. Wygląda na to, że zapewniłeś mu prawdziwie żołnierską śmierć. Takiej właśnie pragnął. Od powrotu z wojny o tym mówił. Miał ogromne poczucie winy — powiedział Jakob, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

W tym momencie ostre światła reflektorów śmigłowca przecięły ciemność. Oślepieni światłem mężczyźni zasłonili twarze dłońmi. Kiedy światła zniknęły, Jakob chwycił kulę i zaczął wstawać.

— Dlaczego? — spytał Ravn. — Dlaczego nienawidzisz ojca tak bardzo, że postanowiłeś uśmiercić tych niewinnych ludzi?

— Za wszelką cenę chciał zatrzymać Jakoba w szklarni.

— On ci to powiedział? Że go nienawidzę?

— Jeśli to nieprawda, dlaczego nie podpisałeś umowy i nie wzięłeś pieniędzy? Po co te zabójstwa?

— Nikogo nie zabiłem. Wskazałem im tylko drogę do raj. Tym, którzy zasłużyli na miłosierdzie Pana. To na jego rozkaz dołączamy teraz do Niego. Przekonaliśmy Go, że nasza miłość jest prawdziwa.

— A więc Bóg przemawia do ciebie? — spytał Ravn sarkastycznie.

— Od zawsze. Od dnia, w którym zwróciłem się do Niego o pomoc. Od dnia, w którym zrozumiałem, ile zła powoduje Mesmogram. Skonfrontowałem słowa mojego ziemskiego ojca z przesłaniem Ojca niebiańskiego, ale on tego nie zrozumiał. Zaprzeczał faktom, chociaż pokazałem mu je czarno na białym.

— O jakich faktach mówisz?

— O tym, że próbując kontrolować ludzkie myśli, wspieraliśmy dzieło Szatana.

— Dzieło Szatana?

Jakob pokiwał głową.

— Tak, sprzedaliśmy naszą filozofię, jej język, pełen pięknych słów i sprytnych skrótów myślowych. Język, który rozumieli tylko wtajemniczeni, ci, którzy za to płacili, których uczyliśmy tego na kursach, którym sprzedawaliśmy nasze podręczniki. Bezbożnicy, gotowi zaprzedać duszę diabłu, byle tylko dostać się na kurs zarządzania i nauczyć się komunikowania w tym przeklętym dyrektorskim żargonie. Wystarczyło dotrzeć do szefów i przekonać ich do siebie, a inni zjawiali się sami. Istniała żyła złota.

— Mam wrażenie, że zakładając Wybrańców Boga, posłużyłeś się tym samym modelem — skomentował Ravn ironicznie.

— Bluźnierca! — wysyczał Jakob przez zęby tak gwałtownie, że zaczął kasłać. Chwycił się za bok, rana krwawiła coraz bardziej. — Mesmogram zabija rodziny. Zabija wartości

chrześcijańskie, indoktrynując pracowników trzydzieści siedem godzin w tygodniu. Firmy stały się kościołem nowych czasów, a ich szefowie najwyższymi kapłanami.

Na zewnątrz znów rozległy się strzały. Jakob chwycił kulę i wstał. Krew spływała mu po nodze, zafarbowała nogawkę na czerwono.

— Ciekawe, że nazywasz Mesmogram dziełem Szatana, a przecież sam go stworzyłeś.

— Wobec Boga wszyscy jesteśmy grzesznikami — skwitował Jakob krótko i zrobił znak krzyża. — Przyznaję, że kiedy zaczynałem pracę w firmie ojca, szybko dałem się wciągnąć w te wszystkie systemy zarządzania, o których nauczali doradcy JTI, Myers-Briggs czy DISC. To był dla mnie nowy, fascynujący świat. Zacząłem tworzyć własne systemy, nowe pojęcia. Przedestyłowałem wszystko, co do tej pory powstało, i stworzyłem Mesmogram. Kiedy w pewnym momencie ukazał mi się Bóg i wytłumaczył mi, jak daleko od Niego odszedłem, zrobiło mi się wstyd. Chciałem wyprzeć się wszystkiego, ale uznałem, że moim obowiązkiem jest ujawnienie oszustwa wymyślonego przez moich poprzedników. Chciałem zburzyć fałszywe świątynie, więc rozpocząłem badania...

— I do czego doszedłeś?

Jakob spojrział na niego z pogardą.

— Nie oczekuję, że to zrozumiesz, ale odkryłem, że powszechnie uznawany system DISC wymyślił człowiek, który wcześniej tworzył pogańskie komiksy, na przykład *Wonder Woman*! A JTI, jeden z najczęściej stosowanych systemów zarządzania, powstał na bazie teorii Junga, perwersyjnego łajdaka, który napastował swoje pacjentki. Jakby tego nie było dosyć, system JTI wywodzi się z innego systemu, z tak zwanego Enneagramu. Jego autorem jest Gurdżijew, oszust oddający się okultyzmowi. Okazało się też, że fundacja Myers-Briggs, największa na świecie firma menedżerska, powstała na podstawie notatek pewnej amerykańskiej gospodyni domowej i jej córki. Jej mąż pracował razem z Oppenheimerem nad stworzeniem

pierwszej na świecie bomby atomowej, przybliżając tym samym świat do piekła. Nie widzisz, że oni wszyscy byli szarlatanami, pomiotem Szatana, tak jak mój ojciec?

— Co nie zmienia faktu, że to ty uśmierciłeś członków wspólnoty...

— Pokazałem im tylko, o co w tym wszystkim chodzi.

— Czyli?

— Że nic nie może konkurować z Pismem Świętym.

Porównując różne systemy i studiując filozofię, doszedłem do wniosku, że tylko Bóg zna prawdę.

— A czym jest prawda?

— Wiecznością. Kto jest w stanie ją pokonać? — Jakob uśmiechnął się zadowolony.

Gdzieś w pobliżu rozległ się strzał. Sądząc po odgłosie, pochodził z broni policyjnej. Po chwili usłyszeli, jak w pobliżu ktoś krzyczy. Jakob westchnął ciężko i oparł się o filar. Nie wyglądało na to, żeby zamierzał uciekać.

— Twój ojciec. Wspomniałeś kiedyś o jego poparzonej dłoni.

— Dlaczego o to pytasz?

— Jeśli nie ma to nic wspólnego z pożarem na Belgiensgade, to co to był za wypadek?

— Wypadek? No cóż, pewnie można to tak nazwać

— powiedział Jakob i zerknął w stronę otwartych drzwi. — To wydarzyło się dawno temu. Gdybyśmy wtedy zginęli w płomieniach, siedzielibyśmy sobie teraz u Pana Boga i nie doszłoby do tego wszystkiego.

Ciemno ubrani, zamaskowani policjanci z jednostki specjalnej weszli przez otwarte drzwi z karabinami gotowymi do strzału. Promienie latarek tańczyły w ciemnościach. Kiedy blade stożki światła padły na Jakoba i Ravna, policjanci zaczęli coś do nich wołać.

— Odejdź, Szatanie! — krzyknął Jakob Mesmer. Uniósł kulę i wyciągnął ją w stronę policjantów.

Natychmiast rozległ się huk wystrzałów, grad pocisków trafił Jakoba w twarz i w klatkę piersiową. Jakob przewrócił się i upadł

ciężko na ziemię u stóp Ravna. Na kamiennych płytach utworzyła się ciemna kałuża krwi. Ravn uniósł rękę do góry, przyglądając się bąbelkom w kącikach ust Jakoba.

Mrok nocy rozświetlały łuny gwałtownych pożarów, które cały czas wybuchały w różnych miejscach Getsemani, oraz niebieskie światła pojazdów służb ratowniczych. Dwóch ratowników medycznych wyniosło Ravn na noszach ze szklarni, tuż za nimi szła lekarka. Ravn oddychał z trudem. Na twarzy miał maskę tlenową, która zakrywała mu usta i nos. Ratownicy poprowadzili nosze wąską ścieżką obok płonącego głównego budynku, gdzie strażacy próbowali okiełznać szalejące płomienie. Na trawniku nieopodal leżało na brzuchach pięciu strażników. Ręce mieli skrępowane plastikowymi opaskami zaciskowymi. Pilnowali ich funkcjonariusze z oddziału specjalnego. Ze swoich noszy Ravn był w stanie dostrzec zza drzew worki z ciałami. Leżały obok siebie na placu przed świątynią. W progu stało dwóch policyjnych techników w białych kombinezonach, trzymali w rękach jeszcze jeden plastikowy worek. Ravn zerwał z twarzy maskę tlenową i próbował odwrócić głowę w stronę lekarki.

— Ktoś... przeżył?

Lekarka, potężnie zbudowana kobieta po trzydziestce, natychmiast założyła mu maskę.

— Proszę jej nie zdejmować...

— Ktoś przeżył? — powtórzył Ravn i odepchnął jej rękę.

— Ktoś wyszedł z tego żywy, do cholery?

Kobieta ponownie poprawiła mu maskę.

— Nie wiem, ale nie liczyłabym na to.

Ścisnęła go lekko za ramię i ratownicy ruszyli dalej przez dziedziniec.

— Miał pan szczęście. Proszę odpoczywać. Niech pan spróbuje się odprężyć. Wszystko będzie dobrze.

Wkrótce dotarli do bramy wjazdowej do Getsemani. Po

drodze mijali ratowników i ciągle napływających policjantów. Ravn jęknął, nie mógł się pogodzić z tym, że pomoc przyszła tak późno. Że nie udało mu się zapobiec tragedii. Gdzieś w tłumie, wśród twarzy ludzi zebranych przy drodze, zobaczył zastygłą twarz miejscowego policjanta. Ratownicy poprosili ciekawskich o zrobienie miejsca i ruszyli z noszami w stronę pola, gdzie czekał już zielony wojskowy śmigłowiec. Przenieśli nosze z Ravnem na pokład, na którym stało już kilka par innych noszy z ocalałymi ze strzelaniny. Ravn uniósł głowę i zaczął im się przyglądać. Wszyscy mieli na twarzach maski tlenowe, więc trudno mu było kogokolwiek rozpoznać. Zwrócił uwagę na sterczące włosy małego chłopca, który leżał na noszach nieco w głębi śmigłowca. Pociągnął za rękę towarzyszącą im lekarkę.

— Kevin żyje?

— Kto?

— Chłopiec, który tam leży. Żyje?

Lekarka odwróciła się i spojrzała na nosze. Skinęła głową.

— Tak, jest w niezłym stanie. To dzielny chłopak, powinien wyzdrowieć.

Ravn osunął się na poduszkę i zamknął oczy. Wsłuchiwał się w szum silnika śmigłowca, który zaczął przybierać na sile. Po chwili nosze się zakołysały i śmigłowiec zaczął unosić się w powietrze. Kiedy Ravn znów otworzył oczy, zobaczył przez boczną szybę łunę nad głównym budynkiem, symbolem piekła, jakim stało się Getsemani. Miał nadzieję, że dom spali się do gruntu, tak by zniknęły wszelkie ślady po Wybrańcach Boga.

Poczuł dziwne łaskotanie w żołądku, jakby śmigłowiec nagle zaczął tracić wysokość. Czyżby spadali? Rozejrzał się dookoła, ale personel śmigłowca wydawał się spokojny. Po chwili dotarło do niego, że to nie śmigłowiec leci w dół, tylko on sam. Spadał w niekończącą się ciemność.

\*\*\*

Jednostajny dźwięk aparatu EKG, który przedarł się przez szum silnika śmigłowca, sprawił, że lekarka i ratownicy niemal

w tym samym momencie spojrzeli na Ravna. Leżał z głową przekrzywioną na poduszce, jego ręka zwisała bezwładnie z noszy. Zapis na monitorze był płaski. Lekarka natychmiast poderwała się z miejsca i zaczęła się przeciskać między noszami do Ravna. Zerwała mu z twarzy maskę tlenową, zobaczyła sine usta. Sprawdziła tętno, ale nie mogła go wyczuć.

— Defibrylator! — zawołała do ratowników. Sięgnęła po nożyczki, rozcięła T-shirt Ravna i szybko obnażyła jego klatkę piersiową. Zobaczyła dużą żółtą kopertę, wciśniętą za pasek od spodni, wyjęła ją i rzuciła na podłogę obok noszy. Ratownik podszedł z defibrylatorem i szybko umieścił dwie elektrody na nagim torsie Ravna.

Ratownicy odeszli, lekarka wcisnęła czerwony guzik i uruchomiła aparaturę. Bezwładne ciało Ravna drgnęło, ale zapis na monitorze nie zareagował.

Ponowiła próbę.

Ratownicy próbowali jeszcze trzy razy, bez rezultatu.

— Za ile będziemy w szpitalu? — spytała lekarka.

— Mniej więcej za sześć minut — odpowiedział jeden z ratowników.

— Szlag, to cała wieczność! Dajcie adrenalinę!

Ratownik wyjął z torby strzykawkę jednorazową i ampułkę z adrenaliną. W tym momencie silny powiew wiatru sprawił, że śmigłowiec się zakołysał, i gdyby lekarka nie przytrzymała ratownika, upuściłby wszystko na podłogę. Wzięła od niego strzykawkę z adrenaliną, ale wiatr nadal targał śmigłowcem. Bała się ryzykować.

— Szlag! — zawołała sfrustrowana.

— Nie mamy czasu, próbuj albo go stracimy!

— Wiem, ale boję się, że trafię w płuco...

— Lądujemy za dwie minuty. Czekamy? — Ratownik pokazał na widoczne za oknem migające światła lądowiska na dachu szpitala.

— Nie możemy. Przytrzymajcie mnie — powiedziała lekarka. Stała w rozkroku nad noszami i oparła się plecami



o niski sufit kabiny. Ratownik cały czas ją podtrzymywał. Zmrużyła oko i wycelowała w okolice serca. Szybkim ruchem wbiła igłę w pierś Ravna między dwoma żebrami i wcisnęła tłok. Adrenalina zaczęła płynąć ze strzykawki do jego serca.

— I co? — zapytała głośno.

Ratownik spojrział na monitor, zapis nadal był płaski: wąska, ciągła linia.

— Żadnej reakcji.

— Szlag... Szlag... Szlag...

*Kaznodzieja zabija członków wspólnoty  
Jonestown na Lolandii  
Kult śmierci w obozie koncentracyjnym*

Lista nagłówków w gazetach była długa. Nie tylko w duńskich, bo wiadomość o tragedii szybko rozeszła się po świecie i trafiła na pierwsze strony wielu dzienników. Nawet „Information”, gazeta Eduarda, która zwykle trzymała się z daleka od wszelkich sensacji, dołączyła do reszty prasy i na kilku szpaltach bardzo dokładnie opisała nie tylko przebieg tragicznych wydarzeń, ale i fanatyczną sektę. Masowe morderstwo. To określenie pojawiło się we wszystkich mediach, niweczając w ten sposób plan Jakoba Mesmera, który chciał, by tragedię uznano za masowe samobójstwo.

Zginęło osiemdziesięcioro ośmioro członków sekty — czternaścioro z nich w pożarze, który dał policji sygnał do rozpoczęcia akcji. Ciała ofiar były porozrzucane po całym terenie, znaleziono też aluminiową protezę nogi, należącą do jednego z mężczyzn. Pozostałe siedemdziesiąt cztery osoby zmarły w świątyni w wyniku zażycia trucizny. Na szczęście po stronie policji nie odnotowano żadnych strat. Trzech funkcjonariuszy zostało, co prawda, lekko rannych, ale wszystkich wypisano już ze szpitala.

W zgliszczach magazynu znaleziono resztki laboratorium, a w szklarni ślady wskazujące na to, że uprawiano tam różne rodzaje silnie trujących grzybów. Wiele z nich było sklonowanymi hybrydami rozmaitych muchomorów i piestrzenic. Jednak do tej pory technikom policyjnym nie udało się ustalić,

jaką truciznę podano członkom sekty. Prawdopodobnie była to jakaś mieszanka, ponieważ podczas sekcji znaleziono w tkankach ofiar ślady cyjanku, amatoksyn i psylocybiny. Dwa ostatnie składniki działają silnie na ośrodkowy układ nerwowy, dlatego podejrzewano, że Jakob Mesmer wykorzystywał je do manipulowania członkami wspólnoty. Makabrycznego znaleziska dokonano w przyzmi kompostu, z której wydobyto kilka ciał w różnym stanie rozkładu. Wyglądało na to, że Wybrańcy Boga od dłuższego czasu grzebali tam swoich zmarłych. Być może już wcześniej dochodziło do zabójstw. Technicy przeszukiwali przyzmy kompostu w poszukiwaniu śladów DNA, by ustalić, ile ciał zostało tam ukrytych. Urząd do spraw żywności natychmiast zabronił sprzedaży pieczarek pochodzących z Getsemani. Konsumenci byli do tego stopnia wystraszeni, że w trzech dużych sieciach spożywczych sprzedaż nie tylko pieczarek, ale grzybów w ogóle drastycznie spadła. Jednak podstawowe pytanie, które wszyscy sobie zadawali, brzmiało: dlaczego Jakob Mesmer postanowił zabrać ze sobą wszystkich członków wspólnoty? Ponieważ wszyscy najważniejsi członkowie sekty nie żyli, media doszły do wniosku, że pytanie zapewne pozostanie otwarte. Tę tajemnicę Jakob Mesmer zabrał ze sobą do grobu.

\*\*\*

Eduardo trzymał w ręku bukiet białych lilii i miał łzy w oczach. Przy jego nodze stał Møffe, obok nich Victoria. Chcąc pocieszyć Eduarda, położyła mu rękę na ramieniu. Mężczyzna przełknął ślinę, usiłując powstrzymać szloch.

— Powinienem był pojechać razem z nim. Gdybym to zrobił, nigdy by do tego nie doszło.

Johnson zerknął na niego.

— I jaki byłby z tego pożytek? Możliwe, że wtedy obaj byście tu leżeli.

— Łatwiej byłoby mi się z tym pogodzić. Teraz już do końca życia będę miał wyrzuty sumienia.

Victoria pogładziła rękę Eduarda.

— Spokojnie, spokojnie. Wszystko się ułoży. Zresztą, prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, żeby Ravn cię zapraszał. Lubił wszystko robić sam.

— Rozmawiacie o nim, jakby już nie żył — wtrącił nagle Johnson i pokręcił głową.

Zrobił krok w stronę szpitalnego łóżka, na którym leżał Ravn. Miał zamknięte oczy, spał. Wydawał się niezwykle drobny i delikatny, kiedy tak leżał na dużym szpitalnym łóżku, podłączony elektrodami i wężykami do najróżniejszych maszyn, stojących obok łóżka. Z żyły na jego szyi sterczały wenflony podłączone plastikowym wężykiem do aparatu do dializy. Johnson zobaczył płynącą krew i przełknął ślinę.

— Chyba nie zamierzasz zemdleć? — zaniepokoiła się Victoria.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział i szybko odwrócił wzrok. — W swoim czasie byłem bokserem. Niejeden raz widywałem krew — obruszył się.

— Pewnie głównie własną. — Dobięł z łóżka słaby głos Ravna.

— Łazarz powstał z martwych — ogłosiła Victoria. Puściła rękę Eduarda i podeszła do wezłowania.

Ravn patrzył na nich zamglonymi oczami i próbował się uśmiechnąć.

Møffe pociągnął za smycz, wrywając się do pana, przez co Eduardo niemal upuścił kwiaty.

— Spokojnie! — skarcił psa, który jednak najwyraźniej miał więcej siły niż on. Podeszedł do Ravna, który pomachał mu ciągle nie do końca sprawną dłonią.

Møffe zawarczał cicho i mlasnął kilka razy, co znaczyło, że bardzo się stęsknił za swoim panem.

— Jak się czujesz? — spytała Victoria, siadając na krawędzi łóżka.

— Lepiej. Bardzo tu o mnie dbają.

— Podobno jedną nogą byłeś już na tamtym świecie.

— Lekarze twierdzą, że rzeczywiście na kilka minut

odleciałem.

— Umarłeś? — spytał Eduardo z niedowierzaniem.

— Ale na krótko.

— *Madre mía...* I jak ci tam było?

Johnson spojrział na niego surowo.

— A niby skąd facet miałby to wiedzieć? Słyszałeś przecież, że umarł.

— No dobrze, ale widziałeś coś? Jakieś światło? Inny świat?

— Hiszpanowi całkiem odwaliło — powiedział Johnson i pokręcił głową.

Eduardo spojrział na niego oburzony.

— Jest wiele opowieści o tym, jak ludzie, którzy ponoć umarli, ale których przywrócono do życia, opowiadali później, jak opuścili swoje ciała i przyglądali się sobie z daleka.

— Nic nie pamiętam, ani siebie, ani w ogóle nic. Pamiętam tylko, że leciałem śmigłowcem, a kiedy się obudziłem, leżałem podłączony do tego draństwa.

— Co mówią lekarze? — dopytywał się Johnson.

— Że miałem szczęście. Najwyraźniej Jakob podał mi inną truciznę niż ta, którą potem poczęstował członków wspólnoty. Podejrzewam, że mogło to być to samo, co zaaplikował Benjaminowi. Trująca mieszkanca, wyciąg z muchomora i piestrzenic.

— Nie brzmi to dobrze. Jakie są rokowania?

— Przeżyję.

Johnson pokiwał głową.

— To najważniejsze. Kiedy już cię stąd wypiszą, postawię wszystkim kolejkę.

— Na mnie się nie wykosztujesz.

— Jak to?

— Lekarz przestrzegł mnie, że nawet jeden kieliszek może posłać mnie na tamten świat. Mam poważnie uszkodzoną wątrobę. I nerki. Nawet po zakończeniu dializ będę musiał bardzo uważać.

— Cholerny *maricón* z tego Jakoba. Mam nadzieję, że będzie smażył się w piekle — stwierdził Eduardo.

Johnson spojrział na słoiczki z lekami stojące na stoliku obok łóżka Ravna. Wziął jeden z nich do ręki i zaczął studiować etykietkę.

— Nitrogliceryna. Uważaj, żebyś nie wyleciał w powietrze.

— Masz problemy z sercem? — zaniepokoiła się Victoria.

— Tylko wtedy, kiedy zapomnę wziąć tabletkę.

Zapadła przejmująca cisza. Do przyjaciół Ravna zaczęło docierać, jak poważny jest jego stan.

— Wiesz, dlaczego to zrobił? Dlaczego ich wszystkich zamordował? — spytała Victoria, chcąc zmienić temat.

— Bo był psychopatą — zawołał Johnson.

— To prawda — zgodził się Ravn. — Podejrzewam, że uznał, że nie ma wyboru. Za wszelką cenę chciał zostać męczennikiem.

— A co z umową, którą miałeś mu dostarczyć? Czytałeś ją? — dopytywał się Eduardo.

— Nie — skłamał Ravn.

Zamknął oczy. Podczas dializy zawsze kręciło mu się w głowie, poza tym leki, które w niego wtłaczano, też robiły swoje. Tak czy inaczej, zmorzył go sen i odpłynął w ciemność.

Kilka dni później dyżurna pielęgniarka poinformowała Ravna, że przyszło do niego dwóch funkcjonariuszy. Miał nadzieję, że jednym z nich będzie Mikkel, ale okazało się, że obaj są z jednostki, która prowadzi śledztwo w sprawie masakry w siedzibie Wybrańców Boga. Nie znał żadnego z nich, oni natomiast najwyraźniej zadali sobie dużo trudu, żeby dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Byli przyjaźnie nastawieni i traktowali go jak kolegę. Pochwalili go za jego bohaterski wyczyn. Jeden z nich powiedział, że trzeba mieć jaja, żeby zdecydować się na wywołanie eksplozji.

Ravn odpowiadał na pytania najlepiej, jak mógł. Policjanci pytali go głównie o wydarzenia sprzed tragedii. Chcieli się dowiedzieć, jak do niej doszło, by zdobyć dowody przeciwko winnym, to znaczy przeciwko niewielkiej grupie strażników, którym udało się przeżyć szturm, a których policja oczywiście natychmiast aresztowała.

— Ile osób przeżyło, nie licząc strażników? — spytał Ravn, kiedy skończył odpowiadać na pytania.

— Ośmioro dorosłych i sześcioro dzieci — powiedział starszy policjant. Miał na imię Gregers i był kompletnie łysy.

— Podejrzewam, że dostaniesz medal za odwagę — dodał, ocierając pot z czoła.

— Nie mam takich ambicji — odpowiedział Ravn.

— Natomiast ucieszyłbym się, gdyby ta sprawa doprowadziła do zmiany procedur. Policja powinna reagować wcześniej.

Gregers pokiwał głową, włożył ręce do kieszeni jeansów.

— Mamy coś jeszcze, Niels? — Spojrzał na kolegę, który siedział na krześle przy drzwiach.

Niels skinął głową. Rozpływał się w upale panującym

w szpitalnym pokoju.

— Tak, mamy jeszcze ostatnie pytanie.

— Mów — zachęcił go Ravn.

— Co tam robiłeś?

— Już to mówiłem, ale miło, że pytasz — odpowiedział Ravn ironicznie. — Miałem się spotkać z Jakobem Mesmerem na prośbę mojego klienta.

— Tak, to już wiemy. Pytanie brzmi: po co?

— To poufna informacja. Podobnie jak nazwisko mojego klienta, bo, jak rozumiem, o nie też zamierzaliście spytać.

— Pomóż nam, Ravn. W końcu stoimy po tej samej stronie — wszedł mu w słowo Gregers.

Ravn nie odpowiedział. Gregers rozejrzał się po pokoju; zauważył liczne bukiety kwiatów od przyjaciół i znajomych Ravna. Wszyscy życzyli mu szybkiego powrotu do zdrowia.

— Domyślam się, że działałeś na zlecenie ojca Jakoba, Ferdinanda Mesmera. To on cię tam wysłał.

— Daj nam znać skinieniem głowy. I nie będziemy cię już więcej pytać — dodał Niels.

— Ależ możecie pytać, ile tylko chcecie. Odpowiedź zawsze będzie brzmieć tak samo.

— Dlaczego go chronisz? A może on też jest w to wplątany?

— Kto?

— Dobrze wiesz. Dlaczego Jakob Mesmer zrobił to, co zrobił, w momencie, kiedy się tam zjawiał?

— Sugerujesz, że to moja wina?

— Nie, ale może twojego klienta. Ferdinanda Mesmera — odpowiedział Niels.

— Nie znam człowieka. Jeśli już koniecznie chcecie wiedzieć, to znałem Benjamina Clausena, który przebywał w Getsemani. Poznaliśmy się przez wspólnego znajomego.

— Adwokata Lohmana? Obaj dla niego pracowaliście.

Ravn wzruszył ramionami, ale odnotował, że policjanci są dobrze przygotowani.

— Może powinniśmy z nim porozmawiać? — ciągnął Niels.



— Jak najbardziej — przytaknął Ravn. Nie miał nic przeciwko temu, żeby funkcjonariusze spędzili kilka godzin w dusznej kancelarii Lohmana.

— Nie masz nic więcej do dodania?

— Nic, poza tym, że mój klient martwił się o stan psychiczny Benjamina.

— Czy samobójstwo Benjamina miało coś wspólnego z późniejszymi wydarzeniami?

— Nie mam pojęcia. Nie jestem psychologiem.

— Jakie wrażenie zrobił na tobie Jakob Mesmer?

— Wrażenie? Facet był stuknięty.

— Zdefiniuj słowo „stuknięty” — odezwał się Gregers.

— Policz jego ofiary, a zrozumiesz, o co mi chodzi.

Policjanci życzyli mu szybkiego powrotu do zdrowia i wyszli. Kiedy upewnił się, że zniknęli, odwrócił się z pewnym trudem i spróbował sięgnąć do stolika, na którym stała aparatura do dializy. Otworzył szufladę i zaczął szukać czegoś wśród licznych kartek z życzeniami powrotu do zdrowia. Wiele z nich było od rodzin osób, które przeżyły masakrę. Wśród kartek był też rysunek Kevina. Chłopiec narysował śmigłowiec, którym obaj lecieli. Ravn wiedział, że mały trafił do rodziny zastępczej na Fionii. Pomyślał, że kiedy wyjdzie ze szpitala, będzie chciał mu coś wysłać. Tylko co można dać dziecku, które niedawno straciło matkę? Może właśnie helikopter albo jakąś inną zabawkę? Coś, co odciągnie jego myśli od tragedii. Odsunął rysunek i macał dalej. Na dnie szuflady znalazł w końcu żółtą kopertę od Ferdinanda Mesmera.

Kiedy policjanci, którzy wkroczyli do szklarni, ustalili w końcu tożsamość Ravna, wyszli, żeby wezwać ratowników, wtedy on resztkami sił wygrzebał z ziemi kopertę zakopaną przez Jakoba. Otworzył ją w szpitalu i od tego czasu zdążył przeczytać już kilka razy. Wiedział więc, że gdyby Jakob podpisał umowę, zapewniłby sobie znaczny majątek. Około dwudziestu milionów koron. Miał więc dwadzieścia milionów powodów, żeby zrzec się praw do Mesmogramu. A w razie gdyby nadal się wahał,

Ferdinand Mesmer dołączył do umowy stary dokument. List z przeszłości, którego treści Ravn nie potrafił zrozumieć, ale który najwyraźniej miał wyrzucić na Jakobie dodatkową presję. Być może właśnie on stał się przyczyną masakry.

Pobyt Ravna w szpitalu trwał trzydzieści trzy dni. Poczul ulgę, kiedy znów wrócił na Christianshavn. Zaczerpnął powietrza i poczul swojską mieszankę woni morza i zapachu smażenia dochodzącego z miejscowych knajp. Wokół słyhać było uliczny hałas i pokrzykiwania. Znajome dźwięki, które pewnie większość uznałaby za męczący hałas. Wciąż lekko chwiał się na nogach, czuł się trochę jak marynarz wracający do domu z długiego rejsu.

Ze szpitala zabrał ze sobą zapas leków, rysunek Kevina i kopertę, którą kiedyś wręczył mu Ferdinand Mesmer. Kupił Kevinowi wóz strażacki, największy, jaki udało mu się znaleźć, i wysłał pocztą razem z listem, w którym podziękował za życzenia powrotu do zdrowia i sam życzył mu wszystkiego dobrego. Czerwony wóz strażacki przypomniał mu o czerwonym volvie Victorii; poczul wyrzuty sumienia. Victoria do tej pory nie wspomniała nawet słowem o aucie, ale Ravn wiedział, że bardzo go jej brakowało. Wykorzystał wszystkie swoje kontakty i dowiedział się, że samochód nadal przetrzymuje policja w zachodniej Zelandii, razem z dwoma audi Jakoba Mesmera. Technicy nie zakończyli jeszcze badań. Obiecali mu, że przyspieszą pracę i gdy tylko skończą, dostarczą volvo na Christianshavn.

— Trzeba kupić ci jakieś owoce — stwierdził Eduardo, pchając przed sobą wózek wypełniony zakupami. — Co lubisz najbardziej? — Powiódł wzrokiem po półkach z owocami.

— Nie znoszę owoców — odpowiedział Ravn. Oparł się o wózek i z trudem łapał powietrze. — Po co mi to wszystko?

Eduardo zaczął wkładać różne owoce do torebki foliowej. Każdą sztukę dokładnie sprawdzał.

— Musisz się porządnie odżywiać. W szpitalu dali mi listę ze

wskazówkami żywieniowymi.

— A odkąd to mieszkamy razem?

Eduardo zawiązał torebkę i wrzucił do wózka.

— Mówię serio. Najwyższa pora, żebyś pomyślał o swoim zdrowiu.

— Myślę, ale moja dwunastolitrowa lodówka nie pomieści tego wszystkiego.

— Więc część zaniesiemy do mnie — powiedział Eduardo i ruszył dalej z wózkiem. — Herbatniki z otrębami są podobno dobre na trawienie — stwierdził i skierował się do kolejnego działu.

— Dzięki za troskę, ale moje trawienie ma się dobrze jak nigdy.

Po chwili wyszli z marketu Brugsen na Christianshavn. Teraz, kiedy Eduardo targał trzy torby pełne zakupów, Ravn nie miał problemów z dotrzymaniem mu kroku. Przedpołudniowe słońce stało wysoko na niebie, wszędzie kipiało życie. Na rynku wokół stacji kłębił się tłum ludzi, wszystkie ławki w pobliżu były zajęte.

Do Ravna podeszła młoda dziewczyna. Stała przed nim i uśmiechnęła się szeroko. Miała na sobie krótkie jeansowe szorty i pomarańczowy top.

— Cześć — powiedziała, podając mu kolorową broszurę.

— Dziękuję — mruknął zaskoczony.

Dziewczyna rozbroiła go swoim uśmiechem. Przeciągnęła palcami po niesfornych włosach, które sterczały na wszystkie strony.

— Jesteśmy niewielkim stowarzyszeniem. Nazywamy się Dzieci Światła. Jeśli masz ochotę pomedytować albo potrzebujesz darmowego posiłku, zawsze możesz do nas zajrzeć. Mamy siedzibę przy Bådsmadsstræde.

Ravn skinął głową i schował broszurę do kieszeni.

— Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Błogosławionego dnia.

Nie odpowiedział; patrzył chwilę za dziewczyną, która

dołączyła do niewielkiej grupy ludzi rozdających broszury. Część osób śpiewała, młody chłopak z długimi włosami siedział na kamiennym murku i grał na gitarze.

— Myślisz, że to zawsze się tak zaczyna? Muzyka, tańce, marzenie o wiecznym szczęściu? — spytał Eduardo.

Ravn wzruszył ramionami.

— Widziałem, jak to się kończy. Chodź.

Ruszyli przez plac, kierując się w stronę ulicy Overgaden Oven Vandet.

— Podpisał tę umowę? — spytał nagle Eduardo.

— Co masz na myśli?

— Chodzi mi o kontrakt.

— Dlaczego pytasz?

— Bez powodu. Widziałem, że Ritzau poinformował o spodziewanej fuzji między Mesmer Resources a SIALA.

Pojawiły się spekulacje na temat notowań na giełdzie.

— Na pewno nie kupię ich akcji — odparł Ravn.

— Mogą zyskać na wartości — rzucił Eduardo żartobliwie i ruszył dalej z zakupami w rękach. — Zakładam, że niezależnie od tego, czy Jakob zdążył podpisać te papiery, czy nie, po jego śmierci wszelkie prawa przechodzą na Ferdinanda Mesmera.

Inaczej fuzja nie byłaby możliwa.

— Nic na ten temat nie wiem. Do czego zmierzasz?

— Do niczego, po prostu ci mówię.

— To może zrób sobie przerwę.

— Przepraszam, jeśli powiedziałem coś, co...

Ravn machnął ręką.

— Daj spokój, jestem po prostu zmęczony, sorka.

W milczeniu wrócili na „Biancę”, gdzie czekał już na nich Møffe. Ravn doskonale wiedział, że Ferdinand Mesmer go wykorzystał. Posłużył się nim niczym pionkiem w grze. Nie wiedział jedynie, dlaczego to zrobił i jak, i coraz bardziej mu to doskwierało.

Ravn siedział na tylnym pokładzie razem z psem i wpatrywał się w ciemną wodę kanału. Była dziesiąta, słońce już zaszło, nadal jednak było ciepło. Eduardo przygotował wspaniałą kolację, ale Ravn nie miał apetytu. Przyjaciel zaproponował nawet, że zrezygnuje z randki, na którą był umówiony, i zostanie, żeby dotrzymać mu towarzystwa, ale Ravn nalegał, żeby nie zmieniał planów. W końcu Eduardo dał się przekonać. Ravn doceniał troskę przyjaciela, ale cała sytuacja zaczynała działać mu na nerwy. Co prawda, czuł się już lepiej i powoli odzyskiwał dawną formę, zamiana piwa na earl grey jednak dowodziła, że nie do końca.

— Ranny wojownik wrócił do domu.

Odwrócił się na krześle i zobaczył Katrine. Stała na nabrzeżu i patrzyła na niego. Møffe warknął niezadowolony.

— Nie wejdiesz?

Łódź zakołysała się łagodnie, kiedy stanęła na tylnym pokładzie. Møffe podniósł się i ruszył powoli w jej kierunku. Wyjęła z kieszeni psiego herbatnika i podała mu. Smakołyk najwyraźniej obudził w Møffem wspomnienia, bo podszedł bliżej i pozwolił się pogłaskać za uchem. Po chwili wrócił na swoje posłanie przy drzwiach kajuty.

— Przyszłaś odwiedzić chorego?

Katrine usiadła na krześle naprzeciwko niego.

— Przepraszam, że nie zdążyłam wpaść do ciebie do szpitala.

— W porządku. Dostałem kwiaty... Od Ferdinanda Mesmera.

— Prosił, żebym przekazała ci pozdrowienia. Jest ci wdzięczny za to, co zrobiłeś.

— Domyślam się. Słyszałem, że wkrótce dojdzie do fuzji.

— Tak, wkrótce. Mam jednak wrażenie, że chodziło mu raczej o ludzi, których uratowałeś.

— Tak? Przejmuje się takimi rzeczami? — Ravn spojrział sceptycznie na Katrine.

— W gruncie rzeczy jest dobrym człowiekiem.

Ravn skinął głową.

— Mogę ci zaproponować herbatę...

— Dziękuję. — Pokręciła odmownie głową. Poprawiła się na krześle i wyjęła kopertę z wewnętrznej kieszeni blezeru. — Nie dostałeś jeszcze pieniędzy za ostatnie zadanie — powiedziała i podała mu kopertę.

— Mam przesłać wam rozliczenie?

— Jest tu trochę więcej, niż wynikałoby z twojego nakładu pracy — rzuciła z ironicznym uśmiechem.

Ravn wziął kopertę i zerknął na jej zawartość. Bez liczenia banknotów widział, że suma jest pokaźna.

— To więcej, niż się umawialiśmy.

— Sprawa okazała się bardziej skomplikowana, poza tym doszły koszty osobiste.

— Zapłata za ból i cierpienie.

— Wiele przeszedłeś. Na pewno nie było to przyjemne.

Ravn zamknął kopertę i położył na pokładzie.

— To wszystko tłumaczy?

Katrine spojrzała na kanał.

— Zakładam, że policja już cię przesłuchiwała?

— Owszem, rozmawialiśmy. Czemu pytasz?

— Powiedziałeś, dlaczego znalazłeś się w Getsemani?

— Nie powiedziałem nic, co pomogłoby im połączyć Ferdinanda Mesmera ze sprawą. Może być spokojny.

— Dziękuję. Docenia twoją dyskrecję.

— Tak myślałem.

— Jest jeszcze coś... — Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

— Chodzi o kontrakt? To dlatego tu przyszłaś?

Katrine skinęła głową.

— Miałeś okazję przekazać go Jakobowi?

— A jak ci się wydaje? — Patrzył na nią, ciekaw jej reakcji.

— Sądzę, że nie.

— Jakob otrzymał umowę.

— Wiesz, co się z nią stało?

— Nie mam pojęcia. Mogła ją przejąć policja albo leży gdzieś wśród zgliszcz.

Pokiwała głową i spuściła wzrok.

— Czy to ma jeszcze jakieś znaczenie? Fuzja nie jest zagrożona.

— Tak, oczywiście. Chodzi bardziej o d y s k r e c j ę. Nie byłoby dobrze, gdyby nagle pojawiły się gdzieś poufne dokumenty.

— Znasz treść umowy? — spytał wprost.

— Nie. A ty? — Uśmiechnęła się do niego, ale w jej oczach widać było niepokój.

Ravn pokręcił głową.

— Nie bardzo miałem czas — skłamał.

Sądząc po jej uśmiechu, uwierzyła mu. Wstała z krzesła. Też się podniósł, chociaż z niejakim trudem.

— W czwartek wydajemy przyjęcie w firmie. Na cześć MESMER & SIALA. Będzie nam miło, jeśli wpadniesz.

— Dziękuję, ale nie bardzo wiem, co miałbym świętować.

Katrine wzruszyła ramionami.

— Dbaj o siebie, Kruk.

— I nawzajem.

Katrine zatrzymała się i pocałowała go. Jej wargi były twarde i chłodne, o dziwo, poczuł podniecenie. Odwzajemnił pocałunek. Po chwili stali już przytuleni do siebie i całowali się żarliwie. W końcu Katrine uwolniła się z jego objęć; Ravn dotknął palcami ust, były odrętwiałe.

— Muszę już iść — oświadczyła.

— Dlaczego? Nie należysz do osób, które coś zaczynają i nagle się z tego wycofują.

Uśmiechnęła się.



— To chyba najmniej udany komplement, jaki zdarzyło mi się słyszeć. — Szturchnęła go lekko w brzuch. — Nie chcę cię wykończyć. Nadal jesteś chory.

— Nie aż tak. — Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dwa opakowania tabletek. — A gdyby coś się zaczęło dziać, mam przy sobie i nitroglicerynę, i EPO.

— W porządku. Przyznaję, że w ten sposób nikt jeszcze nie próbował mnie poderwać — powiedziała i po raz pierwszy roześmiała się serdecznie.

Rozkoszował się dotykiem jej ciepłej skóry, słuchał jej miłosnych jęków, smakował jej wargi i łono, czuł jej tętno, jej napięte mięśnie i spocone ciało pod swoimi palcami, poddał się jej ruchom i usłyszał krzyk, kiedy doszedł. „Pełen życia”, wymamrotał w jej włosy. Nie bardzo wiedział, co chciał przez to powiedzieć. Pomyślał, że pewnie chodziło mu bardziej o emocje niż o słowa. Potem leżeli przytuleni do siebie, jej oddech łaskotał go w szyję w miejscu, w którym jeszcze niedawno miał wenflon. Wsłuchiwał się w trzeszczenie liny, do której przywiązana była łódź. Przywarł do Katrine i zapadł w sen. Kiedy się obudził, wokół panowała ciemność. Był w łóżku sam; słyszał, jak Katrine chodzi po kajucie. Widział jej sylwetkę, kiedy przeglądała jego rzeczy. Nie był zaskoczony, więc pozwolił jej to robić. Taka już była: podejrzliwa, zawsze ostrożna, zawsze w pracy. Ale przede wszystkim dlatego, że wiedział, że nie znajdzie tego, czego szuka. Po chwili poddała się i wyszła. Chętnie by z nią porozmawiał, wypytał, skąd pochodzi i w jakiej jednostce służyła, czego doświadczyła w życiu. Chociaż chyba żadne z nich nie miało ochoty wtajemniczać drugiego w swoją przeszłość. Ich relacje ograniczały się do tu i teraz. I może właśnie tu i teraz się zakończyły. I w porządku, pomyślał.

Następnego ranka spadł niewielki deszcz i pokrył pokład delikatną rosą. Ravn pił herbatę i jadł śniadanie, otulony kołdrą. Sąsiednie łodzie schowane były we mgle. Spojrzał na kecz Eduarda, zobaczył, że drzwi do kajuty są zamknięte, i doszedł do

wniosku, że przyjaciel zapewne przenocował u swojej dziewczyny. Kolejnej z niekończącej się parady kobiet, którą obserwował podczas ich wieloletniej przyjaźni. Za każdym razem Eduardo był tak samo zakochany i przekonany, że właśnie spotkał tę jedyną. I była to prawda — do chwili, kiedy na horyzoncie pojawiała się nowa kobieta. Ravn odwrócił się i podszedł do posłania, na którym spał Møffe. Pogładził go delikatnie po łbie, Møffe warknął przez sen. Ravn włożył dłoń pod posłanie i wyciągnął spod niego żółtą kopertę. Zamierzał po raz kolejny przeczytać nie tyle sam kontrakt, ile dołączony do niego list.

List samobójcy.

Ravn przestawił krzesło stojące na tylnym pokładzie, tak żeby mógł siedzieć odwrócony przodem do nabrzeża. Nie chciał ryzykować, że podczas lektury listu zaskoczy go nieproszony gość. List pozbawiony był jakiegokolwiek komentarza, został po prostu dołączony do umowy jako rodzaj *addendum*. Dlatego można było odnieść wrażenie, że jest to wiadomość przekazana synowi od ojca i tylko przez nich rozumiana.

Przyglądał się pożółkłej kartce. Sądząc po jakości papieru i poszarpanym brzegu, kartka prawdopodobnie została wyrwana z taniego zeszytu. Sam list był napisany bardzo starannie, ale nie był podpisany, nie było też pod nim żadnej daty.

*Nie chcę dłużej tego odkładać.*

*Codziennie przyglądam się naszej porażce.*

*Naszemu życiu. Naszemu światu. Naszym wyborom. Mojemu wyborowi.*

*Beznadziejna konstrukcja skazana na porażkę.*

*Teraz i zawsze.*

*Skazana na zatracenie — przeze mnie.*

*Jedynym rozwiązaniem są płomienie.*

*Ostateczne zakończenie projektu,*

*który nigdy nie powinien się nawet zacząć.*

Już kiedy Ravn czytał list za pierwszym razem, rzuciła mu się w oczy trzecia linijka od końca. Pewnie dlatego, że kiedyś zwrócił uwagę na poparzoną dłoń Ferdinanda Mesmera, ale także dlatego, że Jakob sam wspomniał o poparzeniach ojca. Przyszło mu do głowy, że niewiele brakowało, a Jakob tuż przed śmiercią zdradziłby mu długo skrywaną rodzinną tajemnicę. Pewnie jeszcze z jego dzieciństwa. Przeszkodziły mu w tym policyjne strzały. Niewiele wiedział o dzieciństwie Jakoba, wszystkie

informacje pochodziły od Ferdinanda Mesmera, więc niekoniecznie musiały być prawdziwe. Pewnych rzeczy dowiedział się od pastora w Instytucie Biblijnym. Według niego Jakob był empatyczny, pracowity, zawsze gotów pomagać swoim znacznie młodszym kolegom.

Nic w liście nie sugerowało, ani pośrednio, ani bezpośrednio, co mogło sprowokować Jakoba do popełnienia tak strasznego czynu. Ravn jednak nie miał wątpliwości, że list Ferdinanda Mesmera zawierał jakąś groźbę, która miała przekonać Jakoba do podpisania kontraktu. Dręczyło go pytanie, czy Ferdinand Mesmer pośrednio sprowokował masowe morderstwo? Czyżby wiedział, jaki guzik wcisnąć, żeby pchnąć zaburzony umysł do działania? Jeśli tak było, to sprawa bynajmniej nie jest zamknięta. Najpierw jednak Ravn musiał zrozumieć treść listu. Dlatego zaczął czytać od początku: „skazana na zatracenie — przeze mnie”. Rozumiał poszczególne słowa, ale kontekst wciąż pozostawał niejasny. Poczł się niezmiernie zmęczony i pomyślał, że rozwiązanie zagadki nie jest jego problemem.

Nadeszła pora na kolejną porcję leków.

— A niech to, Ravn, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę — powiedział Mikkel. Powtórzył to już po raz trzeci od czasu, kiedy kwadrans temu usiedli przy kawiarnianym stoliku na Halmtorvet. Mikkel najwyraźniej miał wyrzuty sumienia, że nie odwiedził Ravna, kiedy ten leżał w szpitalu. Dopiero wczoraj zadzwonił do niego i zaproponował spotkanie. Jego głos brzmiał szalenie poważnie, więc Ravn w swojej naiwności miał nadzieję, że może Mikkel ma jakieś nowe wiadomości dotyczące Kaminskiego i jego powiązań ze sprawą Evy, ale jak dotąd przyjaciel nawet o tym nie wspomniał.

Przyszedł kelner z zamówieniem. Mikkel spojrzał na swoje latte i na zamówioną przez Ravna wodę mineralną.

— Przestałeś pić piwo?

Ravn skinął głową.

— Nowy styl?

— Można to tak określić — odpowiedział Ravn, nie wdając się w szczegóły.

Mikkel podniósł filiżankę jak do toastu.

— W dawnych czasach było w nas więcej energii...

— Wypił łyk kawy, postawił filiżankę na stole. — Tam na Lolandii dokonałeś nie lada wyczynu. W komendzie wszyscy o tym rozmawiają — powiedział, wskazując ręką za siebie, na pobliski budynek komendy.

— Osiemdziesiąt osiem osób zginęło. Straty mogły być mniejsze.

— Policz ludzi, którym uratowałeś życie, i nie zapominaj o tych trzech, których załatwiłeś wybuchem. Eliminując bandytów, być może uratowałeś życie kilku naszym kolegom.

Ravn pokiwał głową i wypił łyk wody.

— Inspektor policji chciałby się z tobą spotkać. Chce ci przekazać nagrodę, a przy okazji pstryknąć kilka fotek dla prasy.

— Dlatego chciałeś się ze mną spotkać?

— Nie, do licha. Wspomniałem o tym przy okazji. Nie jestem jego chłopcem na posyłki.

— Nie? Od kiedy? — Ravn mrugnął porozumiewawczo.

— Powiedz, co u ciebie? Z powrotem na pełnych obrotach?

Mikkel pokiwał głową.

— Tak. Razem z Melbym staramy się wywołać trochę niepokoju na ulicach. Szukamy już nie narkotyków, tylko broni. Szefowie są zaniepokojeni rozwojem sytuacji. Ostatnio coraz więcej bandytów strzela do siebie.

— A twoja rana?

— Czasem ciągnie mnie blizna. — Mikkel dotknął ramienia i poruszył nim ostrożnie. — Mam wrażenie, że ściętna nie chcą się zrastać.

— Co z Kaminskim?

— To znaczy? — Już na sam dźwięk tego nazwiska Mikkelowi drgnął mięsień w kąciku oka.

— Co z procesem?

— Z procesami. Kolejka chętnych do przesłuchania go bynajmniej się nie zmniejszyła. Siedzi w areszcie, skąd dochodzą mnie dziwne wiadomości.

— Jakie?

Mikkel rozejrzył się, jakby chciał się upewnić, że nikt z gości przy sąsiednich stolikach nie słucha ich rozmowy. Zniżył głos.

— Facet jest psychopata. Zaczął od napaści na obrońcę z urzędu. Wsadził biedakowi długopis w oko. Od tamtego momentu wszystkie przesłuchania odbywają się pod szczególnym nadzorem. A Kaminski występuje na nich w kajdankach, na rękach i nogach. Ostatnio doszły mnie słuchy, że podczas transportu z celi do pokoju przesłuchań w komendzie zaatakował policjanta i niemal odgryzł mu ucho. Więc teraz stawiają się po niego w pełnym rynsztunku bojowym i z ochraniaczami na uszach.

— Na ich miejscu wybiłbym mu zęby — powiedział Ravn chłodno.

— Dlatego nam ciebie brakuje — stwierdził Mikkel i odchylił się na krzesło.

— Miałem nadzieję na jakieś wiadomości w sprawie Evy.

— Wiem. Dlatego do ciebie zadzwoniłem.

— Mów.

— Nareszcie udało mi się załatwić dostęp do rzeczy zarekwirowanych podczas przeszukania w lokalu Kaminskiego. Są w policyjnym magazynie. Podobno jest tam wszystko: od elektroniki po biżuterię. — Spojrzał na zegarek. — Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać i się im przyjrzeć.

Ravn pokiwał głową z zafrasowaniem.

— Myślałem, że się ucieszysz — powiedział Mikkel, lekko zawiedziony.

— Doceniam twoją pomoc, nie o to chodzi, tylko zastanawiam się, jak duża jest szansa, że znajdziemy tam rzeczy skradzione trzy lata temu.

Mikkel rozłożył ręce.

— Pewnie minimalna, ale zawsze jakaś.

— No dobrze, chodźmy.

Ravn zapłacił za napoje i ruszyli w kierunku czarnego golfa, cywilnego wozu Mikkela, który stał przed wejściem do komisariatu Station City.

Mikkel ruszył z piskiem opon. Ravnowi przypomniały się dawne czasy, kiedy razem wyjeżdżali na patrole. Mikkel zawsze gnał na złamanie karku, niezależnie od tego, czy sprawa była pilna, czy nie. I to najwyraźniej się nie zmieniło. Jechali Tietgensgade, a potem dalej Bernstorffsgade, gdzie Mikkel gwałtownie zahamował przed skrzyżowaniem. Ravn zerknął na górujący nad otoczeniem budynek komendy z charakterystycznymi łukami.

— Kaminski siedzi na górze?

— Tak jest — przytaknął Mikkel.

Tak blisko i tak daleko, pomyślał Ravn, ale nic nie powiedział.

Mikkel dodał gazu i zawrócił na skrzyżowaniu. Ruszyli Mitchellsgade i wjechali przez bramę od strony ulicy. Minęli otwarte garaże, zatrzymali się dopiero na końcu uliczki, obok trzech dużych kontenerów. Policjant, starszy człowiek z włosami przyprószonymi siwizną, zdążył już otworzyć dwa z nich i właśnie zdejmował plombę z ostatniego.

— Dlaczego to wszystko tu trafiło? — zainteresował się Ravn.

— Dobre pytanie. Zakładam, że chodzi o to, żeby jak najmniej informacji wyciekło na zewnątrz.

— Miałeś problem z załatwieniem dostępu do tych rzeczy?

— Niebieskie koszule trzymają się razem, prawda?

Wysiedli z samochodu i przywitali się z policjantem. Poprosił, żeby się pospieszyli, chciał jak najszybciej ponownie zaplombować kontenery. Zanim zjawi się ktoś z szefostwa i zacznie wypytywać, co tu się dzieje, dodał.

Ravn zajrzał do pierwszego kontenera: zobaczył stojące jeden obok drugiego kosztowne urządzenia nagłaśniające, telewizory B & O z płaskimi ekranami i inne, równie ekskluzywne sprzęty.

— Chcesz się temu przyjrzeć? — spytał Mikkel.

Ravn pokręcił głową.

— Nie, złodziej nie tknął ani naszego telewizora, ani sprzętu grającego, więc to chyba nie ma sensu.

Przeszedł do następnego kontenera, w którym na specjalnie zamontowanych półkach stały kartony z telefonami komórkowymi i tabletami. Na najniższych leżały laptopy, ukucnął i zaczął im się dokładnie przyglądać. Eva miała dużego IBM-a Think coś tam. Na pokrywie kazała wypisać nazwę kancelarii, a w rogu przykleiła naklejkę ze Snoopym z komiksu o Fistaszkach.

— Też chcę mieć psa — tłumaczyła, kiedy żartował sobie, że pani adwokat nie wypada używać laptopa z naklejkami.

W ciągu paru minut przejrzał kilka rzędów laptopów; na



żadnym nie było nazwy kancelarii Evy ani naklejki ze Snoopym.

— Zajrzyjmy do ostatniego kontenera — zaproponował Mikkel.

— To nasz kontener z błyskotkami — wyjaśnił idący za nimi policjant. — Trzymamy w nim kosztowności i zegarki.

Funkcjonariusz zaczął otwierać kolejne metalowe skrytki.

— Te rzeczy są warte miliony.

Ravn wyciągnął kilka pierwszych szuflad. Czuł się, jakby był w lombardzie albo u Tiffany'ego dla kryminalistów. Złodziej ukradł rolex Evy z charakterystycznym łańcuszkiem i datą wygrawerowaną na kopercie. Dzień, miesiąc i rok, w którym Eva zdała na aplikację prawniczą. Zegarek dostała w prezencie za to, że pół życia poświęciła studiom.

Ravn sprawdził kolejne szuflady; w żadnej nie było nic, co przypominałoby zegarek Evy. Od stania w gorącym kontenerze zrobiło mu się słabo, miał wrażenie, że serce zaczęło mu szybciej bić.

— Wszystko w porządku, Ravn? — spytał Mikkel zaniepokojony.

Ravn skinął głową i poczuł, że się poci. Coraz szybciej przeglądał szuflady i coraz gorzej się czuł.

— Może zrobimy przerwę? — zaproponował Mikkel.

— Nie, dlaczego?

Starał się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Dawno już powinien wziąć leki, ale nie chciał faszzerować się pigułkami na oczach Mikkela. Jak jakiś ćpun. Wiedział, że przemawia przez niego fałszywa duma, że nikt nie powie mu złego słowa, a już na pewno nie Mikkel, ale nie chciał niczyjego współczucia.

Wyciągnął kolejną szufladę, w której leżało z dziesięć damskich rolexów. Każdy przypominał zegarek Evy. Brał je po kolei do ręki i odwracał. Ręce tak mu się trzęsły, że z trudem był w stanie odczytać wygrawerowane inskrypcje. Odkładał zegarki po kolei do szuflady, bojąc się, że może któryś upuścić.

— Powiedz mi, czego szukamy, to spróbuję ci pomóc

— zaproponował Mikkel.

— Mam wszystko pod kontrolą — odburknął Ravn.

— Jasne. — Mikkel zrobił krok do tyłu.

Zamiast wyjmować zegarki z szuflady, Ravn po prostu je odwracał, żeby obejrzeć kopertę. Na jednym z ostatnich zobaczył inskrypcję przypominającą cyfry. Podniósł zegarek, żeby odczytać nieco już zatartą datę, i nagle poczuł skurcz w nodze. Odłożył zegarek i chwycił się półki, żeby nie upaść. Regał zachwiał się niebezpiecznie; gdyby Mikkel nie chwycił go w porę, byłby się przewrócił.

— Ravn, do licha, dobrze się czujesz?

— Muszę tylko...

Mikkel chwycił Ravna za ramiona i wyprowadził z kontenera.

— Nic mi nie jest — tłumaczył mu Ravn.

— To był jej zegarek?

Ravn oparł się o ścianę kontenera i zmęczony osunął się na ziemię.

— Nie sądzę, ale sprawdź jeszcze raz datę, dobrze?

— Jasne — powiedział Mikkel i wrócił po zegarek.

Ravn szybko wyjął z kieszeni nitroglicerynę i wziął dwie tabletki. Zdążył akurat przed powrotem Mikkela.

— Na kopercie jest wygrawerowane: dwudziesty czwarty albo dwudziesty drugi, siódmy, 1998. Rok jest wyraźny.

— Więc to nie jest zegarek Evy.

Ravn odwrócił się do przyjaciela.

— Warto było spróbować. Dzięki, Mikkel — powiedział. Mikkel usiadł na ziemi obok niego.

— Powiedz, jak będziesz chciał, żebym cię odwiózł.

Ravn skinął głową.

— Mam wrażenie, że to koniec.

— Co masz na myśli?

— To, że już niczego więcej się nie dowiemy.

Teraz Mikkel skinął głową.

Siedzieli dłuższą chwilę, wpatrując się w ziemię i wsłuchując

w jęki zawiasów. Policjant zamykał drzwi kontenerów.

— Wiem, że łatwo mi mówić, ale naprawdę powinieneś iść dalej, Ravn.

— Staram się.

— Tak?

Ravn pokiwał głową i zaczął się powoli podnosić. Spojrzał na budynek komendy po drugiej stronie ulicy i okna więzienia na samej górze. To tam siedzieli najgroźniejsi przestępcy w kraju, przed którymi trzeba było chronić obywateli. Jeśli rzeczywiście istniało zło, to głębokie, nie do wykorzenienia, które opisywano w Biblii i o którym mówił Jakob Mesmer, to znajdowało się ono na najwyższym piętrze tego budynku. A najgorszym ze wszystkich zamkniętych tam demonów był Kaminski.

— Tak blisko i tak daleko — wymamrotał Ravn.

— Co?

— Nic.

Ravn doszedł do wniosku, że skoro nie było mu dane spotkać jednego demona, to przynajmniej skorzysta z zaproszenia od drugiego. Postanowił udać się na jutrzejsze przyjęcie u Ferdinanda Mesmera. Na świętowanie jego zwycięstwa.

Duży ciemnozielony baner z nowym logo firmy powiewał na wietrze nad placem między budynkiem a basenem portowym. Na owalnym dziedzińcu stało jakieś sto pięćdziesiąt osób i piło szampana; ubrani na biało kelnerzy roznosili na tacach małe kanapeczki. Ravn stanął nieco z boku i przyglądał się zgromadzonym gościom, których uwaga w tym momencie skupiała się na basenie portowym i tymczasowej platformie, cumującej przy nabrzeżu. Na platformie stał Ferdinand Mesmer. Ubrany na czarno, wygłaszał mowę. Woda w basenie była nieruchoma, odbijała ostre słońce, zlewając się w jedno z platformą. Można było odnieść wrażenie, że Ferdinand Mesmer może nie tyle chodzi po wodzie, ile stoi na jej powierzchni.

— Szampana? — spytała młoda dziewczyna w stroju kelnerki, która nagle wyrosła przed nim z kieliszkiem w ręku.

— Dziękuję, nie — odpowiedział Ravn.

Słaba akustyka sprawiała, że dźwięk grzęznął między murami i do miejsca, w którym w tej chwili stał, docierały jedynie fragmenty przemówienia. Zrozumiał jednak, że dla Mesmera był to wielki dzień, historyczny dzień, i że właśnie rozpoczynała się nowa era. Padały takie słowa, jak *beliefs* i *benchmarks*, typowy biznesowy żargon. Goście kiwali głowami ze zrozumieniem, ale Ravn nie miał pojęcia, co te słowa znaczą. Za każdym razem, kiedy Ferdinand Mesmer robił przerwę, goście bili brawo, pod koniec przemówienia Mesmer rozłożył ręce, co, jak zrozumiał Ravn, miało znaczyć, że pragnie ich wszystkich objąć. Nieco przytęgi Jezus w czarnym garniturze, chodzący po Jeziorze Galilejskim.

Jako drugi zabrał głos niski mężczyzna o siwych włosach, który stał na platformie obok Ferdinanda Mesmera. Po

zakończonym przemówieniu mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, znów rozległy się gromkie brawa. Błyski fleszy aparatów starających się uwiecznić tę wielką chwilę rywalizowały z promieniami słońca. Ravn domyślił się, że anonimowy mężczyzna jest właścicielem firmy, z którą Mesmer się połączył. Po chwili rozległy się dźwięki brassbandu, w niebo poleciały zielone balony.

Ravn przyglądał się Ferdinandowi Mesmerowi, który właśnie zszedł na brzeg. Szybko otoczył go tłum gości. Mesmer rozmawiał ze wszystkimi, gestykulując i uśmiechając się szeroko. Ravn rozpoznał twarze niektórych gości. Byli tu politycy, członkowie Folketingu, znani z mediów przedsiębiorcy, a także, ku jego zdziwieniu, naczelny szef policji, Niels Vestergaard. Ravn nie miał okazji poznać go osobiście, ale wiedział, że Vestergaard jest prawnikiem i wcześniej pracował w prokuraturze. I nigdy nie siedział za kierownicą radiowozu. Był człowiekiem systemu, stawiał na racjonalizację, zamiast wsłuchiwać się w głosy zwykłych funkcjonariuszy. Ravn był pewien, że Ferdinand Mesmer chętnie pokazałby mu kilka sztuczek.

— Więc jednak postanowiłeś przyjść. — Usłyszał głos Katrine tuż obok.

Uśmiechnął się do niej.

— Przynieść ci coś do picia?

— Dziękuję, ale gdyby udało ci się sprowadzić tu Ferdinanda...

Roześmiała się.

— Lista chętnych jest długa, ale pozdrowię go od ciebie, kiedy będę z nim rozmawiać.

Ravn wyjął żółtą kopertę i pomachał nią.

— Myślisz, że to skróci trochę kolejkę?

— A więc jednak ją masz?

W jej głosie zabrzmiał zawód. Pewnie uznała za swoją porażkę to, że nie znalazła koperty, chociaż przewróciła jego łódź do góry nogami.

— Tak — odpowiedział Ravn krótko.

Patrzył za nią, kiedy zniknęła w tłumie gości. Widział, jak podchodzi do Mesmera. Rozmawiał akurat z burmistrzem i był wyraźnie niezadowolony, że Katrine mu przeszkadza. Obserwując jego ruchy, Ravn domyślił się, że Ferdinand przeprosza burmistrza. Po chwili pojawił się przed Ravnem. Podał mu dłoń.

— Cieszę się, że przyszedłeś. Dobrze, że wróciłeś do formy i możesz razem z nami świętować nasz wielki dzień.

Ravn uścisnął dłoń Ferdinanda Mesmera.

— Może wejdziemy do środka? — zaproponował Mesmer.

— Tylko my dwaj — dodał i posłał Katrine spojrzenie, które zatrzymało ją na miejscu.

Weszli do dużej sali konferencyjnej, której panoramiczne okna wychodziły na basen portowy. Okrągłe stoły były rozstawione jeden obok drugiego i nakryte białymi obrusami, po scenie w głębi sali krążyli technicy i ustawiali sprzęt nagłaśniający.

— Nie usiądziesz?

Ferdinand Mesmer wskazał Ravnowi krzesło przy najbliższym stole, przy którym sam usiadł. Sięgnął po serwetkę i otarł spoconą twarz.

Ravn usiadł obok i położył na stole żółtą kopertę. Mesmer zerknął na nią, ale nie wyciągnął ręki.

— Z tego, co mówiła Katrine, zrozumiałem, że nie wiesz, co się z nią stało.

Ravn wzruszył ramionami.

— No cóż — powiedział Ferdinand Mesmer. — Tym bardziej cenię sobie, że chcesz mi ją zwrócić. Miałeś okazję zapoznać się z umową?

— Nie chcę dłużej tego odkładać... Jedynym rozwiązaniem są płomienie...

Ferdinand Mesmer przełknął ślinę.

— Rozumiem, że przyszedłeś odebrać znaleźne. Ile?

Ravn odchylił się w krześle i spojrzał na niego chłodno.

— Kiedy pracowałem jako policjant, szczególnie w początkowym okresie mojej kariery, zdarzało się, że wysyłano mnie w miejsca, w których jakiś biedak popełnił samobójstwo. W takich przypadkach niemal zawsze pytano dyżurnego, czy ofiara to mężczyzna, czy kobieta. Chodziło o to, żeby chronić siebie. Bo w takich sytuacjach mężczyźni zwykle są bardziej konsekwentni niż kobiety. Rzucają się pod pociąg, wieszają się,

strzelają do siebie z broni myśliwskiej. Pewien starszy pan powiedział mi kiedyś, że mężczyzna popełnia samobójstwo, bo jest zdesperowany i nie potrafi inaczej rozwiązać sytuacji. U kobiety samobójstwo jest najczęściej wołaniem o pomoc. Dlatego kobiety są mniej konsekwentne. Próbują się topić, przedawkowują leki. Zwykle nie są to kroki ostateczne, zawsze jest jeszcze jakaś szansa na ratunek. Nawet jeśli podcinają sobie żyły, to często nieskutecznie. Bo do ostatniej chwili się wahają i zamiast wykonać porządne cięcie, tylko się kaleczą.

Ferdinand Mesmer wyglądał na zniecierpliwionego; wyjrzał przez okno i spojrzał w dół na swoich gości.

— To bardzo ciekawe, co mówisz, ale nadal nie wiem, do czego zmierzasz.

— Do tego, że wyjątki potwierdzają regułę.

— Nie wiem, co to ma wspólnego ze mną. Jak już powiedziałem, chętnie zapłacę ci za te dokumenty. Rzeczywiście, nie chciałbym, żeby wpadły w niepowołane ręce.

— Wahają się — przerwał mu Ravn. Wskazał głową na poparzoną dłoń Ferdinanda Mesmera. — Piroman, który żałuje, że wywołał pożar, i robi wszystko, żeby go ugasić. Tak było? Nagle naszły cię wyrzuty sumienia? Chciałeś spalić żywcem rodzinę, własnego syna?

Ferdinand Mesmer spojrzał na swoją zniekształconą dłoń. Zrośnięte palce sprawiały, że wyglądała jak kopyto.

— Zapewniam cię, że tamtego wieczora nie wahałem się ani chwili. Wręcz przeciwnie.

— Tak? Nie rozumiem, dlaczego twój list zrobił takie wrażenie na Jakobie. Po tylu latach.

— Domyślam się, że nie rozumiesz. List miał przypomnieć Jakobowi, że jest mi coś winien.

— Winien? Za to, że uratowałeś go z pożaru, który sam wzniciłeś?

— Źle zrozumiałeś. To nie ja wzniciłem pożar.

— Więc dlaczego...?

— Jakob to zrobił.



— Więc ten list... — Ravn patrzył ze zdziwieniem na Ferdinanda.

— To list Jakoba. On go napisał.

Ravn nie wiedział, co o tym myśleć.

— Mam dosyć twoich kłamstw. Kolejnego już nie zniosę.

— Nigdy cię nie okłamałem. Owszem, zdarzało się, że zatajałem pewne informacje, które uznałem za nieistotne dla sprawy. Chciałem chronić prywatność rodziny.

— Dlaczego Jakob chciał popełnić samobójstwo?

— Doprawdy nie wiem. Może jest tak, jak mówisz: mężczyźni decydują się na samobójstwo z desperacji. Kiedy nie widzą innego rozwiązania.

— Nie powiedziałem tego po to, żebyś mnie cytował.

— Nie miałem takiego zamiaru. Po prostu naprawdę nie wiem, dlaczego zrobił to, co zrobił. — Pokręcił głową.

— Wszystko układało się znakomicie. Mesmogram, który w dużej mierze był jego dziełem, okazał się wielkim sukcesem. Firmy ustawiały się do nas w kolejce. Zarabialiśmy ogromne pieniądze.

— Może miał inne priorytety?

— Jakob żył dla pracy. Nigdy nie był rodzinny, co nie znaczy, że rodzina nie była dla niego ważna. Był dobrym ojcem i mężem, dbał, żeby jego bliskim niczego nie brakowało.

— Troska i miłość to dwie różne rzeczy.

— Wiem, ale nie mam powodu wątpić, że zależało mu na rodzinie. Dlatego cała ta historia wydaje się absurdalna.

— Co się wówczas wydarzyło?

Ferdinand Mesmer zaczerpnął głęboko powietrza.

— Zauważyłem, że Jakob traci zainteresowanie projektem. Prace badawcze zostały zakończone, więc całą uwagę skupialiśmy na sprzedaży i implementacji programu. Mimo kontrowersji, do których dochodziło między Jakobem a naszymi pracownikami, a które objawiały się tym, że zwracał im uwagę, nie przychodził na zebrania zarządu i coraz bardziej zamykał się w sobie, sądziłem, że po prostu ma gorszy okres w życiu. Że potrzebuje czasu, by przestawić się z pracy nad projektem na korzystanie

z jego owoców. Okazało się, że tego nie potrafił — dodał z goryczą w głosie.

— A pożar?

Ferdinand Mesmer nalał sobie do szklanki wody ze stojącej na stole karafki, wypił łyk i wrócił do swojej opowieści.

— Tego wieczora zostałem dłużej w biurze. W pewnym momencie musiałem pójść do gabinetu Jakoba po jakieś sprawozdanie. Jakob wyszedł do domu wiele godzin wcześniej, co nie było niczym niezwykłym. Kiedy usiadłem przy jego biurku i zacząłem przeglądać papiery, spostrzegłem na stole notes. Był otwarty, na jednej stronie zauważyłem list pożegnalny. — Ferdinand Mesmer spuścił głowę, wpatrywał się w podłogę. — To był czysty przypadek, że go zobaczyłem.

— I co zrobiłeś?

— Próbowałem... dodzwonić się do niego do domu. Dzwoniłem kilka razy, ale nikt nie odbierał. Więc pojechałem do Virum, gdzie mieszkał.

— Skoro podejrzewałeś, że mogą być w niebezpieczeństwie, dlaczego nie zadzwoniłeś na policję?

Mesmer wzruszył ramionami.

— Nie potraktowałem listu na tyle poważnie, żeby sądzić, że Jakob popełni jakieś głupstwo.

— Ale popełnił?

Mesmer pokiwał głową.

— Kiedy przyjechałem na miejsce, duża część domu była już w płomieniach. Na ulicy stali sąsiedzi i przyglądali się wszystkiemu z przerażeniem. Na szczęście kilku było na tyle przytomnych, że wezwało straż pożarną. Jednak zanim przybyła, minęło trochę czasu.

— Wszedłeś do środka? — Ravn wskazał głową na zniekształconą dłoń mężczyzny.

— Oczywiście. Kuchnia i salon stały w płomieniach. Zacząłem wołać, ale nikt nie odpowiedział. Pomyślałem, że nie żyją, ale z jakiegoś powodu zdecydowałem się iść dalej. Przeszukałem wszystkie pokoje. — Mesmer przełknął ślinę.

— Znalazłem ich w sypialni. Całą trójkę. Tylko Jakob był przytomny, jego żona i syn spali, czy też, jak od początku podejrzewałem, byli odurzeni. Kiedy Jakob zobaczył mnie na progu wśród płomieni, był zaskoczony. Usiadł na łóżku i się rozpłakał. Błagał o przebaczenie, przeproszał mnie, prosił o pomoc. Krzyczał w panice, żebym go ratował, że nie chce umierać.

— Co zrobiłeś?

— Odepchnąłem go, chciałem dotrzeć do wnuka. Nie mogłem pozwolić, żeby Carl zginął z powodu szaleństwa swojego ojca.

— Chłopiec przeżył?

— Oczywiście. Zająłem się nim. Wyniosłem go z płomieni, chociaż przyszło mi za to srogo zapłacić. — Mesmer pokazał dłoni i blizny po poparzeniach.

— A co się stało z Jakobem? I z jego żoną?

— Jakob zdążył ukryć się w łazience, skąd potem uratowali go strażacy. Elisabeth zginęła w płomieniach. Była dobrą matką i dobrym człowiekiem. Nie zasłużyła na taki los.

— I po tym wszystkim Jakob zwrócił się ku religii? — spytał Ravn.

— Tak, ale najpierw spędził dobry rok w zakładzie w Nordvang. Wyparł z pamięci całe zdarzenie. Odciał się od rodziny. Demonizował swoją przeszłość, a mnie uznał za szatana. Podejrzewam, że tylko w ten sposób mógł pójść dalej.

— A co ze śledztwem? Ktoś został oskarżony?

— O co? To był wypadek. Garnek z fryturą rozgrzał się tak bardzo, że doszło do samozapłonu. Wielka tragedia. I tyle.

— Ale zataiłeś ważne informacje. Przede wszystkim pożegnalny list Jakoba.

— Zrobiłem to ze względu na Carla. Trudno jest dorastać bez rodziców. Nie było sensu obciążać go jeszcze bardziej wiedzą, że własny ojciec pragnął jego śmierci.

— Zająłeś się Carlem?

Ferdinand Mesmer odwrócił głowę i wyjrzał przez okno.

Szukał chwilę wzrokiem wśród gości. Zatrzymał oczy na młodym mężczyźnie w granatowym garniturze i kolorowych butach do biegania.

— Właśnie zaliczył kolejny rok na psychologii. W przyszłym roku pojedzie do Fontainebleau, do INSEAD Business School.

— Domyślam się, że kiedyś odziedziczy cały ten kram.

— To, co nazywasz kramem, wymaga nowej krwi, wizji.

Dokonując fuzji, przierzucamy most między krajami, między sektorem prywatnym i publicznym. Nie musimy się już ograniczać jedynie do kierowania maszyną, będziemy uczestniczyć w jej budowaniu. A to wymaga specjalistów. Z moją pomocą Carl ma szansę stać się siłą napędową nowej firmy.

— Jak kiedyś jego ojciec? Dawno temu, zanim przyszło załamanie?

— Słyszę, że mnie oskarżasz, tylko nie do końca rozumiem o co.

— O to, że jesteś starym, bezwzględny manipulantem, który wykorzystuje wszystko i wszystkich.

— A ty jak zwykle dajesz sobie prawo walić prosto z mostu — skomentował Mesmer ironicznie. — Najwyraźniej nie rozumiesz, na czym polega delikatna granica między apelowaniem do czyjegoś systemu wartości, opartego na zasadach moralnych, ambicjach i potrzebach, a próbą wymuszenia z zastosowaniem przemocy psychicznej. Pierwsze jest sztuką, drugie charakteryzuje psychopatów.

— Zachowaj te argumenty dla tych na dole — wszedł mu w słowo Ravn. — Nieważne, jak elegancko to ujmiesz, tak naprawdę zależało ci jedynie na tym, by Jakob przekazał ci swoje prawa. Nawet za cenę życia jego i całej wspólnoty. Wcisnąłeś guzik, wiedząc, jakiej reakcji można się spodziewać.

— Aż takiej władzy nie mam. — Mesmer wydawał się wstrząśnięty oskarżeniem. — Mówisz o władzy, która jest sprzeczna z naturą i tak naprawdę nie istnieje. Heisenberg twierdził, że niezdecydowanie jest nieodzowną częścią przyrody, a nie tylko wyrazem nieudolności człowieka czy jego niewiedzy...

— Mam gdzieś Heisenberga i całą tę gadaninę, Mesmer. Mam nadzieję, że będziesz mógł żyć z tym, co zrobiłeś, i spojrzeć w oczy wnukowi. Również wtedy, kiedy pewnego dnia zrozumie, co naprawdę się wydarzyło. Że to ty zabiłeś jego ojca, a przy okazji prawie setkę niewinnych ludzi.

Ferdinand Mesmer sięgnął nerwowym ruchem po kopertę i otworzył ją.

— Spokojnie, list jest w środku. Będziesz mógł zachować swoją brudną tajemnicę.

Ravn wstał z krzesła. Poczł skurcz w nodze, zachwiał się, ale po chwili ruszył do drzwi.

— Czego chcesz? Powiedz...

— Nic, co mógłbyś mi zaoferować — rzucił Ravn przez ramię. — To koniec naszej współpracy.

Kilka dni po spotkaniu z Ferdinandem Mesmerem Ravn stał na „Biance” i zmywał pokład, polewając go wodą z węża. Dochodziło południe. Cały ranek szorował tekowe deski, czyszcząc je z porostów i brudu. Ciężka fizyczna praca służyła mu, chociaż musiał robić częste przerwy. Miał nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej. Ponieważ nie wolno mu było pić alkoholu, postanowił to wykorzystać i zadbać o kondycję. Kiedy żyła Eva, biegali razem raz w tygodniu, czasem nawet dwa. Najczęściej ścieżką wzdłuż wałów, z domu na Dronningensgade aż do Holmen. Zwykle wracali tą samą trasą, czasem jednak biegli wzdłuż kanału, by potem zasiąść przy stoliku w jakiejś kafejce. To były dobre czasy. Pomyślał, że powinien wrócić do biegania. Wyszedł na nabrzeże, żeby zakręcić wodę. Zwijając wąż, powrócił myślami do rozmowy z Mesmerem. Po przyjęciu w gazetach ukazały się zdjęcia Ferdinanda Mesmera z wnukiem. Ravn był pod wrażeniem. Niezależnie od tego, jak bardzo starszy pan manipulował ludźmi i jak bardzo pragnął władzy, to niewątpliwie kochał wnuka. Rozmyślania Ravna przerwało terkotanie silnika ciężarówki, która właśnie zahamowała tuż za jego plecami. Odwrócił się i zdziwiony zobaczył stary, rozsypujący się wóz holowniczy z czerwonym volvem Victorii.

— Niełatwo było znaleźć adres — usłyszał głos Kowala. Wyszedł z szoferki, stanął obok wozu, uśmiechnął się szeroko i uścisnął Ravnowi dłoń.

— Dobrze cię znów widzieć — powiedział Ravn.

— Dobrze, że cię tam do końca nie uśmiercili, w tej sekcie. Czytałem o tym co nieco w prasie.

— Do końca nie — powtórzył Ravn i powiesił wąż na kurku. — Co tam u was słyhać?

— W porządku — odpowiedział Kowal. — Przeżywamy prawdziwą inwazję turystów. Wszyscy chcą zobaczyć miejsce, gdzie działały się te wszystkie straszne morderstwa — dodał, przewracając oczami. — Chociaż niewiele jest do zobaczenia. Prawie wszystko spłonęło. — Spojrzał na „Biancę” i uśmiechnął się szeroko. — Tu mieszkasz?

— Tak.

— A podobno to my jesteśmy marginesem społeczeństwa. — Poklepał Ravn po ramieniu. — Nie obrażaj się, świetna łódź.

— Dziękuję — powiedział Ravn już nieco zmęczony. — Co z samochodem? Trzeba go jakoś zdjąć.

— Oczywiście. Ale muszę ci wytknąć, że nie dbasz o tego swojego staruszka.

— Jak to? — spytał Ravn zdziwiony. Poszedł za Kowalem.

— Najpierw ta sprawa z chłodnicą, a teraz to...

Ravn zatrzymał się i z otwartymi ustami patrzył na volvo Victorii. Lewy bok samochodu był wyraźnie przypalony. Lakier szerniał i odchodził wielkimi płatami, spod których widać było blachę. Wszystkie boczne szyby były powybijane, prawa tylna opona stopiła się i wyglądała jak owinięty wokół osi nieforemny kawałek brudnej gumy do żucia.

— Wszystko działa, ale nie prezentuje się pięknie. Tam go postawimy? — Kowal pokazał głową w stronę parkingu po drugiej stronie.

— Nie!

— Nie? To gdzie?

— Niech to szlag, nie możesz oddać mi go w takim stanie — powiedział Ravn i zdesperowany zaczął rozglądać się dookoła.

— Pożyczyłeś go?

Ravn skinął głową, zastanawiając się nerwowo, co ma zrobić.

— No, to właściciel raczej się nie ucieszy.

— Tak sądzisz? — Wyjął z kieszeni komórkę i otworzył przeglądarkę. — Chodź.

— Dokąd jedziemy?

— Powiem ci po drodze.

Wsiedli do szoferki i ruszyli Overgaden Oven Vandet; Ravn szukał adresu najbliższego blacharza. Poprosił Kowala, żeby podjechał na Amagergade. Specjalnie wybrał warsztat gdzieś na obrzeżach, jak najdalej od antykwariatu. Nie chciał ryzykować, że pewnego dnia Victoria będzie przypadkowo przechodzić obok i zobaczy smętne resztki swojego volvo.

Dwadzieścia minut później zatrzymali się przed The Body Shop w Kastrup. Warsztat oferował usługi z zakresu blacharstwa i lakiernictwa. Jego szef, Ali, szczupły mężczyzna w kombinezonie, obejrzał wóz i pokręcił głową.

— Da się coś z tym zrobić? — spytał Ravn.

— Coś zawsze się da. Pytanie, czy to się opłaci.

— Zapłacę każdą sumę.

— W razie czego mam na sprzedaż passata kombi, w dobrym stanie. Za dobrą cenę.

— Napraw volvo. I zależy mi na czasie.

— Będzie cię to sporo kosztować.

Ravn dał mężczyźnie numer swojej komórki, po czym Kowal zgodził się zawieźć go z powrotem na „Biancę”.

— Jesteś dobrym przyjacielem — powiedział, zanim się rozstali. — Chociaż nie pożyczylbym ci samochodu.

Kiedy Kowal odjechał, Ravn usiadł zmęczony na krześle na tylnym pokładzie. Møffe podszedł do niego i położył się obok nogi krzesła, oczekując pieszczot. Ravn pogładził go po łbie, przyglądając się świeżo wyszorowanemu pokładowi. Mimo całego zamieszania i zmęczenia czuł się dobrze. Nie miał skurczów, serce pracowało normalnie. Uznał, że to dobry znak, najwyraźniej wracał do zdrowia.

Wieczorem spadł deszcz, więc wycofał się do kajuty. Przez moment zastanawiał się, czy nie zajrzeć do Wydry Morskiej, ale teraz, kiedy nie mógł pić alkoholu, lokal nie miał już takiej siły przyciągania jak dawniej. Pomyślał, że musi znaleźć sobie jakieś hobby. Przypomniał sobie słowa Evy, że suma naszych wad zawsze pozostaje taka sama. Brakowało mu jej. Jej towarzystwa.



Poszedł wcześniej spać.

W nocy, gdzieś koło czwartej nad ranem, obudził go nagły, gwałtowny ruch, jakby ktoś wskoczył na pokład łodzi. Usiadł na łóżku i wyjrzał przez otwarte drzwi kajuty. Zobaczył, że na tylnym pokładzie w ciemności poruszają się jakieś postaci. Møffe zaczął warczeć, co wskazywało na to, że intruzem nie jest Eduardo ani nikt znajomy, kogo pies by rozpoznał. Wyszedł z łóżka i chwycił swoją maglite, która funkcjonowała zarówno jako latarka, jak i jako broń, chociaż wątpił, czy aktualna kondycja pozwoliłaby mu pokonać kogokolwiek. Usłyszał skrzypienie, włączył latarkę i skierował ją na drzwi. Katrine zasłoniła ręką oczy, drugą zaczęła szukać smakołyków dla Møffego. Pies przestał warczeć. Za plecami Katrine Ravn dostrzegł jeszcze jakieś postaci; domyślił się, że nie wpadła przenocować.

— Włożysz coś na siebie? — spytała.

— Dokąd idziemy?

— Ferdinand Mesmer chciałby z tobą porozmawiać. Czeka na ciebie. — Pokazała ręką w stronę nabrzeża.

Ravn odwrócił głowę i wyjrzał przez boczne okno. Zobaczył czarnego mercedesa S, który stał na nabrzeżu z włączonym silnikiem.

Ravn wdrapał się na nabrzeże i poprawił zmięty T-shirt, który w pośpiechu naciągnął na siebie. Ulica była pogrążona w ciszy, wokół unosił się metaliczny zapach deszczu. Słysząc było, jak ciężkie krople uderzają o bruk. Schylił się, żeby zasnurować sneakersy. Rozejrzał się w półmroku. Katrine towarzyszyło dwóch ubranych na czarno, krótko ostrzyżonych młodych mężczyzn. Ich wysportowane ciała i czujność ruchów zdawały się wskazywać, że są albo byłymi żołnierzami jednostki specjalnej, albo ochroniarzami PET. Podniósł się i poszedł za Katrine.

— Kiedy wpadłaś ostatnim razem, było jakoś przyjemniej — rzucił. Próbował pochwycić jej wzrok, ale mu się nie udało.  
— Jaki jest powód tego zamieszania?

Nie odpowiedziała, w milczeniu otworzyła tylne drzwi mercedesa. Ravn nie miał pojęcia, po co Mesmer się zjawił ani dokąd mieliby się udać. Niepokoiło go, że tylko oni dwaj wiedzą o istnieniu listu Jakoba; dla Ferdinanda Mesmera, który zawsze dążył do pełnej kontroli, ten fakt musiał być niezwykle przykry.

Usiadł na tylnym siedzeniu obok Mesmera; Katrine zamknęła za nim drzwi. Rozejrzał się po luksusowym wnętrzu kabiny wyłożonej matowymi, czarnymi panelami, które współgrały z szarą skórzaną tapicerką. Poczul chłód. Mesmer spojrzal na niego z rezerwą; Ravn ziewnął głośno.

— Czego chcesz? — spytał bez ogródek.

Mesmer się wzdrygnął, skórzana tapicerka zatrzeszczała.

— Przepraszam za sposób, w jaki się ostatnio rozstaliśmy. Musiałem najwyraźniej powiedzieć coś, co ci się nie spodobało, skoro niemal wybiegłeś z pokoju.

Ravn spojrzal na szklany dach mercedesa, przez który

przenikało zimne światło ulicznej latarni.

— Miałem dość twojego towarzystwa. Podobnie jak teraz. Jest czwarta rano i chętnie wróciłbym do łóżka, więc darujmy sobie te towarzyskie gadki i przejdźmy do powodu twojej wizyty.

— No cóż, chciałbym zakończyć naszą współpracę w bardziej cywilizowany sposób. Żebyśmy mogli rozstać się w zgodzie.

— Dlaczego ci na tym zależy?

— Nie chcę, żeby ludzie, którzy dla mnie pracowali, czuli się oszukani.

Ravn uśmiechnął się.

— A nie jest tak, że boisz się, że powiem komuś o tym, czego się dowiedziałem, kiedy pracowałem dla ciebie?

— To nie do końca tak.

— Nie? — Ravn miał wątpliwości. — Chciałem ci powiedzieć, że możesz być spokojny. Nie zamierzam chlapać ozorem. Nie jestem typem plotkarza, a te wszystkie sprawy dotyczące fuzji, ciebie i twojej rodziny są mi całkowicie obojętne. Czy też, mówiąc inaczej: nie są godne mojej uwagi. Wyraziłem się dostatecznie jasno?

— Sądzę, że tak.

— Świetnie. A teraz naprawdę chciałbym już wrócić do siebie i położyć się spać — powiedział Ravn i chwycił za klamkę.

— Po co ten pośpiech? Nie możesz się doczekać kolejnego ranka, żeby przeklinać kolejny dzień, który będziesz musiał przeżyć?

— Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że jutrzejszy dzień może być całkiem udany, jeśli tylko nie zechcesz znów mnie odwiedzić.

— Zawsze masz gotową jakąś sarkastyczną uwagę, żeby ukryć ból, który czujesz.

— Oszczędź sobie psychoanalizę.

Mesmer wzruszył ramionami.

— Znam twoją przeszłość, Ravn. Wiem, co cię dręczy. Wiem, dlaczego odszedłeś z policji. I dlaczego przez ostatnie trzy lata próbowałeś zapić się na śmierć. Dlaczego przyjmowałeś

zlecenia dotyczące zaginionych osób. Jedno słowo tłumaczy wszystko. Mam rację?

— Nie wiem, o czym mówisz, ale mam to gdzieś

— powiedział Ravn i ponownie sięgnął do klamki.

— To słowo to: Eva.

Ravn puścił klamkę.

— Nie wiem, co słyszałeś, ale nie mam ochoty z tobą o tym rozmawiać. Zwłaszcza kiedy w pobliżu są twoi ludzie.

— Spokojnie, Ravn. Nie przyjechałem tu, żeby ci grozić. Chcę ci pomóc.

— Nie potrzebuję twojej pomocy, Mesmer.

Ferdinand Mesmer pokręcił głową.

— Powinieneś nad tym popracować. Jak możesz coś odrzucać, jeśli nie wiesz, co odrzucasz?

— Bo wiem, że coś, co pochodzi od ciebie, nie jest nic warte.

— Teraz mówisz jak Jakob.

— Więc może jednak nie był taki całkiem szalony.

— Co do tego chyba obaj jesteśmy zgodni. A teraz zaczerpnij głęboko powietrza i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia, zanim twój gadzi mózg znów się odezwie.

— Mów. Tylko szybko.

Ferdinand Mesmer potarł szorstką skórę swojej zniekształconej dłoni.

— Mogę zaoferować ci coś, za czym chodzisz już od pół roku. O co bez przerwy zamęczasz dawnych kolegów, coś, co schrzaniałeś, zanim jeszcze zacząłeś dla mnie pracować.

Ravn czuł, jak jego serce przyspiesza, ale nie dlatego, że przed chwilą zażył nitroglicerynę.

— Co dokładnie proponujesz?

— Dziesięć minut.

— Co to znaczy? Z kim o mnie rozmawiałeś?

— Skup się na mojej propozycji, zamiast zawracać sobie głowę tym, jak zbieram informacje. Widzisz, kim się otaczam, więc powinieneś się domyślić, że jestem w stanie zdobyć informacje, na których mi zależy. Niemal wszyscy w policji

wiedzą, że nie potrafisz uwolnić się od tej sprawy. I nikt się temu nie dziwi. Więzy rodzinne bywają czasem tak silne, że mogą nas udusić. Prawda?

Mesmer spojrzął na niego i uśmiechnął się diabolicznie, Ravn odwrócił wzrok.

— Dziesięć minut. Tyle mogę ci zaproponować.

— Nie do końca rozumiem, o co ci chodzi.

— Dziesięć minut w towarzystwie Kaminskiego.

— Żarty sobie stroisz?

— Ani mi to w głowie.

Ravn odwrócił się i spojrzął na niego.

— Rozumiem, że przywiozłeś mi Kaminskiego. Tak? Dobrze cię zrozumiałem? Gdzie on jest? — spytał ironicznie i zaczął się rozglądać po samochodzie.

— O ile mi wiadomo, przebywa w areszcie. W pojedynczej celi w więzieniu w komendzie. Cella numer dwanaście, na samym końcu korytarza.

— Masz do niej klucze?

— Mam do niej niczym niezakłócony dostęp przez dziesięć minut, które ci proponuję. Sądziłem, że zależy ci na rozmowie z Kaminskim. Czy nie jest tak, że podejrzewasz, że może wiedzieć, kto stoi za śmiercią twojej ukochanej Ewy?

Ravn poprawił się w fotelu.

— Mam uwierzyć, że jesteś w stanie załatwić mi dostęp do najlepiej strzeżonego więzienia w kraju? — Pokręcił głową.

— Nie wiem, co chcesz przez to osiągnąć.

— Chcę ci pomóc. Spłacić dług. Musisz zrozumieć, że światem rządzą ludzie tacy jak ja. To my ustanawiamy reguły, których inni muszą przestrzegać. Nie stoimy ponad prawem i oczywiście ponosimy odpowiedzialność za władzę, która została nam dana, ale mamy też pewne przywileje, dzięki nim możemy robić rzeczy, o jakich inni ludzie, tacy jak ty, mogą tylko marzyć. Próbujemy przywrócić równowagę. Nazwij to ręką bożą. Jestem skłonny użyczyć ci tej przepustki, na krótką chwilę.

— Żebym mógł porozmawiać z Kaminskim w komendzie?

Ferdinand Mesmer skinął głową.

— Kiedy miałyby się to odbyć?

— Teraz.

Ravn spojrzał na niego uważnie, jakby chciał się przekonać, czy Ferdinand Mesmer nie żartuje.

— Ja... — pokręcił głową.

Wszystko było nie tak. Nie tak wyobrażał sobie ewentualne spotkanie z Kaminskim. Był przepełniony żądzą zemsty, a Kaminski wydawał się nieosiągalnym celem, może dlatego skierował ją przeciwko niemu.

— Jedziemy? — spytał Mesmer.

— Sam nie wiem...

Mesmer pochylił się w jego stronę.

— Co się z tobą dzieje, Ravn? Odjęło ci mowę? Boisz się wziąć swój los w swoje ręce?

Ravn spojrzał na niego poirytowany.

— Zamknij się, Mesmer, i zawołaj kierowcę.

Żelazna brama prowadząca do więzienia w komendzie na Otto Mønsted's Gade rozsunęła się i czarny mercedes przejechał bezszelestnie pod łukiem bramy. Wjechał na niewielki dziedziniec i się zatrzymał. Katrine wysiadła i otworzyła Ravnowi drzwi. Mesmer uściskał mu dłoń.

— Do widzenia. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Ravn skinął głową i wysiadł z samochodu. Rozejrzał się szybko dookoła. Był tu kilka razy wcześniej, ale wiele lat temu. Po raz pierwszy znalazł się tu podczas zamieszek z udziałem rockersów. Wtedy razem z kolegami z jednostki specjalnej bez przerwy zwozili tu kolejnych zatrzymanych. Spojrzał w stronę wejścia. Na podejście przed drzwiami czekało czterech strażników w ciemnych mundurach. Razem z Katrine ruszył przez dziedziniec. Katrine podeszła do jednego z mężczyzn i przywitała się z nim. Po chwili strażnik poprosił Ravn, żeby poszedł za nim. Katrine została na dziedzińcu.

— Kruk!

Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Uważaj na siebie.

— Dzięki — wymamrotał i ruszył do klatki schodowej prowadzącej do więzienia.

Poszli po schodach do pokoju strażników na trzecim piętrze. Wszyscy mieli na sobie ochronne tarcze i specjalne szyny na rękach i nogach. Wyglądali jak oddział specjalny szykujący się do akcji podwyższonego ryzyka. Najwyższy strażnik, postawny mężczyzna z rudą brodą, podeszedł do rzędu szafek i w jednej z nich znalazł dodatkowy komplet ochraniaczy. Położył go na

ławce przed Ravnem razem z hełmem i długą pałką.

— Proponuję, żebyś od razu to włożył, nie czekając, aż dotrzemy na oddział.

— To konieczne?

— Jeśli chcesz się widzieć z Kaminskim, to tak.

Ravn zauważył, że pozostali strażnicy też zaczęli wkładać hełmy, specjalne okulary i ochraniacze na nos i usta. Jeden z nich wyjął z szafy dwukilogramowy pojemnik z gazem łzawiącym.

— Gaz? — zdziwił się Ravn.

— Jeszcze jeden środek bezpieczeństwa.

— Chyba zrezygnuję z tego rynsztunku — stwierdził Ravn, wskazując głową na ławkę.

Strażnik posłał mu szydercze spojrzenie.

— Na własną odpowiedzialność.

— Ile razy się zdarzyło, że Kaminski stawiał opór?

— Robi to za każdym razem. Nie zabezpieczamy się dla zabawy.

— Dajecie mu odpór?

— Tak.

— I to pomaga?

— Jak dotąd, żaden strażnik nie został ranny, ale Kaminski nadal bywa agresywny, jeśli o to pytasz.

— Postanowiłem zastosować inną taktykę. Idziemy?

Ravn ruszył do drzwi; strażnicy, chcąc nie chcąc, podążyli za nim.

— Jakby co, ostrzegaliśmy cię — powiedział jeden z nich.

Ruszyli na górę po schodach, na najwyższe piętro, gdzie znajdowały się cele przeznaczone dla najniebezpieczniejszych więźniów. Szli korytarzem, mijając kolejne cele z czerwonymi drzwiami, w końcu dotarli do ostatnich. Strażnik, który szedł z przodu, odsłonił wizjer i zajrzał do środka.

— Nie śpi? — spytał Ravn.

— Kaminski nigdy nie śpi — odezwał się strażnik metalicznym głosem przez ochraniacz na ustach.

— Kaminski, wchodzimy — zawołał strażnik z brodą.



— Stań, proszę, pod tylną ścianą, twarzą do ściany, z rękami w górze i dłońmi na ścianie. Teraz!

— Spadaj, bydlaku!

— Masz dziesięć sekund! Potem wpuścimy gaz. — Strażnik natychmiast zaczął odliczanie: — Cztery, trzy, dwa, jeden...

— Już — rozległo się z celi.

Strażnik odszedł od wizjera i odblokował zamki. Pozostali strażnicy stali w gotowości. Na umówiony sygnał pierwszy z nich otworzył drzwi i wszyscy weszli do środka.

Kaminski stał półnagi, w czerwonych spodniach od dresu, odwrócony do nich plecami i z rękami na ścianie. Długie czarne włosy zasłaniały górną część krzyża prawosławnego, który miał wytatuowany na plecach. Dwóch strażników podeszło do niego z kaftanem bezpieczeństwa, podczas gdy dwóch innych ubezpieczało ich. Włożenie mu kaftana i zapięcie go zajęło im niecałą minutę.

— Sam zdecyduj, czy mam ci założyć szynę na zęby.

Kaminski spojrzał na szynę, a następnie na strażnika.

— Wyglądasz jak kawał gówna, a ja nie jadam gówna, więc nie wbiję w ciebie zębów — powiedział i szczękął zębami tak głośno, że strażnik się wzdrygnął i odsunął od niego głowę.

— Może innym razem — uśmiechnął się Kaminski.

— Dajcie go do klatki — powiedział Ravn.

Rudy strażnik pokręcił głową.

— Dziesięć minut. Tutaj.

— Chcę rozmawiać z nim na zewnątrz.

— To oznaczałoby przekroczenie procedury bezpieczeństwa. Zatrzymany ma przebywać w celi.

— Mam wrażenie, że już dawno przekroczyliśmy wszelkie procedury, więc dalsza dyskusja na ten temat chyba nie ma sensu. Wyprowadźcie go. Dzięki.

Strażnik skinął głową dwóm policjantom, którzy trzymali Kaminskiego.

Kaminski spojrzał zaintrygowany na Ravna. Strażnicy wyprowadzili go na korytarz i poprowadzili do drzwi

wychodzących na spaceriak na dachu komendy.

— Mogę pożyczyć? — spytał Ravn i nie czekając na odpowiedź, po prostu zabrał pałkę jednemu ze strażników.

Stojąc przy drzwiach, Ravn przyglądał się Kaminskiemu, który stał na środku spacerniaka o wymiarach osiem na trzy metry. Patrzył na poranne niebo nad siatką i oddychał świeżym powietrzem. Gdzieś z daleka dobiegł pisk opon samochodu, poza tym miasto spało. Kaminski odwrócił głowę i spojrzał na Ravna wzrokiem bez wyrazu.

— Dlaczego mnie obudziłeś, psie?

— Podobno nigdy nie śpisz.

— Śpię, budzę się, potrzebuję napić się kawy. Masz kawę?

— spytał po duńsku, ale z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem.

— Żadnej kawy. Tylko kilka pytań.

— Jak wszyscy. — Kaminski przekrzywił głowę i zaczął intensywnie wpatrywać się w Ravna. — Ale ty nie jesteś taki jak wszyscy — powiedział po chwili. — Tamci są lepiej ubrani. Przychodzą w ciągu dnia. Nie jak złodzieje, w nocy. Jesteś jakimś specjalnym gliną? Prawdziwym twardzielem? Brałeś udział w szturmie na mój lokal?

— Nie.

— Więc to nie twojego kumpla zabiłem? Bum, bum, bum.

Kaminski otworzył szeroko oczy. W kaftanie bezpieczeństwa, ze zmierzwionymi czarnymi włosami, wyglądał jak szaleniec.

— Nie znałem go — powiedział Ravn. — Był nowy. Zabiłeś chłopaczka. Jestem pod wrażeniem — dodał z ironią w głosie.

— Nie jego jednego zastrzeliłem.

— To przyznanie się do winy?

— Po to tu jesteś? Żeby wydobyć ze mnie przyznanie się do winy? Do tego potrzebna ci pałka? — wskazał głową na pałkę

w ręku Ravna i wykonał jednoznaczny ruch podbrzuszem.

— Myślisz, że zostanę twoją... *bitch*?

— Nie interesuje mnie to. W ogóle mnie nie interesuje, co się wydarzyło tamtego dnia. Tym zajmują się inni — powiedział Ravn. Oparł pałkę o ścianę i zrobił krok w bok. — Przyszedłem w innej sprawie.

Kaminski spojrzał najpierw na pałkę, a potem na Ravna, który stał z rękami w kieszeniach.

— Wyjątkowy z ciebie gość. Czy ja cię znam? Coś mi mówi, że już kiedyś się spotkaliśmy.

— Widzę cię po raz pierwszy — skłamał Ravn. — I mam nadzieję, że ostatni — dodał z uśmiechem.

Kaminski odwzajemnił uśmiech.

— Podobasz mi się. Jak się nazywasz?

— To nie ma znaczenia. Tak naprawdę to w ogóle mnie tu nie ma. Co oznacza, że informacje, które mi przekażesz, nie będą użyte przeciwko tobie.

— A dlaczego sądzisz, że w ogóle będę chciał odpowiadać na jakieś pytania? Myślisz, że jestem kapusiem? Wiesz, jak rozprawiam się z kapusiami?

— Na pewno w bardzo nieprzyjemny sposób.

— Odcinam takiemu kutasa i wkładam mu do gardła.

— Niezbyt przyjemne. Chcę tylko, żebyś powiedział mi coś na temat pewnej starej sprawy, żebym mógł posunąć się w śledztwie.

— Co dostanę w zamian?

— A co byś chciał?

Kaminski wzruszył ramionami.

— Powiedz, w czym miałbym ci pomóc, potem podam cenę.

Ravn spojrzał na niego. Nie brzmiało to szczególnie wiarygodnie. Miał wrażenie, że Kaminski postanowił po prostu miło spędzić czas i jak najdłużej zostać na świeżym powietrzu.

— Byłem w kontenerach, gdzie przechowywane są rzeczy, które ci zarekwirowano.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Daj spokój. Wszyscy wiedzą, że twój klub na Colbjørnsensgade służył jako magazyn kradzionych rzeczy. I to od lat.

Kaminski pokręcił głową, jakby nie rozumiał, o czym Ravn mówi.

— Przyszedłeś tu, gliniarzu, z powodu kilku skradzionych telewizorów? — Roześmiał się. — Żarty sobie stroisz, prawda? Kim jesteś?

— Nie żartuję sobie z ciebie. Do głowy by mi to nie przyszło. Poza tym nie chodzi o kilka telewizorów. Przez wiele lat to był złoty interes. Jedyne, co chcę wiedzieć, to kto dostarczał ci towar.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Jeszcze trzy minuty.

Kaminski uśmiechnął się lodowato.

— Chyba będziesz musiał się pospieszyć.

— Masz rodzinę. Żonę, trzech synków i córeczkę, prawda? Mogę załatwić ci odwiedzinę. Oczywiście, jeśli chcesz.

Kaminski spojrzał na niego uważnie.

— Jesteś pewien, że masz aż taką władzę?

— Stoję przed tobą, więc sam odpowiedz sobie na to pytanie.

— Co dokładnie chcesz wiedzieć?

— Chcę wiedzieć, którzy z twoich ludzi włamywali się tu do mieszkań jakieś trzy lata temu.

— Nie pamiętam, za dużo twarzy.

— Na Christianshavn. Włamanie, coś poszło nie tak. Zginęła młoda kobieta. Chcę wiedzieć, kim był sprawca.

Kaminski przyglądał mu się zamyślony, przekrzywił głowę, aż zatrzeszczało mu w kręgosłupie.

— Już wiem, skąd cię znam. Z gazety. To twoja donna wtedy zginęła. Jesteś tym gliniarzem, który był na służbie, kiedy zamordowano mu narzeczoną.

— Nazwisko, Kaminski. To jedyne, czego od ciebie chcę.

— Pan Bóg musi cię nienawidzić — roześmiał się drwiąco Kaminski.

Oczy Ravna zrobiły się zimne.

— Nie tak bardzo jak ja jego. Nazwisko. Podaj mi nazwisko, a twoja rodzina będzie mogła cię odwiedzać. Kto to był?

— Nie jestem głupi. Aż takiej władzy nie masz. Nie wiem, jak udało ci się tu wejść, ale nie masz mi nic do zaoferowania. Jesteś zerem, nikim. Co z ciebie za glina, co z ciebie za mężczyzna, skoro nie potrafiłeś obronić własnej rodziny?

— Nazwisko, Kaminski.

— Jesteś ciota... Ciota...

— Nazwisko!

— Wal się!

Ravn cofnął się i sięgnął po pałkę, i w tym momencie Kaminski ruszył na niego ze schyloną głową niczym wściekły byk. Ravn zamachnął się i trafił go pałką w ramię, Kaminski potknął się i wylądował na ziemi. Ravn okładał go jakiś czas, w końcu się zadyszał.

— Nazwisko!

Kaminski podniósł głowę i splunął na niego.

— Bijesz jak panienka.

Ravn uniósł pałkę i wycelował w tył głowy Kaminskiego. Nagle zrozumiał, że to wszystko jest bez sensu. Kaminski w życiu mu nic nie powie, nigdy nie dowie się prawdy. Jedyne, czego teraz pragnął, to spokój. Nie chciał tego dłużej ciągnąć. Kaminski nie zabił Evy, ale powinien zapłacić za zbrodnie, które popełnił. Zamachnął się ponownie i nagle poczuł, że ktoś chwyta go za rękę.

— Dziesięć minut minęło — powiedział rudy strażnik i wyjął mu pałkę z ręki.

Ravn spojrzał na Kaminskiego.

— Zgnijesz tu.

— Ale jestem wolny, bardziej niż tobie będzie to kiedykolwiek dane — roześmiał się Kaminski i splunął krwią. Podeszli do niego strażnicy i pomogli mu podnieść się z podłogi.

— Jesteś najgorszym gliniarzem na świecie — zawołał za Ravnem. — Musisz być ślepy, skoro nie potrafisz rozwiązać takiej sprawy.

Strażnik pchnął Ravną w stronę drzwi.

— Gównu wiesz! — wycedził Ravn przez zęby.

— Kruk! — zawołał nagle Kaminski.

Ravn odwrócił się w drzwiach, zdziwiony, że Kaminski zna jego ksywkę. Pomyślał, że bez względu na to, czy ktoś mu powiedział, jak się nazywa, czy przeczytał o nim w gazecie, to pamięć ma świetną.

— Wiem, że to nie był złodziej. W i e m to!

Ravn spojrzał na niego. Coś mu mówiło, że Kaminski próbuje go rozegrać.

— Nic nie wiesz — powiedział. — Obyś tu zgnił — dodał.

Nagła zmiana pogody sprowadziła deszczowe chmury nad Christianshavn i całą Kopenhagę. Deszcz sprawił, że po radosnym letnim nastroju na nabrzeżu nie został nawet ślad, zrobiło się mokro i pusto. Kanałem przed Wydrą Morską płynęła łódź z turystami. Ludzie kulili się w kolorowych pelerynach, pstrykając zdjęcia historycznym budynkom aparatami fotograficznymi albo komórkami.

Ravn siedział przy barze w Wydrze Morskiej; obok leżał Møffe i drzemał. Było wtorkowe przedpołudnie i poza starszą parą stałych gości, która siedziała przy stoliku z widokiem na kanał, lokal był pusty.

— Jeszcze trochę? — spytał Johnson, stając przed Ravnem z dzbankiem kawy w ręku.

— Pół filiżanki.

Johnson nalał sobie i Ravnowi i odstawił dzbanek.

Przez ostatnią godzinę Ravn opowiadał mu o spotkaniu z Ferdinandem Mesmerem i o wydarzeniach, które rozegrały się na dachu komendy. Johnson, który z reguły zawsze miał coś do powiedzenia, tym razem milczał, siedział z otwartymi ustami i słuchał.

— To mogło się źle skończyć — powiedział i zapalił papierosa.

Ravn przytaknął.

— Tak, gdyby strażnik mnie nie powstrzymał, posłałbym Kaminskiego na tamten świat.

— Nie możesz brać wszystkiego do siebie.

— Rozmawiamy o Evie.

— Tak, ale nawet gdybyś rozwalił Kaminskiemu czaszkę, nie wróciłbyś jej życia.



— Wiem, wiem.

— Chyba nie chcesz skończyć jak ten detektyw, o którym mi opowiadałeś, ten Bertil czy Bent...

— Benjamin.

— No właśnie. Który skończył pod nożami sieczkarni.

— Kombajnu, ale poza tym wszystko się zgadza.

— Musisz iść dalej, przyjacielu, zostawić to wszystko za sobą. *Be professional* — dodał z tak silnym miejscowym akcentem, że Ravn nie mógł się nie uśmiechnąć.

Wypił łyk kawy, była kwaśna. Musiał chyba do niej przywyknąć, bo Johnson zapowiedział mu, że poza wodą to jedyne, na co może teraz u niego liczyć, a wszystko z powodu szwankującego zdrowia.

— Kaminski powiedział, że to nie złodziej zabił Evę. A ja byłem zbyt zaślepiony, żeby to zobaczyć.

Johnson zgasił papierosa w popielniczce.

— Kruk, do diabła, posłuchaj rady starego boksera: w każdej walce najważniejsza jest psychika. Trzeba zastraszyć przeciwnika. Zadrwił sobie z ciebie. Facet jest zdesperowany.

— Wiem, po prostu ci to mówię.

— Zapomnij o draniu. O nim i o wszystkich innych.

Ravn pokiwał głową i wstał.

— Ile jestem ci winien za kawę?

— Kawa jest za darmo, chyba że zamówisz latte albo cappuccino, czy jak tam one się nazywają.

— Nie miałem pojęcia, że podajesz takie rzeczy.

— Bo nie podaję, do diabła. To knajpa, a nie kawiarnia.

Dokąd się wybierasz?

— Oddać Victorii samochód.

— Najwyższa pora. Bardzo jej go brakowało.

— Wiem.

— Mam nadzieję, że dbałeś o niego — powiedział Johnson, wstawiając filiżanki do zlewu.

Godzinę później podjechał błyszczącym czerwonym volvem

pod antykwariat Victorii. Ali, właściciel warsztatu, miał rację, kiedy twierdził, że wszystko da się naprawić i że będzie to sporo kosztować. Z pieniędzy, które dostał od Mesmera, zostało mu już tylko kilka tysięcy. Ale nie przejmował się tym, najważniejsze, że Victoria odzyska swoje ukochane volvo w idealnym stanie.

Kiedy wysiadł z samochodu, zobaczył, że Victoria stoi w drzwiach antykwariatu. Paliła skręta, wydmuchując w powietrze chmury niebieskiego dymu.

— W końcu ją przyprowadziłeś — powiedziała, przyglądając się samochodowi.

— Przepraszam, ale policja nie chciała go wcześniej oddać — powiedział Ravn i uśmiechnął się głupio.

Victoria podeszła do niego i wyjęła mu z ręki kluczyki. Obeszła samochód, przyglądając mu się uważnie.

— Umyłeś Wilnę? Lakier się błyszczy.

— Uznałem, że przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Victoria wciągnęła nosem powietrze.

— Czy to zapach wosku? Chyba nie zafundowałeś jej woskowania?

— Oczywiście, że nie. Jeśli coś czujesz, to pewnie wodę z mydłem. Porządnie ją wyszorowałem — tłumaczył się Ravn.

Victoria zakończyła inspekcję i schowała kluczyki do kieszonki tweedowej kamizelki.

— Dobrze znów cię widzieć, Kruk. Nastawiłam kawę.

— Dzięki, Johnson już mnie napił. Poza tym trochę się spieszę.

— Spieszysz się? — Victoria zmarszczyła brwi.

— Dlaczego?

— Myślałem o tym, co mi powiedziałaś, kiedy byliśmy na grobie Evy.

— A co ci wtedy powiedziałam?

— Że powinienem założyć coś własnego.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

— I zamierzasz to zrobić?

— Tak, jeśli nadal chcesz mi pomóc z księgowością i tymi

wszystkimi urzędowymi bzdurami.

— Jasne, że ci pomogę. Co zamierzasz?

— Mam cały stos zgłoszeń — pokazał dłonią, jak wysoki.

— Piszą do mnie ludzie, którzy słyszeli o tej sprawie, i o wcześniejszych. Proszą o pomoc w najróżniejszych kwestiach. Na ogół chodzi o osoby zaginione, ale czasem też o zwierzaki, które uciekły z domu — powiedział, przewracając oczami.

— Niektóre propozycje wydają się ciekawe.

Zauważył, że Victoria, mimo zainteresowania, które przed chwilą zadeklarowała, już go nie słucha. Minęła go i podeszła do samochodu.

— Co się stało? — spytał, kiedy przeciskała się obok niego.

Victoria kucnęła i zaczęła przyglądać się przedniemu zderzakowi.

— Czy to jest... ślad po kuli? — Włożyła palec w niewielką dziurkę z boku.

Ravn przeklinał Alego, że nie zauważył uszkodzenia i nie naprawił go.

— Jesteś pewna, że wcześniej jej nie było? — powiedział i próbował się uśmiechnąć.

— Na sto procent.

— A może to po prostu rdza?

— Rdza?

— Tak, to stary samochód, więc...

— Wilma nie rdzewieje!

